

FELIKS W.

# KRES

ŻEGLARZE

I JEŹDŹCY

KSIĘGA

CAŁOŚCI

TOM 8



F E L I K S W.

# K R E S

Ż E G L A R Z E  
I J E Ź D Ź C Y

(O P O W I E Ś C I S Z E R E R S K I E)

K S I Ę G A  
C A Ł O Ś C I

T O M 8

ILUSTRACJE  
PRZEMYSŁAW TRUŚCIŃSKI

fabryka słów®

LUBLIN - WARSZAWA

# Spis treści

Karta tytułowa

Księga całości

Miód dla Emiry

\*

Jeźdźcy Równin

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Armektańska nienawiść

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Gówno (Piratka i żołnierz)1

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Siedmiu najemników2

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Epilog

Mapka

Karta redakcyjna

## **KSIĘGA CAŁOŚCI**

1. Północna Granica
2. Król Bezmiarów
3. Grombelardzka legenda. Serce Gór
4. Grombelardzka legenda. Wstęgi Aleru
5. Pani Dobrego Znak. Wieczny pokój
6. Pani Dobrego Znak. Wieczne Cesarstwo
7. Porzucone królestwo
8. Żeglarze i jeźdźcy
9. Tarcza Szerni
10. Najstarsza z Potęg
11. Szerń i Szerer – tom 1
12. Szerń i Szerer – tom 2





## Miód dla Emiry



Płama światła kurczyła się powoli, mrok następował zewsząd, pochłaniając kilku leżących w krąg, pokrytych pelerynami ludzi. Kulbaki służyły im za poduszki, w zasięgu dłoni zaś leżał oręż: łuki i strzały, miecze. Ognisko dogasało, różowiejąc.

Z mroku doleciał tupot spętanych koni i ciche parsknięcia. Zaraz potem ozwał się szakał, ale gdzieś bardzo daleko. I znów cisza.

Płomień podskoczył raz jeszcze, ogarniając niestrawiony dotąd patyczek. Błysk światła wyłonił z ciemności twarz bardzo młodego, leżącego blisko ognia mężczyzny.

Mężczyzna śnił.

„Czekałeś...”

„Zawsze czekam, królewno”.

„Jestem twoim przekleństwem” – powiedziała smutno.

„Nie. Wyrzutem sumienia”.

Wysła z mroku, a wtedy przytulił ją delikatnie.

Mrok ukrył łzę, płynącą po twarzy śpiącego.

o o o

Biegł zdyszany. Wpadł w krzaki i niewiele brakowało, a zderzyłby się z drzewem. Księżyc wyszedł zza chmury, listowie poprzebijały sztychy sinego światła. Chłopak rozejrzał się.

– Ożeż, do... – powiedział rozeźlony.

Wysapał się, wylazł z krzaków. To nie ten zagajnik. Niepotrzebnie leciał jak głupi, należało najpierw pomyśleć.

„Tam” – rzekł sobie. „Albo tam”.

Szedł szybko, ale już nie pędził. Wciąż jeszcze rzeziło mu w płucach. Księżyc cierpliwie oświetlał rozległą równinę i rozsiane na niej obficie większe i mniejsze kępy drzew. Któraś z nich była jego kępą. Tą właściwą.

Teraz przypomniał sobie, że niedaleko znajdowała się inna, znacznie większa. Prawie las. A więc... to ta. Tylko czy na pewno? Światło księżyca było bardzo zwodnicze.

Sforsował ścianę krzaków. Malutka polanka powitała go znajomym kształtem.

– Emira! – zawołał.

– Ouaa – powiedziała leniwie. – Przyjacielem ciszy to ty nigdy nie będziesz.

– Gdzie jesteś? – zapytał ze śmiechem.



– Tutaj. Ale zdaje się, że mogłabym i o milę.

Pokazała się bezszelestnie, jak zawsze.

– Nie jestem kotem, moja piękna – przypomniał po raz setny, udając wyniosłość.

Powędrował do torby z zapasami, wyjął chleb i ser.

– Ale ja jestem kocicą – odrzekła złośliwie. – Obudziłam się, bo to było jak szarża stada wołów. Jeden zagajnik, drugi...

– Przyglądałaś się?

– Tylko słuchałam. Wpadłeś w krzaki i coś mówiłeś do siebie, ale za daleko, żebym zrozumiała.

Księżyc znowu skrył się za chmurą, a gdy wyszedł, Emira była już w zupełnie innym miejscu. Uwielbiała takie zabawy.

Pokręcił głową i z wysiłkiem przełknął suchy ser.

– Wiesz, że jestem przy tobie prawie ślepy i kompletnie głuchy – powiedział. – Ile razy jeszcze mam to przyznać?

Położyła się na boku, a właściwie przewróciła ospale. Wyciągnęła łapy, wysuwając pazury – lśniące jak ze szkła. Było w tym coś bezwstydnie lubieżnego.

– Lubię, gdy tak mówisz – stwierdziła swym niskim, troszkę ochrypłym po kociemu głosem. – Jesteś taki wielki i silny. Kocham wiedzieć, że potrafisz coś, czego ty nie potrafisz.

– Ani wielki, ani silny – mruknął z pełnymi ustami.

Ale polectała go mile. Jeśli chciała, to umiała.

– Co tam słyhać na zwiadach? – zagadnęła z leciutką ironią.

Pokiwał głową. Uparł się, że tym razem on pójdzie. Chciał pokazać, że nie tylko kot potrafi.

– Miałem rację – oznajmił. – Nocuję nad potokiem.

Czekała.

– No i...?

– Co „no i”?

– No i co podsłuchałeś?

Rozejrzał się za czymś, by w nią rzucić.

– Szyszka leży obok – podpowiedziała życzliwie. – Nic nie usłyszałeś?

– Jak miałem podsłuchiwać, kiedy było ich tylu? Wszędzie się kręcili, to przy wozach, to znowu przy koniach... Mają psy!

– Jak są psy, trzeba podchodzić pod wiatr.

Uniósł oczy ku niebu, a zaraz potem ręce, w których trzymał chleb i ser.

– O Szerni, ty wisisz nad światem! Oceń, czy psy można podejść pod wiatr!

Lekko kaszlący koci śmiech doleciał z wiatrem, nie pod wiatr.

– Więc dobrze, pokpiłem! – zawołał i rzucił w nią serem, ale oczywiście nie trafił. – Nic nie usłyszałem, jestem łamaga! Tylko ty umiesz chodzić na zwiady, królowno!

– Nie rycz – powiedziała, wciąż się śmiejąc. – Jestem tutaj, tuż obok. Nie w Dartanie.

Wysapał się, polazł i odnalazł ser. Dmucnął, ale i tak w zębach zaskrzypiał mu piasek.

– Myślałam, że przyniesiesz wieści.

– Tak, i najgrubszego kupca razem z wozem. Co tam było do podsłuchiwania?

– Pewnie nic. Ale można było podsłuchać. Może byśmy wiedzieli, co wiozą i dokąd zmierzają.

– A do czego nam to potrzebne?

– Ouaa... Do niczego. Tyle tylko, że jak znowu wiozą wełnę, to ja za nimi nie idę.

Miała rację. Kiedyś długo szli za karawaną, by przekonać się na koniec, że wozy pełne są grombelardzkich pledów i wełnianych ubiorów. Ukradł sobie koszulę... Szkoda

było fatygi. Ile pleców mógł unieść i sprzedać?

– Nie obrażaj się – rzekł po chwili. – Wiem, masz rację. Ale muszę czasem się podkraść, żeby się nauczyć. A jak kiedyś będziesz miała katar, to co? Będziesz kichać pod wozem? Ja też muszę coś umieć.

Spochmurniały leżał na boku, podpierając się łokciem. Wstała i podeszła tak blisko, że musnęły go jedwabne sznureczki zwisające z delikatnej, też jedwabnej plecionki na szyi. Lubiała się stroić.

– Aktar – powiedziała – głowa do góry. Chcesz? Jak będziemy w mieście, to znowu ci poszukam dziewczyny. – Wsadziła mu szpilę, aż syknął.

– Oo, ja cię dzisiaj uduszę...

Połaskotała go futrem. Parsknął śmiechem.

– Ty kocia jędo... Dobrze, na razie nie będę chodził na zwiady.

– Nie?

– Nie. Obiecuję.

Zamruczała mu do ucha. W odpowiedzi podrapała ją po karku.

o o o

Obudziła go późnym rankiem, bardzo zła.

– Głupia pora. Czemu wy musicie mieć jasno? W dzień się śpi! Zobacz, jaki skwar.

Przetarł oczy. Dzień był piękny. Istotnie, miało się na upał.

– Lubisz ciepło.

– Kiedy leżę i śpię. A nie kiedy pędzę za tobą.

– Nie jestem kotem. – Ziewnęła i przeciągnęła się.

– Ale ja jestem kocią i nie wiem, czemu związałam się kimś, kto w nocy nie widzi własnej ręki, za to w dzień, gdy największe upały...

– Oj, nie męcz już! Głodna? Czy złe sny? Nigdy nie słyszałaś, że koty mało mówią? Ludzie przez cały czas, a koty bardzo mało.

Przekrzywiła głowę i spojrzała w górę. Sznureczki zatańczyły na jej szyi. Zawsze kiedy zadzierała głowę, by spojrzeć mu w oczy, widział okrągłą białą plamkę na brodzie, jedyny obcy akcent w przegowanej, szarej całości.

Oblizała się wolno. Nie cierpiał tego.

– Jestem obrażona. – Położyła się tyłem.

– Proszę bardzo, królewno.

Przetoczyła się na grzbiecie z boku na bok.

– Jesteś wulgarna! – rzekł dobitnie.

Pokazała mu, że ma się odwalić.

– Tak? Wspaniale.

Zjadł niespiesznie. Wziął torbę, wyjął kubek obwiązany szmatką i odwinął ją.

– Nie – powiedziała ze wściekłością. – Mówiłeś, że kubek jest pusty!

– Okłamałem cię, bo wszystko byś zjadła.

Uwielbiała słodczy. Prawie tak jak jedwabne sznureczki.

Nie czekał, aż poczuje jej pazury na głowie. Szybko wylał czerwony miód na dłoń. Pochłonęła go, a potem zmrugała oczy.

– Ouaa. – Oblizała się, tym razem zalotnie. – Gdybyś był rudym kocurem, urodziłabym ci kotka.

Przeciągnęła w poprzek polanę, śmigając płaskimi łukami.

– Hej! – zawołał. – Emira!

Machnął ręką. Wiedział, że się nie zgubią.

Usiadł na ziemi. Starym armektańskim zwyczajem wyrzekł swoje imię i powiedział niebu, że jest piękne. Takie było. Inne niż w Grombelardzie, gdzie wiecznie zachmurzone, wisało nisko niczym ponury strop jaskini. Inne nawet niż w pogodnym Dartanie. Nigdy dotąd nie opuścił swego kraju, ale słyszał o różnych krainach. Niebo nad Armektem nie miało sobie równych, przyznawali to wszyscy, którzy widzieli inne nieba.

Uniósł głowę.

– Piękne jesteś – powtórzył z zachwytem, i nie dlatego, że tak nakazywała tradycja.

Tego nieba i tych równin, bezkresnych jak morze, nie pozwoliłyby sobie odebrać za całe złoto świata.

Właściwie nie były równinami, chociaż od zarania dziejów tak je zwano. Lekko pofałdowane, poprzecinane rzekami trawiaste przestrzenie, gdzieniegdzie skąpo, a w innych okolicach obficie urozmaicone lasami, jeszcze częściej zagajnikami. Niewiele znał słów należących do wysokiego armektańskiego, ale to chyba znali wszyscy: Ri Sillor. Oznaczało właśnie taką napiętnowaną małymi lasami armektańską równinę pod błękitnym niebem.

– Aktar! – wrzasnęła gdzieś zza drzew.

Wziął łuk i zarzucił torbę na ramię.

– Idę, przyjaciółko ciszy – rzekł z przekąsem.

o o o

Koła wozów wycisnęły w ziemi głębokie ślady. Popatrzyli na siebie i po raz kolejny przystanąli.

– To Grombelardczycy – powiedziała zrezygnowana. – I na pewno wiozą wełnę. Mówię ci.

Westchnął.

Istotnie. Otwarte armektańskie przestrzenie były dla kupca z Grombelardu niczym księga napisana w obcym języku – niczego nie umiał wyczytać. Po zjechaniu z traktów łączących wielkie miasta karawany zbaczały z obranych kierunków. Człowiek, który w swym kraju gwiazd nie oglądał nigdy, a słońce przez dwa dni w roku, nie umiał się nimi kierować. Zapominał, że w ogóle są. Oczywiście zaraz sobie z powrotem przypominał, ale...

Ale dla odmiany zapominał, że to słońce nie stoi w miejscu.

Ślad wił się niczym źmija. Trochę ku wschodowi, zaraz ku północy... Tak to Grombelardczycy skracali sobie drogę do mniejszych miast i miasteczek.

A gdyby tak nająć przewodnika?...

Po co? To przecież kosztuje.

– Sama wełna? – rzekł z powątpiewaniem. – Prawda, że najczęściej handlują właśnie tym świństwem, ale w wielkich miastach. A ci tutaj jadą do małych na południu. I na pewno chcą coś sprzedać w większych wsiach po drodze.

– Wełnę sprzedadzą. We wsi? Prędzej wełnę niż coś innego.

– Niby tak. No ale...

– To mnie nieś – powiedziała. – Ja dalej nie idę.

– O, królowno – oburzył się. – Będę miał co nosić, jak ściągniemy towar z tych wozów. I dobrze się nadźwigam.

– Tak, a potem sprzedasz za dwie sztuki srebra albo mniej. Znam to. Dalej nie idę.

- Kupię ci trochę jedwabiu.
- Sama sobie kupię! Co to, utrzymujesz mnie?! Jak będę chciała, to...
- O, na Szerni – powiedział. – Dobrze, chodź.

Wskoczyła mu na ramię. O nie, wcale nie była taka lekka... Po przejściu mili ramię zaczynało drętwieć, potem zwyczajnie bolało. Tak jakby miał dwie torby. Ciekawe, dlaczego nosił jedną? Czyżby z dwiema było niewygodnie albo ciężko?

A i tak dziękował wszystkim mocom świata, że należała do tirsów, a nie gadba, wielkich prawie jak ryś.

Spotkał ją pół roku po tym, jak wyruszył na swoją wędrówkę. W portowej Kanazie kotów było mnóstwo, ale na targu tylko ona jedna leżała na kole kupieckiego wozu, ze zwieszonymi łapami, patrząc wokół niczym stworzycielka tego bałaganu, niezadowolona ze swojego dzieła. Stał przez chwilę, patrząc... gapiąc się właściwie. Koty nie były mu obce, ale nie znał ich na tyle, by rozumieć wszystkie miny i odczytać każde ułożenie ucha. Jej minę jednak zrozumiał: wyrażała bezgraniczne znudzenie.

„Nie, nie można mnie kupić” – powiedziała wtedy cierpiętniczko. „Chyba tylko na futro. Ten gruby wieprz obok sprzedaje. Ozdóbki”.

Niczego nie sprzedawał; stał tuż obok. Pochwyciła spojrzenie Aktara i zwiąła z kocią szybkością. Kupiec, który najwyraźniej nie czuł się grubym wieprzem, wyrzucił łapę w koło wozu, gdzie już dawno ostygło po niej miejsce, po czym stęknął z bólu i złości. Ścigani gniewnymi okrzykami, zanurzili się w tłumie.

„Nie słyszałaś, że stoi nad tobą? Podobno koty wszystko widzą i słyszą”.

„Myślałam, że to ktoś inny. Wyrzucił mnie, widziałeś” – stwierdziła. „Teraz sam sobie będzie pilnował towaru. Ale mi nie zapłacił za całe pół dnia. A wiesz co? Okradnijmy go w nocy! Ma takie tasiemki z jedwabiu, bardzo drogie”.

Od tamtej chwili minęło półtora roku. Przemierzali razem szmat drogi, już na samym początku obejrzeni wszystkie Trzy Porty, potem byli w Rinie, teraz szli do Bany na zachodzie. Niedawno opuścili leżące po drodze Sar Soa, jego miasto. Pierwsze, jakie zobaczył w życiu, bo urodził się w wiosce położonej niemal pod jego murami.

„Bana. Znowu port” – narzekała. „Wiesz, że wszystkie porty są nad morzem? A jak widzę tyle wody, to chce mi się umrzeć. Jeszcze żeby była słodka. Ale słona. Na co komu taka woda, no powiedz? Będę umarta nad morzem”.

Tylko raz przeprawili się promem przez rzekę. Najpierw śmiał się z jej miny, lecz ze strachu obrzygała mu koszulę, wtedy przestał. Cały czas uważała, że toną.

„Nigdy!” – powiedziała potem. „Choćby most był o sto mil, to do mostu!”

Gdy chciał jej dokuczyć, obiecywał, że kiedyś zanieśie ją na okręt.

o o o

– Nocują w tej ruderze – powiedziała.

– Co to za dom?

– Nie wiem. Opuszczony. Rozwalony dach, resztki płotu, stare koryto i studnia. Jeszcze jakiś chlew czy obora. Taka szopa.

Widywało się podobne miejsca. Lokowano wioskę, potem z jakichś powodów rezygnowano, a jedno uparte chłopisko mówiło: „Nie!”. Jeśli był wolnym człowiekiem, czyli poddanym tylko cesarza, to czasem pozwalano takiemu, by się pobudował. Bo gdy mu się powiodło – ściągali inni, bywało.

Ale rzadko się powodziło. Jedna rodzina, bez żadnych sąsiadów, pozbawiona wsparcia w chorobie, w pechowym zdarzeniu... Zdana na łaskę i niełaskę paru

marnych zbójców, jeśli tacy się przyplątali.

– Dowiedziałaś się, co mają?

– Tak, wełnę.

– O, do...

– I kusze.

– Kusze?

– Dobrze słyszysz: grombelardzkie kusze. Jeśli ukradniemy ze dwie, można będzie sprzedać je po drodze do Bany.

– Droga broń! – rzekł z radością. – Obłowimy się dzisiaj, Emiro! Co tam dwie, pięć kusz też udźwignę!

– Aż do Bany?

– Aż do Bany. Wiesz, ile kosztuje nowa kusza? I to grombelardzka! To już nie jest srebro, Emiro, to jest złoto. Po drodze nikt nie kupi, nie ma mowy, ale w Banie? To port i wielkie targowisko, pierwszy kupiec weźmie wszystkie pięć.

– Za pół ceny. Albo jeszcze taniej.

– Ale za to od ręki. Zresztą, co tam, sam stanę i...

– ...i wtedy, Emiro, uliczny patrol mnie zapyta, skąd mam pięć kusz grombelardzkich – dokończyła. – Kocicy nieść nie będziesz, ale zanieziesz pięć kusz. Aż do Bany.

– Kocica nie jest na sprzedaż. A pięć kusz...

– Dobrze, Aktar, to nie ja będę je nosła. Nie wezmę nawet tego woreczka ze strzałami.

– Z bełtami.

– Pięć kusz, pięć korb, pięć worków z bełtami.

Potrafiła być rozsądna, musiał przyznać.

– No dobrze, może trzy.

– Dwie wystarczy. Jeśli sprzedamy każdą tylko za sztukę złota, to przez dwa miesiące mamy co jeść.

Opanował się.

– Chyba masz rację.

Popatrzyła w rozgwieżdżone niebo.

– Za jasna ta noc – zawyrokowała. – Żadnej chmurki, a do tego pełnia.

– Nie, Emiro – powiedział. – Nie jestem kotem. Muszę mieć światło.

– Aż tyle?

Wzruszył ramionami.

– Hej, zuchwalcze – zamruczała – a psy?

– Prawda, psy. Zapomniałem. – Sposepniał. – Ale, Emiro, to tym bardziej. One zwęszą mnie nawet po ciemku, tyle tylko, że ja nie będę widział, gdzie są. Ta noc jest dobra, Emiro. Mamy czekać na pochmurną? Jak długo? Noc jest dobra – powtórzył.

– Ale krótka. Jeśli to ma być dzisiaj, to idź spać. Obudzę cię.

Położył się posłusznie. Jednak po jakimś czasie uniósł głowę.

– Obudzisz mnie na pewno? Mimo że ta noc taka jasna?

– Eh, głupi jak baran! – wściekła się w ciemności. – Czemu los zesłał mi dziecko? Jeśli nie mógł mojego rudzielca, to może chociaż mężczyznę?

– O, Emiro. – Poczuł się naprawdę dotknięty.

Odwrócił się do niej plecami.

Po chwili przyszła namruczeć mu do ucha, że go lubi.

– Jeden nie śpi – powiedziała mu w sam nos. – Tam, przy ścianie.

Dostrzegł w mroku otuloną pledem postać.

– A psy?

– Jak zabite. I daleko, przy koniach. Nie poczują cię.

– A jak usłyszą?

– Nie, bo psy są głuche, one nie mają słuchu – powiedziała z przekonaniem. – Prawie tak jak wy.

Bezszelestnie – tak sądził – pełził od wozu do wozu, kryjąc się w ich cieniu. Wyjątkowo duża karawana. Ogromna. Te zjeżdżające na bezdroża to był przeważnie tylko jeden albo dwa wozy, do tego kilka jucznych zwierząt, najczęściej mułów. A ta tutaj... Karawanisko.

Znowu wysunęła się naprzód i wróciła zaraz, pomrukując radośnie. Wydało mu się, że to mruczenie słyszy cały świat. Syknął gniewnie.

– Dobrze – powiedziała, siadając. – To ja dalej nie idę.

Zrobił taką minę, że wstała.

– Idę – zapewniła.

Prawie wetknęła mu nos w oko.

– Chciałam ci tylko powiedzieć, że ten przy ścianie też śpi.

Dotarł pod kolejny, czwarty w szeregu wóz.

– Który to? Ten?

– Następny.

Przesunął się dalej. Teraz miał przed sobą najtrudniejszą część zadania: należało wleźć na wóz i pozdejmować kusze. Według słów kocicy nie były głęboko schowane, ale wśród rupieci łatwo mógł narobić hałasu.

Wskoczyła na ciężki pojazd i natychmiast zszła z powrotem.

– Idź z drugiej strony – tchnęła. – Z tej ktoś śpi! Na wozie!

Tego tylko brakowało. Od drugiej strony! Wystawiał się akurat przed oczy wartownika. Emira wprawdzie twierdziła, że i ten strażnik zasnął. Ale mógł się obudzić. Podobnie jak ten kupiec czy pacholek na wozie.

– A jak się obudzi? Ten tutaj?

– Wóz jest długi, a on śpi na samym końcu. Jak się zaczniesz budzić, to ci powiem.

Nie obudził się. Aktar wszedł na wóz. Wóz zaskrzypiał. W jego głębi było ciemno jak w norze. Aktar nasłuchiwał. Potem skinął głową, że gotów.

– Prawa ręka daleko... daleko... – mówiła mu do ucha. – Dobrze, oprzyj. Kolana przesuń śmiało. Druga ręka... Nie, bardziej w bok, od siebie. Prosto... już, oprzyj. No, teraz sięgaj, prosto przed siebie. Uważaj, to bardzo ciężkie, są powiązane po dwie. Jedną ręką nie weźmiesz, przesuń się jeszcze trochę. Przed lewym kolaniem masz worek, chyba miękki, możesz na nim oprzeć...

Po jakimś czasie kusze leżały na trawie obok wozu.

– Wystarczy, więcej nie ściągniesz, bo musiałbyś wyciągać spod ciężkich kłamotołów – powiedziała. – Teraz jeszcze korby i bełty.

Znowu nim kierowała, każdym ruchem, każdym przesunięciem kolana. I udało się.

Oddalili się ostrożnie, ale już daleko śmieiej, niż przyszli. Aktar niósł kusze pod pachą, w drugiej ręce trzymał dwa woreczki z bełtami, a na szyi zawieszony miał sznur, którym związał korby. Zaklekotały raz i drugi, ale niegłośno.

Szli do miejsca, gdzie zostawił łuk i torbę. Było daleko, ale bez przesady. Wątpliwe, by rano kupcy zauważyli stratę. Zresztą, gdyby nawet – to czego mieli szukać? Wiatru w polu?

Była niezadowolona.

– I to już? – zapytała z wielkim rozczarowaniem.

– A czego byś jeszcze chciała? – wysapał, biegnąc niezgrabnym truchtem; kusze były ciężkie jak zmora.

– A figiel?

Przystanął, żeby odpocząć.

– Figiel? I kto tu jest dzieckiem, Emiro?

– Jest tam coś, co bym chciała – oznajmiła.

– Pewnie bela jedwabiu. – Uśmiechnął się zjadliwie.

– Głupi jesteś. Idę.

– A idź sobie. Znajdziesz mnie pod dębem, królowo nocnych podchodów.

– Znajdę cię, gdzie będę chciała, królu wszystkich kuszników. Nie wierzysz? To mi się schowaj.

o o o

Kupcy odjechali.

Zwalił kusze na ziemię przy studni, prostując sztywne plecy. Chciało mu się pić, ale studnia była wyschnięta. Przydałby się gdzieś jakiś strumyk, bo w bukłaku nie miał już nic.

– Emira! – wrzasnęła. – Tym razem miarka się przebrała!

Zajrzał do koryta. Było pełne piasku.

Kopnął je i rozejrzał się dokoła.

Znalazł ją w szopie, gdzie uciekła przed psami.

Cztery ściany, nic więcej. Stąd już nie było wyjścia. Próbowwała chyba wskoczyć na ścianę, gdzie wyżej, pod powałą, ziała dziura, ale w twarde deski nie udało się wbić pazurów. I spadła.

Osunął się na kolana, zaciskając dłoń na leżącym obok woreczku.

– Emiro – powiedział bezradnie.

Lecz nie odpowiedziała.

– Za co? – zapytał i zapłakał. – Za co ci to zrobili?

Plakał z głębi serca, gładząc szarą głowę, przekrzywioną jak wtedy, gdy patrzyła na niego na polanie. Z woreczka wysypało się kilka brązowych, pomarszczonych paciorków.

– Powiedz, za co... malutka...

Schował mokrą twarz w dłoniach.

– Za rodzynki?...

o o o

Opuszkami palców dotknął białej plamki na brodzie.

„Zawsze i zawsze, malutka królewno” – rzekł wzruszony.

Pieścił ją po karku.

Wstawał świt. Czterej zbrojni ludzie siodłali wierzchowce, by pójść śladem następnego karawan. Barczysty młody mężczyzna – nieledwie jeszcze chłopak – spojrzął tam, gdzie obok kupieckiego wozu z konarów niskiego drzewa zwisало kilka sztywnych, kołysanych wiatrem ciał. Potem sięgnął do jucznej torby, upychając głębiej kubek owinięty lnianą szmatką.

Leśny miód dla Emiry.





## Jeźdźcy Równin

# ROZDZIAŁ 1



Nieduży zagajnik był jedynym skupiskiem drzew w okolicy. Podnosiło go to do rangi istnego pępka świata; wokół nic – tylko trawiaste równiny. Dosiadający rączego gniadosza mężczyzna pędził ku drzewom, myśląc, że takie miejsce to niedobre miejsce. Zbyt przyciągało uwagę. Przecież każdy, kto szukał w tych stronach czegoś albo kogoś, musiał najpierw pomyśleć o tym lasku. Lub szukać wiatru w polu.

Szukanie wiatru w polu... Czasem przychodziło mu na myśl, że to stare armeckańskie powiedzonko jest całkiem nieprawdziwe. Wiatr na Wielkich Równinach musiał znaleźć każdy. Inna sprawa, że nikt go nie złapał.

Jego oddział nazywał się Wiatr.

Koń cwałował ku drzewom. Kilku ludzi, ukrytych na skraju zagajnika, z uśmiechami patrzyło na wścikłą galopadę. Jeden z nich, bardzo młody mężczyzna, odrywał od gałązki kolejne listki, mruczając:

– Zabije się... nie zabije... zabije... nie zabije... Zabije się – powiedział, upuszczając ostatni liść.

Lecz było to niemożliwe. Nikt na całym świecie nie jeździł konno tak jak dowódca Wiatru. I nikt nie miał takiego konia. Gniadosz zarył kopytami i zatrzymał się nie dalej jak pięć kroków przed skrajem lasu. Przeplatając nogi, zatańczył bokiem w lewo, potem w prawo. To był jego własny koński pomysł, dowodzący, jak się zdawało, najwyższego ukontentowania. Jeździec roześmiał się serdecznie, zeskoczył z siodła i poklepał zwierzę po szyi. Wielkie chrapy dotknęły jego twarzy.

– Hej, Aktar! Tutaj! – rozbrzmiało spomiędzy drzew. – Ruszamy czy zostajemy? Gdzie zgubiłeś Ayaneę?

– Ayana przenocuje we wsi. A my zostajemy tutaj.

– Przecież każdy, kto będzie przejeżdżał, przyjdzie tu zrobić kupę – zdziwiła się jakaś kobieta, skryta w lasku jak inni. – To jedyne krzaki w okolicy.

– Co ty powiesz.

Przybysz rozkulbaczył wierzchowca i wszedł między pnie. Koń popatrzył za nim, a następnie położył się na trawie. „Nie idę. Nie można tam biegać, a tutaj też mnie nie widać”.

Rozłożeni w zaroślach na skraju lasu ludzie byli, na pierwszy rzut oka, łudzko do siebie podobni. Nikt nie nosił pstrokatego ubioru, przeważały szarość, zieleń w zdechłym odcieniu, brąz. Wszyscy mieli broń w zasięgu ręki – nieduże łuki i strzały, a niektórzy ponadto krótkie miecze, wojskowe lub podobne do wojskowych. Przy każdym pasie tkwił w pochwie myśliwski nóż. Dowódca z przewieszonym przez ramię

sajdakiem nie wyróżniał się niczym szczególnym: średniego wzrostu, raczej szczupły, młody, w szerokiej spódnicy jeźdźca, w brunatnym kaftanie.

– Nie podoba mi się tutaj – przyznał, rzucając siodło i sajdak na trawę. – Ale nocleg w szczerym polu to pomysł jeszcze gorszy. Do wsi nie pojedziemy, Ayana przywiezie nam zapasy. Rano. Dopiero co było we wsi wojsko, nasi przyjaciele gęsto musieli się tłumaczyć, dlaczego udzielają nam gościny. Nikt nie wierzy, że wymuszamy to siłą.

– Posłuchaj, Aktarze, ten zagajnik śmierdzi. – Niezbyt ładna, ale bardzo zgrabna kobieta, średniolatka z krótko przyszczyżonymi włosami chyba naprawdę wierzyła, że podróżni załatwiają w lasku swe potrzeby; zresztą może i załatwiali. – Wolę pospać w siodle i jechać całą noc.

– Jest strumyczek, i...

– Już się napiłam.

– To jedź, droga wolna. Pojeździsz po stepie i wrócisz po nas o świcie. Właściwie, Keo, to taki nocny patrol bardzo by się przydał.

Rozbrzmiały ironiczne śmiechki.

Nie wstając z ziemi, Akea mocno wystawiła biodro, lekko klepiąc się po pośladku, co musiało znaczyć: dowódcu, pocałuj mnie.

Aktar usiadł pod brzozą.

– Nie wiem, kto tak rozrabia – rzekł i uśmiechy zniknęły, a wszelkie rozmowy zamilkły; dowódca mówił rzeczy ważne, przedstawiał wyniki swego zwiadu. – Jeszcze trochę, a pojedą do Sar Soa, prosto do komendantury garnizonu. Powiem im, kim jestem, i odetnę się od wyczynów tych... zbójów. Jak cesarscy podzielą się ze mną swoimi wiadomościami, to złapiemy dla nich ten oddział. Albo wytropimy, prawie na pewno kręci się teraz w okolicach Erty. Chcecie być przewodnikami legionistów?

Ktoś uśmiechnął się kwaśno, ale Aktar wcale nie żartował – przynajmniej kiedy mówił o prowadzeniu żołnierzy.

Od pewnego czasu w Miejskim Okręgu Sar Soa panoszyła się nieuchwytna banda rozbójników, której wszyscy mieli szczerze dosyć.

Grupy Jeźdźców Równin, takie mniej więcej jak Wiatr, istniały w Armeckie od zawsze. W głównej mierze składały się z ludzi, dla których dom był przykrym więzieniem, a noclegi pod dachem karą. Jeźdźcy za nic nie płacili, od mieszkańców wiosek brali to, czego potrzebowali, i jechali dalej. Ale czegoś mogli potrzebować włóczędzy? Trochę jedzenia, czasem parę ubrań, kilka pleców... Ponieważ nie chcieli mieć wszędzie wrogów, to czasem narąbali chłopom drewna na opał, naprawili stodołę, równie często nic nie zrobili, bo im się nie chciało. Lecz byli jak sam Armekt: wieczni, zawsze tacy sami, wszechobecni jak wiatr na Równinach i dokuczliwi jak mżawka – ale też tak samo nieuchronni. Wojsko pogoniło ich czasem dla zasady, bez zapału i bez przekonania, bo od zawsze wojsko ganiało Jeźdźców, Jeźdźcy zaś uciekali przed wojskiem. Gorzej, gdy skrzyknęło się paru obwiesiów chcących czegoś więcej niż samej wolności pod wysokim niebem. Chłopi gotowi byli nie tylko poskarżyć się żołnierzom, ale i złapać za siekiery w obronie dobytku, zwłaszcza zaś córek i żon. Cóż z tego? Bydlaki potrafiły podpalić w nocy wioskę już nie po to, by dopiąć swego, ale z zemsty. A takich rzeczy Legia Armeckańska nie puszczała płazem. Zaczynała się zaciełka nagonka, polowanie, od którego najbardziej cierpieli Jeźdźcy Równin. Dowódcy lekkokonnych oddziałów wojskowych nie bawili się w dochodzenia; zresztą w jaki sposób mieliby ustalić, czy napotkana wataha spaliła wieś przed tygodniem, czy też nie? Od rozstrzygnięcia takich kwestii był Trybunał Imperialny. Toteż się nie poddał, bo nie chciał maszerować do śledczych urzędników, szedł pod miecz. Aktar i jego ludzie już od dłuższego czasu wymykali się wojskowym półsetkom i klinom. Stoczyli dwie potyczki – niepotrzebne, obustronnie krwawe. Do wiosek zagląдали nieczęsto. W spokojniejszych

czasach chłopci rzadko donosili na Jeźdźców; teraz, pytani przez wojskowych, na wyścigi rozprawiali o doznanych krzywdach, byle tylko ich nie posądzono o sprzyjanie grupie morderców.

Aktar zadumał się głęboko. Nie zawsze był Jeźdźcem i nie zawsze dowodził Wiatrem. Kiedyś miał pod komendą oddział nie inny niż ten, który teraz bruździł na Równinach. No, oddział to trochę za dużo powiedziane, bo było ich raptem czterech. Ale czterech zupełnie nie takich jak ludzie, którym przewodził teraz. Do tego stopnia nie takich, że ostatniego sam zabił.

Gadanie o ściganiu grupy rzeźmieszków i morderców było właśnie tylko gadaniem. Jeźdźcy Wiatru nie byli zabójcami, w potyczkach z żołnierzami brali srogie ciężki, cóż dopiero mówić o bitwie z bandą zbirów, niemających nic do stracenia. Jednak prowadzenie wojskowego oddziału – to było co innego. Rzeczywiście mógłby dostarczyć legionistom dobrych przewodników, znających wszystkie przeprawy i brody, każdą wioskę, każdy strumyk, każdy las i każdy zagajnik.

– Co robimy? Radźcie – zażądał. – Po stepie biega tyle wojska, że jutro lub pojutrze wyrzną nas do ostatniego, chyba że grzecznie pojedziemy do Sar Soa, a Trybunał nas pośle do kamieniołomów. Co było wczoraj? – przypomniał.

Dwie dziesiątki konnych łuczników z Sar Soa rozgoniły Wiatr na... cztery wiatry. Dokładnie na cztery wiatry, bo tyle grupiek uciekło we wszystkie strony świata. Najwięcej ludzi zostało przy Aktarze: licząc z nim, osiem osób, połowa. Ta trochę większa.

– Co robimy? – Dowódca nie pozwolił, by pytanie zbyt milczeniem; był niekwestionowanym wodzem tych ludzi i w sytuacjach, które tego wymagały, bez wahania wydawał rozkazy, przyjmując za nie pełną odpowiedzialność. Jednak gdy czas pozwalał, żądał, by wszyscy brali udział w podejmowaniu decyzji.

– Co z naszymi? – zapytał młody chłopak, ten sam, który wcześniej liczył odrywane od gałązki liście.

Leżąca na ziemi kobieta przetoczyła się na drugi bok.

– A co byś chciał? Co, Wenewet? – zagadnęła. – Możemy ich szukać na świecach, ale wątpię, żeby mogli tam czekać tygodniami. W stepie za duży ruch.

„Świecami” nazywano miejsca zbiórek, określone wcześniej właśnie na wypadek rozproszenia oddziału. Jednak Akea miała sporo racji: wojsko bezustannie tłukło się od wioski do wioski i od lasu do lasu. Jedynym sposobem na przechytrzenie legionistów było pozostawanie w ciągłym ruchu.

Mogli jeszcze zapaść w wielkie bory, kilka takich puszczy się ostało. Na pograniczu okręgu Tarwelaru albo na północny wschód od Sar Soa, dość daleko. Ale po pierwsze, należało zrobić to wtedy, kiedy oddział był jeszcze w całości. Po drugie: knieja to nie było miejsce dla jeźdźcy, a szczególnie dla jego czworonożnego towarzysza. Wilki, bagna, wykroty.

– Ma rację – powiedział mruklawie masywny mężczyzna, chyba trochę zbyt duży jak na jeźdźca-obieżyświata, którego koń nie powinien uginać się pod ciężarem.

Aktar spojrział na swego zastępcę, potem na Keę i ponuro potrząsnął głową, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że cała starszyzna Wiatru skupiła się w jednym oddziale, mimowolnie pozostawiając na pastwę losu mniej doświadczonych towarzyszy.

– No, ale co z naszymi? – nalegał młody Wenewet.

– Znajdą się lub wyginą – powiedział krótko Aktar. – Pytam, czy iść do żołnierzy? Czekaj, Nelen – powstrzymał masywnego. – W ten sposób najlepiej pomożemy naszym. Opiszemy ich legionistom, może jakoś to między sobą rozpowszechnią. A przede wszystkim skrócimy tę całą gonitwę. Im szybciej to się skończy, tym lepiej.

- Wierzysz w układy z wojskiem? – zapytała Akea.
- Z wojskiem? Wierzę. Nie wierzyłbym w układy z Trybunałem. Ale z wojskiem wierzę.
- Przyjmą taką... ofertę? Jeźdźcy za przewodników?
- Przecież jest rozsądna. Oni tylko wtedy jeżdżą po Równinach, kiedy muszą, bo patroli na traktach nie liczę. A my tutaj mieszkamy. Legia brała już Jeźdźców na przewodników. Zdarzało się.
- Kto pojedzie? I gdzie? Do Sar Soa? – Kobieta nawet nie próbowała skrywać niechęci, nazwę wielkiego miasta zaś wymówiła z wyraźnym obrzydzeniem; Jeździec w takich miejscach nie bywał.
- Ja pojedę. Do Sar Soa, a jakże.
- Nie zostanę pod komendą tego głupka – powiedziała, patrząc na Nelena. – On tylko by mnie ruchał i nic więcej.
- „Ten głupek” pojedzie ze mną, ty obejmiesz komendę nad oddziałem – oznajmił sucho Aktar; Kea potrafiła być nieznośna. – Czy wszyscy się zgadzają?
- Nikt nie protestował.
- Więc postanowione.

o o o

Aktar i Akea wspólnie objęli pierwszą wartę. Nie brali udziału w losowaniu, korzystając z przywilejów, jakie dawała im pozycja w grupie. Starszyzna tylko w wyjątkowych sytuacjach trzymała nocną straż, podobnie zresztą wyglądała sprawa z wypełnianiem wszystkich innych obowiązków obozowych.

Pełnili swą służbę niedbale – za takie stanie na warcie każdy z ich podkomendnych zostałby surowo skarcony. Zamiast pojedynczo okrążyć zagajnik, siedli razem na jego skraju i gadali. Dowódca Wiatru miał poważne problemy sercowe. I życiowe; stał na rozdrożu. Akea z babską skwapliwością udzielała porad.

- I co myślisz? – pytał mężczyzna. – Powiedz szczerze, chcę usłyszeć prawdę.
- To nie dla ciebie, Aktarze.
- Co nie dla mnie? Ona?
- Ona, dzieciak, dom... No i ożenek.
- Mam już dwadzieścia sześć lat. Nie mogę przez resztę życia galopować po Wielkich Równinach.
- Dopiero dwadzieścia sześć lat, malutki. Starczy tego życia na wszystko.
- Aktar wzruszył ramionami. Akea ze śmiechem położyła się na plecach, podkładając ramiona pod głowę.

– Pamiętam – rzekła, patrząc na gwiazdy – jak moja babka rozmawiała z kimś, już nie wiem z kim, o śmierci jakiegoś człowieka, też nie wiem kogo, nieważne. Że tamten taki młody, pięćdziesiąt pięć lat dopiero, a już umarł, mógłby pożyć jeszcze... Babka miała wtedy dobre sześć krzyżyków, a ja trzynaście albo czternaście lat i myślałam sobie: jaki on tam młody?! Pięćdziesiąt pięć lat, przecież stary jak nie wiem co. A dzisiaj mam czterdzieści trzy lata, i wiesz?... Myślę sobie, że ten człowiek młodo umarł, mógł jeszcze trochę pożyć.

Aktar poruszył się niecierpliwie.

– No więc dobrze, ja też jeszcze trochę pożyję. Ale jakie to ma być życie? Tam czeka na mnie kobieta nosząca moje dziecko, syna – rzekł z dumą i pewnością, które

przesądzały sprawę. – Dziś mogę mieć dom i rodzinę, jutro... Nie wiem, co jutro. Może już tylko te równiny?

– A może odwrotnie? – Akea nie chciała ustąpić. – Równiny możesz mieć dzisiaj, a jutro... No właśnie, nie wiadomo, co jutro, sam powiedziałeś. Ale najważniejsze, że dzisiaj nie możesz mieć domu i rodziny. Mówię ci.

– Dlaczego nie mogę?

– Bo miałeś za mało kobiet, za mało wolności, za mało jazdy konnej, przygód, niebezpieczeństw. Wszystkiego, wszystkiego za mało.

– No, niebezpieczeństw trochę miałem.

– Zgoda, przepraszam, tego miałeś w sam raz – przyznała, bo kiedyś opowiedział jej o wszystkim; inni więcej się domyślali, niż wiedzieli. – Ale reszta? Ożenisz się, a za rok, gdy upłynie termin małżeńskiej próby, uciekniesz.

– No to najwyżej. Wrócę wtedy do ciebie.

– Ja już będę miała innego dowódcę, albo może swój własny oddział. Ech, Aktarze, pewnie, że możesz wrócić na Równiny, wszystko możesz, ale o co właściwie mnie pytasz? Chciałeś wiedzieć, co myślę o twoich planach, no to ci powiedziałam. Mówisz, że najwyżej, jeśli się nie uda, stracisz rok albo dwa lata życia. Uważasz, że warto spróbować. No to próbuj! Ja uważam, że nie warto, bo i tak się nie uda. Szkoda tego roku albo dwóch. Dom, własne świnki i krówki... Gównno, nie życie – powiedziała. – O, gdybyś chciał się żenić z...

Urwała.

– Z kim? – zapytał Aktar.

– Ze mną – rzuciła ze śmiechem.

– Zastanowię się – rzekł tak samo. – Czemu nie? Ale nie o sobie myślałaś.

– Nie. Nie o sobie.

– A o kim?

– O Ayanie – powiedziała z westchnieniem. – Bardzo ją lubię i bardzo mi jej żal.

– Ayana? Przecież to dzieciak.

– E tam, dzieciak... Dałaby się zabić dla ciebie. To jest dziewczyna, z którą mógłbyś dzielić wszystko: najpierw życie w siodle, potem dom. Gdybyś mi powiedział: chcę się ożenić z Ayaną, odpowiedziałabym: to się żęń.

Spojrzała w bok i dostrzegła w półmroku gwiazdzistej nocy lekki uśmiech na twarzy swego towarzysza.

– Śmiesz się?

– Bo to trochę śmieszne – przyznał. – Ja i Ayana? Ale... żona? Moja i w ogóle czyjaś żona, Ayana? W jaki sposób Ayana może być czyjąś żoną? Albo ty.

– Mogę być żoną Jeźdźca – oznajmiła z wielką powagą, której nie oczekiwał. – Ja już nawet byłam żoną Jeźdźcy. I byłam dobrą żoną. Przez czternaście lat.

Przyglądał się jej twarzy, prawdziwie zaskoczony i zdziwiony.

– Miałaś męża, Akeo?

– Wspaniałego męża. Wspaniałego mężczyznę. Zachorował i umarł – powiedziała. – Jestem sama od ośmiu lat.

Przez chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

– Znałem go? – zapytał.

– Osiem lat – powtórzyła. – Byłeś chłopcem, Aktarze, nie Jeźdźcem. Ale chyba tak, na pewno go znałeś. Ze słyszenia.

– Powiedz kto.

– Nie – rzekła, wstając. – Jak powiem jego imię, to się zaraz rozplacę. Mamy wartę. Obejdź te krzaki z lewej strony, ja obejdę z prawej.

– Przepraszam cię, Akeo – powiedział.

– Nie przepraszaaj. I nie żeń się z tą...

– Gresą.

– Z tą Gresą. Ma wredne imię i na pewno nie umie jeździć konno. A ty potrzebujesz żony, która jeździ konno jak nikt inny na świecie. Wartujemy czy nie?

– Wartujemy.

Rozeszli się w dwie strony, by okrążyć zagajnik.

## ROZDZIAŁ 2



Wstawał świt, lecz do pobudki zostało sporo czasu, bo ostatni dwaj wartownicy dopiero objęli służbę. O tej porze roku, a więc późną wiosną, ludzie pragnący sypiać tylko od zmierzchu do świtu w dwa tygodnie zużyliby wszystkie siły. Młody Wenewet (pomimo światła dziennego pełniący wartę doprawdy o wiele sumienniejszy niż wcześniej jego dowódca) kilkakrotnie okrążył zagajnik, kryjąc się za linią pierwszych drzew, zamieniał kilka słów z nadchodzącym z przeciwka towarzyszem – i znów szedł, bacznie przepatrując równinę. Mały czarny punkt na

południu szybko przykuł jego uwagę: niemal od pierwszego rzutu oka poznał, że są to dwa konie idące wyciągniętym klusem. Dwa konie, lecz tylko jeden człowiek, był to bowiem jeździec wiodący luzaka, a dokładnie: konia jucznego, co wyszło na jaw, gdy czarne punkty przemieniły się w dwie plamki. Wenewet odgadł, kogo widzi, lecz nie mógł mieć żadnej pewności, toteż po nadejściu drugiego wartownika pokazał mu, co zobaczył, i biegiem posłał na przeciwny skraj zagajnika. Ostrożność nie mogła zaszkodzić, a tak właśnie wyglądał stary fortel stosowany na Równinach wszędzie tam, gdzie nie można było się ukryć: jeździec lub dwaj jeźdźcy pojawiali się z jakiejś strony, przykuwając uwagę wartowników – gdy tymczasem z drugiej strony galopem nadciągał cały oddział, zaskakując niedoświadczonych wędrowców.

Lecz tym razem ostrożność okazała się zbędna.

Kłusująca dziewczyna, czternastoletnia lub niewiele starsza, szczupła, a nawet trochę chuda, ubrana w ciemnozieloną, szeroką spódnicę i brunatny skórzany kaftan, spod wiązania którego wyzierała naga skóra, uśmiechnęła się, widząc wartownika wychodzącego jej na spotkanie. Zeskoczyła z siodła. Była najwyżej średniego wzrostu, ale przez wiotkość sylwetki wydawała się wyższa.

– Aktar wrócił? – zapytała.

– Wrócił.

– Śpią?

– Jeszcze śpią.

Dziewczyna mocnym dmuchnięciem odrzuciła opadającą na oczy grzywkę ciemnobrązowych włosów, które czasem zapalały się miedzianą barwą, tak jak u jej matki Dartanki. Wenewet jeszcze pamiętał tę ładną, trochę smutną kobietę, która zawsze tęskniła za swym krajem i nie była szczęśliwa z ich ojcem.

On nie dostał tego miedzianego połysku we włosach, który miała Ayana, jemu matka dała coś innego: język. Już bardzo dużo zapomniał, ale gdy tylko stykał się z dartańskim, natychmiast z pamięci wypływały słowa, zdania... Prawie wszystko rozumiał, wiele umiał powiedzieć.



Ayana już nie. Dla niej matka była rozmażanym obrazem z dzieciństwa. Nawet ojca słabo pamiętała.

Znów dmuchnęła na grzywkę i zmarszczyła nos. Tuż pod dolną wargą miała niedużą, podłużną bliznę, wyglądającą trochę tak, jakby mała Ayana przewróciła się, mając rok lub półtora, i przegryzła skórę zębami. Choć niespecyfica, blizna zwracała uwagę na wykrój ust.

Niebrzydka złoźnica, trochę obraźliwa i trochę uparta.

Wenewet pamiętał, jak bardzo kiedyś płakało bawiące się z nieuważnym starszym bratem dziecko, z zakrwawionymi małymi usteczkami.

Rodzeństwo wprowadziło konie między drzewa, żeby nie rzucały się w oczy. Wenewet poluzował popręgi.

– Przywiozłam tyle, ile mogłam – powiedziała. – Co postanowiliście?

– Aktar chce pojechać do Sar Soa.

Kiwnęła głową.

– Mówił mi, że chce. Powartuję z tobą.

– Powartuj.

Poszli brzegiem zagajnika. Drugi strażnik skinął głową na ich widok i uśmiechnął się do czupurnej dziewczyny, która odpowiedziała mu tym samym. Rozeszli się w dwie strony: rodzeństwo razem, tamten sam.

– Może lepiej już ich obudzę – powiedziała.

– Niech śpią. Bez obaw, jeszcze zdążysz pożegnać się ze swoim lubym...

Złapała brata za kołnierz i otwartą dłonią złała po łbie. Wyrwał się, chichocząc.

– Już... no, już przestań...

– Złośliwiec.

Trochę obrażona, zapomniała natychmiast o wszystkim, gdy podetknął jej małą drewnianą figurkę. Czarnobrazowe oczy zablęskły; aż westchnęła.

– Nudziłem się – powiedział z udaną obojętnością.

Z zachwytem oglądała mieszczącego się w dłoni konika. Miał ogon, grzywę... wszystko. Był przepiękny!

Pocałowała brata w policzek.

– Prawie zapomniałam, że tak umiesz. Już dawno nic nie rzeźbiłeś!

– Wiem – powiedział, nieoczekiwanie poważniejąc. – Ale teraz, Aya, wszyscy na nas polują...

Urwał.

– I co z tego? – zapytała czujnie.

– Nic.

Nie dała się zbyć.

– O nie – powiedziała stanowczo. – Co z tego, że na nas polują?

– Wczoraj Aktar powiedział, że nie pomożemy naszym. Że poradzą sobie albo wyginą. A jutro to może ja się odłączyć od grupy...

– Co ci chodzi po głowie? – zapytała ostro.

– Nic. Tak tylko. Dłubałem tego konia już dawno... był prawie gotowy. No i wczoraj skończyłem, zanim zrobiło się całkiem ciemno. Bo gdybyśmy... Wiesz.

– Zabierz go – powiedziała stanowczo, chociaż z żalem, wyciągając rękę z zabawką.

– Jeśli to ma być pamiątka od ciebie... po tobie... Ale głupi jesteś!

– Nie, nie pamiątka! To... tak tylko, chciałem ci coś dać.

– Myślisz, że cię zabiją?

– Nie.

– Powiedz mi!

– Nie, Aya. Cicho bądź! – rzekł surowo. – Wszystkich pobudzimy. Podoba ci się ten koń?

– No coś ty? Pewnie, że tak! – powiedziała z rozczuleniem i zachwytem. – Zawsze dla mnie strugałeś zwierzaki. A dla siebie żołnierzy, pamiętasz?

– Pamiętam. – Uśmiechnął się i rozburzył jej włosy. – Bierz go i chodź. Mieliśmy wartować, zdaje się?

o o o

Zapasy rozdzielono ze zwykłą sprawnością, każdy wziął trochę dla siebie. Rozjuczony luzak, smutna pamiątka po poległym towarzyszku, miał pójść z Aktarem i Nelenem; duży i ciężki zastępca wodza mógł potrzebować konia na zmianę; mieli przecież pognać do Sar Soa tak szybko, jak było to możliwe.

Samotnie tkwiący na równinie zagajnik nie podobał się nikomu – ale jednak był jedynym miejscem, gdzie Jeźdźcy Wiatru mogli pożegnać się po armektańsku. Nadzy i półnaczy ludzie usiedli blisko siebie, by wspólnie spożyć posiłek i przez parę chwil szczerze porozmawiać, pojednać się, obnażając dusze, czego symbolem były właśnie odsłonięte ciała – zwyczaj zdumiewający i nawet oburzający dla mieszkańców innych krain Szereru. A przecież było coś ogromnie wzruszającego w prostocie starej tradycji wojowników, którzy srogie twarze chcieli pokazywać tylko wrogom, przed wymarszem zaś bratali się z towarzyszami, zdejmując pancerze i hełmy, odkładając na bok tarcze i dowodząc bezbronną nagością, iż nigdzie nie mogą mieć ukrytej broni – tak samo jak nie mają w sercach zdrady.

W obliczu niebezpieczeństwa, walki, a może śmierci pokazywali, jacy są naprawdę. Mężczyźni trochę węższe ramiona, niż się wydawały pod odzieniem, czasem brzuszki nie tak znowu płaskie i twarde, a i jeszcze, hm, włócznie doprawdy nieco krótsze, niż chcieliby wszyscy mieć... Kobiety odsłaniały zbyt małe i nie zawsze jędrne piersi, a na brzuchach nieładne rozstępy po ciąży. Pośladki trochę cięższe, niż trzeba.

Potem łatwiej było widzieć w towarzyszach zwykłych ludzi.

Pewnie, że młodzi i piękni mieli łatwiej... Ale to zawsze i wszędzie.

Młodziutka Ayana z największym trudem sprostała odwiecznej tradycji. Siedziała nieco z boku, z podbródkiem opartym na podciągniętych do piersi kolanach, które obejmowała ramionami. Nie jadła. Uśmiechnęła się wprawdzie do każdego, ale to już było wszystko, co umiała z siebie wykrzesać. Wkrótce po posiłku dosiadający koni jeźdźcy dokładali starań, by nie wejść w drogę śmiertelnie obrażonej dziewczynie, która tkwiła na grzbiecie swojej klaczy z miną „tylko spróbuj podejść, a zobaczysz”.

Wyjechali na otwartą przestrzeń i pokonali milę lub półtorej. Troje dowódców, jadąc ramię przy ramieniu, ustalało czas i miejsce spotkania. Potem Aktar zatrzymał całą grupę i jeszcze raz na chwilę wszyscy zsiadli z koni, by za przykładem swego wodza krótko dotknąć ziemi otwartymi dłońmi – bo tak zawsze powinien dotykać ziemi jeździec: łagodnie i chętnie, nigdy zaś gwałtownie i boleśnie, po upadku z konia lub wraz z koniem.

Aktar i Nelen ostatni raz skinęli towarzyszom i galopem odjechali na południowy zachód. Akea powiodła resztę wprost na zachód.

Pokonawszy stępa na czele pięciu jeźdźców półtorej mili, dowódczyni przywołała Ayane. Dziewczyna wciąż była odęta i chmurna.

– Przystań już stroić fochy. Co miał zrobić? Przelecieć cię w tym zagajniku?

Piętnastolatka poczerwieniała.

– Nie widzi mnie nawet – powiedziała.  
– A gdy zauważa, ty natychmiast robisz „phi!” i odchodzisz.  
– Bo jest głupi!  
– Nie. Bo masz piętnaście lat. Niecałe.  
– Liczysz czy co?  
– Liczę. Piętnaście za dwa miesiące. Chcę wiedzieć, kiedy będziesz pełnoletnia, bo wożę dla ciebie błyskotkę. O, już przestań, nie rozmawiasz z Aktarem, tylko ze mną. Ja też byłam kiedyś dorosła, zanim skończyłam te głupie piętnaście lat. Ale teraz, razem z tym twoim Aktarem, macie mniej lat niż ja jedna, niestety. On też opowiadał mi w nocy, że jest stary.  
– A ile on ma tak właściwie?  
– Dwadzieścia sześć.  
– Aż tyle?  
– Zaraz ci przyłożę, kozo jedna. Nie jest dla ciebie za stary. Dziewczyna znów poczerwieniała.  
– On mnie... nigdy nie zauważy – orzekła z wielką goryczą.  
– Zauważy, zauważy.  
– Skąd wiesz?  
– Bo pokazałam mu cię dzisiaj.  
– Ty... ale jak: pokazałaś?  
– Powiedziałam, że jesteś najlepszą żoną dla Jeźdźca.  
– Tak mu powiedziałaś?! – Ayana puściła wodze wierzchowca, przykładając dłonie do piekących policzków; czerwone miała nawet uszy i szyję. – A on co?  
– Że bardzo mu się podobasz – zełgała bez zmruczenia oka dowódczyni, wykazując ową godną uwagi zawziętość i wytrwałość, jaką przejawiają kobiety w łączeniu upatrzonych par.  
– Ale on przecież ma tą swoją... Gresę.  
– A Gresa spodziewa się dziecka. Rzecz w tym właśnie – powiedziała Akea, pochylając się ku młodszej przyjaciółce – by poczekał z ożenkiem rok, może dwa. Ty będziesz przy nim, a tamta daleko.  
– I co mam zrobić?  
– Najlepiej nic.  
– Nic?  
– No nic. Przede wszystkim nie rób ciągle „phi!”. Może lepiej zacznij go trochę podziwiać i postaraj się, żeby to zobaczył. Mężczyźni są ślepi. Ale za to próźni.  
Ayana zamyśliła się głęboko.  
– A jaką masz dla mnie błyskotkę?  
Akea zaśmiała się krótko. Przechyliła się i pogrzebała w sakwie przy siodle.  
– Masz. Zwykły srebrny pierścionek, ale przyniósł mi kiedyś szczęście. Może przyniesie i tobie.  
– Ładny.  
– Gładki i wygodny, o nic nie zaczepisz. A wożę go już chyba ze trzy lata.  
– Gdzie teraz jedziemy?  
– No właśnie – rzekła Akea z niechęcią. – Próbowałam... no, nieważne. Mamy spotkać się w Ercie.  
– W...?  
– Tak. U Gresy.  
Wymieniły długie, bardzo poważne spojrzenia.  
– Mamy o czym myśleć, dziewczyno.

## ROZDZIAŁ 3



Aktar urodził się w małej wiosce położonej niemal pod samymi murami Sar Soa. Potężna stolica jednego z najsilniejszych armeктаńskich księstw po wiekach zachowała swoje znaczenie; nawet starożytny Tarwelar i przepiękna Bana, wielkie porty morskie, nie mogły równać się z tym symbolem chwały wojennej. Mieszkańcy środkowego Armektu skłonni byli nieco z góry patrzeć na pobratymców z północy, którzy wprawdzie od niepamiętnych czasów stawiali czoła alerskim potworom i na koniec podbili cały Armekt, lecz nigdy nie toczyli jednocześnie wojny na wszystkich swoich granicach. Gdy tymczasem Księstwo Sar Soa, uwikłane w odwieczną, niekończącą się wojnę z Tarwelarem (który z kolei tak samo od wieków zmagął się z Dartańczykami na wschodzie), przez długi czas opierało się góralom łupiącym południową granicę, a na koniec – lub raczej: przede wszystkim – zjednoczonym siłom armeктаńskiego Królestwa Trzech Portów i Wielkiego Księstwa Riny i Rapy. Na Wielkich Równinach, w tej ojczyźnie łuczników, strzelcy Sar Soa uchodzili za najznakomitszych, a sztuka wojenna wspięła się właśnie tutaj na wyżyny. Podział zbrojnych zastępów na legiony i półlegiony, tych zaś na kolumny i kliny, wymyślono i wprowadzono w życie w Sar Soa. Karne wojsko pod komendą znakomitych dowódców przez wiele, wiele lat nie miało godnego przeciwnika w całym Szererze.

Dumne Sar Soa, opromienione sławą kolebki najlepszych łuczników świata, było pierwszym miastem, jakie Aktar zobaczył w swoim życiu. I na zawsze zapamiętał wrażenie, jakie na nim wywarły stare mury, pamiętające wojny o zjednoczenie, brukowane ulice i tłumy mieszkańców. Podziwiał wysokie domy o surowym wyglądzie, a najbardziej wodne i słoneczne zegary na placach, przy których rano, w południe i wieczorem miejscy obwoływacze wykrzykiwali wieści ze wszystkich krain Szereru. Potem, gdy miał już jedenaście lub dwanaście lat, dowiedział się o dwóch szkołach, akademii i łaźniach miejskich, o wielkiej bibliotece, gdzie wejść mógł każdy o dowolnej porze. O torach wyścigów konnych, o domach publicznych i twierdzy więziennej, o siedzibie Trybunału Imperialnego – czyli o wszystkich tych miejscach, które wymyślone przez Armeктаńczyków, zapewniły Armektowi poczesne miejsce wśród krain i narodów Szereru. Z niesłychaną dumą słuchoł ojca mówiącego o Dartanie, który choć piękniejszy i bogatszy od Armektu, nie dbał o sztukę słowa; w którym chłopiec taki jak on nie umiał przeczytać nawet własnego imienia i nazwy swojego kraju. Dowiadywał się o dzikich grombelardzkich góralach i piratach z Wysp, nie mogąc uwierzyć, iż tak waleczni ludzie, opuszczeni przez Panią Wojny, w ogóle nie znali jej praw i nie wiedzieli, jak traktować pokonanych wrogów. Gdy on sam, urodzony

w niewielkiej wiosce, choć zaledwie chłopiec, już o tym wszystkim wiedział. Bo był Armekańczykiem.

„W wysokim języku słowo arm znaczy człowiek” – opowiadał ojciec. „Armekt to Kraj Ludzi. Nigdy nie zapomnij, synu, kim jesteście. Od niepamiętnych czasów osłanialiśmy i nadal osłaniamy wszystkie plemiona i narody Szereru przed tym, co przychodzi z za północnej granicy”.

„Dartańczycy nie są ludźmi?”

„Są. Jest w tym narodzie wielu tchórzy potrafiących walczyć tylko na niby, na specjalnych arenach. Jednak nigdy nie możesz czuć się lepszy od żadnego odważnego człowieka ani kota. W zamian musisz gardzić podłością. U każdego. Nawet u Armekańczyka”.

„Kto jest podły?”

Było to trudne pytanie, bo ojciec namyślał się przez bardzo długą chwilę.

„Ktoś, kto płodzi więcej dzieci, niż potrafi wyżywić. Powoływanie na świat ludzi, ich morzyć głodem, jest podłe”.

Ojciec był mądrym, bardzo mądrym człowiekiem. Tak mądrym, że posłał syna do szkoły miejskiej. Przez rok samotny wdowiec obrabiał pole i obejście, pracując ponad siły, bo jedyny syn mógł mu pomóc tylko w parzyste dni tygodnia. Chłopak zaś nauczył się maszerować jak łucznik legii; nie mógł mieszkać w mieście, bo musiałyby nocować na ulicy, a to było zabronione – co drugi dzień więc przemierzał kilka mil w obie strony, do Sar Soa i z powrotem do wsi. Nie miał pieniędzy na noclegi, ale przysłuchiwać się lekcjom mógł darmo, bo – odwrotnie niż spanie na ulicy – to akurat było dozwolone, a nawet dobrze widziane. Kłopoty pojawiłyby się wówczas, gdyby z chłopskiego pola nie spłynęła należna danina. Ale tak się nie stało, ojciec tyrał jak wół. Aktarowi już wiele razy powstała w głowie myśl, że jego ojca zabił właśnie ten rok spędzony przez syna w szkole.

A głupi syn nauczył się tam tylko tego, że na pewno nie warto być chłopem. Porzucił zaniedbany dom, nieobrabiane pole i uciekł na Równiny. Inna sprawa, że nigdy nie żałował.

Widok przemienionych ulic miasta wskrzesił wszystkie dziecięce uczucia i wspomnienia. Jadący konno Aktar kilkakrotnie spoglądał na towarzyszącego mu Nelena, chcąc podzielić się z nim myślami. Lecz obojętna, a nawet trochę ponura mina przyjaciela nie nastrojała do zwierzeń. Nelen, inaczej niż Aktar, nigdy nie lubił miast i nie rozumiał, w jaki sposób można dostrzec w nich cokolwiek wartego uwagi. Dowódca Wiatru uśmiechnął się lekko, pomyślawszy o Akei, tak samo brzydzącej się miastem. Ta kobieta nie znosiła Nelena – oraz tego wszystkiego, czego nie znosił Nelen. Mieli się ku sobie, rozumieli w pół słowa, sypiali ze sobą i szczerze nawzajem nie znosili. Nie umieli się nawet porządnie pokłócić, bo zawsze myśleli to samo.

– Jak to zrobimy? – zapytał mrukliwie Nelen. – Pójdziemy do dowódcy garnizonu i co mu powiemy?

– Nie wiem. Przede wszystkim nie pójdziemy, bo pójdę sam. Jeśli to dureń i się z nim nie dogadam, to po co ma znać twoją gębę? A przecież jeszcze może się zdarzyć, że to dureń podwójny lub potrójny.

– Wtedy co?

– Wtedy mnie zatrzyma, a ty będziesz myślał, jak mnie z tego wyciągnąć.

Tamten, pełen najgorszych przeczuc, pokiwał głową.

– Pamiętam, że niedało bramy garnizonu jest gospoda. A przynajmniej była kiedyś – rzekł Aktar. – Usiądziesz tam, napijesz się i najesz, dopilnujesz, by zadbano o konie, kupisz dla nas trochę jedzenia na drogę. Poczekasz do wieczora.

– A wieczorem?

– Wieczorem zaczniesz myśleć, jak mnie z tego wyciągnąć. Ale może nie będzie tak źle.

Nelen po raz drugi skinął głową, nie zadając już żadnych pytań. Aktar wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, że ten duży i pozornie ociążały mężczyzna jest w istocie mądry i przebiegły, a potrafił też być bardzo niebezpieczny. Nie bez powodu właśnie jego wybrał na towarzysza wyprawy. Pomijając uczucie przyjaźni, które ich łączyło.

Ale i z Keą się przyjaźnił.

Bramę garnizonu widać było z daleka, bo na wrotach lśniła wielka czteroramienna gwiazda armektańska, wycięta z polerowanej blachy. W tym mieście godło Wiecznego Cesarstwa miało szczególne znaczenie; Aktar znał nawet pełną wysokoarmektańską nazwę stolicy Wielkich Równin: Saretta Kerisoana. To oznaczało Wielką Gwiazdę Mieniącą się Srebrem albo: Najsrebrniejszą. Lecz mówiło się tylko Sar Soa – Srebrna Gwiazda.

Podjechali do gospody, o której wcześniej rozmawiali; wciąż istniała. Zsiedli z koni i rozstali się bez zbędnych słów.

Dowódca Wiatru pieszo pomaszerował wprost do pełniących służbę wartowników. Młody żołnierz w niebieskiej tunice ze srebrnymi gwiazdami na piersi pytająco zadarł podbródek.

– Chciałbym się zobaczyć z komendantem garnizonu lub innym oficerem – rzekł Aktar.

Żołnierz obrzucił go uważnym spojrzeniem, szczególnie zwracając uwagę na lekki miecz zawieszony u boku i myśliwski nóż z drugiej strony. Jeździec domyślił się, że nie wygląda na mieszkańca Sar Soa, więc strażnik opisze go dokładnie komendantowi wart. Skinąwszy na drugiego legionistę, który odpowiedział tym samym, wartownik zniknął za bramą.

I nie było go dosyć długo.

Gdy wrócił, nie powiedział nawet słowa; albo był małomówny, albo takie zachowanie było właśnie przyjęte w szeregach legionistów, gdzie różne, nierządno śmieszne mody pojawiały się równie często, jak poza murami garnizonów. Uczyniwszy gest, by iść za nim, wartownik przeprowadził Aktara przez bramę i powiódł do budynku po drugiej stronie placu apelowego. W niedużej izbie czekał oficer. Prowadzący przybysza żołnierz służbiście skinął głową i natychmiast wrócił na wartę.

Podsetnik legii, człowiek w wieku Aktara lub niewiele starszy, przez chwilę patrzył uważnie, po czym przedstawił się:

– Jestem oficerem służbowym. Jeśli sprawa jest tego warta, zostanie przedstawiona komendantowi, ale najpierw ja muszę to ocenić. Kogo mam przed sobą?

– Dowódcę oddziału Jeźdźców Równin.

Podsetnik nie okazał zdziwienia.

– I na kogoś takiego wyglądasz. Imię?

– Nazywam się Aktar.

– Zaraz. Dowódca Wiatru?

Aktar potwierdził.

– Duża i znana grupa. Ale nigdy nie sprawialiście kłopotów. Prawdziwych kłopotów, bo to i owo pewnie by się znalazło... Tak czy inaczej, jeśli nawet nie jesteś, panie, człowiekiem wyjętym spod prawa, to w każdym razie nie szukającym jego opieki.

Aktar docenił, że oficer zatytułował go panem. Lecz cesarscy legionieści rzadko bez powodu okazywali lekceważenie odważnym ludziom, potrafiącym jeździć konno i dobrze strzelać z łuków.

– Przyszedłeś zapewnić komendanta, że nie dowodzisz bandą, której właśnie szukamy? Komendant o tym wie.

– Przyszedłem z propozycją.

– A jaką?

– Moi ludzie mogą poprowadzić oddziały z Sar Soa.

Podsetnik zdziwił się lekko.

– Umieemy jeździć po Równinach – rzekł z nutką urazy. – Legie nie potrzebują przewodników.

– Ale nie potrzebują też bezsensownych strat. Jeśli nawet moi ludzie nie pomogą, to przynajmniej nie będą przeszkadzać. Macie coś do zrobienia, a my płaczymy się wam pod nogami. – Aktar pozwolił sobie na szczerość, uznawszy, że podsetnik jest człowiekiem rozsądnym i niegłupim. – Ledwie parę dni temu wpadliście na nas. Nie po raz pierwszy. Ale teraz zginęło kilku moich ludzi. Po co to?

Nie przypomniał, że zginął także jeden z żołnierzy; oficer na pewno o tym wiedział, a jeśli nie wiedział, to tym lepiej.

– Masz więc, panie, na sumieniu zbrojną walkę z żołnierzami imperium. Wiesz, co to znaczy?

– Wiem.

– Powiniennem tu sprowadzić gończego Trybunału. To mogłoby oznaczać dla ciebie stryczek, panie. Przesłuchanie i sąd na pewno. Zwłaszcza że chyba nie zawsze dowodziłeś Wiatrem? Różne rzeczy opowiada się o tobie.

Aktar rozłożył ręce, ale nie powiedział ani słowa.

Podsetnik myślał.

– No dobrze, panie – rzekł wreszcie. – Ja nie umiem rozpoznawać złoczyńców, jeśli nic złego przy mnie nie robią. Umieć ścigać wskazanych, a nikt mi ciebie nie wskazał. Zresztą wszystko jedno, co myślę, decyzja nie zależy ode mnie. Dowiedziałem się, z czym przyszedłeś. Wyjdź ze mną na plac ćwiczeń i poczekaj, zamelduję o tobie komendantowi i przedstawię mu sprawę. Zobaczymy, co powie. Przyjmie cię albo nie. Podejmie jakąś decyzję...

Znacząco zawiesił głos.

– Na pewno chcesz się z nim widzieć? – dokończył po krótkiej chwili.

– Na pewno. Jestem lepszej myśli, niż byłem.

Podsetnik popatrzył uważnie i zrozumiał, że Jeździec mu właśnie podziękował. Uśmiechnął się mimo woli.

Wyszli przed budynek. Na placu kręciło się sporo żołnierzy, w tym kilku czworonożnych. Koty z jakichś powodów bardzo lubiły Sar Soa – w całym Szererze istniały najwyższe trzy lub cztery miasta, gdzie czworonożni rozumni występowali w tak dużej liczbie. Grombelardzki Lond, armektańska Rapa. Może jeszcze Kanaza i Donar.

Jeden z kosmatych zwiadowców leniwie lał wprost na Aktara. Dowódca Jeźdźców bardzo dobrze znał koty; w zadumie spoglądając za odchodzącym podsetnikiem, nawet nie myśląc o tym, co robi, przesunął nieco stopę, by żołnierz mógł mu przejść między nogami. Kocur skorzystał z otwartego przejścia i poszedł dalej swoją drogą. W miejscach, gdzie współistnienie dwóch różnych gatunków było czymś naturalnym, wykształcił się bardzo specjalny rodzaj zachowań. Koty, powściągnąwszy swą zwykłą nonszalancję, nie wylegiwały się w ciasnych przejściach – lecz nie zamierzały też omijać każdego człowieka tylko dlatego, że był większy. Przepuszczano więc czworonożnych między nogami, bo był to jedyny sposób, by nikt nikomu nie musiał schodzić z drogi.

Tkwiąc na majdanie, Aktar po raz dziesiąty zastanawiał się, czy dobrze zrobił, przychodząc do żołnierzy z propozycją. Wkrótce miał się dowiedzieć. Było wiele

powodów, dla których przyłączenie Wiatru do karnej wyprawy legionistów mogło się opłacić. Było też wiele powodów, dla których koniecznie chciał się spotkać ze swoimi Jeźdźcami w Ercie. Po pierwsze, spodziewał się, że do osady zawitają pozostałe grupki jego podkomendnych. Po drugie, poszukiwaną bandę widziano ostatnio właśnie w tamtej okolicy. I nawet gdyby wojsko nie wytropiło morderców, powinno ich przynajmniej przepłoszyć.

Aktar bał się o Gresę i swojego nienarodzonego jeszcze syna.



## ROZDZIAŁ 4



Erta leżała w dolince otoczonej czterema łagodnymi wzniesieniami. W tych stronach takie właśnie łagodne pagórki nie należały do rzadkości – Równiny były tu nimi tylko z nazwy. Trzy wzniesienia pokrywał las, na czwartym rosło znacznie mniej drzew, ustępowały miejsca dużym kępom leszczyny. Zamożna mała wioska żyła głównie z prawa wyrębu i sprzedaży węgla drzewnego, ale nie gardzono też wielkimi orzechami, jakie rodziły się w tych stronach. Było już tradycją, że gdy mężczyźni z toporami na ramionach ruszali do boju przeciw topniejącym leśnym

zastępom, dzieci z lnianymi woreczkami biegły zbierać orzechy.

Pomiędzy kępami leszczyny, niczym kurzajka na nosie, wyrastał okrągły garb – pagóreczek na wzgórzu. Było to miejsce, jakiego nie mógł przeoczyć żaden Jeździec, cóż dopiero tak doświadczony jak Akea. Zresztą dowódczyni oddziałku nie po raz pierwszy była w Ercie i wiedziała, skąd najlepiej widać osadę.

Nic się tam nie działo. Nic szczególnego poza zwykłą, przydomową krzątanią. Gdzieś z lasu dobiegał odległy stukot siekier.

– Jeśli są tam jacyś obcy, to znaczy, że osłęplam – powiedziała Akea. – Wróc po wszystkich.

– Żle stąd widać północny koniec wsi. – Wenewet wskazał palcem. – Może tam...

– Mhm, siedzą tam różne zbiry w komórkach i drewniach – przerwała sarkastycznie dowódczyni. – Siedzą i marszczą farfocle, a młode dziewczuchy latają sobie po łąkach. Jedź po naszych.

Chłopak pobiegł do niedalekiej kępy leszczyny. W połowie drogi zawołał i machnął ręką, a wtedy z zarośli wyjechali towarzysze, prowadząc konie dwójki zwiadowców. Wkrótce wszyscy razem jechali w dół, ku osadzie.

Widok przybyszów wywołał poruszenie. Dostrzeżono ich na stoku pagórka; teraz kobiety ociniały oczy dłońmi, spoglądając pod słońce. Po niedługim czasie ktoś rozpoznał Akeę, więc stało się jasne, że przyjechali Jeźdźcy. Zwykle żymano się na widok leniwych darmozjadów, teraz jednak, gdy chodziły słuchy o grasującej bandzie, witano Wiatr z uśmiechami i ulgą. Zuchowaci konni łucznicy pomachali rozchichotanym pastereczkom na łące. Akea pojechała prosto ku środkowi osady, by zamienić dwa słowa z żoną starszego wioski, który teraz pracował w lesie. Reszta oddziałku skręciła ku domostwu stojącemu w pewnej odległości od innych.

Ojciec Gresy był nielubianym samotnikiem i odludkiem, ponurym pijaczną, który wpędził żonę do grobu. Po jego śmierci, a zwłaszcza odkąd dwaj bracia wyruszyli w świat, siostra zaś wyszła za mąż, młoda dziewczyna żyła w swej pastelni jak dzikuska – tym bardziej ze niechęć, jaką mieszkańcy Erty żywili do gburowatego ojca, łatwo (choć bez wyraźnej przyczyny) została przeniesiona na córkę. Nic więc dziwnego, iż

młody, przystojny dowódca Jeźdźców Równin łatwo zaskarbił sobie względy biednej pustelniczki.

Ujrawszy, kto przyjechał, Gresa wybiegła przed dom, nie kryjąc radości pomieszanej z niepokojem, bo wśród przybyłych nie widziała Aktara. Zdziwiła ją także niewielka liczba gości. Wiatr liczył blisko dwie dziesiątki jeźdźców. Teraz przyjechało sześcioro.

Jadąca obok Weneweta Ayana oglądała wybrankę dowódcy z mieszaniną zaciekawienia, odrazy i złości. Już kilka razy była w Ercie, tak jak wszyscy. Ale dom Gresy nie mógł pomieścić całego oddziału i Ayana, która poprzednio znalazła sobie nocleg gdzie indziej, nie umiałaby teraz przysiąc, czy w ogóle kiedykolwiek widziała tę niezbyt dużą, pulchniutką kobietkę. Jeśli nawet widziała, to nie poświęciła uwagi. Usłyszała jej imię dopiero wtedy, gdy towarzysze zaczęli się podśmiewać z sercowych rozterek dowódcy.

Pozysadali z koni. Wenewet krótko wyjaśnił gospodyni, dokąd pojechał Aktar i dlaczego oddział jest tak nieliczny. Ayana zauważyła z pogardą i politowaniem, że gruba Gresa się wystraszyła. W jej oczach utarczka z legionistami to była prawdziwa wojna.

Jeźdźcy zajęli się końmi. Wkrótce nadjechała Akea i przywitawszy się z narzeczoną dowódcy, w jego imieniu poprosiła o gościnę, czego wcześniej nikt – rzecz jasna – nie uczynił. Gresa zaprosiła ją do izby, a wówczas Kea skinęła na Ayane.

– Chodź z nami – powiedziała.

Dziewczyna odgadła, że dowódczyni chce jej dokładnie pokazać, z kim zamierza się zenić Aktar.

Duża izba wyglądała schludnie. W kącie na zydelku leżało sporo Inianego płótna, bo Gresa była tkaczką. Ayana dostrzegła, że jej warsztatik mieścił się w drugiej, mniejszej izdebce. W tych stronach rzadko dzielono wnętrza domów na izby, lecz Ayana zdążyła już usłyszeć od Akei, że ojciec Gresy miał opinię dziwaka. Był to zapewne jego pomysł.

– Aktar będzie tu jutro albo najwyżej pojutrze – powiedziała Akea, bez ceregieli sięgając po leżący na półce bochen chleba i odłamując spory kawał. – Pojechali z Nelenem do Sar Soa, przyprowadzą wojsko.

– Wojsko?

Akea wytłumaczyła.

Ayana stanęła przy drzwiach i oparła się plecami o ścianę. Dzika zazdrość w sercu piętnastolatki – zwłaszcza piętnastolatki o niemałym temperamencie – bardzo łatwo przeradza się w najszczerszą i najgorętszą nienawiść. Dziewczyna nie umiała pojąć, co takiego Aktar widział w tej tłustej kobiecie. Co sprawiło, że obejmował ją, przytulał, całował?... Wyobraziła sobie to wszystko i poczuła, że zaraz się udusi.

A tymczasem Gresa (choć Aktar istotnie przytulał ją i całował) nie była wcale tłusta ani nawet tęga – przeciwnie, jak na kobietę w szóstym miesiącu ciąży mogła uchodzić za szczupłą. Niewysoka, w samej rzeczy miała trochę puciołowatą twarz, ale jednocześnie bardzo regularne rysy, co pospołu z zadbanymi włosami i ładną oprawą oczu tworzyło udaną całość. O takich dziewczynach mówiło się czasem w Armeckie: cicha woda, co brzegi rwie. Na pewno mogła zadbać o dom i dać powracającemu mężczyźnie dość czułości i ciepła – czy zaś potrafiła dogodzić jego ciało, tego Ayana ani Kea w żaden sposób wiedzieć nie mogły.

Choć obie milcząco i zgodnie uważały, że nie. Na pewno nie. Taka gruba?...

Co w niej widział? Możliwe, że on sam, zapytany, nie potrafiłby odpowiedzieć. Lecz Akea myliła się, twierdząc, że Jeździec powinien mieć żonę, która razem z nim będzie galopować po Równinach. Mógł mieć taką żonę, bez wątplenia. Ale jednak wielu,

bardzo wielu mężczyzn uważało, że kobieta winna być raczej odpoczynkiem dla wojownika niżli towarzyszką przygód albo – jeszcze gorzej – towarzyszką broni.

– Kręca się po okolicy jakieś łotry – powiedziała Akea.

– Tak, wiemy. Boimy się, że przyjadą. W nocy niektóre kobiety czuwają, bo mężczyźni muszą być wypoczęci, gdyby przyszło się bronić.

– A w dzień?

– Najgorzej w dzień – przyznała gospodyni, siadając. – Chłopy muszą chodzić na wyręb, bo pomrzemy z głodu. Ale dzieciaki nigdzie nie chodzą i gotowe są po nich lecieć, jakby ktoś przyjechał. Teraz też na pewno polecieli.

– Ściągniecie tu wszystkich drwali?

– Nie, na pewno zaraz pobiegli następni, żeby powiedzieć, że to wy. Właściwie to dobrze, że przyjechaliście. Nie wiem, czy w razie czego będę umiała... no, strzelać. – Pokazała mały łuk oparty w kącie o ścianę; obok leżało kilka kieszkich strzał. – Walczyć.

W Armeckie, kraju o wojennych tradycjach, niemal każde dziecko potrafiło napiąć łuk, szczególnie w takich wioskach jak Erta, czyli osadach wolnych drwali-węglarzy, myśliwych lub rybaków.

– Chcesz walczyć? Potrafisz strzelać? – zapytała milcząca dotąd Ayana.

Gresa spojrzała tak, jakby dotychczas nie zauważyła, że w izbie jest ktoś oprócz dowódczyni Jeźdźców.

– Nie chcę walczyć, dziecko. Ale strzelać umiem bardzo dobrze – odparła. – Niestety, bo wszyscy tutaj myślą, że zabiję mnóstwo zbirów, kiedy na nas napadną. A ja nie wiem, czy będę umiała strzelać w ludzi tak jak w drzewa.

Czupurną Ayane zatkąło. Wieśniaczka wobec Akei zachowywała się powściągliwie i okazywała jej szacunek, lecz widocznie ów szacunek nie rozciągał się na innych członków Wiatru.

– Nie jestem dzieckiem. I nie wierzę, że umiesz dobrze strzelać.

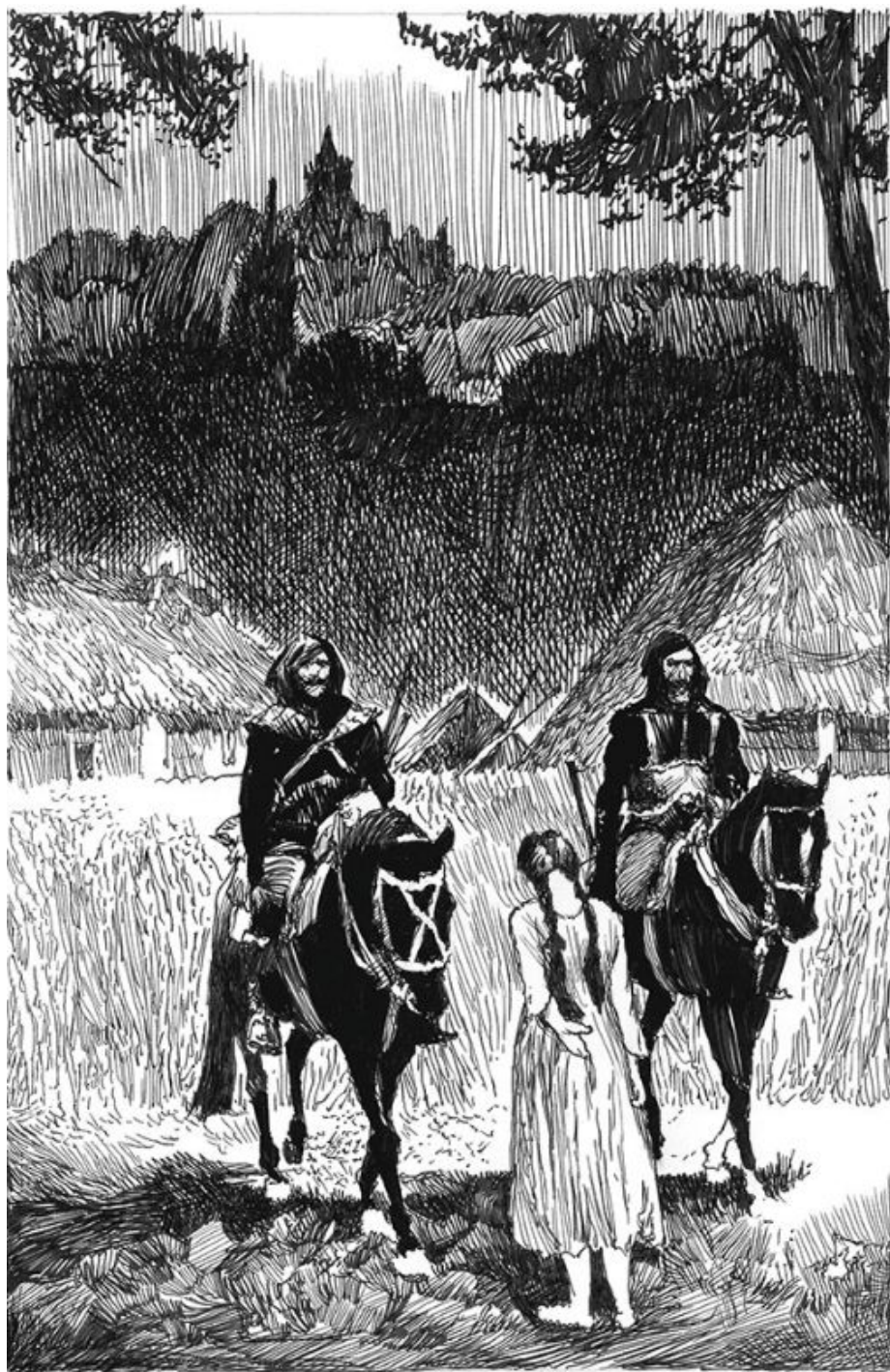
Akea zmarszczyła brwi i chciała coś wtrącić, ale Gresa wzruszyła ramionami.

– Na pewno strzelam gorzej od ciebie, ale jak na zwykłą wiejską dziewczynę umiem bardzo dobrze. Zresztą niech ci będzie, moja mała. Popisywałam się przed twoim dowódcą, ale przed tobą nie będę. Idź już sobie, bo chcę porozmawiać z Keą.

I zyskała śmiertelnego wroga. Co było zresztą nieuniknione.

o o o

Aktar i Nelen wrócili następnego dnia późnym popołudniem. Nie prowadzili żołnierzy. Dowódca Wiatru był poirytowany i rozgoryczony. Przywitał się ze wszystkimi, a najserdeczniej, rzecz jasna, z gospodynią.



– Nie wiem, o co chodzi – powiedział, zasiadłszy za stołem.

Gresa natychmiast przyniosła mu piwo, chleb i ser. Uśmiechnął się i na chwilę objął ją ramieniem za biodra.

– Nie wiem – powtórzył, poważniejąc. – Komendant garnizonu rozmawiał ze mną tak, jakby mówił nie to, co chciał. Może i nie potrzebują naszej pomocy, ale trafia do nich, że przeszkadzamy. I że przestalibyśmy przeszkadzać, dołączając do któregoś z oddziałów.

– Dlaczego nie chcieli się zgodzić?

– Nie wiem.

– Ja mówię, że to Trybunał – rzekł Nelen. – Wojsko nigdy nie miało ochoty ganiać Jeźdźców, ale urzędnicy to co innego.

– Głupi jesteś – powiedziała Kea. – Jasne, że to Trybunał.

Aktara nieoczekiwanie rozdrażnił zwykły sposób porozumiewania się tych dwojga.

– Więc głupi czy ma rację? Co z tym Trybunałem? Od wczoraj słyszę tylko Trybunał i Trybunał!

– Jest głupi, bo wie, co mówi – rzekła Kea z babską logiką. – Urzędnicy lubią się wykazać. Jeśli wojsko przy okazji ścigania tamtych przetrzepie skórę Jeźdźcom, to Trybunał roztrąbi, jaki to spokój panuje w całym okręgu, żadnego włóczęgostwa. Przypiszą zasługi sobie. Ten komendant Sar Soa pewno zgodziłby się na twój pomysł, ale urzędnicy wyrwaliby mu za to nogi z dupy. Że sprzymierza się z bandytami przeciw innym bandytom.

– No, może i tak. W każdym razie wojska nie będzie. Wypytałem o wszystko, co wiem, może i pokręcą się po okolicy, ale nie ma się z czego cieszyć, bo przy byle okazji znów na nas wpadną. Myślałem, że zostaniemy tutaj trochę dłużej. Chciałem dobrze. Ale wygląda na to, że trzeba się zbierać, więc w Ercie nie będzie nikogo. Ani legionistów, ani nas.

Gresa zmartwiła się.

– To znaczy, że jedziesz?

– Już jutro. Bo jeżeli zjawi się tu wojsko, to albo będziemy się bili, albo zabiorą nas prosto do Sar Soa. Ale nie do koszar, tylko do Trybunału, na rozmowę.

– A jeżeli przyjadą... no, tamci?

– Nie przyjadą – rzekł Aktar z tak szczerym i głębokim przekonaniem, że Akea i Nelen popatrzyli z podziwem, dobrze wiedząc, iż dowódca łże. – Nie przyjadą, bo gdyby mieli przyjechać, to byłiby już dawno.

– Mhm – powiedziała Gresa.

Aktar zaczął tłumaczyć, ale machnęła ręką i podeszła do okna. O tej porze roku nie było w nim błon, wystarczyło zasłaniać na noc. Wyrzała na zewnątrz.

Aktar bezradnie popatrzył na swoich zastępców, pytając wzrokiem o radę.

– Idę się odlać – powiedziała Kea. – Chodź, dowódco. Odleję się i złożę ci raport, jak komenderowałam, kiedy cię nie było. A ty idziesz? – zapytała Nelena.

Nelen jadał.

– Nie.

– Jak patrzę na tę cipę, to mnie jaja bolą – powiedziała. – Chodź, Aktarku, odlejemy się razem. Umiem na stojąco, a z nim musiałyś w kucki.

Aktar pytająco spojrział na zastępczynię. Skinęła mu głową, dając znak, że chce pogadać na osobności. Zrozumiał, że o gospodyni. A może o czymś jeszcze.

– Ktoś przyjechał – powiedziała Gresa.

– Hm?

– Ktoś przyjechał – powtórzyła, wciąż wyglądając przez okno.

Skoczyli patrzeć. Od strony zabudowań wioski, wrzeszcząc wniebogłosy, gnali dwaj mali chłopcy, a za nimi kłusowało kilku jeźdźców. Pięciu... nie: tylko czterech wiodących luzaka.

– To nasi!

– Z Wiatru? – Gresa nie kryła ulgi.

– Tak, nasi!

Aktar, Nelen i Akea biegiem wypadli przed dom. Jeźdźcy zbliżali się szybko. Gresa z uśmiechem patrzyła na spotkanie tych żytych ze sobą ludzi, którzy stracili już nadzieję, że się jeszcze zobaczą. Witano przybyłych serdecznie i wylewnie. Wymieniano odpowiedzi i pytania, poklepywano się po plecach. Aktar bez ceregieli zabrał zdrożone konie podkomendnych i powiódł je przed dom; drugą parę prowadziła Kea. Zajęli się rozkulbaczaniem wierzchowców. Ktoś przyniósł derki i wiechcie słomy, którymi wytarto wilgotne końskie boki. Potem zwierzęta okryto.

Odnalazły się i połączyły dwie grupki uciekinierów: trzech i dwoje, lecz była też żła wiadomość: jeden z tej większej grupki, poważnie ranny, zmarł. Gdzieś w stepie błądziło jeszcze dwóch jeźdźców Wiatru.

Aktar odszedł na bok, ciągnąc za sobą najstarszego z przybyłych. Gresa pamiętała twarz tego człowieka, ale imię wyleciało jej z pamięci, o ile w ogóle je знаła. Widziała przez okno, jak rozmawiali o czymś. Nie słyszała słów, lecz dojrzała, iż Aktar spochmurniał. Niecierpliwie ruszyła ku drzwiom, gdy skierował się ku domowi. Wyszła mu na spotkanie.

– Coś złego? – zapytała z niepokojem.

– Bardzo. Jadą tu – oznajmił krótko. – Nasi uciekli przed nimi.

Przybladła.

– Przed...?

– Nie przed wojskiem.

o o o

– Raczej nie przyjadą za dnia – powiedział Aktar. – Ale noc już niedługo. Jest ich kilkunastu. Nas co najmniej pięć razy tyle.

– Tak. Licząc drwali i niektóre baby, weźmy, takie jak twoja – rzekł Nelen.

Gresa, „baba Aktara”, poróżowiała na policzkach i odeszła na bok, skrywając przyjemność, jaką jej mimowolnie sprawiono. Dowódca Wiatru też uśmiechnął się lekko.

– Miejscowi potrafią bić się o swoje. Nie chciałbyś mieć naprzeciw siebie dwóch takich z siekierami.

Nelen z powątpiewaniem kręcił głową. I miał sporo racji, niestety. Rozzłoszczone chłopisko z ciesielskim toporem w garści to na pewno był przeciwnik, z którym należało się liczyć, niemniej dobrze uzbrojony, pozbawiony skrupułów, nawykły do słuchania swego herszta morderca pod względem wojennych umiejętności stał o niebo wyżej. Człowiek potrafiący w biegu strzelać z łuku albo rzucić nożem na piętnaście kroków mógł na pewno pokonać dwóch albo i czterech zdesperowanych drwali.

– Możemy się schować i wyskoczyć na nich z zasadzki – powiedziała Akea. – Albo odwrotnie: pokazać się i udawać, że jest nas tutaj trzy razy tyle. Niech chłopcy pościgają te swoje lniane portki i wezmą od nas parę spódnic, trochę skórzanego przyodziewku... Będą wyglądać jak my. A tamci pomyślą, że do Erty przyjechał jakiś silny oddział Jeźdźców, i się posrają.

Nelen skinął głową.

– Tak chyba najlepiej. Oni na pewno nie chcą kłopotów. Obrobiliby wioskę, ale nie będą bez powodu wszczynać bitwy.

– A ty co o tym myślisz?

Gresa po raz drugi lekko się zaczerwieniła; dowódca Wiatru pytał ją o zdanie wobec swojej starszyny, dając dowód, że wysoko ceni jej radę.

– Nie wiadomo, co tacy zrobią – powiedziała. – Jak zobaczą, że we wsi są Jeźdźcy, to może odjadą, a może zaczną się w lesie i kiedy rano nasi pójdą na wyręb, to mogą na nich napaść. Ja bym ich wpuściła do Erty, a potem wszystkich zatłukła. Przecież kilku od razu zastrzelimy. Może nawet połowę.

Troje Jeźdźców patrzyło w milczeniu.

– Odważna jesteś czy głupia? – zapytała na koniec Akea. – Chcesz się bić? Zabijać?

– Wcale nie chcę. Ale takie życie w strachu? Może naprawdę odjadą, kiedy was zobaczą. Ale co z tego? Potem wy też odjedziecie, a my po starym będziemy wypatrywać oczy i trzymać dzieciaki w gotowości, żeby wołały mężczyzn na ratunek, jakby banda wróciła. Wy sobie jeździecie, gdzie chcecie, a my... możemy tylko siedzieć i czekać.

Miała słusność. Po stokroć.

– Trzeba ich pozabijać – powiedziała jeszcze. – Wtedy będzie bezpiecznie.

I Akea musiała powiedzieć sobie w duchu, że ta ciężarna kobietka – to jednak jest żona dla Jeźdźca.

o o o

Zmierchało już, gdy Wenewet znalazł Ayanę w drewutni – był to daszek na czterech podporach, osłaniający pień i niedużą przyrębną narąbaną drzew. Dziewczyna siedziała na pieńku i na widok brata zrobiła ruch, jakby chciała zerwać się i uciec.

– Czekaj, no co ty? – rzekł pospiesznie. – Co się dzieje, Aya?

Pomimo półmroku dojrzał, że siostra ma zaczerwienione oczy. Pociągnęła nosem.

– Nic – powiedziała z lekką chrypką. – A co ma się dziać?

Przykucnął przed nią, opierając łokcie na kolanach i splatając dłonie.

– Nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz. Ale mogę z tobą trochę posiedzieć.

Milczała przez chwilę, a potem rozpląkała się nagle, pochyliła i objęła go za szyję.

– On przyjechał... i nawet się ze mną nie przywitał. Rozumiesz? Kiwnął tylko głową do wszystkich i wszedł do tego przekłętego domu! I siedzą tam... Wyszedł tylko... jak przyjechali nasi... – mówiła ze łzami, urywanie.

Delikatnie gładził ją po głowie, obejmując drugim ramieniem.

– Teraz znowu tam siedzą – ciągnęła. – Kea, Nelen, on... i ta Gresa. A ja nikogo nie obchodzę, nikt nawet nie wie, że jestem. Niech ta banda w końcu przyjedzie, może mnie zabiją! Nikt nawet nie zauważy.

– Co ty wygadujesz, głupiutka?

– Zobaczysz! Jak mnie zabiją... to tylko tobie jednemu będzie trochę żal.

Strapiony, a zarazem jednak trochę rozbawiony, nie wiedział, co odrzec. Nigdy nie rozmawiał z siostrą o sprawach sercowych, bo ich dotąd nie miała. Dziecko! Przecież to było dziecko, dziewczynka. Zakochana?...

Ale i on nigdy jeszcze nie był zakochany. Jakieś rozchichotane dziewczyny w rozmaitych wioskach, ukradkiem baraszkuje z młodym Jeźdźcem Równin... Dziweczki w rzadko odwiedzanych miastach. Właśnie tyle miał do czynienia

z kobietami i tyle go obchodziły. A o mężczyznach Ayano nie wiedział zupełnie nic. Czy w ogóle byli jacyś mężczyźni? Podśmiewał się od pewnego czasu z jej wzdychań do Aktara, ale nigdy dotąd nie pomyślał, że to jest poważna sprawa. Teraz jego piętnastoletnia siostra ze łzami w oczach i śmiertelną powagą mówiła: „Niech mnie zabiją!”.

Troszeczkę na wyrost co prawda.

– Przestań, Ayano. To niemądre. Aktar ma kłopoty, bo jest dowódcą i musi myśleć za wszystkich. A siedzą tam nie z Gresą, tylko u Gresy, bo to jest przecież jej dom – tłumaczył.

– Ty nic nie wiesz! – powiedziała z goryczą. – On chce się z nią ożenić!

– Naprawdę? – nie dowierzał.

Małżeństwo to były kajdany. Jak Jeździec mógł chcieć się ożenić?

Wyprostowała się, wytarła oczy dłonią i zaczęła opowiadać mu o wszystkim. Uspokajała się powoli. Patrzył na nią, gdy tak siedziała na pieńku do rąbania drewna, i powoli uświadamiał sobie, że to już naprawdę nie jest dziecko. Oboje dawno przestali być dziećmi. Mógł wyrzeźbić i dać siostrze drewnianego konika tak jak kiedyś, ale nie potrafił cofnąć czasu. Przeoczył ten moment, kiedy mała dziewczynka uciekła, a na jej miejsce zakradła się kobieta. Siedząca przed nim dziewczyna miała swoje problemy i były to problemy dorosłe. Może wyolbrzymione, lecz prawdziwe. Niewiele już miały wspólnego z kłopotami i rozterkami dziecka. A on, młody mężczyzna, miał się odtąd stykać z takimi właśnie sprawami.

Gdy skończyła, rzekł spokojnie i poważnie:

– Myślę, Ayano, że to nie jest żona dla niego. Ja ją lubię, tę Gresę, jest nawet ładna i miła, ale...

– Ona jest ładna i miła?! To tuste coś, które...

– Czekaj. Jeśli nawet Aktar się z nią ożeni, to za rok znowu będzie jeździł po Równinach, przecież tu nie zamieszka. A na Równinach spotka ciebie i zobaczy to, czego dotąd nie widział. Że jesteś stworzona dla niego.

– Tak samo mówiła Kea. Naprawdę myślisz, że jestem stworzona dla niego?

– To jasne, Ayano. On tylko potrzebuje czasu, żeby zobaczyć, że już nie jesteście małą dziewczynką, którą kiedyś Wiatr wziął pod opiekę, gdy uciekła z domu dziadków razem z chudym chłopcem, swoim bratem.

– Ale kiedy mnie zauważy, to będzie już ożeniony!

– Małżeństwo wygasa po roku i w ogóle nie jest raz na zawsze.

– Mam czekać? Ale jak długo?

Miał ochotę odpowiedzieć: „Aż ci przejdzie”, bo to przecież by była najmądrzejsza odpowiedź.

Na szczęście nie był głupi. Nie powiedział.

Skrzypnęły drzwi i ktoś wyszedł na próg domu. Noc była bardzo widna, lecz na tle oświetlonej izby odcinała się tylko czarna sylwetka.

– Wszyscy do mnie – usłyszeli głos Aktara. – Szybko, nie ma czasu!

Wenewet poklepał siostrę po kolanie i wyciągnął rękę. Podniosła się z pniaka. Podeszli do dowódcy. Zaraz zgromadzili się pozostali Jeźdźcy.

– Banda może przyjechać w każdej chwili – rzekł Aktar. – Może też nie przyjechać wcale, ale na to bym nie liczył. Schowamy się na północnym skraju wioski i wytłuczemy ich.

Nikt nic nie powiedział.

– Może już obserwują domy, jest wyjątkowo widno – ciągnął Aktar. – Jeśli nas zobaczą, to też dobrze. Może zniechęcą się i odjadą. A jak nie, to ich wytłuczemy. Nelen zbierze wszystkich drwali i gdy zastrzelimy paru tamtych, wyskoczą z siekierami.



– A jeżeli nas zobaczą i mimo to przyjadą? Nic nie wyjdzie z pułapki.  
– Jak zobaczą, to na pewno nie przyjadą.  
– Dlaczego mają przyjechać właśnie z północy?  
– A skąd? Wiadomo, skąd jadą, przecież nasi przed nimi uciekali. Od wschodu i zachodu są lasy, przez które po nocy na pewno nie pojadą, do Erty można wjechać właściwie tylko od północy albo od południa. Zresztą zgoda. Na wszelki wypadek... Ayano, ty pójdziesz na południowe wzgórze i staniesz na straży.

– Chcę być w zasadzce – powiedziała.

– Nie będziesz.

– Ale...

– Do rąbania bandytów siekierą zupełnie się nie nadajesz, a z łuku strzelasz tak kiepsko, że już prędzej zabrałbym Gresę – uciął tonem wykluczającym dyskusję.

Wszystkie moce świata sprzymierzyły się, by ją zniszczyć. Dowódca Wiatru był zmęczony i rozdrażniony, ponadto czuł, że czas nagli, i nie przebieirał w słowach. A jednak, choćby bardzo się starał, nie zdołałby wymyślić niczego, co bardziej zabolaloby dziewczynę. Uznał ją za całkowicie nieprzydatną, wytykając wszystkie słabości wobec towarzyszy z oddziału – a co gorsza, wobec milczącej, stojącej za nim Gresy. Porównał je obie. Na korzyść pękatej wieśniaczki.

– Dobrze, stanę na straży – powiedziała głosem tak zmienionym, że w innych okolicznościach zaczęto by ją pytać o zdrowie. – Gdzie?

– Na południowym wzgórzu.

– Na tym pagóreczku między leszczynami?

– Tak. Gdyby nadjeżdżali, to zobaczysz ich sporo wcześniej i przybiegniesz do wsi. Ale pewien jestem, że nie przyjadą z tamtej strony. Musieliby naprawdę dobrze znać Ertę. Prawie nikt nie wie, że można tu wjechać także od południa.

Dziewczyna odwróciła się bez słowa, poszła po swój łuk i strzały, a następnie, wciąż zachowując milczenie, ruszyła w nakazanym kierunku. Po chwili zniknęła w mroku.

Aktar zaraz o niej zapomniał, wydając kolejne rozkazy. Wkrótce Jeźdźcy Wiatru ruszyli w stronę zabudowań wioski. Należało zebrać wszystkich drwali i utworzyć z nich coś w rodzaju wojskowego oddziału, z młodych kobiet zaś drużynę strzelecką pod komendą Akei.

o o o

Patrząc na wielki księżyc, przesuwany się po niebie, Ayana mogła ocenić, że minęła już północ. Nie wartowała. Leżała na plecach z ramionami pod głową i obserwowała gwiazdy, układające się w znane konstelacje. Wilk zawsze był dobrze widoczny, Topór też, ale Łuk i Strzałę oglądała rzadko. Tylko przy wyjątkowo pięknej pogodzie można było dokładnie obejrzeć kształt łączyska, napiętą cięciwę i smukły promień pocisku. Księżyc nie przeszkadzał, bo był akurat po drugiej stronie nieba.

W dolince, pośród ciemnych zabudowań Erty, panowała głucha cisza. Banda nie przyjechała i było zupełnie jasne, że dzisiaj już nie przyjedzie. Ayana bardzo tego żalowała, bo koniecznie chciała umrzeć tej nocy. Znajdowała dziwną przyjemność w wyobrażaniu sobie, jak stają nad jej ciałem wszyscy towarzysze. I patrzają na Aktara, a on nagle uświadamia sobie, że kochał tę zabitą dziewczynę, tylko o tym nie wiedział, i nie może powstrzymać łez. Wtedy klęka... i ręka mu drży, kiedy dotyka jej policzka...

I chce coś powiedzieć, ale nie może, więc tylko zrywa się i odchodzi... A ona leży taka smutna, taka piękna po śmierci i cicha...

Potem wyobraziła sobie twarz Gresy. Która widzi, że straciła swojego ukochanego; która wie już, że nie będą razem. Ayana zaczęła układać sobie w myślach, co Aktar powie grubej wieśniaczce, gdy nareszcie zrozumie, że jej nie kocha i nie chce. Były to myśli bolesne i rozkoszne. Ukryta w nocy, samotna dziewczyna marzyła o nagłej i okrutnej śmierci rywalki, marzyła o śmierci własnej, a nawet o śmierci Aktara. Wszystko to, stopione w tyglu zawiedzionej miłości i urażonej dumy, tworzyło straszną mieszaninę, mogącą się pomieścić tylko w bardzo młodej duszy. Z wiekiem...

Z wiekiem dusze zaczynają się kurczyć. I niewiele już w nich się mieści.

Księżyc powolutku płynął po niebie, prawie dotykał krawędzi wielkiego głazu do połowy zagrzebanego w ziemi. Wartownicza patrzyła na głaz, na księżyc i gwiazdy, skubała palcami majdan łuku, rozmyślając o śmierci... Aż zasnęła.

Coś ją zbudziło.

Może było to niegłośnie parsknięcie wierzchowca; może szmer prowadzonej półgłosem rozmowy. Minąć musiało sporo czasu, nim Ayana uświadomiła sobie, że ziszcilo się niemożliwe: bandyci przyszli – i to przyszli od południa, skąd nikt się ich nie spodziewał.

Serce biło jej tak mocno, że przycisnęła dłoń do piersi; przecież wszyscy musieli to słyszeć. Przełknęła ślinę, ostrożnie przetoczyła się na brzuch i uniosła głowę, przepatrując mrok pogodnej nocy. Nie musiała długo szukać, zwarta grupa zatrzymała się kilkadziesiąt kroków od jej kryjówki. Ale trzej jeźdźcy byli bliżej, znacznie bliżej. Zsiedli z koni i rozmawiali, przytrzymując je za uzdy.

Ayana zabrała łuk i zaczęła ostrożnie przesuwac się w dół stoku. Gdyby nie spała, miałyby dość czasu, by po prostu pobiec co sił w nogach, droga była równa... Zniknęłyby między domami, zanim banda osiągnęłaby szczyt wzgórze. Ale przegapiła nadejście wroga i teraz, chcąc zaalarmować swoich, musiała się skradać, przynajmniej przez jakiś czas. Miała go jeszcze wystarczająco dużo. Chyba. Trzej zwiadowcy naradzali się, musieli potem wrócić po resztę...

Pelznąąc po ziemi, niefortunna wartownicza pochwyciła kilka słów z prowadzonej nieopodal rozmowy i znieruchomiła, wyężdżając słuch. Aktar pomylił się, ci ludzie dobrze znali osadę i obyczaje jej mieszkańców. Liczyli domy, z grubsza szacując, gdzie mieszka wielu mężczyzn, a gdzie nie ma ich prawie wcale. Wiedzieli, że w Ercie mogą być Jeźdźcy, którzy przed nimi uciekli, ale liczyli, że jest ich tylko trzech, czterech. Prowadząc konie za uzdy, przeszli kilka kroków i rozmawiali dalej, spoglądając na dom stojący w pewnej odległości od innych. Dom Gresy. Ayana przełknęła ślinę, a potem ostrożnie zaczerpnęła tchu. Oczywiście... Od samotnej, mieszkającej na uboczu kobiety mogli uzyskać cenne wieści, nie alarmując wioski.

Czas naglił. Ayana jeszcze raz głęboko zaczerpnęła tchu i... zaczęła cofać się w stronę głazu, pod którym wcześniej miała swój punkt obserwacyjny. U jego stóp zalegał głęboki cień. Było już za późno, o wiele za późno na wszystko. Prawda, że za późno?... Co mogła zrobić? Nic. Zamknęła oczy i nieruchomo leżała pod głazem, licząc upływające chwile.

Trzej jeźdźcy naradzali się, zastanawiali, chyba nawet kłócili, nerwowo zniżając głosy. Potem wrócili do czekającej opodal grupy i wszczęli nowy spór.

Rozdygotana dziewczyna pod głazem czekała i czekała. Wreszcie coś w niej pękło, przeważało, bo tak szybko, jak tylko mogła, popelzła w dół stoku, ku wiosce.

Niemal w tej samej chwili ruszyli rozbójnicy. Kilku ostrożnie i cicho poszło przodem, reszta podążyła za nimi, prowadząc za uzdy konie swoje i towarzyszy. Głęboki cień pod głazem jeszcze raz udzielił schronienia niefortunnej młodej

wartownicze. Ayana patrzyła na rozplywającą się w ciemności grupę, czekając, aż zupełnie zniknie z oczu na tle czarnych zabudowań w dolinie. Serce znowu biło jak oszalałe. Ktoś patrzący z boku mógłby dojść do wniosku, że dziewczyna jest pomyłona – bo nagle zaczęła chichotać, prawie bezgłośnie. Śmiech przerodził się w kaszel; nieomal dusiła się, zakrywając usta dłonią i wbijając w mrok nocy spojrzenie przerażonych oczu, bo tamci mogli usłyszeć. Ale nie usłyszeli. Byli więc dość daleko. Wystarczająco daleko.

– Wyda cię, wyda wszystkich. Zobaczysz, co jest warta twoja Gresa – szepnęła. – Sam zobaczysz.

Ktoś, kto uznałby wartowniczkę za obląkaną, utwierdziłby się w tym przekonaniu, ujrzawszy jej dalsze poczynania. Zerwała się nagle z ziemi, oparła ręce na głazie i zacisnąwszy zęby, mocno uderzyła głową w chropowatą powierzchnię. Rozległ się głuchy stuk i stłumiony jęk bólu. Ayana uderzyła jeszcze raz i zatoczyła się. Nie odzyskawszy równowagi, ciężko siadła na ziemi, stękając przeciągle przez zęby i półprzymknięcie kręcąc głową. W mroku błyszczwały ogłupiałe, wypełnione łzami bólu oczy. Wciąż cicho jęcząc, dziewczyna wyciągnęła strzałę z kołczana, odłamała osadę z pierzyskiem i odrzuciła daleko. Potem wzięła zamach i desperacko wbiła sobie cienki pocisk w udo. Zbyt mocno i zbyt głęboko; grot zgrzytnął na kości. Ayana wydała stłumiony, chrapliwy okrzyk i zemdląca.

## ROZDZIAŁ 5



Ktoś z kimś rozmawiał. Ktoś o coś zapytał – i znów zaległa cisza. Dopiero po długiej chwili nadeszła odpowiedź:

– Nie. Już nie.

Mówił Aktar. Jednak Ayana z największym trudem rozpoznała go po głosie. Słowa były dziwnie przytłumione, jakby dowódca Wiatru zachorował na gardło.

Ayana próbowała otworzyć oczy, ale było to niemożliwe. Dopiero po długiej chwili zaczęło do niej docierać, że czoło i pół twarzy przykryte ma jakąś ciężką, mokłą szmatą. Z wysiłkiem sięgnęła ręką – i niemal pękła jej

głowa. Przy najłżejszym poruszeniu ból uderzał jak maczugą. Stęknęła przeciągle.

Ktoś zabrał szmatę. Rozbrzmiał głos Neleny:

– Wylizesz się.

Dziewczyna trudem przypomniała sobie, że wcześniej potrząsano nią, niesiono, ktoś nieostrożnie napał na tkwiącą w udzie strzałę i wtedy zemdląła po raz drugi. Z wysiłkiem rozchyliła powieki. Kontury ludzi i sprzętów były najpierw rozmazane, dopiero po chwili poznała, że znajduje się w domu Gresy. Obok niej leżał półnagi towarzysz z Wiatru, chyba ciężko ranny, bo szmaty, którymi miał owinięty brzuch, były czerwone od krwi. Nieco dalej siedział Aktar, doglądający innego rannego. Spojrzał na nią – a wtedy dowiedziała się, że nie zachorował na gardło. Mocno przygryzał wargę, a po policzku powoli płynęła gruba łza, torując sobie drogę w kilkudniowym zaroście.

Nelen delikatnie dotknął jej skroni wielkimi paluchami.

– Brzydko wyglądasz, malutka – powiedział z chrypką i odkaslnął. – Okropnie cię pobili. Chyba myśleli, że po tobie. I nie dziwię się.

Głowa bolała, jakby miała pęknąć. Jednak Ayana widziała już na tyle wyraźnie, że nie umknął jej dziwny błysk w oku wielkoluda. Ten także?... Czy wszyscy w tym domu płakali?...

– Wenewet... – wykrztusiła słabo.

– Żyje, cały. Jeszcze pomaga gasić. Pałą się dwa domy.

Dopiero teraz zauważyła migotliwy poblask za odsłoniętym oknem; wydało jej się także, iż słyszy odległe pokrzykiwania uwijających się przy pożarze ludzi. Przekrzywiła głowę w bok i chciała o coś zapytać – ale wtedy zauważyła, że Aktar nie siedzi przy rannym. Zupełnie jak w jej głupich marzeniach o śmierci drżącą ręką dotykał trupio bladej twarzy nieruchomej, nieoddychającej kobiety. I młodzieńka Ayana, stanąwszy oko w oko ze spełnieniem swych najskrytszych, najpodlejszych pragnień – zemdląła tej nocy po raz trzeci.

Jednak tylko na krótką chwilę. Możliwe, że nikt nawet nie dostrzegł, iż na moment zgąsło jej spojrzenie. Gdy znów otwarła oczy, Nelen chodził po izbie jak dzikie zwierzę po klatce: od ściany do ściany, tam i nazad. Flegmatyczny i akuratny zastępca dowódcy

Wiatru nigdy tak się nie zachowywał. Widziała, że na coś czeka, i gotowa była zapytać. Bo bała się nawet spojrzeć w stronę zgarbionego nad trupem Aktara.

Drzwi otwarły się nagle i obaj mężczyźni skoczyli ku nim. Ayana ledwie poznała stojącego w progu brata. W popalonym przyodziewku, czarny od sadzy, z czerwonymi od dymu oczami, cuchnący spalenizną wyglądał na człowieka, który przybył nie z tego świata. Ledwie się trzymał na nogach. Ciężko usiadł na zydlu pod ścianą, tuż przy drzwiach.

– Jesteś najmłodszy, ale i najmądrzejszy. Przy tobie komenda – rzekł Aktar, niczego nie tłumacząc i o nic nie pytając. – Zostało ci trzech ludzi. I siostra. Wyliże się.

Wenewet spojrział na Ayane. Uśmiechnął się blado i chyba chciał coś powiedzieć, lecz zrobił tylko słaby ruch ręką. Nie był zdziwiony jej stanem, co znaczyło, że już wcześniej widział, jak wygląda.

Ayana, nic nie rozumiejąc, patrzyła na krzątanicę Nelena i Aktara. Szykowali się do drogi, brali broń i zawiniątka z prowiantem.

– Dokąd...? – zapytała cicho, ale usłyszeli ją.

– Kilku uciekło, co najmniej czterech – odrzekł krótko Aktar.

Stanął nagle na środku izby i wyciągnął ręce, jakby o coś prosił. W prawej dłoni trzymał zrobiony z dziurawej ściěrki woreczek; wyglądała zeń gomółka sera.

– Może ty mi powiesz, dziewczyno, kto i dlaczego mnie przeklął? – zapytał. – Miałem kiedyś towarzyszkę wędrowni, kotkę, malutką siostrzyczkę. Do dziś w jukach wożę kubek z leśnym miodem, bo Emira lubiła miód. Zabili ją kupcy, za woreczek rodzynek. Potem ja zabijałem kupców, aż dorosłem i zobaczyłem... zrozumiałem, co robię. I oprzytomniałem. Ale po co? Ledwie minęło parę lat, znowu jadę zabijać. Chciałem tylko... Chciałem tylko mieć żonę i syna. To tak dużo? A on? – Wskazał palcem Nelena. – On chciał jeszcze mniej. Nie miał nic, a i tak wszystko mu zabrali. Nawet to, co dopiero mógł mieć.

Odwrociła głowę i ujrzała, dlaczego Nelen ruszał z Aktarem. Po prawej ręce miała ciężko rannego towarzysza – lecz po lewej stronie leżała Akea. Głowę miała roztrzaskaną czymś ciężkim, może obuchem siekiery. Ayana krzyknęła, zakrywając rękami twarz.

– Odradzała mi małżeństwo, mówiła, że jestem głupi – rzekł Aktar zduszonym głosem. – Ale przybiegła tutaj i broniła mojej kobiety i dziecka jak wilczyca. Kocham cię, Akeo, skąd brać takich przyjaciół?... – zapytał i bezradnie otarł oczy ręką. – Chodźmy, Nelen. Żegnaj, Ayano. Zbierzcie nowy Wiatr i prowadźcie go, ty i twój brat. Ja już na te przeklęte równiny nie wrócę.

– To nie tak miało być – powiedziała z płaczem. – Kea... Aktar, proszę!

Nelen, idąc ku drzwiom, poklepał ją po dłoni.

– Zdrowiej.

Aktar wyszedł.

Wyszedł i Nelen.

Płacząc, Ayana słyszała tupot dosiadanych koni, potem dwa krótkie okrzyki jeźdźców i oddalający się tętent.

Zaległa cisza przerywana łkaniem dziewczyny. Niepojęta Arilora, Pani Śmierci i Losu Wojennego, wyszła jej tej nocy na spotkanie i spełniła marzenia. Spełniła je tak, jak zasługiwał ktoś nielojalny wobec przyjaciół i towarzyszy broni.

– Dobrze, że żyjesz, siostrzyczko – rzekł po chwili Wenewet zmęczonym głosem. – Dobrze, że żyjesz.

Dusząc się od płaczu, kręciła głową.

– Nie.



## **Armektańska nienawiść**

## ROZDZIAŁ 1



Puszcza Bukowa rozpostarta na dartańsko-armektańskim pograniczu była największą knieją Szereru. Wszyscy wiedzieli, że należy do najpotężniejszego dartańskiego rodu – władali nią książęta K.B.I. – ale gdzie dokładnie zaczynała się i kończyła, potrafili wskazać chyba tylko jej właściciele i cesarscy poborcy podatków. Całe pogranicze między Morzem Zamkniętym a Wodami Środkowymi pokrywały słabo przetrzebione lasy, bo wojny na tych terenach nie sprzyjały osadnictwu. Po nastaniu wiecznego pokoju w granicach Wiecznego Cesarstwa obrzeża ostępów legły pod siekierami drwali, lecz ich wnętrze pozostało nienaruszone. Które z tych kniei, rozdzielonych wąskimi przestrzeniami stepu, zaliczano jeszcze do Puszczy Bukowej, a których już nie?...

Ustały wojny, lecz w zamian wytoczono niezliczone procesy o ziemię. Wygrywane, przegrywane, wznawiane. Porywano z lasów zwierzyinę, szły pod topór drzewa mogące dostarczyć najrzadszych, poszukiwanych gatunków drewna, lecz do karczowania kwapiło się niewiele. Jutro przecież te oczyszczone z moczem grunty mogły wyrokiem sądu przypaść w udziale odwiecznemu, zniechęconemu rywalowi.

Krążący między armektańskimi wioskami bakałarze nauczali czytania i pisania – służył do tego wielki zwój z Pieśnią o jeźdźcach Sar Soa, bajką ułożoną specjalnie dla dzieci, ale taką, z której mogły się najwięcej dowiedzieć o świecie. Bakałarze opowiadali przecież także o historii Szereru, a najbardziej o dziejach armektańskich wojen. Pomocą służyła ogromna mapa, powielana w wielu miejscach i przez różnych ludzi, ale według ustalonego przez uczonych z Wielkiej Akademii wzoru. Nazywano ją mapą elementarną. Nie była szczegółowa ani bardzo wierna, w zamian ciekawa i wszechstronnie pouczająca, ozdobiona rysunkami wielorybów tam, gdzie łowiono wieloryby, malunkami walczących wojowników tam, gdzie stoczono wielkie bitwy, licznymi miniaturkami lasów, gór i miast.

Na tych mapach wszystkie knieje między dwoma wewnętrznymi morzami Szereru zwane były Puszczą Bukową.

Najdłuższy i najlepiej utrzymany bity trakt, wiodący z Trzech Portów, rozgałęział się mniej więcej w środku tego obszaru. Jedna z odnóg wiodła dalej na południe, do dartańskiej stolicy, druga zaś prosto na wschód, do Akali, miasta na Potrójnym Pograniczu, gdzie stykały się Armekt, Dartan i Grombelard.

Było przy tym trakcie niewiele wiosek i jeszcze mniej miast. Kupcy zimą korzystali ze specjalnych zajazdów (specjalnych – bo obliczonych na przyjmowanie kupieckich karawan), a w ciepłych porach roku i przy dobrej pogodzie najtaniej i najwygodniej było rozbić obóz na poboczu drogi.

Takie właśnie obozowisko z daleka wabiło światłem rozpalonych ogni. Mieszana armeckańsko-dartańska karawana liczyła kilkanaście wozów i kilkudziesięciu ludzi: kupców i kupieckich pachołków, woźniców będących zarazem pomocnikami i orężną eskortą oraz kilku przypadkowych podróżnych. Wędrowcy, którym dobrze z oczu patrzyło, zabierani byli na wozy wcale chętnie (oczywiście za niewielką opłatą), bo jazda po dobrze utrzymanym trakcie nie wymagała od zwierząt pociągowych nadmiernego wysiłku, za to przydawała się jeszcze jedna para rąk do prac obozowych, a także dodatkowy oręż w złej przygodzie, przede wszystkim zaś ciekawe towarzystwo.

Bardzo często trafiał się wędrowny pieśniarz-gawędziarz. Żyjący z tej profesji ludzie przemieszczali się z miasta do miasta, bywali w wioskach, rozpowszechniali legendy i piosenki, podobnie jak wszelkie plotki i wieści, przy okazji zbierając nowe.

Z tą karawaną podróżowało aż dwóch, Armeckańczyk i pół-Grombelardczyk.

Rzecz dziwna: nie boczyli się na siebie. Siedząc w jednej oberży, odbieraliby sobie grosz, napitek i jadło. Tutaj tylko razem podróżowali. O zarobku nie było mowy – to oni przecież płacili swymi opowieściami za miejsce na wozie. A chleba (czasem też trunków) wystarczyło na dwóch.

Dzielili się gawędami i pieśniami.

Pod drzewem, gdzie zasiedli, zbierało się coraz więcej słuchaczy. Trzej kupcy, kilku pachołków, dwie armeckańskie wozaczki, starsza i młodsza – krainy Szereru już przywykły, że w Armeckie kobieta może robić wszystko to, co mężczyzna. Przyszli też na koniec dwaj podróżni, towarzyszący karawanie tak samo jak grajkowie – tyle tylko, że za opłatą.

Stary gawędziarz z Grombelardu uczył młodszego, znającego tylko Armekt i Dartan, czym jest grombelardzka opowieść. Młody znał kilka takich opowieści, przełożonych na armeckański i jego uproszczoną odmianę, czyli kinen – ale nie rozumiał szczególnego ducha tych historii.

– Nie musisz i nie możesz powtarzać ich zawsze tak samo – uczył stary. – W każdym razie nie powinieneś. Grombelardzka opowieść musi żyć. Zmień słowo, zachowaj rym, a jeżeli nie znajdziesz, to wystarczy sam rym. W ostateczności zarzuć na chwilę nawet rym, dopowiedz cokolwiek, co będzie pasowało do historii, nie wahaj się. Oni nie oczekują płynnej opowieści, to nie Armekt!

Młodszy gawędziarz – wcale nie gołowás, ale jednak mężczyzna najwyższej trzydziestodwuletni – nie udawał, że zjadł wszystkie rozumy. Słuchał uważnie.

– W Grombelardzie słuchacze to są zazwyczaj bardzo prości ludzie – ciągnął stary. – Prawie żaden nie potrafi pisać ani czytać, oni... – Zastanowił się. – Wielu chce tworzyć, ale nie wiedzą jak. Nie mają narzędzi, czyli właśnie pisma. Nie czytają, więc nie znają dobrze własnego języka. Układają śpiewki, ale jeszcze chętniej opowieści. Będą opowiadać razem z tobą, oni nie chcą tylko słuchać! Chcą tworzyć tę opowieść razem z tobą, zapamiętają z niej tylko trochę, ale potem chcą opowiadać dalej tak, jak zapamiętali, będą dodawać własne słowa. Jeśli wydasz się im zbyt akuratan, to ich onieśmieli i zniechęci. Prawie że obrazi. Podchwycić, gdy coś ci podpowiedzą. Wtedy będą uszczęśliwieni.

– W gospodach w wielkich miastach tak samo?

– Wielkie miasta? To są mokre, ponure fortece, obrosłe podgrodziami, dartańskie miasteczko obwodowe to przy nich wielka stolica. W gospodzie, w takim Grombie albo Riksie, rzeczywiście może być inaczej, musisz ocenić słuchaczy. Ale prawie nigdy i nigdzie nie będzie tak, żebyś nie znalazł kilku podobnych do tych, o których mówiłem przed chwilą. Zaraz się do ciebie przysuną i będą opowiadać razem z tobą, ale musisz im pozwolić. Nie zniechęcaj, niech ci pomagają, jak potrafią – tłumaczył jeszcze raz. –



Nie zamykaj przed nimi swojej opowieści, ona nie może być wytyczona jak mur twierdzy, odtąd dotąd i ani kroku w bok.

– Czyli moje grombelardzkie opowieści...

– Nie mają z nimi nic wspólnego. To dobre, ciekawe historie, ale do opowiadania w Armeckie. W Grombelardzie też je możesz opowiadać, ale nikt tego nie uzna za opowieść. Nie za to, co się kryje pod tą nazwą w Grombelardzie. Spróbuję – rzekł nagle stary gawędziarz. – Spróbuję zrobić opowieść z Armeckańskiej nienawiści. Wszyscy znają?

W kręgu nie było nikogo, kto by nie znał.

– Ja na pamięć – rzekł jeden z kupców.

– Więc ty, panie, właśnie ty mi nie podpowiadaj, bo będę ją psuł ile wlezie. Czy mogę?... – Wskazał lutnię młodszego towarzysza; on sam używał półharfy.

– Nawet nie wiedziałem, że umiesz na lutni... Weź, ależ oczywiście, że tak.

Półharfa pasowała do Dartanu, do Armecktu zresztą też. Jednakże Armeckańska nienawiść na pewno brzmiała lepiej przy lutni; chyba już tylko łuk i koń mocniej kojarzyły się z tym krajem.

Stary grajek ujął instrument. Dotknął strun, sprawdzając strojenie.

Trochę śpiewał, trochę recytował, trochę mówił:

*Od nadbłękitu Ri Silloru  
Przez jesień złotokrławych liści  
Dwoje zdążyło bez honoru  
W cień armeckańskiej nienawiści.*

*Wiśniowokwietna barwa śniegu  
Spłynie, gdy wiosna im się ziści  
Już nigdy nie ustaną w biegu  
Ku armeckańskiej nienawiści*

*Ri Sillor pod wysokim słońcem, znów jesień chmurosza deszczem  
Ustąpi biel, ale wiosny nie ma, nie będzie już – lub jeszcze?*

Błękitnociepły oddech Równin już nie ogrzeje dwojgu myśli  
Nie będzie światła, tylko wieczny...

– Mrok armeckańskiej nienawiści.

– Tak właśnie – powiedział stary grajek.

*W mokrej jesieni po kres świata  
Nie dotkną ciepła ani chłodu.  
W niezimie aż po zgon półlata  
Od wschodu słońca do zachodu.*

Została tylko lutnia. Starzec przerwał opowieść, czekał – i się doczekał.

– Przecież to nie koniec – powiedział ktoś. – Jeszcze...

– Doskonale – pochwalili grajek. – Gdy opowieść zamiera, trzeba żądać, by płynęła dalej.

*W pomroku drogi już ostatni  
Promyček światła spłynie z góry.  
Dotknie...*

– Młodszego z jeźdźców, brata.  
– Siostrę ominął.  
– A on zobaczy nad sobą jesienne chmury.  
– O tak – powiedział gawędziarz.  
Lutnia w tle dyktowała rytm.  
– Te chmury były wszędzie.  
– Jak w Grombelardzie – rzekł znowu starzec.  
– Zawołał siostrę, nie słyszała, jak przed wiekami Seneletta. Lecz on ocalał, bo tak chciała... – Młodszy grajek znał słowa, ale „zapomniał” i podsunął nowe; odnalazł się w opowieści, co przecież nie było dziwne.

*...Strażniczka istnień Eniwetta.*

– Chciał żyć, zamiast być trupem przemierzającym Równiny. Bez armektańskiego nieba, pod chmurami – Przejęty opowieścią młody pomocnik kupca po prostu opowiadał, co dalej. – A siostra już zawsze została w cieniu. Zabijała bez końca, bez wyboru...

– I bez honoru.

*Ogniokrąg słońca na zachodzie –  
Zdradzone życie jej się przyśni.  
Po nocy chmurny świt na wschodzie,  
Dzień armektańskiej nienawiści.*

Stary grajek oddał lutnię właścicielowi.

– Wybrałem ten wiersz, bo jest znany wszystkim i prosty – powiedział. – A i tak o wiele za trudny, by zrobić z niego prawdziwą opowieść. Armektańskie wiersze i pieśni w ogóle się do tego nie nadają. Ale jednak...

Powiodł wzrokiem dokoła.

– Bardzo dobrze nam poszło. Wszyscy zrozumieli, co to jest grombelardzka opowieść.

Przytakiwano.

– A kto to jest ta... Seneletta? – zapytał młody pacholek, Dartaniczyk. – Tak się nazywa miasto niedaleko Rollayny.

– Armektańska nazwa nadana po zwycięskiej wojnie, tak jak każe nasza tradycja. Imię odważnej i dobrej armektańskiej królowej, która utonęła w wezbranej rzece.

Wołano, żeby zaniechała przeprawy, ale ona chciała dać przykład swoim żołnierzom, których prowadziła na odsiecz stolicy.

– Nie słyszała?

– Może nie chciała usłyszeć.

## ROZDZIAŁ 2



S tarsza z wozaczek, wysoka i bardzo bujna kobieta, Szruciała czasem spojrzeń ku jednemu z podróżnych. Średniego wzrostu, na pewno niższy od niej, trzydziestoletni lub niewiele starszy, mógłby być jej synem. To jednak nie były matczyne, zatroskane spojrzenia... Raz spotkali się wzrokiem. Zmrużyła oko. Mężczyzna uśmiechnął się, pokazując zdrowe zęby.

Przystojny.

Wozaczka szepnęła coś swojej młodszej towarzyszce, siedzącej obok na trawie, po czym wstała i leniwie podeszła do opartego o drzewo mężczyzny.

Przy ogniu znów rozbrzmiała melodia. Tym razem to była półtharfa, lutnia jej tylko wtórowała.

– Już się nasłuchałam – powiedziała wozaczka i też się oparła ramieniem o pień. – Armeктаńska nienawiść... Stoimy tu czy pójdziemy gdzieś, gdzie nas nie usłyszą ani nie zobaczą? – zapytała z tą właściwą córom Równin otwartością, do której nie umieli przywyknąć przybysze z innych stron świata.

Wszystko zresztą, poza wzrostem, miała armeктаńskie. Przede wszystkim otrzymała od Pasm tę nieprawdopodobną odporność na upływ czasu, której zazdrościły Armektankom wszystkie kobiety Szereru. Dla „luczniczek” druga młodość zaczynała się około trzydziestki i kończyła trzydzięci, a bywało że trzydzięci pięć lat później.

Popatrzył wyżej i niżej, wcale nie ukrywając, że ocenia. Wypchnęła piersi tak, że omal nie rozerwały koszuli; jeden troczek rzeczywiście się rozwiązał.

Przeciętnie urodziwa, w zdumiewający sposób miała wypisane na twarzy lata – lecz nie wiek. Pięćdziesięciolatka bez jednej zmarszczki na twarzy albo na szyi. Wszystkie zęby. W sięgających niżej ramion włosach ani śladu siwizny.

– Trochę się ciebie boję, Jerelo.

– Zapamiętałeś imię?

– Ech, i wiem już nawet, że miałaś kilku mężów.

– Czterech. Żadnego tu nie ma, Aktarze.

– Zapamiętałaś imię?

– Tak, bardzo niezwykle. Jakie rzadkie.

– Co z tymi mężami?

– Trzech otrułam, jednego udusiłam.

Jeszcze raz wypchnęła piersi – i rozwiązał się drugi troczek.

– W jaki sposób to robisz? – zapytał, nie tając podziwu.

– Też mi... Będziesz miał co podziwiać, gdy się nauczę wiązać. No, idziemy? Jutro albo pojutrze już nic z tego nie będzie, chyba że lubisz się malować na czerwono – ostrzegła.

Tak, Armektanka bez dwóch zdań. Nic, co ludzkie... Ale Aktar też był Armektańczykiem.

Wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą.

Rozmowy i światło ogniska słabły za plecami. O sto kroków w prawo był las, lecz na wprost otwierała się rozległa trawiasta łąka; majaczyła w ciemnościach, czarniejsza od rozgwieżdżonego nieba, korona samotnego dębu. Nie doszli do drzewa, zabrakło może dwudziestu kroków.

Rzeczywiście była wyższa od niego. I cięższa. I chyba silniejsza.

Potrąfiła z tego zrobić użytek. Tak niewiele miał do gadania, że zaczął się śmiać – ani mowy, by zdołał uciec. Pod plecami miał zimną trawę, czuł ciężar jej ciała, zasłoniła mu twarz włosami. Mógł powalczyć najwyżej o oddech. Wspólny: jego i jej.

– Co tu właściwie robisz? – zapytała. – Z moją karawaną?

Uniosła się i podparła na rękach.

Na razie jechali stępa, wyraźnie więc uznała, że mogą niespiesznie pogawędzić.

– Jadę skądś dokądś.

– Na wozie? Jesteś jeźdźcem, i to chyba dobrym.

– Teraz raczej dosiadanym koniem.

– Widziałam, jak pomagasz przy zwierzętach. Na woźnicę nie wyglądasz, a konie traktujesz jak ludzi. Jesteś jeźdźcem. Gdzie twój wierzchowiec?

W Armekcie, ojczyźnie jeźdźców, wcale nie tak wielu ludzi umiało jeździć konno. Dla chłopca to było zbyt drogie zwierzę, a w miastach zbędne. W razie potrzeby każdy mógł wynająć konia w miejskiej stajni, ale nawet jeśli ktoś rzeczywiście wynajął, to zwykle po to, by następnie przeczłapać traktem dziesięć mil. Taki podróźny – jakim niby był jeźdźcem?...

– Umiesz patrzeć.

– Kłusować też.

Rzeczywiście przeszli do kłusa. Ale niedługo to trwało.

– Teraz inaczej – powiedziała troszeczkę zdyszana i zanim się obejrzał, miał tuż nad twarzą jej solidny tył, a była to naprawdę duża rzecz.

Ale nie chciała nic darmo, więc bez mrugnienia okiem przystała na wymianę handlową. Może mógłby się targować... tylko po co?

Na pewno nie lubiła się nudzić. Wkrótce znów siedziała na nim okrakiem, napluła na palce i sięgnęła pod siebie. Pomogła sobie ręką; stęknęła trochę z bólu, a trochę z zadowolenia, bo szybko dopięła swego.

Żarty się skończyły – tutaj było naprawdę ciasno, a ścisłała go jak w imadle.

– Nie wierzgaj, bo ci go urwę...

Uwierzył i w ogóle nie wierzgał.

– ...i czekaj, aż ci pozwolę – dokończyła z pomrukiem.

Noc była gwiazdzista, księżycowa; oczy przywykły do ciemności. Widział ją całkiem dobrze. Rozkołysane piersi wabiły wzrok, raz i drugi dostrzegł błysk oczu. Uznał, że lepiej nie patrzeć, bo to groziło wyprzedzeniem towarzyszką. A miał dziwną pewność, że zaraz potem wrzasnęłaby ze złością i zdrowo trzasnęła go w szczękę. W tej pozycji i przy tych proporcjach wagowych naprawdę rozsądniej było uznać, że to ona ma twardsze jaja i ona wydaje rozkazy.

Ostatecznie: czemuż by nie?...

Ale na sam koniec uwolniła go niespodziewanie, przekreśliła się na bok i pociągnęła za sobą, już leżała na plecach – był na górze, trzymany mocnymi udami i lydками. Łatwo trafił tam, gdzie powinien.

– Pospiesz się – powiedziała i nie było dyskusji.

Lubił jasne, czytelne rozkazy.

Pospieszył się i zdążył w sam raz.

Letni wiatr wygładzał pot na ciałach. Gdzieś w trawie leżało porozrzucane odzienie, które należałoby pozbiierać. I ustalić, co czyje, bo śmiesznie by wyglądał w długiej babskiej spódnicy, na dodatek pasującej na trochę większy tyłek.

Gdzieś za drzewem trzasnął patyczek. Jeździec Równin rozpoznawał takie dźwięki...

Lecz Jerela nie była Jeźdźcem. Była zdrową, niestara, cieszącą się życiem i wolnością wozaczką kupieckiej karawany. I akurat wstawała z trawy, a on jej nie zdążył powstrzymać.

Wystrzelona z bliska strzała wbiła się w jej pierś. Znał ten świst, odgłos uderzenia grotu w ciało i wiszący w powietrzu jęk cięciwy. Krzyk bólu trafionego człowieka.

Podróżował, szukając ludzi strzelających z łuków do wozaków z kupieckich karawan. Szukał i chciał znaleźć – ale nie tej nocy i nie w taki sposób.

o o o

Duże karawany atakowano rzadko. Kilkudziesięciu uzbrojonych i obytych z bronią ludzi to był twardy orzech do zgryzienia. Dla każdego. A obfite łupy nie wynagradzały poniesionych strat – oprócz pieniędzy niewiele dało się zabrać w step. Można było objąć kilka odciętych od wozów koni.

Atakowano zwykle małe karawany, złożone z dwóch, trzech wozów, czasem wozu i kilku jucznych mułów. Rabowano bezkrwawo, w najgorszym wypadku padało kilka trupów – iluż było ludzi przy trzech wozach? Nagrodę stanowił szybki i łatwy do zabrania łup.

Małe karawany na głównych traktach łączyły się w większe, ale w końcu jednak rozdzielały, bo do wioski na końcu świata nie jechało dziesięć wozów, tylko dwa. Wielkie przedsiębiorstwa kupieckie prowadziły handel całą gębą, nie tłukły się od jednej dziury do drugiej, miały swoje przedstawicielstwa w miastach okręgowych i mniejszych obwodowych. Ich wielkie karawany nie bardzo handlowały, raczej tylko dostarczały towar. Potem najemni handlarze obsługiwali nieodległe wioski.

W pozostawioną przez olbrzymów lukę wchodził drobny kupiec, właściciel wozu i dwóch jucznych mułów. To tacy ludzie przemierzali bezdroża i oni najbardziej ryzykowali swoje mienie i życie.

Zwykle jednak nie aż tak bardzo. Kilku, rzadziej kilkunastu dobrze uzbrojonych, zamaskowanych jeźdźców otaczało małą karawanę, lecz ci ludzie rzadko przejawiali naprawdę mordercze zamiary. Brali to, co chcieli, resztę zostawiali. Nie zabierali napadniętym wozów ani zwierząt. Kupiec i jego pomocnicy zachowywali życie, a nawet dość towarów, by jechać dalej. Złorzeczyli, skarżyli się Trybunałowi i wojsku, lecz wkrótce znów wracali na bezdroża, bo poniesione straty mieli wpisane w swą profesję. Trzeba było naprawdę mieć pecha, by kilkakrotnie w ciągu roku paść ofiarą łupieżców i na skutek tego pójść z torbami.

Jeźdźcom Równin nie zależało na przemienieniu Wielkich Równin w pustynię, a ich watah nie było znów tak wiele. Te większe wchłaniały bądź przepędzały mniejsze, jeszcze inne rozgramiało wojsko, a wielu awanturników szybko rezygnowało z włóczęgostwa, bo to wcale nie było takie łatwe i przyjemne życie, jakie opisywały pieśni nucone przy wieczornych ogniskach.

Aktar rzeczywiście był jeźdźcem. Zostawił konia pod dobrą opieką, bo zwierzę okulało; chciał je zabrać w drodze powrotnej. Przyłączył się do dużej karawany, która

musiała przejeżdżać przez niedaleki En Kedal – miasto raczej niewielkie, jednak wystarczająco duże, by mógł w nim kupić niezłego wierzchowca.

Szukał rozbójników, ale nie chciał ich znaleźć jako ofiara napaści. Umiał szukać, lecz potrzebował konia, swobody... W ciemnościach ostrze miecza było jednakowe dla wszystkich.

Przyłączył się do wielkiej karawany, bo i tak jechał do En Kedalu, nie tylko z nadzieją na kupienie zwierzęcia pod siodło. Czekają tam na niego najświeższe wieści, zebrane przez wywiadowców i szpiegów Trybunału Imperialnego.

Wyglądało na to, że może nie dojechać.

Posłyszany wcześniej trzask złamanej pod ciężarem człowieka gałązki, całkiem różny od wszystkich innych odgłosów armektańskiego stepu, doleciał zza drzewa. Aktar poderwał się z trawy i skoczył właśnie tam. Miał szansę – o ile przeciwnik był głupi albo niedoświadczony. Wytrawny łucznik odbiegłby natychmiast w drugą stronę i czekał, aż bezbronny nagus wychyli się zza pnia. Kiedyś w końcu to musiało nastąpić.

Ale ten tutaj morderca nie był wytrawnym łucznikiem i brakowało mu rozumu. Posłał niepewną strzałę kobiecie (w zwodniczym świetle księżycy każdy strzał, nawet z bliska, był niepewny), zamiast poczekać jeszcze chwilę i zabić albo ranić groźniejszego przeciwnika. Mężczyznę. Przecież łatwo było przewidzieć, że i on zaraz wstanie z trawy.

Teraz też zabrakło mu cierpliwości. Ruszył z mieczem.

Aktar wiedział dlaczego. Nagi człowiek wydaje się bezradny, niegroźny. Co za sztuka: zarząbać nieuzbrojonego golasa?...

Przeciwnik okrążył drzewo i wyskoczył z otaczających je krzewów. Powitany został takim wrzaskiem, że zamarł.

Aktar wiedział, jak obezwładniający potrafi być dziki, niespodziewany ryk. Osiągnął od razu dwa cele: zaalarmował niedaleką karawanę i zaskoczył, oszołomił przeciwnika. Tamten zastygł tylko na chwilę, ale to wystarczyło, by został zbity z nóg. Niegroźny, śmieszny nagus pochwylił go za rękę trzymającą miecz, a zaraz potem wyrznął nadgarstkiem w krtań z taką siłą, że potem już tylko stał i patrzył na próbującego zaczerpnąć powietrza półtrupa.

Nie musiał go zabijać. Mógł ogłuszyć i związać.

Ale tuż obok leżała na trawie kobieta, która nikomu nic złego nie zrobiła.

Aktar wyrwał miecz ze słabej ręki przeciwnika, ujął go za ostrze i rękojeść, po czym przycisnął na płask do szyi powalonego mordercy, na którym siedział okrakiem. Oparł się całym ciężarem i czekał, aż ustaną ostatnie podrygi tamtego. Duszony płazem główni mężczyzna szarpał się i charczał, poranił sobie podbródek o ostrze, do kości porozcinał dłonie, próbując odepchnąć miażdżące krtań żelazo – aż skończył.

Aktar wstał. W odróżnieniu od pokonanego nie był głupi ani niedoświadczony – odszukał więc sztychem dołek na szyi leżącego i pchnął. Lepiej było zabić wroga dwa razy niż raz nie całkiem do końca.

Jerela leżała na trawie. Oddychała z wysiłkiem i krztusiła się śliną. Na moment nakrył dłonią jej policzek: „Jestem, już dobrze”. Trochę wzrokiem, a trochę dotykiem ocenił położenie białej w pierś strzały.

– Nie ruszaj się. Przeżyjesz albo nie – powiedział. – Dostałaś w płuco, nie w serce. Leż, nie zostawię cię.

Od strony kupieckiego biwaku rozbrzmiewały krzyki i odgłosy walki.

Tak szybko, jak tylko mógł, pozbierał odzienie, wciągnął spodnicę i kaftan. Za drzewem znalazł łuk i strzały, zabrał zabitemu nóż. Potrzebował pasa. Oderwał przypiętą do niego pochwę miecza i wyrzucił w krzaki. Znow kłęknął przy kobiecie.

Odszukał jej dłoń i naprowadził na trzymany w ręku kłęb szmat, które oddarł z odzienia zabitego.

– Wyrwę strzałę – powiedział. – Nie zemdlej. Jeśli w płuca przez ranę wejdzie ci powietrze, to na pewno umrzesz. Słyszysz mnie? Nie krzycz, nie oddychaj. Przycisnę te szmaty do rany, a potem... Nie zemdlej – powtórzył. – Sam sobie nie poradzę, zwłaszcza po ciemku. Będziesz trzymała te szmaty, a ja bardzo mocno przypnę je pasem. Zamkniemy ranę. A potem...

Schylił się i ją pocałował.

– Przeżyj, a zostanę twoim piątym mężem – powiedział. – Teraz nie oddychaj i nie krzycz.

Wstrzymała oddech i gdy wyrwał strzałę – nie krzyknęła.

Zrobili wszystko tak, jak opowiedział wcześniej.

– Nie będę cię niósł – powiedział. – Nawet gdybym dał radę, to po ciemku zaraz się przewrócę razem z tobą. Musisz wstać, pomogę ci. Oprzesz się na mnie, a drugą ręką cały czas trzymaj te szmaty przypięte pasem. Dla pewności.

Po raz drugi zrobili tak, jak powiedział.

Bardzo wolno i ostrożnie ruszyli w stronę nieodległego lasu. Bała się głęboko oddychać, bała się mówić, bała się jęknąć albo westchnąć z bólu.

Nie miała to większego znaczenia, bo prawdopodobnie już nie żyła. Nitka życia została przecięta, zostało ostatnie włókienko.

Aktar działał, mówił i myślał. Czynił to wszystko jednocześnie, a zarazem osobno.

Krzyki dobiegające od strony biwaku umilkły. Wciąż rozbrzmiewały tam głosy, ale to już były tylko komendy, jakaś głośna rozmowa... Nie walka.

Co robił samotny łucznik za tym drzewem? Prawdopodobnie został przy spętanych, zostawionych gdzieś tu niedaleko koniach. Usłyszał odgłosy igraszek pod dębem, a może po prostu podszedł bez powodu. Aktar wiedział, że takie miejsca – samotne drzewa, jakieś wielkie kamienie albo głazy – w dziwny sposób wabią każdego, kto się znajdzie nieopodal. Samotny, niemający wiele do roboty człowiek szedł ku nim niemal bezwiednie. To był jakiś konkretny punkt, ku któremu można było iść.

Może tak właśnie podszedł ten samotny łucznik, pilnujący koni albo wykonujący jakieś inne zadanie. Jakiego? A któż to mógł wiedzieć.

Kimkolwiek był i cokolwiek robił, należało się oddalić od miejsca, gdzie leżał.

Ciemna linia lasu z wolna stawała się ścianą.

Gdy się zagłębili między drzewa, oboje byli bardzo zmęczeni.

o o o

Ubrał ją w spódnice, koszulę tylko okrył. Nie miała siły protestować, kiedy powiedział:

„Zostań tu. Jeśli możesz, to zaśnij. Wróć”.

Teraz już właśnie wracał.

Napastników było jedenastu, może trzynastu. Średnio liczna grupa.

Obrońcy karawany mieli znaczną przewagę i mogliby się obronić, lecz już wiedział, że część z nich działała w porozumieniu z napastnikami. Niezbyt duże przedsiębiorstwo handlowe właśnie rozprawiło się z konkurencją.

Wyglądało to na jakiś akt rozpacz. Do celu miała dotrzeć zaledwie połowa armektańsko-dartańskiej karawany – sami Dartańczycy. W jaki sposób zamierzali wytłumaczyć, że podczas zbójckiego napadu oszczędzono akurat ich wozy?



Podróżujący traktem kupcy nie byli ludźmi znikąd, wielu z nich znali przydrożni oberżyści, kołodzieje i kowale w mijanych miasteczkach, końscy znachorzy, nawet chłopcy w niektórych wioskach. I żołnierze z małych garnizonów; i niscy rangą urzędnicy Trybunału, zawsze chętnie pytający handlarza o bieżyświata o nowiny, o zasłyszane pogłoski. Jak świat światem, to właśnie przemierzający wiele krain kupcy byli źródłem ciekawych, nierzadko cennych wieści; to spośród nich chętnie werbowano wywiadowców i szpiegów.

I oto do En Kedalu miała dotrzeć połowa karawany napadniętej po drodze przez zbójów.

Nawet gdyby temu przedsiębiorstwu niczego nie udowodniono – samo uzasadnione podejrzenie musiało kompletnie zrujnować jego reputację. Właściciel tych dartańskich wozów chyba naprawdę nie miał nic do stracenia, skoro poważył się na taki krok. Przecież to nie był jakiś drobny zatarg, zwykła kupiecka rywalizacja, skoro doszło aż do rozlewu krwi. O co tu chodziło?

Same pytania.

I miało nie być odpowiedzi. Aktar podsłuchał tyle, ile mógł, ale wątpił, by zdarzyła się następna okazja. Dartańczycy byli skazani, ukręcili sznur na własną szyję.

Kiedy miał nastąpić kres ich podróży? Na następnym nocnym postoju? A może już teraz, jeszcze przed świtem?... Dowódca tej watahy Jeźdźców musiały być kompletnym głupcem, by wypuścić współników bandyckiego napadu, znających jego tożsamość.

Nie był głupcem i Aktar dobrze o tym wiedział. Znali się. Kiedyś byli prawie braćmi. Przyjaciółmi.

Potrafił w nocy chodzić po lesie. Łatwo odnalazł Jerelę.

– Już jestem – powiedział i usiadł obok.

Nie spała, ale chyba zaczynała gorączkować. Dotknął jej twarzy – jeszcze nie gorącej, ale jednak zbyt ciepłej. Nie miał żadnego naczynia, więc nie przyniósł wody, w strumieniu pod obozowiskiem zmoczył tylko rękaw koszuli. Teraz tym mokrym rękawem otarł jej twarz, zwilżył wargi. Być może o świcie – czyli wkrótce – mógł zebrać trochę rosy.

Przytrzymała jego rękę.

– Nie chcę tak – powiedziała cicho, niewyraźnie.

– Wiem. Każdy chce... inaczej. Nie tak.

– Dlaczego...?

Domyślił się, o co pytała. Nie o to, dlaczego wszyscy chcą umrzeć inaczej.

– Szukałem ich – odrzekł, a potem opowiedział wszystko.

Oddychała trochę chrapliwie, ale cicho. Słuchała, nie puszczając jego dłoni.

– Kilka lat temu wyruszyłem w pościg za ludźmi, którzy zabili mi... tak, zabili mi żonę i dziecko, bo to przecież nieważne, że... Towarzyszył mi przyjaciel, który też kogoś stracił. Najpierw ścigaliśmy morderców, potem już tylko szukaliśmy, bo się nam wymknęli. Rozdzieliliśmy się w pogoni za dwoma ostatnimi. Tego mojego znalazłem w jego rodzinnym domu i... I nie zabiłem go. Dlatego że tam byli jego matka i ojciec, i zobaczyłem...

Urwał.

– Po pewnym czasie spotkaliśmy się jeszcze raz – podjął – ale wtedy już nie miałem wyboru. Zabiłem tego człowieka i zostałem pochwycony przez żołnierzy, a potem przekazany w ręce Trybunału. Wisiałbym, Jerelo, gdyby nie przyjaciółka z przeszłości, która mi wtedy pomogła. Powiadomiła ojca tego człowieka, którego musiałem zabić. Wiedział o śmierci syna, ale nie znał mojej tożsamości. Stawiłby się na egzekucję, ale wtedy byłoby za późno. Dzięki Ayanie przyjechał wcześniej i uwierzył w to, co mu opowiedziałem. Tak po prostu uwierzył. Bo znał swojego syna i nie wątpił, że musiałem

bronie życia, a poza tym wiedział, że gdybym naprawdę chciał zabić, to uczyniłbym to rok wcześniej.

– Uwolnili... cię?

– Pod pewnym warunkiem. Ten ojciec zabitego był... bo już nie żyje, zachorował i umarł... Był bardzo ważną osobą. Jestem, Jerelo, kimś w rodzaju gończego urzędnika Trybunału do wyjątkowych zadań. Takich, o których nikt nie wie. Jeśli słyszałaś opowieści o Samotnych Jeźdźcach...

– Każdy... słyszał.

– To my. Dzisiaj w całym imperium chyba tylko ja. Po prostu wysłannik Trybunału, który kiedyś był Jeźdźcem Równin, który świetnie zna step i lasy Ri Silloru, którego znają i któremu ufają inni Jeźdźcy. Czasem ktoś taki jest potrzebny, by odnaleźć przywódcę tej albo innej watahy i przekazać mu propozycję, czasem ostrzeżenie. Wiadomość, o której nikt nic nie wie, rozumiesz? A potem Trybunał i wojsko mają w jakimś zakątku kraju spokój bez urządzania kosztownej obławy i stepowej wojny, tamtejsze watahy Jeźdźców przenoszą się gdzieś indziej. I nadal nikt o niczym nie wie. To są bardzo różne misje, ale...

Pokiwał głową, czego nie mogła dojrzeć w mroku. Jasna noc miała się ku końcowi, lecz między drzewami zalegał gęsty mrok.

– Teraz... – zaczęła i zamilkła, próbując powstrzymać kaszel.

– Przywódca tych zbójów, którzy teraz na nas napadli, to mój przyjaciel, Jerelo. Ten, z którym kiedyś wyruszyłem w pościg. Trybunał o tym nie wie. Podjąłem się misji wytropienia jego oddziału, bo to nie są prawdziwi Jeźdźcy, tylko banda szubienicznych łotrów. Chcę... – Nie wiedział, jak wytłumaczyć. – Nelen pozwolił sobie na zbyt wiele i dni tego oddziału są policzone. Skończą strasznie, to nie będzie szubienica. Każdy, którego pochwyca, posłuży za odstraszący przykład. Naprawdę przebrali miarkę. Nie wiem, czego chcę, Jerelo. Chciałem się z nim spotkać i porozmawiać. Tylko nie wiem, o czym. Przypomnieć mu, że miał... brata.

– Dlaczego... dlaczego on...

– Dlaczego stał się mordercą? Armekańska nienawiść, Jerelo. Nelen kiedyś zaczął zabijać, a teraz... I nie umie przestać. Bardzo dawno... Tak, powiem ci: bardzo dawno temu ja też byłem kimś takim. Mam trzydzieści jeden lat, więc jedenaście to dla mnie bardzo dawno – zażartował słabo. – Ale ja przestałem. Pamiętasz? *Lecz on ocalał, bo tak chciała / Strażniczka istnieć Eniwetta...* Ja naprawdę dotknąłem tych kawałków Pasm Szerni albo one dotknęły mnie. Może jeśli przypomnę o tym Nelenowi...

Zamilkł. Po chwili dokończył:

– Nie, nie wierzę, że mi się uda, Jerelo. Jednak muszę spróbować. Tylko tyle.

– Czy on cię... może zabić?

– Chyba tak.

## ROZDZIAŁ 3



Jeden z najważniejszych traktów imperium bardzo rzadko był pusty, nawet w nocy. Karawany stawały o zmierzchu, biwakowano niedaleko drogi, a samotni podróżni szukali miejsc w przydrożnych gospodach. Zawsze jednak znalazł się ktoś, kto z jakichś powodów spieszył się aż tak, że jechał nocą.

To był kolejny powód, dla którego nie napadano na wielkie karawany, podążające głównymi traktami. Zawsze mógł się zjawić nieproszony gość, a nawet silny patrol wojskowy, zazwyczaj pełna dziesiątka, bo gościńce były strzeżone przez takie właśnie oddziały.

Jeszcze przed świtem dartańska część karawany ruszyła w dalszą drogę. Na miejscu biwaku pozostało kilka pustych wozów i ciała zabitych. Krzątający się uzbrojeni ludzie kończyli objuczanie własnych i zdobycznych zwierząt. Wkrótce cała grupa zesła z drogi i zagłębiła się w las.

Aktar był niemal pewien, że Jeźdźcy podążą wzdłuż traktu, być może ukryją gdzieś w lesie część zdobyczy, w nocy zaś dokończą to, co zaczęli – dogonią „swoją” karawanę i wkrótce potem po raz drugi będą mogli objuczyc zwierzęta zdobyczą. Te i kolejne, odcięte od dartańskich wozów.

Rozbójnicy wiedzieli już, że nie wszystko poszło po ich myśli – znaleźli zwłoki towarzysza pod samotnym dębem na łące. Ale było zupełnie oczywiste, że ściganie zabójcy jest szukaniem wiatru w polu.

W rzeczywistości wcale nie musieliby szukać daleko, bo tylko na skraju lasu.

Aktar czuwał przy rannej kobiecie i nie porzuciłby jej, choć już widział, że Jerela umrze. Miała kaszel, oddech stał się nierówny i nieregularny, lewa pierś pracowała w innym rytmie niż prawa. Wiedział, jak to się skończy.

Medycy powiadali uczenie: nagle zatrzymanie krwiobiegu. I mniej mówili o płucach, znacznie więcej o...

Niezwykłymi ścieżkami podążają myśli. Czuwający przy konającej towarzysze mężczyzna przyglądał się stojącej pod dębem grupce zabójców, którzy w każdej chwili mogli ruszyć ku niemu, jednocześnie zaś próbował wydobyć z pamięci zapomniane, najzupełniej niepotrzebne teraz słowo „oskrzela”.

Nie wydobył. Jerela umarła, nie wiedząc, co w jej piersi zniszczył grot strzały. Może gdyby tamci stojący pod dębem byli tylko kilkanaście kroków bliżej, zdołaliby posłyszec jej ostatnie słabe kaszlnięcie.

Ubrał kobietę tak starannie jak mógł, równo zasnuował troczki koszuli, które wieczorem same się rozwiązywały pod naporem jej dużych piersi.

Zaniósł ją na skraj drogi. Jeszcze w nocy wierzył, trochę wbrew rozsądkowi, że zanieśie tam ranną, ale mającą szansę na przeżycie ludzką istotę.

Tym traktem stale ktoś jechał.

Przemknął jakiś samotny jeździec na bardzo dobrym koniu. Zapewne kurier. Tacy się nigdy nie zatrzymywali, wykonywali zbyt ważną pracę – rozliczano ich z obojętności na kaprysy pogody i wszelkie zdarzenia w drodze. Kurier zatrzymywał się tylko wtedy, kiedy musiał.

Niedługo później nadciągnęła średnia karawana. Aktar wyszedł na drogę, choć był pewien, że zatrzymaliby się i bez tego. Ślady biwaku, a między nimi zwłoki i porzucone wozy to przecież nie był widok codzienny.

Zbliżyło się kilku ludzi. Armekańczycy.

– Niedobry początek dnia – rzekł posunięty w latach, drobny, ale bardzo żyłasty mężczyzna, wyglądający na przywódcę karawany.

– Wieczór był znacznie gorszy.

Aktar nie szukał na splądrowanym wozie swoich rzeczy, bo wiedział, że przepadły. Najważniejsze i tak zawsze trzymał przy sobie: w pas spódnicy miał wszytą niedużą skórzaną sakiewkę, gdzie oprócz kilku sztuk złota nosił ważny dokument. Wydobył go i podał rozmówcy. Przywieszona na sznurku chwiała się żelazna plomba z wybitymi insygniami Trybunału Imperialnego. Można to było oczywiście podrobić, bo wszystko się dało podrobić. Ale na pewno nie w byle wolnej chwili, przy obozowym ognisku.

Powiedział, kim jest oraz – z grubsza – co tutaj robi; krótko przedstawił historię wczesnonocnego napadu.

Naczelnik karawany przeczytał pismo, potem oglądał plombę, kiwał głową.

– Pochowamy ich – rzekł krótko na koniec, po czym oddał dokument i użył tytułu przysługującego urzędnikowi imperium: – Jeśli znasz, wasza dostojność, imię któregoś z tych ludzi i wiesz o nich cokolwiek... zostawię pismo w komendanturze En Kedalu.

Zawsze tak robiono. Nie za często, bo przecież krainy Szereru, objęte opieką Wiecznego Cesarstwa, nie były jakąś ponurą rzeźnią. Czasem jednak umierał w izbie w oberży starszy wiekiem podróżny, zdarzały się śmiertelne wypadki. Jeśli spotkało to człowieka samotnego, to zarówno dobytek, jak i całą wiedzę o jego tożsamości można było znaleźć w najbliższym miejskim garnizonie. Nie zawsze, ale zazwyczaj.

– Więc weź, panie, przybory do pisania. Opowiem, co wiem, zanim ich pochowamy.

Kupiec zarządził, co trzeba. Wkrótce oddziałek pachołków krzątał się przy zabitych. Wybrano miejsce na wspólną mogiłę.

– Tę kobietę osobno – rzekł Aktar. – Pożycz mi, panie, narzędzia. Pochowam ją sam. Wozaczka Jerela, jakieś pięćdziesiąt lat. Miała czterech mężów, tyle o niej wiem. I ktoś coś wspomniał o jej synu, że też jeździ z karawanami. Armektanka.

Naczelnik karawany nie zapytał o nic. Skinął głową. Kazał wszystko zapisać, dorzucił od siebie dwa zdania na temat wyglądu kobiety.

Aktar wybrał miejsce niedaleko drzewa, pod którym zamienili z Jerelą pierwsze słowa. Ale nie pod samym drzewem, bo musiałby rąbać korzenie.

Kończył pracę, gdy traktem znów nadjechał jeździec. Ten nie był kurierem. Zatrzymał się za sznurem stojących na poboczu drogi wozów i zsiadł z konia. Aktar otarł pot z czoła i wrócił do kopania.

Po jakimś czasie ktoś się zbliżył. Pod słońce nie było widać twarzy.

– Szukałam i znalazłam – powiedziała kobieta, przystając. – Ty też znalazłeś? Wiem, że jeszcze nie.

Oparł się na stylisku motyki. Nie okazał zdziwienia ani zaskoczenia, bo naprawdę niewiele mogło go zaskoczyć albo zdziwić.

– Pojawiasz się, Ayano, zawsze wtedy, gdy w moim życiu dzieje się coś niezwykłego – odpowiedział po chwili.

– Kim była?

Pokręcił głową, wylał z dołu, wziął martwą kobietę na ręce i przeniósł na sam skraj. Położył, znów wskoczył do jamy. Chciał odpowiedzieć „armektańską nienawiścią”, ale to przecież nie o niej. Odpowiedział równie głupio, bo przecież była martwa:

– Armektańskim życiem. I radością.

– Córnica Eniwetty.

– Tak. A teraz Arilory.

Złożył kobietę na dnie dołu, a potem zasypał ziemią.

– Oddam motykę i to już jest wszystko, co muszę tutaj zrobić. Masz coś do jedzenia? Mogę poprosić kupców, ale...

– Mam.

Obejrzał się, pomyślał i wskazał kierunek.

– To poczekaj nad strumieniem – powiedział.

– A ty sprowadź mojego konia. Nie rozkubaczałam.

Poszedł do kupieckich wozów na drodze. Pożegnał się z naczelnikiem karawany. Grupa pachołków i wozaków też już prawie skończyła pracę; karawana miała wkrótce ruszyć dalej.

A z przeciwka nadciągała jakaś inna.

Aktar chciał wytłumaczyć, dlaczego bierze konia, ale kupiec tylko potrząsnął głową.

– Powiedziała, że cię zna, wasza dostojność.

– Tak, prawie od zawsze.

– Trochę podobna do mojej najstarszej. Bo też nie umie usiedzieć na...

Kupiec machnął ręką i skrzywił się zabawnie.

– Jak to kobieta. Która z nich potrafi usiedzieć? – odpowiedział sam sobie.

– Niektóre potrafią.

– Tak... Słyszałem. A w Dartanie opowiadają bajkę o żelaznym wilku.

Pożegnali się.

Prowadząc konia, Aktar ruszył nad strumień. Przywiązał zwierzę do gałęzi krzewu i usiadł na miejscu, które mu wskazała Jeźdźczyni.

– Witaj, Ayano – powiedział. – Od tego chyba powinniśmy zacząć.

– Witaj, Aktarze.

Podawała mu chleb, trochę sera i jabłko.

– Nie byłam dobrą żoną, ale podążać za tobą umiem.

– W ogóle nie byłaś żoną – odpowiedział i zaczął jeść. – Urzędnik jeszcze nie posypał naszego małżeńskiego listu piaskiem, a już oboje czekaliśmy, aż minie rok i małżeństwo wygaśnie – przypomniał z pełnymi ustami.

Bez żalu, bez złośliwości.

Wziął ją za żonę, bo musieli spróbować. Oboje wiedzieli, że muszą – i tak samo oboje wiedzieli, że na pewno nic z tego nie będzie.

A jednak pewne rzeczy koniecznie trzeba zrobić.

Dość długo się nie widzieli. Przyglądali się sobie uważnie, ale bez nadmiernej ciekawości. Przeszła być dziewczyną, stała się kobietą. Policzył: dwudziestoletnią. Nosila włosy do ramion, były ciemnobrązowe, z lekkim miedzianym połyskiem, gdy trafiał je promień słońca. Spadek po matce Dartance.

Ubierała się tak jak zawsze: prosta spódnica, skórzane buty, kaftan na gołe ciało, bo dni były bardzo ciepłe. Odzienie Jeźdźca Równin.

On, w jej oczach, nie zmienił się wcale.

– Opowiadaj – powiedział trochę niewyraźnie, z wysiłkiem przełykając suchy chleb i ser.

Zostawił jedno i drugie na trawie, pochylił się nad strumieniem. Nie miał swojego drewnianego kubka, więc zaczerpnął wody dłońmi. Popił i znów zaczął jeść.

– Co tu opowiadać. – Wzruszyła ramionami i po swojemu wydeła wargi; po tym jednym nieznośnym grymasie rozpoznałby ją każdy i zawsze. – Szukałam cię. W domu cię nie zastałam, wyjechałeś. Spóźniłam się tydzień. Renew powiedział mi, gdzie pojechałeś. Dowiedziałam się, czego, a raczej kogo szukasz.

Aktar skinał głową. Renew, bardziej przyjaciel niż służa, towarzysz wielu wypraw, nie miał żadnego powodu, by zatajać przed Ayaną cel jego podróży.

– Skoro wiedziałam – ciągnęła – i nie dogoniłam cię w drodze...

– Dogoniłaś i wyprzedziłaś. Po drodze załatwiłem inną sprawę, a potem zostałem bez konia.

– Szukałam ciebie albo Nelena. Jestem Jeźdźczynią, umiem szukać.

Uśmiechnął się. Może była już kobietą, ale... ale jednak wciąż bardziej dziewczyną. To czupurne wyzwanie w głosie.

– Znalazłam Nelena – powiedziała.

– Byłaś tutaj wczoraj?

– Tak. Nikogo nie zabiłam, jeśli o to ci chodzi.

– Byłaś z nimi?

– Tak.

– Ci Dartańczycy, wasi sprzymierzeńcy... Mogą cię poznać?

– Raczej nie. Trzymałam wartę na drodze. Nelen...

Zamilkła, więc popatrzył wyczekująco.

– Zabronił mi się mieszać do tego – dokończyła. – Kazał się trzymać z boku.

– I posłuchałaś?

Nigdy nikogo nie słuchała.

Odwróciła spojrzenie.

– Tak. Chciałam się trzymać z boku.

– Nie pojechałaś z nimi?

– Tylko kawałek. Rozmówiłam się z Nelenem, pokłóciliśmy się o... – Zarumieniła się lekko, a potem zaśmiała. – On wie, jaka jestem, zawsze pełna fumów, prawda? – zapytała kpiąco, ale i złośliwie. – Umie udawać, więc udałam obrażoną i rozstaliśmy się. On nie wie, że tu jesteś.

– Ty wiedziałaś?

– Od wczesnego ranka. Widziałam tego chłopaka, którego... Miał pokaleczone palce, brodę, szyję. Ty tak zabijasz. Kiedy nienawidzisz. Dusisz płazem miecza. Wiedziałam, że możesz być, a nawet że na pewno jesteś w tych stronach, bo przecież szukasz Nelena. Ten zabity chłopak, nawet słyszałam imię... No, gdy go zobaczyłam, to wiedziałam. Że tu jesteś.

– Byłaś w tej grupce pod dębem?

– Tak.

Przyglądał się w milczeniu.

– Nie powiedziałaś Nelenowi, że go szukam.

– Nie. Ale nie okłamałam go. Powiedziałam prawdę: że szukam ciebie. Pytałam, czy wie, gdzie cię znaleźć. Przyłączyłam się na krótko. To przecież mój stary przyjaciel, opiekun. I dowódca, bo często przecież zastępował ciebie.

– Nie tak często jak Akea.

– Tak, Akea. – Znów odwróciła spojrzenie. – Aktarze, cokolwiek Nelen robi światu, świat zasłużył. Zabrał mu wszystko.

– Nie tylko jemu. A poza tym... Świat, Ayano? Nelen robi coś ŚWIATU? – Wyciągnął rękę, wskazując płaski pagóreczek niedaleko drzewa. – Miała na imię Jerela.

– Co zamierzasz, Aktarze? – zapytała po dłuższej chwili. – Dlaczego go szukasz?

– Bo byliśmy przyjaciółmi. Trybunał i wojsko pozwalają wałęsać się Jeźdźcom. Byliśmy tu zawsze, jesteście żywym armektańskim mitem. Wataha Jeźdźców oznacza trochę jedzenia zabranego chłopom, raczej zresztą darowanego przez nich. Niechby jakiś wóz kupiecki, któremu ujęto ciężaru. Jeszcze jakieś porachunki przywódców dwóch watah, o których nikt nie wie i się nie dowie, bo chodzi o kilku pogrzebanych w lesie bezdomnych włóczęgów, o których nikt się nie upomni, nikomu nie zależy. Wojsko nie będzie słało całych klinów i półsetek w pogoń za włóczęgami, Trybunał nie będzie ich tropił. Ale to, co się dzieje tutaj... To jest pogranicze dwóch najważniejszych krain cesarstwa, a obok jest Puszcza Bukowa, księstwo pana Sey Aye K.B.I.Levina, najbogatszego człowieka w Szererze. Sam środek imperium, tutaj nie może panoszyć się bezprawie, bo wszyscy to zobaczą – tłumaczył spokojnie, ona zaś nie przerywała. – Nelena i jego ludzi nie czeka stryczek ani kamieniołomy, ani dartańskie galery. Trybunał przypisze im wszystkie możliwe zbrodnie, wydany zostanie specjalny odstrasający wyrok. Łagodne Wieczne Cesarstwo, w którym mamy wieczny pokój, a wszystkim się żyje bezpiecznie i dostatnio, albo przynajmniej znośnie, może być takie tylko wtedy, gdy ci ludzie zostaną poćwiartowani i żywcem obdarci ze skóry. Wykopie się potem wielki dół na przedmieściu Rapy, postawi nad nim drewnianą budę i szczątki Nelena spoczną na dnie nowej kloaki miejskiej, lekko tylko przysypane ziemią, żeby gówno dotarło gdzie trzeba. Dlatego chcę się z nim spotkać.

– Wierzysz, że...

– Nie – uciął.

Zamilkła.

– Dlaczego mnie szukałaś? – zapytał.

Spojrzała w bok, potem długo spoglądała na drogę.

Znów sunęły po niej jakieś wozy. Zwalniały przy tych ograbionych i porzuconych na miejscu nocnego biwaku. Ktoś zauważył dużą świeżą mogiłę, posłano więc dzieciaka-pachołka do siedzących nad strumieniem ludzi. Po wieści.

Odpowiedzieli krótko, ale uspokajająco. Aktar nie wierzył, by banda rzuciła się na oślep na wszystko, co przemierzało ten trakt. W nocy prawdopodobnie mieli zostać napadnięci Dartańczycy. Naiwni sprzymierzeńcy.

Dzieciak odszedł, a raczej pobiegł, goniąc oddalające się wozy.

– Nie napadną na nich – odpowiedziała Ayana, gdy Aktar spytał o plany Nelena. – Niewiele wiem, ale wspólnie jeszcze coś planują. Mało rozumiałam, nie mogłam przecież wypytywać. I tak by mi nie powiedział. Chyba żebym się do nich przyłączyła. Ale ja szukałam ciebie.

– Właśnie. Dzieciak nam przerwał, mów dalej.

– Wenewet jedźcie do Dartanu. Zostanę sama.

– Twój brat...

– Planował to od dawna. Ale przede wszystkim chce ode mnie uciec. Albo odpędzić mnie od siebie, przecież to wszystko jedno.

– Dlaczego nie pojedziecie razem? Twój brat to mądry mężczyzna, Ayano.

– Dlatego jedźcie sam. Że jest mądry. Żaden mądry mężczyzna nie zostanie przy mnie – powiedziała drwiąco i gorzko zarazem.

## ROZDZIAŁ 4



T rzej jeźdźcy prowadzący luzaka pod siodłem kłusowali traktem. Dostrzegli porzucone wozy i mogiłę, ale nie poświęcili im uwagi. Zatrzymali się dopiero na widok pary nad strumieniem. Nie zsiadli z koni, zjechali z drogi i stępa ruszyli ku siedzącym.

– Kiepsko kłamiesz, Ayano – rzekł Aktar.

– Nie powiedziałam mu, że...

– Wiem. Kiepsko okłamałaś Nelenę, nie mnie. On cię zna od zawsze. Tak jak ja.

Bardzo mocno zbudowany mężczyzna, zdecydowanie za duży i za ciężki na Jeźdźca, zsiadł z konia i wydał krótkie polecenie towarzyszącym mu ludziom. Zabrali jego wierzchowca i pojechali ku dalszym drzewom, choć mogliby uwiązać konie tam, gdzie siedziała dwójka nad strumieniem.

Przez długą chwilę nikt nic nie mówił. Pierwszy odezwał się przybysz:

– Witaj, Aktarze. Ayana kiepsko kłamie.

– Słowo w słowo, właśnie jej to powiedziałem. Witaj, Nelenie.

– Powiedziała, że szuka ciebie, a skoro szuka tutaj, to znaczyło, że ty szukasz mnie.

Zostawiłeś mi trupa pod dębem. Nie szukałem cię nigdzie, bo i tak bym nie znalazł...

– Znalazłbyś. Na samym skraju lasu, przy kobiecie, którą zabiłeś.

Nelen nigdy nie mówił zbyt wiele. Zmarszczył brwi, zastanowił się i skinął głową. Przykucnął, oparł łokcie na kolanach i splótł dłonie.





– Niech tak będzie – powiedział. – Rozumiem, co masz na myśli.

– Była taka jak Akea. I Gresa. Nikomu nie zrobiła nic złego, chciała tylko jeździć z karawanami. Ktoś powinien teraz wyruszyć, jej syn albo brat, i ścigać cię do końca świata, Nelenie. A po drodze wyrzucić wszystko, co żyje.

– Tak. Im szybciej wyróżniemy się wszyscy, tym lepiej. A warto by zaczynać od dzieci, żeby nigdy nie dorosły. I nie miały następnych dzieci.

– Naprawdę?

– I tak kiedyś wszyscy na świecie wyróżną się nawzajem. Oto my.

Mierzyl się spojrzeniami, jak gdyby sprawdzali, czy każdy wierzy w to, co powiedział.

– Chciałem cię tylko ostrzec – rzekł Aktar. – Powiem swoje i zaraz jadę, o ile mnie nie zabijesz.

– Musiałbym i ją. Tak, Ayano?

– Tak – odpowiedziała.

– Im szybciej wyróżniesz wszystkich, tym lepiej – zauważył szyderczo Aktar. – Sam mówiłeś. Więc dlaczego nie zaczniesz od nas?

– Ktoś wyruszyłby moim śladem, twój przyjaciel i sługa, a jeszcze Wenew, jej brat...

– Jeszcze więcej wyrzynania. Chyba dobrze?

– Wiesz, że zrobię wszystko po swojemu.

– Wiem. Za rok, albo nawet wcześniej, będziesz trupem, ale ja zamierzam żyć dalej. I będę mógł sobie powiedzieć: pojechałem, odnalazłem, ostrzegłem.

– Przyjaciel do końca.

– Już chyba nie. O jedną mogiłę za dużo. Chciałem tutaj dokończyć rozmowę z Ayaną, a potem... Chyba już bym cię nie szukał.

– Znalazłeś. Ale rzeczywiście już nie szukaj.

– Nawet nie mam jak. Chyba pieszo.

– Tak, zabraliśmy wszystkie konie, ale przyprowadziłem ci zwierzę pod siodłem.

– Byłeś pewien, że tu będę?

– Nie. Wziąłem na wszelki wypadek. To chyba nie twój koń, ale nie znalazłem niczego, co by do ciebie pasowało.

– Straciłem konia. Jechałem na wozie.

– Chciałeś kupić nowego w En Kedalu? Na jednym z wozów było siodło i juki. Są teraz na grzbiecie tego luzaka. To twoje rzeczy.

– Jak poznałeś, że mo... – zaczął Aktar i urwał.

Nelen przyglądał mu się uważnie.

– Tak – powiedział po długiej chwili. – Przez wiele lat oglądałem to, co ze sobą wozisz. Ale poznałem po kubku z zaschniętą resztką miodu. Tym, który wozisz dla Emiry. Bo wiesz? Byłem przyjacielem człowieka, który przez pół życia wozi ze sobą miód, którego już nikt nie spróbuje.

Wyprostował się i skinął na czekających w oddaleniu Jeźdźców. Odwiązali konie od drzew i dosiedli. Jednego luzaka zostawili, drugiego przywiedli do dowódcy.

– Chyba już się nie zobaczymy – powiedział Nelen i wyciągnął rękę ku milczącej, siedzącej na trawie kobiecie. – Zrób choć raz coś mądrego, Ayano.

Wstała i podała mu rękę.

– Co mądrego miałabym zrobić?... – zapytała niepewnie.

– Nie wiem. Cokolwiek – powiedział i uśmiechnął się. – Jest powód, dla którego go szukałaś. – Spojrzała na Aktara. – Zrób... coś mądrego, Ayano. Po prostu.

Aktar też wstał z trawy. Nelen puścił dłoń kobiety i popatrzył mu w oczy, nie ukrywając pytania. Zaraz zresztą je wypowiedział:

– A ty, dowódcu Wiatru? Podasz rękę mordercy?

Stali naprzeciw siebie.

– Ja też jestem mordercą. Byłem, potem przestałem, ale... co to za różnica? Jak można przestać być mordercą, skoro raz się zostało?

Podali sobie dłonie.

– Już nie będę jechał za tobą, jednak powiem to, co chciałem powiedzieć. Uciekaj stąd, Nelenie. Rozwiąż oddział i jedź dokądkolwiek. Rano chciałem, żeby cię złapali, ale... – Pokręcił głową. – Wszystko się zmienia, gdy zobaczysz twarz człowieka. Uciekaj stąd, zastępczo dowódcy Wiatru.

Nelen uśmiechnął się po raz drugi, po czym ruszył do swojego konia i go dosiadł. Pokręcił głową, a potem nieoczekiwanie powiedział zupełnie wbrew gestowi:

– Tak zrobię. Mam do załatwienia jeszcze jedną sprawę, a potem ucieknę. I powiem ci: tak, ty to sprawiłeś, Aktarze.

– W jaki sposób?

– To jest ważne? Dobrze, powiem ci: to przez ten przekłętą kubek z miodem dla Emiry. Próbowałem o czymś zapomnieć, ale się nie udało. Może lepiej wozić taki głupi kubek i pamiętać o kimś tak, jak pamiętasz ty?

Pojechał ku drodze, a za nim jego dwaj Jeźdźcy, ciekawymi spojrzzeniami obrzucający dawnego dowódcę swego wodza.

o o o

Drogą znowu jechały wozy.

– Pora na nas, Ayano – rzekł Aktar. – Możemy siedzieć gdziekolwiek, ale nie tutaj. Co chwila będziemy mieć gości.

Rzeczywiście, dosiadający muła człowiek zjechał z drogi i zmierzał ku nim. Po wieści. Porzucone wozy i wielka świeża mogiła zwracały uwagę każdego.

Aktar przed chwilą sprawdził juki przy kulbace wierzchowca. Znalazł wszystko, nawet swoją broń. Właściwie wcale nie dziwiło, że złożony na wozie pełen koński rząd i sakwy podróżne Jeźdźca zwróciły uwagę... Jeźdźców.

– Jeszcze nie – powiedziała cicho. – Nelen mi kazał, ale ja...

Zagryzła usta. Rzadko widywał ją tak niepewną i zmieszaną. Przestraszoną.

– Nie wiem, czy umiem zrobić coś mądrego – dokończyła.

– A co masz do zrobienia? Może doradzę.

– Postanowisz.

– Postanowię za ciebie?

– Tak.

Przyglądał się z uwagą.

Jadący od drogi poganiacz mułów przystanął w odległości kilku kroków i pozdrowił ich. Po raz kolejny wyjaśnili, jak się mają sprawy. Wynagrodzeni bardzo uprzejmym podziękowaniem, wkrótce znowu zostali sami.

– Szukałaś mnie. Do tej pory nie wiem dlaczego. Czy to ma związek z...

– Tak.

– Słucham. Usiądźmy i...

– Nie. Nie siadajmy.

Dziwna to była rozmowa.

– Trzy lata temu – zaczęła – coś się wydarzyło.

– Trudno, żebym nie pamiętał. Uratowałaś mi życie.

– Nie to. Coś innego.

Zdziwił się. Od tamtego czasu dwa razy go odwiedziła – ale nie wspomniała, że „coś się wydarzyło”. To były krótkie spotkania, jednak... Prawda, że po każdym miał wrazenie, jakby wyjeżdżała, nie załatwiwszy ważnej sprawy.

– Nie widzieliśmy się półtora roku, ale wcześniej przecież... – Nie dokończył. – Dwa razy byłaś u mnie. W TEJ sprawie?

– Tak.

– Powiedz wreszcie.

– Masz córkę – powiedziała, po czym się skuliła, jakby oczekiwała smagnięcia łączykiem łuku.

Milczał, próbując zrozumieć znaczenie dwóch słów.

Wzięła głęboki oddech.

– Mam córkę – uściśliła. – Ma dwa lata. Jest z Wenewem. Chciałam... próbowałam ją...

Czekał.

Tylko na co?

Nieoczekiwane, najważniejsze wieści bardzo często spływają jak woda. Łatwo się pochylić nad drobną ciekawostką, nawet przyjąć złą wiadomość o śmierci sąsiada... To są sprawy łatwe, rozumiałe.

Wieści, które odmieniają życie, nie przyjmuje się ot tak, po prostu.

– Bałam się powiedzieć – dorzuciła i zaczęła płakać.

– Bałaś się powiedzieć ojcu, że... jest ojcem? – zapytał po długiej chwili.

Skinęła głową.

Poprawił jeszcze juki, niepotrzebnie dociągnął popręg. Poluzował. Sprawdził długość strzemion – choć to była jego własna kulbaka.

Dosiadł konia.

Rację miał Nelen. Gdybyż ta kobieta choć raz w życiu zrobiła coś mądrego. Szukał w pamięci, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Aż znalazł. Uratowała mu życie, sprowadzając wtedy człowieka, który miał wobec niego dług wdzięczności.

– Wsiadaj i jedźmy – powiedział.

– Jeszcze nie.

– Dlaczego?

– Bo to jeszcze nie wszystko.

Powiodł spojrzeniem po linii lasu.

– Próbowałam – powiedziała szybko, bez zastanowienia. – Chciałam ją wychować, być matką. Uciekłam, najpierw na trzy miesiące, ale wróciłam. Ale potem znowu... Gdybym nie miała brata...

– No właśnie, twój brat. Jeden z najmądrzejszych ludzi, jakich znam. Wenewet nie kazał ci jechać do mnie i...

– Kazał! Byłam dwa razy.

– Ale mi nie powiedziałaś.

– Bałam się.

– Czego?

– Ciebie.

Niewiele rzeczy w życiu Aktar oglądał dotąd tak dokładnie, jak niedaleką lizjerę lasu.

– Teraz wysłał cię po raz trzeci?

Skinęła głową.

– Nie poradzę sobie, a Wenew wyjeżdża – powiedziała cicho. – Ja... nie potrafię, Aktarze.

- Czego nie potrafisz?
- Być matką.
- Jesteś matką.
- Tak. Armektańską.

We wszystkich krainach Szereru „armektańska matka” znaczyło tyle co „wyrodna”.

Tak było od niepamiętnych czasów. W kraju, gdzie zawsze rodziło się – a przede wszystkim przeżywało – zbyt wiele dzieci, gdzie kobiety zajmowały się tym wszystkim, co mężczyźni, powinności rodzicielskie spadały głównie na ojców. Kobieta łatwo mogła mieć kolejne dzieci; mężczyzna niekoniecznie, więc pilnie strzegł tego, co miał.

A zresztą... Na przestrzeni wieków wiele tęgich głów szukało odpowiedzi na pytanie, dlaczego w Armekcie mnóstwo spraw wygląda inaczej niż w innych stronach Szereru. Znalaziono wiele mądrych odpowiedzi – ale tylko kilka zadowolających. I wykluczających się nawzajem.

- Uważasz, że jeśli znowu... Mam znowu być twoim mężem? Nie umiałaś być żoną, teraz nie możesz i nie umiesz być matką, ale przy mojej pomocy potrafisz?

- Tak, na pewno.

Jeszcze raz obejrzał linię lasu.

- Nelen miał rację, gdy mówił: zrób coś mądrego. To nie jest mądre kłamstwo, Ayano.

- Dlaczego kłamstwo?

- Wytrzymasz miesiąc, może trzy miesiące. Gdy już będziesz całkowicie pewna, że przyjąłem na siebie obowiązki ojca... Wenewet nie musi z tobą zostać. A ja będę musiał zostać z naszym dzieckiem.

- Nie ucieknę! – powiedziała gwałtownie.

- Czy to na pewno moja córka, Ayano?

Zmarszczyła brwi, a w następnej chwili niespodziewanie się roześmiała.

- Zobaczysz ją i będziesz wiedział – powiedziała z bardzo ciepłą kpinią. – Po mnie ma chyba tylko oczy. A poza tym...

Znowu zamilkła.

- Jednak jedźmy, Ayano – ponaglił, wskazując nowe wozy na zakręcie drogi.

Dosiadła konia i pojechali.

- Co: poza tym? – przypomniał, gdy przemierzili kilkadziesiąt kroków.

- Chciałam dać jej imię, które ty byś wybrał – odrzekła po długiej chwili. – To twoja córka i dlatego...

Znów jechali w milczeniu.

- I jakie dałaś jej imię?

- Emira.

Nic nie odrzekł, lecz po chwili ponaglił konia. Może dokądś mu było spieszo – a może nie chciał, by coś zobaczyła.



## Gówno (Piratka i żołnierz)<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> Brzydki tytuł tego opowiadania leżał na wierzchu, więc go wziąłem; tytuły nadaję po skończeniu pracy nad tekstem, wcześniej używam roboczych. A jednak to nie był dobry pomysł. Na przestrzeni kilkunastu lat nazywałem się i nasłuchiłem, jak epatuję wulgaryzmem, próbując... chyba wybić się na literacką niepodległość? Najchętniej po prostu zmieniłbym tytuł, ale w ten sposób wprowadzę w błąd czytelników, którzy już znają to opowiadanie. Dowiedziałbym się także, iż sprzedaję stare rzeczy w nowym opakowaniu. A co gorsza, byłoby w tym trochę prawdy.

Tytuł zostaje. Proponuję równoległy; dla kogoś, kto odczuwa dyskomfort, używając wulgaryzmu – a jestem to w stanie zrozumieć – tytuł *Piratka i żołnierz* powinien być do przyjęcia (przyp. Aut.).

## ROZDZIAŁ 1



Olbrzymi plac położony tuż obok portu dźwigał na szerokiej piersi targowisko. Handlowano tu przez cały rok, wyjąwszy dwa pierwsze miesiące jesienne, kiedy to kapryśna pogoda zmuszała zarówno sprzedawców, jak i nabywców do oczekiwania na spokojne dni. Zwyczajnie o tej porze roku sztormy, tłukące brzegi Garry, przybywały na skrzydłach wichrów, które na otwartym placu w mgnieniu oka mogły unicestwić setki bud i kramów. Jesienią handel zamierał, uciekał do niezliczonych sklepików, jarmarczne budy zaś z otwartego rynku przenoszono w głąb ulic, gdzie solidnie umocowane, tuliły się do ścian domów.

Teraz jednak było późne lato i na Morskim Targu kłębił się wśród straganów wielojęzyczny tłum, złożony z przedstawicieli wszystkich możliwych profesji – i wątpić należy, czy pod niebem Szereru istniało coś, czego nie można by na Morskim Targu kupić. Ot, na skraju placu, na zydelku pod płóciennym daszkiem, siedział smutny grubasek sprzedający łodzie; wprawdzie nie sposób było żadnej dojrzeć, ale za to na szyldzie widniał bardzo ładny malunek rzecznej szkuty, który to malunek, dla większej pewności, objaśniono napisami w czterech głównych językach Szereru. Widniało tam: BARKI I ŁODZIE, KUPNO–SPRZEDAŻ. Poniżej jeszcze nieśmiało i wstydliwie dopisano drobniejszymi literami: ŻAGLOWCE. Smutny grubasek trzymał flaszkę z inkaustem i plik czystych kart, na których to kartach sporządzić mógł zaraz umowę o zupełnie dowolnej treści.

Na grubaska, na szyld, a na koniec i na butłę z inkaustem spozierał właśnie trzydziestokilkuletni, łysy jak kolano mężczyzna; ani chybi to jego wygląd był przyczyną smutku na twarzy handlarza. Potrącany przez przechodniów łysol gapił się i ani drgnął, był to bowiem nie grubasek, a grubas, na dodatek grubas wysoki, krzepki do nieprzyzwoitości; grubas, który, jak się zdawało, jednym pierdnięciem po wieczery wymieść mógł gości z najobszerniejszej gospody. Korpulentny kupiec na zydelku na pewno nie mógł dokonać podobnego czynu, miał więc czego olbrzymowi zazdrościć. Popatrzyli na siebie – jeden smutno, drugi z wyższością – po czym grubas odszedł, trzęsąc gruntem przy każdym postawieniu stopy.

Z jakichś powodów tłuszciochy cieszą się zazwyczaj opinią ludzi dobrodusznych. Sprzedawca łodzi przyglądał się brzuchowi, nie zaś twarzy łysola i prawdopodobnie tylko z tego powodu nie obsikał swojego zydelka, była to bowiem twarz sukinsyna jakich mało, draba niemilego a wstrętnego, któremu na dodatek przynajmniej cztery razy śmierć z bliska zajrzała w oczy. Cztery razy – bo wielki tłuszcioch tyle właśnie szram nosił na paskudnej gębie i nie były to bynajmniej pamiątki po nieuważnym gołeniu. Policzek rozchlastano jakimś długim ostrzem, prawdopodobnie mieczem, podobnym narzędziem naznaczono też czerep, który dzięki temu upodobił się mocno

do zadka. Pod okiem widniała mniejsza blizna, chyba od noża, a łuk brwiowy, zgrubiła na całej długości, rozwalono przed laty maczugą, albo może wyjątkowo mocną pięścią. Przeciskając się przez tłum, grubas straszyl przechodniów gębą, a gdy to nie pomagało, bezceremonialnie odsuwał ich na boki, używając ręki, która poniżej łokcia miała grubość lydki, a powyżej – uda. Wyjął bulkę z kosza niesionego przez sprzedawcę, zapłacił, włożył ją do ust, pożarł i ruszył dalej, aż dotarł do czegoś w rodzaju karczny pod gołym niebem.

Na znacznej przestrzeni ustawiono ogromne stoły i bardzo długie ławy, między którymi stale kręcili się przekupnie, ale tylko tacy, którzy oferowali jadło bądź napitki, bo innych do stołów nie puszczano. Na szerokich blatach, oprócz obtłuczonych misek ze strawą i drewnianych kubków za miedziaka, za tyleż wypożyczanych przez dwie obrotne baby z koszami, leżały najrozmaitsze dobra, oglądane przez zadowolonych albo skwaszonych nabywców. Widywało się całe rodziny, które poczyniwszy zakupy, posilały się teraz i cieszyły, ale jeszcze częściej kłóciły bądź nad czymś zastanawiały. Zazwyczaj: jak zwrócić to wszystko, żeby przeżyć do końca miesiąca.

Grubas usiadł na ławce, posłuchał skrzypienia pod dupskiem, gdy skrzypienie zamieniło się w trzeszczenie, wstał i poszedł ku następnej ławce, usiadł raz jeszcze, zachowując najwyższą ostrożność, znowu wstał i wypatrywszy tęgi słup, do którego przytwierdzone były wskazujące drogę tabliczki z najrozmaitszymi rysunkami, oparł się oń, założył ręce na piersi i odpoczywał, stojąc, skoro siedzieć niestety nie mógł. Oglądał tłum przy stołach, było to jednak spojrzenie zwykłego gapia – kogoś, kto nikogo nie szuka, na nikogo nie czeka; ot, po prostu przygląda się ludziom, tak jak przyglądały się gdzie indziej mewom albo drzewom.

A mewy rzeczywiście były tutaj plagą. Porywały ludziom jedzenie.

Niedaleko miejsca, w którym stał grubas, widniała wolna przestrzeń – wyglądało to tak, jakby jeden ze stołów wyniesiono. Na ławach wokół tego miejsca wydzieriała się jakaś banda zbójów, niechlujnych, że aż przykro, za to obwieszonych złotymi kolczykami, umocowanymi gdzie tylko się dało, a były to kolczyki o rozmiarach kółek, które wpina się bykom w nozdrza. Między zbirami siedzieli dwaj muzykanci, jeden wcale zręcznie wypukiwał rytm na bębenku, drugi zaś piskał na flecie czy fujarce. Wrzaski gruchnęły ze zdwojoną mocą, przeradzając się w owację, po czym przycichły; w kręgu gapiów pojawiła się dziewczyna.

Nie tylko łysy grubas oglądał niezwykły występ. Coraz więcej ludzi podnosiło się z ław, chcąc zobaczyć tancerkę nad głowami siedzących obwiesiów. Wirująca w tańcu bosonoga dziewczyna podniosła stary marynarski płas do rangi oszalamiającego widowiska, kręcąc się z rozkrzyżowanymi ramionami, to znów unosząc je nad głowę, przeplatając krok w lewo albo w prawo – a wszystko to czyniła na osłep, bo z zawiązanymi barwnym fularem oczami. Miała na sobie rozdartą i zawiązaną na węzeł koszulę, okrywającą wyjątkowo duże i pękate niczym dwa dzbanki piersi, niżej zaś nosiła szare żeglarskie hajdawery, nad którymi widniał goły, ładnie zaokrąglony, siedmio- lub ośmiomiesięczny brzuszek. Na owym brzuszku, trochę powyżej pępka, bardzo starannie po garyjsku napisano inkaustem „skurwysyn”. Litery na spoconej skórze zaczynały się powoli rozplywać.

Melodia nabierała tempa, brudne draby zdumiewająco składnie, coraz szybciej nuciły każdy refren, strzelając przy tym palcami; było całkiem jasne, że piękna pannica nie po raz pierwszy tańczy dla tych ludzi. Wymykające się spod chustki niebawyale bujne, potargane włosy zakrywały to znów odsłaniały twarz, której część widoczna pod fularem wydawała się wprost doskonała; tych rysów nie mógł oszpecić nawet krowi – bo co z tego, że złoty? – kolczyk wpięty w przegrodę nosową, tak ciężki i wielki, że opierał się na górnej wardze. Lgnęły do spoconych piersi wisiorki i naszyjniki, dobrane



bez ładu i składu. Dzwoniły bransolety i łańcuszki opinające kostki nóg, migotały pierścionki na palcach dłoni i stóp; królowna miała na sobie fortunę. Srebro ze złotem, szmaragdy z perłami – było tam wszystko ze wszystkim.

Niektórym jednak to nie przeszkadzało. Zachwycony wdziękiem i urodą młodej kobiety, oparty o słup grubas mimowiednie jął się uśmiechać i w tym uśmiechu jego szpetne, bandyckie oblicze ogromnie złagodniało. Może jednak nie bez kozery uważano tłuściochów za ludzi pocziwych?...

Ten jednak, pocziwy czy nie, był na pewno mało spostrzegawczy; uśmiechając się do swych myśli, jakoś nie zauważył, że dziwnie wielu ludzi, raz tylko zerknąwszy na tancerkę, oddalało się spieszenie, zamiast podziwiać występ.

W opętańczym rytmie nadawanym przez bębenek, którego głos był teraz nieustannym, rozfalowanym turkotem, dziewczyna pobieгла po okręgu i zrobiła figurę powszechnie zwaną gwiazdą – a następnie machnęła jeszcze jedną, jeszcze i jeszcze... Na oczach osłupiałych ze zdumienia i podziwu widzów (bo choć wielu uciekło, to równie wielu zostało) brzemienista tancerka kręciła się z szybkością, która urągała wyobrażeniom o ludzkich możliwościach, a już na pewno możliwościach kobiety w odmiennym stanie. Wirowała spowita w furkot swych szerokich hajdawerów, roześmiana, ze skotłowanymi włosami i zupełnie już rozwiązana koszulą, odsłaniającą piersi, a raczej tylko ich rozmazane zarysy. Na sam koniec wykonała w powietrzu pełen obrót przez plecy i gruchnęła na kolana w środku kręgu, aż poszedł na boki kurz. Muzyka umilkła i w nagłej ciszy słychać było stłumiony okrzyk jakiejś kobiety, mającej chyba niezachwianą pewność, że pannica z wymazanym inkaustem brzuchem lada chwila poroni.

Ale nie poroniła. Bezwstydnie półnaga, roześmiana, oburącz sięgnęła pod włosy, rozwiązała i zdjęła z twarzy zasłaniający oczy fular, po czym powiodła spojrzeniem najpierw po obliczach swych kompanów, a następnie po oniemiałych widzach.

Ktoś nie wytrzymał i zaklął. Piękna tancerka nie miała oka, a miejsce po nim zdawało się dowodzić, że wydarło je z największą brutalnością, może w jakiejś bójce na noże, bo na pewno nie straciła go za sprawą wypadku. Pusty, obwiedziony krzywymi fałdami blizn oczodół wywierał wstrząsające wrażenie; tym większe, że osadzony był w twarzy o tak regularnych rysach. Wśród żeglarskiej braci jednookich było całkiem sporo – bójki czasem źle się kończyły, a i wypadek w zatłoczonej dziobówce zdarzał się wcale często, bo spał tam jeden na drugim. Ale kto pobił taką kobietę?

Mocno zbudowany, chyba lekko podpity mężczyzna z pięcioletnim malcem na plecach pospiesznie zszadzał dziecko na ziemię, chcąc je ustrzec już nie tyle przed gorszącym widokiem obnażonych piersi dziewczyny, co przed strasznym obrazem jej okaleczonej twarzy. Być może to temu właśnie człowiekowi wydarło się przekleństwo, zrodzone z zaskoczenia i zgrozy. Tancerka patrzyła teraz wprost na niego i w chwili, gdy już miał się oddalić, powiedziała z zdyszaniem, ale wyraźnie brzmącym głosem:

– Hej, ty tam!... Mówiłeś coś?

Mężczyzna obejrzał się odruchowo i zrozumiał, że odezwała się właśnie do niego.

– Ja? – zapytał niepewnie.

Usiadła na ziemi na podwiniętych nogach, niespiesznie zawiązując nowy węzeł na przepoconej pod pachami koszuli, która żadną miarą nie chciała okryć ciężkich kul, rozkołysanych nad wydętym brzuchem.

– Tak, ty właśnie, tatuśku. Chodź no tu.

– No, akurat.

Bez żadnej komendy trzech zbirów jednocześnie rzuciło się ku mężczyźnie, odpychając stojących na drodze ludzi, którzy zresztą zaczęli pierzchać, widząc, co się święci. Zaskoczony nieszczęśnik pochwycony został za ramiona i łeb, w mgnieniu oka

oberwał pięścią w zęby, potem jeszcze dwa razy w bebechy. Wrzeszczący wniebogłosy malec uczeplił się jego nogi, ale brudny drągał z trzema kolczykami wpiętymi w złamany nos oderwał go, potem capnął za kark i powlókł śladem zakrwawionego ojca, któremu spomiędzy połamanych zębów ciekła krew. Brzemienna piękność już nie siedziała na ziemi, pokazała tylko gestem, żeby przytrzymać pojmanego, i ostro powiedziała do dryblasa:

– Zabierz stąd dziecko!

Po czym – nie do wiary – rzuciła malcowi pierścioneł.

– Masz.

Zbój podniósł oprawiony w złoto kamień i wcisnął małemu na kciuk.

– Tylko nie zgub – powiedział z troską w głosie. – To za tatę.

Cztery draby siedziały na nogach i ramionach poturbowanego mężczyzny, który krztusząc się, próbował wykręcić głowę w bok. Zobaczył trzymanego w powietrzu, półżywego ze strachu, duszącego się łzami syna, któremu świat właśnie rozpadał się w kawałki. Gdy ma się pięć lat, w wielkiej dłoni ojca zakłete są wszystkie siły i potęgi świata... Nadludzkiem wysiłkiem nieszczęśnik zdołał oswobodzić jedno ramię, lecz natychmiast wykręcono je z powrotem. Wszystko, co największe dla mężczyzny: złudne, lecz krzepiące poczucie bezpieczeństwa, jakie daje swoim najbliższym, zamordowane zostało przez kilku brudnych drabów.

Rozbrzmiał flet, a zaraz po nim bębenek w dzikim rytmie ber-hera. Brzuchata piękność wydała przeraźliwy pisk i skoczyła na plecy unieruchomionemu mężczyźnie, tratując go w tańcu, z całej siły waląc piętami, skacząc opętańczo, może nawet w rytmie nadawanym przez muzykę, ale w sposób niemający nic wspólnego z prostym płasem objętych ramionami marynarzy. Stary ber-her nie był tańcem zwierząt ani morderców.

Unoszony dzieciak wyl jak katowany pies.

– Zawołaj tatę! Zawołaj tatę, no! – rechotliwie namawiał trzymający go drab, tak wielki, że większy nawet od grubasa pod słupem, po czym sam zaczął wołać cienkim głosem: – Tato! Chodź tutaj! Taatuus!

Odniosł dzieciaka jeszcze dalej, ale nie puścił. Trzymał.

Dławiący się, płaczący z bezsilności mężczyzna wytrzymał wszystko, lecz nie sprostał uderzeniu kolan, gdy skoczyła w górę i całym ciężarem spadła mu na plecy. Krzyknął ochryple, wykrztuszając z ust ślinę i krew. Zerwała się i dzwoniąc bransoletami, pokrzykując wojowniczo i klaszcząc przed twarzą, znowu tłukła piętami nerki leżącego; było jasne, że mężczyzna zaraz skona, a w najlepszym wypadku na zawsze zostanie kaleką. Lecz straciła równowagę, gdy noga jej się omsknęła; musiała zeskoczyć z pleców katowanego.

– Leżeć, świnió! – wrzasnęła rozgniewana i kopnęła mężczyznę w bok, szczerząc zęby, po czym znowu kolanami grzmotnęła go w kark. – Masz spokojnie leżeć, kiedy tańczy!

Pochwyciła mężczyznę za włosy, szarpnęła głowę do góry i pochylając się mocno, niemal przykładając policzek do jego policzka, wycelowała wskazujący palec w jedno z wytrzeszczonych, półprzysłoniętych oczu.

– Nie podobam ci się?... No, to zaraz będziesz wyglądał tak jak ja.

Pośród zgielku wszczynanego przez rozradowanych drabów, w tle którego ledwie było słycać spazmatyczne wycia trzymanego z dala dzieciaka, wielki tłuścioch oderwał plecy od słupa i postąpił dwa kroki naprzód. Ktoś chwycił go za ramię. Łysa głowa odwróciła się powoli, a wyblakłe oczy ze zdumieniem ogarnęły postać zuchwalca. Trzydziestoletni, szczupły mężczyzna przy mieczu, w stroju, który mógł być strojem awanturnika-obieżyświata, nie uląkł się, choć poznaczona bliznami twarz grubego zabijaki mogła wyrzucić wrażenie na każdym.

- Co robisz? Straciłeś rozum?
- Zabiją go – rzekł tłuścioch, wyrwijąc rękę z uścisku.
- Zabiją i ciebie, głupi. Sam jesteś, a ich ośmiu!

– Siedmiu i baba. Ani głupi, ani sam, patrol już idzie. Puszczaj, bo cię...

W samej rzeczy, przeciskając się przez zmieszaną, odpływającą coraz dalej cizbę wystraszonych ludzi, pośpieszali żołnierze z miejskiego patrolu, a raczej dwóch połączonych patroli, bo było ich aż sześciu.

– Patrol?! – syknął awanturnik. – Skąd ty jesteś, skąd cię przyniosło? Nie wiesz, kto to jest?

– A kto niby? – Tłuścioch po raz drugi wyrwał rękę i zamierzył się wcale nie na żarty.

– Gównu! – cisnął mężczyzna, odskakując.

– O ty, twoja... – Łysol chwycił go za przyodziewek na piersi.

– Mówią na nią Gównu! Taka jest! Patrz na swoich wojaków, mądralo... No, puszczaj mnie i patrz! A potem daj się zabić, jeśli chcesz!

Grubas spojrział na żołnierzy z patrolu. Właśnie odwracali się plecami i pospiesznie wracali tą samą drogą, którą przyszli.

Imperialni żołnierze byli, jacy byli. Lecz do wojska nikogo nie wcielano siłą; w zamian niejednego wyrzucono. Pijaństwo na służbie bądź przymykanie oczu na jawne bezprawie (a jeszcze wobec tak licznych świadków!) – podobne rzeczy w imperialnych legiach w ogóle się zdarzały.

– Co to jest? – wymamrotał osłupiały łysol.

– To jest wojskowy patrol na ulicach Dranu – wycodził przez zęby natręt. – Ona może tu robić, co chce, a żołnierze ci nie pomogą. Może innym piratom trochę by pogrozili, ale tej tu na pewno nie. Życie ci zbrzydło? Chodź stąd, już!

Oniemiały tłuścioch dał się odciągnąć od miejsca, gdzie wciąż jeszcze turkotał bębenek i zawodził flet. Dziewczyna znowu tańczyła, ale już trochę dalej, krzycząc co sił w płucach, piszcząc i klaszcząc nad głową.

Stratowany mężczyzna próbował wlec się po ziemi, pędził do niego zaryczany malec.

o o o

Port w Dranie był niegdyś jednym z najruchliwszych miejsc w Szererze. Zawsze cieszył się wątpliwą sławą największego zbiorowiska mętów i niespokojnych duchów, ale taka była cena za życiodajny dla miasta ruch; za tłumy ludzi mówiących wszystkimi językami; za przepływające we wszystkie strony strumyki srebra i złota; za stubarwne żagle przybyłych zewsząd statków i okrętów. U portowych nabrzeży cumowały nie tylko pełnomorskie żaglowce z czterech stron świata, ale także wojenne okręty Floty Głównej Garry i Wysp, był bowiem Dran przystanią macierzystą trzech ciężkich eskadr, czyli pełnej flotylli straży morskiej. Ponadto zawiijały do Dranu płaskodenne statki żeglugi śródlądowej, jako że port morski, położony w ujściu Baharu, największej rzeki na wyspie, połączony był z rzeczną przystanią.

Jednak ostatnimi laty ranga miasta zmalała. Złoty Dartan po wojnie z armektańskim imperium nie miał floty, kontrolował tylko Morze Zamknięte, bo po prostu zatkał prowadzące do tego akwenu cieśniny swoimi sławetnymi galerami, kosztownymi i przestarzałymi, ale wciąż mogącymi staranować każdy okręt świata niezdolny do ucieczki – a w cieśninach wiodących na Morze Zamknięte żaden do

ucieczki nie był zdolny. Sprawdzano każdego, kto tam wpływał. Na innych wodach było znacznie gorzej. Wieczne Cesarstwo, uwikłane w liczne konflikty i wojny, coraz słabiej kontrolowało terytoria zamorskie, a jeszcze słabiej same morza, co natychmiast odczuli na swej skórze kupcy, wydani na łup morskim zbójcom. Kiedyś piractwo było kłopotem – teraz plagą. Nieliczne garyjskie okręty raczej uciekały przed silnymi zbójceckimi eskadrami, niżli stawiały im czoło; o konwojowaniu kupieckich ładunków nie było nawet mowy. Właściwie robił to już tylko Armekt, ale co oczywiste, najbardziej chronił swoich własnych kupców, a innych co najwyżej przy okazji. Podupadł więc handel kontynentu z Garrą, a tym samym podupadł Dran. Wciąż był ważnym ośrodkiem handlowym i najważniejszym portem wyspy, ale nie miał już tego znaczenia co kiedyś.

Takie właśnie miasto od kilku dni oglądał tłusty olbrzym ze szramami na twarzy i wyraźnym dartańskim akcentem w głosie. Był w Dranie po raz pierwszy, a jednak po tysiącu szczegółów poznawał, że czasy największej świetności to miasto ma już za sobą. Zbyt wiele domów tutaj wystawiano na sprzedaż; zbyt wielu ludzi przebąkiwało o wyjeździe, zbyt wiele tawern i zajazdów zamykano. W straganach i kramach wykładano tandetę. Wielkie interesy? Kiedyś, cokolwiek w Dranie kupiono i ile by tego było, na pewno dało się sprzedać dalej. Teraz każdy musiał liczyć się ze stratą, jaką przedź lub później poniesie, wożąc towary na kontynent. I na miejsce wielkich pieniędzy wchodziły ciemne sprawki. Nieprawdopodobne zajście na rynku, nie pierwszy dostrzeżony, ale za to najjaskrawszy akt bezprawia, uwieńczyło opinię przybysza o mieście.

Nie była to dobra opinia.

Zresztą cała Garra niewiele miała wspólnego z krajem zapamiętanym z dzieciństwa i wczesnej młodości. Wielka wyspa, z jednej strony szarpana przez miejscowych możnowładców i różnych urzędników, z drugiej strony ciągnięta przez Wieczne Cesarstwo, wyglądała jak... pobojuwisko. Miejsce, gdzie różni włóczędzy wrywają sobie wojenne trofea, ale nikt nie rządzi i nawet rządzić nie zamierza.

– Jeśli tak to widzisz – rzekł trzydziestoletni nieznajomy, bełtając wino na dnie kubka – to masz duży dar obserwacji. Wszystko prawda.

Wielki grubas, wyciągnięty z tłumów okupujących Morski Targ, wciąż nie mógł dojść do siebie po zdarzeniu, którego był świadkiem, a omal nie został uczestnikiem. Skinąwszy tylko głową, skołowany przyjął zaproszenie do niewielkiej knajpy niedaleko Targu. Siedzieli teraz, pijąc cienkie wino garyjskie z kwaśnych miejscowych winogron, bo piwa akurat zabrakło.

– Skąd jesteś? Z Dartanu? Co cię tu przyniosło?

– Z wojska – powiedział grubas. – Biłem się w ostatniej wojnie. Kontrakt wygasł... Podpisałem nowy, ale że na razie miałem dość wojaczki, a nawet patrzenia na żelastwo, no to wzięłem urlop. Mam się stawić dopiero za rok.

Choć mocno zabarwiony dartańskim, garyjski bez wątpienia był ojczystym językiem tłuściocha. Wojskowa przeszłość wyjaśniała, dlaczego ten osobnik o twarzy szubrawca potrafił wysławiać się do rzeczy i składnie: imperium nie życzyło sobie tumanów w szeregach legii. Gdy do poboru stawiało się dwóch drągali, jeden trochę silniejszy, a drugi mądrzejszy – prawie zawsze wybierano mądrzejszego.

– Topornik? – zapytał domyślnie nieznajomy.

– Mniej więcej – odparł niejasno tłuścioch, po czym przedstawił się: – Wołają na mnie Mały.

– Tak dla żartu?

– Mniej więcej – powtórzył łysol. – Bo byłem najmnniejszy w dziesiątce.

Ważący tyle co dwóch normalnych mężczyzn zabijaka nie był wprawdzie wysoki na miarę swojej tuszy, ale i tak wzrostu sporo więcej niż średniego. Zdziwiony

rozmówca nie zdążył jednak zapytać o ową formację olbrzymów, bo nie dano mu na to czasu.

– Ale co ty tak podpytujesz? Może i prawda, że dzięki tobie mam gębę w jednym kawałku...

(Cokolwiek o gębie powiedziec, w jednym kawałku bywała ona rzadko).

– ...ale zabić pewno by mnie nie zabili. Zresztą... No dobra, dzięki. Jednak pytasz i pytasz.

– Bo nie wiem, czy nie miałbym dla ciebie roboty. Spodobałeś mi się tam, na Morskim Targu.

– Roboty? – Wojak niechętnie wyjął wargi. – Ojciec jakiś czas temu sprowadził się do Dranu, po staremu handluje. Kulawo, bo kulawo, ale jakoś na kąt zarabia i mieszkam teraz u niego. Mam co jeść, macocha też dobra kobieta, nie patrzy na mnie krzywo, chociaż wcale dotąd nie znała. Srebra trochę przywiozłem, więcej mi nie trzeba.

– Pieniądze to jedno – powiedział obieżyświat. – Ale nie dla pieniędzy chciałeś złapać tę dziwkę za łeb.

Grubas pokiwał naznaczonym przez żelazo czerepem.

– Niby nie. Ktoś ty?

– Strach powiedzieć. Nie spodoba ci się.

– No, kto?

– Szpicel. Pracuję dla Trybunału, jestem gończym urzędnikiem. Nazywam się Askar.

Na wybranych z tłumu dziesięciu Armekańczyków przynajmniej jeden nosił to imię. Podobnie jak na dziesięć Armekańek dwie na pewno były Ajanami.

– Może być – obojętnie powiedział Mały. – Wysokie szarże was nie lubią, bo wtryniacie się gdzie nie trzeba. Mnie tam wszystko jedno. Ktoś musi szukać bandziorów, żeby ich żołnierze mogli łapać. Ale... zaraz. Łaziłeś za nią? Za tą panną?

Był to człowiek otwarty, chyba raczej wielomówny niż skryty, ale nie bezmyślny gaduła, klepiący i niesłuchający. Potrafił szybko wyciągać wnioski z tego, co usłyszał.

– Tak. Ślepa Ridareta, Ślepa Foka Ridi. Nie słyzałeś o niej?

– Jakoś nie. Ale mówiłeś wcześniej, że inaczej na nią wołają?

– Gównno – spokojnie potwierdził zapytany. – Żaden żołnierz ze straży morskiej nie powie na nią inaczej. Bo po pierwsze, potrafi zatruć i obrzydzić wszystko, nawet morską wodę, a czego tylko się dotknie, to od razu śmierdzi. Widziałeś, co sobie napisała na brzuchu?

– Ta.

– Czy „syn”, to nie wiem, ale początek zgadza się na pewno. A z tym „gównnem” to najbardziej chodzi o to, że jej ojciec był kiedyś piratem, ale takim wiesz, legendarnym. Po tym, jak spalił port w Llapmie i wybił tam pół garnizonu, Dartańczycy nazwali go Demonem Walki. Bardzo po dartańsku, no nie? – dorzucił z ironicznym uśmiechem.

Dartańczycy lubowali się w kwiecistych, pompatycznych i wymyślnych nazwach. Jeśli statek – to przynajmniej „Wicher Bezmiarów”; jak gospoda – no to „Smaragdowy Sen Księcia”. Mały skinął głową na zgodę, lecz myślał o przezwiskach dziewczyny. Na Wyspach słowo „foka”, użyte wobec kobiety, miało ten sam wydźwięk, co na kontynencie „krowa”. „Gównno” wszędzie znaczyło to samo. Naprawdę, kimkolwiek była brzuchata piękność z rynku, nie nazywano jej tutaj żadnym ładnym imieniem. Ślepa Foka?...

Chyba to mruknął pod nosem, bo Askar powiedział:

– Jeśli ktoś ją naprawdę lubi, to mówi Piękna Ridi.

– Trochę lepiej.

– Ale to chyba słyszy tylko od swoich.

– No, a co z tym jej sławnym ojculem?

– Właśnie. Rzecz w tym – podjął Askar – że tego „Demona Walki” podchwycili wszyscy, cała brać żeglarska, żołnierze, różni tam brzdąkacze śpiewający w knajpach... No, wszyscy. Nie słyszałem, żeby miał jeszcze jakiś inny przydomek, co najwyżej ktoś powiedział: Rapis albo kapitan Rapis, bo tak miał naprawdę na imię. Nigdy nie uciekał, bił się z każdym, zdobywał całe wyspy, porywał straży morskiej wojenne okręty. Sam pływał na „Wężu Morskim”, największej karace świata, odebranej Gwardii Cesarskiej, czyli tak jakby samemu Imperatorowi. Wyrzutek, ale jaki wojownik. Mówiło się, że jeszcze po śmierci pływał na spalonym wraku „Węża” i taranował okręty. Wiesz, co po nim zostało?

– No co?

– Gównno.

– Aha. I to dlatego ją tak... opaskudzili?

– Najbardziej chyba dlatego.

Mały w zamyśleniu stykał grube paluchy czubkami. Gdy marszczył czoło, poblizniona brew wyginała się nienaturalnie.

– Mówią na nią Gównno, ale omijają, tak jak ci na rynku? I pozwalają na wszystko? Też z obrzydzenia czy co?

– Posłuchaj no, żołnierzu... Gdzie ty jesteś? Obejrzałeś sobie tę wyspę, pięknie mi o niej opowiedziałeś, i co? Nic? Przecież widzę i słyszę, że nie jesteś głupi. To nie Armekt, gdzie ty i twoi koledzy z ulicznego patrolu spuścicie manto każdemu niegrzecznemu pijakowi, a co dopiero szubrawcom z nożami. I nawet nie Dartan, gdzie nowa Straż Krajowa podlega tylko królowej i trzymana jest tak krótko, jak cesarscy legionści gdzie indziej. Tu jest Garra, przeklęta wyspa, na której co i rusz wybuchają rebelie i lada rok wybuchnie kolejna, bo Wieczne Cesarstwo jest tak słabe, jak nigdy. Sam mówiłeś, że na twoje oko każdy tutaj ciągnie w swoją stronę; że nic, tylko bałagan...

– Polityka – przerwał z obrzydzeniem Mały. – Polityka to już nie dla mnie. Ale co to ma do rzeczy? Wszystko jedno, kto rządzi albo będzie rządził. Chce mieć zbójów na ulicach czy jak? Dlaczego wojsko nie skopało tych na rynku, tak jak oni owego biedaka z dzieciuchem?

– Bo to jest właśnie polityka – wytłumaczył Askar. – Piękna Ridi jest agarską księżniczką – wyliczał, po kolei odchylając palce. – Agary to pirackie księstwko na dwóch wyspach; to księstwko ma bardzo silną flotę; ta flota jest potrzebna rebeliantom. Wszczęć bunt i oderwać Garę od imperium to teraz żaden kłopot, ale trzeba ją później utrzymać. Czyli nie dopuścić, by wylądowały tu wojska z Armektu. Do zatrzymania ich potrzebna jest flota. Szlachetne rody garyjskie próbują tę flotę pozyskać.

– Czekaj, zaraz... Ale przecież to nie szlachetne rody, tylko właśnie cesarscy nie ruszają twojej Ridi, tak czy nie?

– Oczywiście – spokojnie odparł szpicel. – Kto ją ruszy, ten będzie miał przeciwko sobie wszystkie pirackie żaglowce, jakie płyną po morzach południowych. Czyli, jak dla mnie, może ruszyć ją każdy, byle nie był urzędnikiem bądź żołnierzem Wiecznego Cesarstwa.

– Ale paskudnie – rzekł Mały. – I wojsko poszło na takie machloje?

– Rozkazy to rozkazy.

– A co ty mi tu pierdzielisz. Rozkazy. Jakbym ja szedł ze swoimi w patrolu i zobaczył coś takiego jak dzisiaj, toby z całej tej bandy nie było co zbierać. A pannę, skoro niedotykał, najwyżej byśmy zawlekli do dowódcy i już jego głowa, co z nią robić. I jego głowa, jak nas wybronić. A wybroniłby, ja ci to mówię.

– Puściłby ją.

– Toby puścił. Ale chłopisko na rynku miałooby więcej całych gnatów. A chłopacy tej Pięknej Ridi mniej.

– Tylko że tu jest Garra, nie kontynent. Żaden miejscowy do imperialnego wojska nie pójdzie, bo swojacy będą mu spluwać pod nogi. A komu ja to mówię? – zachnął się. – Tobie się śniła tunika legionisty, to wybrałaś się aż do Dartanu.

– Babka była Dartanką, a ojciec z Wysp Przybrzeżnych. Ale nic ci do tego.

– Widzisz. Tutaj miejscowy do legii nie pójdzie, a z kontynentu przysyłają do służby byle kogo. Najczęściej przysyłają za karę. Albo niepotrzebnych. Czyli łapserdaki albo słabeusze, tacy to żołnierze. Oficerowie też.

– Taa... widziałem. Ale jeśli tak, to po co za nią chodzisz? Skoro i tak nic nie możesz jej zrobić?

– Żeby się zaciągnąć na jej okręt. Szukam jakiejś okazji.

Mały spozierał w milczeniu.

– Aha – powiedział na koniec. – No tak, szpicel.

– Otóż to. Jest możliwe, że piracka flota Agarów będzie wkrótce flotą kaperską w służbie nowych gospodarzy Garry. Rebeliantów. Jeśli tak się stanie, to trzeba w tej flocie kogoś mieć. I to nie byle gdzie, bo najlepiej na pokładach najważniejszych żaglowców.

– I to masz być ty?

– Tak wyszło.

– A co ja miałbym robić? Bo mówiłeś, że masz robotę, i to chyba jest robota z tą... z tym Gównem. – Dziwnie łatwo się mówiło o dziewczynie z rynku, używając jej brzydkiego przezwiska, co znaczyło akurat tyle, że przezwisko świetnie pasowało. – Inaczej nie mówiłbyś mi o niej tak dużo.

– Trzeba jej wtłuc – wyjaśnił Askar. – Mogę stworzyć okazję i znaleźć dobre miejsce. Mogę ją przed tobą uratować i w ten sposób kupić sobie zaufanie.

– Czekaj. Jak wtłuc takiej... z brzuchem? Mam ją walnąć, a ona co? Zacznie rodzić?

– Akurat zaraz zacznie. Widziałeś, jak fikała na rynku?

– Co ty mi tu za pierdoły opowiadasz? Fikała, to fikała. Nie spiorę baby przy nadziei.

– Mocny to ty jesteś, ale w gębie. Ciekaw jestem, co byś zrobił tam, na Morskim Targu, jakby przyskoczyła z pazurami?

– Jakoś mi niestraszne te pazury. Dalej tłukłbym tych jej pupilów.

– Dobrze, no to jej nie spierzesz, masz ją tylko nastraszyć. Od tego chyba rodzić nie zacznie, wygląda na bojaźliwą? Ma myśleć, że chcesz ją zatłuc, tylko tyle. Wszystko mogę załatwić, dobre miejsce i odpowiedni czas... Nie mogę tylko jednego: posłużyć się ludźmi Trybunału. Ona też tutaj ma swoich szpicli, nawet w legiach i Trybunale, więc ci, których wyśle, mogliby zostać rozpoznani. Mnie do tej roboty ściągnęli aż z Floty Grombelardzkiej. Specjalnie, żeby nikt mnie nie poznał.

– A nie możesz wziąć jakichś najemników? Jakichś, nie wiem, drabów z zaułków? Żeby jej wtłukli, jak mówisz?

– Nając, tutaj? Powiedz komuś, o kogo chodzi, a zacznie ci się śmiać w nos. Albo gorzej: wsadzi ci nóż w brzuch, bo już wcześniej go najął ktoś inny... Tym drabom z zaułków bliżej do piratów niż do urzędników Trybunału.

– To dlatego ci się spodobałem? Że nie masz nikogo lepszego?

– Słuchaj, po raz pierwszy zobaczyłem kogoś, kto naprawdę chciał się za nią wziąć. I to kogoś, kto może zabrać kiesę twardą jak seler, wyjąć z niej połowę zawartości, żeby ojciec, dajmy na to, już nie musiał kulawo handlować, po czym zabrać drugą połowę

i wyjechać. Wyjechać tam, skąd przyjechał, do Armektu albo Dartanu. Czyli dostatecznie daleko, by nikt się na nim nie zemścił.

Mały popadł w zadumę.

– Rozumiesz mnie? – zapytał szpicel. – Ja nie mówię o robocie za srebro. Ja mówię o robocie za złoto.



## ROZDZIAŁ 2



Portowe zaułki w Dranie niezmiernie śmierdziały brudem, moczem, zgniłymi rybami, odchodami i wymiocinami, co upodabniało je do wszystkich innych portowych zaułków Szereru. Lecz na kontynencie nie ścigano ładacznic nawet w Grombelardzie i Dartanie, a w Armeckie to była praca jak każda inna. Natomiast Garyjczycy, surowi w sprawach obyczajów, nie tolerowali ulicznic w żadnych miejscach uznawanych za widoczne. Portowe zaułki „widocznymi miejscami” nie były, co sprawiało, że miały w Dranie rangę największego miejskiego burdelu. Już za parę miedziaków można było tam przeżyć miłosne uniesienia, zaznać słodczych pocałunków i wszelkich rozkoszy w ramionach opartej o zaszczyt mur kobiety, z jedną stopą mocno postawioną na padlinie szczura, skoro druga nieustannie ślizgała się w rzygowinie. W dzień po porcie krążyły – nieliczne, bo nieliczne – wojskowe patrole, ale w nocy zwykle nie było nawet tego. W komendanturze straży morskiej uznawano, że nikt zdrowy na umyśle, a do tego uczciwy nie łązi nocą po porcie, co zaś robią łapserdaki między sobą, to ich sprawa. A bodajby się wszyscy powyrzynali, najlepiej jednej nocy. Raz na zawsze.

Portowych tawern nikt po zmierzchu nie kontrolował – z tego powodu najpiękniejsze i najdroższe ładacznice (a były wśród nich i takie, co miały wszystkie zęby, przynajmniej te najważniejsze, cztery górne na przodzie) okupowały karczemne izby. Byle jakie łajdaczki przeganiano, bo powstałby tłok, niepożądany i zbędny; nie mogło przecież braknąć miejsca dla prawdziwych klientów. Wyszynk trunków przynosił zysk większy niż haracze uiszczane przez wywłoki. Trudno się temu dziwić: w końcu nikt rozsądny, mając do wyboru kobietę albo gorzałkę, nie wyda ostatnich miedziaków na to pierwsze. Przy odrobinie chęci i niewielkim staraniem kobietę można mieć darmo, wystarczy zdybać taką w odpowiednim miejscu i przyrobić parę razy z liścia. A z gorzałką to nie taka prosta sprawa.

Pobrużdżona szramami twarz Małego pasowała do wnętrza tawerny, ale dostatni przyodziewek – całkiem nowa spódnica, niedziurawe buty, ładny pas i skórzany kaftan – zwracał uwagę niektórych. Szybko jednak odwracano pożądlive spojrzenia, albowiem wytworny ponurak ze spokojem gapił się w oczy każdemu i nie bardzo było wiadomo, ilu ludzi właściwie jest niezbędnych do wyzucia go z pysznych szat. Wielki pijany drągał wyzwał go na rękę, ale wyszło na jaw, że i z tego zabawy nie będzie: rozgoryczeni widzowie, którzy w mgnieniu oka obstąpili stół, nie zdążyli nawet dobrze poprzebijać zakładów, gdy łysol położył rękę przeciwnika na blacie z takim mniej więcej trudem i wysiłkiem, jakby tamten zasnął lub stracił przytomność. Zgarnąwszy bliżej siebie kilkanaście wygranych miedziaków, Mały siedział dalej, pijąc

piwo z cynowego dzbanka. Zainteresowanie gości i towarzysząca mu wrzawa przeniosły się gdzie indziej, mianowicie do stołu, na którego blacie turkotały kości.

Mały siedział, gapił się. Pił piwo.

W każdej krainie Szereru inaczej liczono upływ czasu. W armecktańskich i dartańskich miastach popularne były zegary słoneczne, a na największych placach wspaniałe zegary wodne, odmierzające dokładnie dwanaście pór doby. Na statkach wożono klepsydry, tam liczył się czas wachty i przeważnie na ćwierć wachty wystarczyło piasku. Garyjczycy i Wyspiarze, od zawsze żył z morzem, na lądzie też żyli według rytmu wacht (lub odwrotnie, bo co było pierwsze?... ) i także mieli klepsydry: ćwierć-, pół- albo całowachtowe. W Grombelardzie nikt żadnych zegarów nie używał, bo w ogóle nie używano niczego oprócz kuszy i miecza. A w domach w całym Szererze przeważały zegary ogniowe, mające najczęściej postać wolno płonącej świecy z podziąłką. Kosztowny ten wynalazek, wart co najmniej trzy lub cztery małe grosze dziennie, nie mógł oczywiście zagościć w portowej tawernie; była tylko kiepska morska klepsydra, postawiona w niewielkiej niszy i przytwierdzona do ściany wcale solidnym łańcuchem, obracana przez tego, kto pierwszy zauważył, iż piasek się właśnie przesywał. Tego wieczoru obracano ją niezwykle rzetelnie, albowiem Mały pilnował każdej półpory – tutaj raczej każdej ćwierćwachty – i aż dwa razy wychodził zza stołu. Doczekał się wreszcie, dopił piwo, raz jeszcze dla porządku uruchomił zegar, po czym, przerywając swe głębokie rozważania o upływie czasu w Szererze, wyszedł w mrok nocy, nasyconej pijackimi okrzykami, szczeniem jakiegoś psa, a najbardziej pieśnią, której sam tylko refren śpiewano na okrągło gdzieś w oddali. Idąc ciemną uliczką ku portowym nabrzeżom, gruby wojak mamrotał coś pod nosem – a były to chyba przekleństwa.

Rzeczywiście. Prawdę mówiąc, Mały miał duszę na ramieniu. Pociły mu się dłonie, a w ustach było sucho. Jako żołnierz nie bał się niczego; potrafił także dać w mordę zaczepiony przez jakiegoś męta, a niechby i kilku mętów. Ale teraz uwikłał się w paskudną, naprawdę śmierdzącą sprawę. Gównianą sprawę, ale to gównianą co się zowie. Troszkę już zapomniany słodki ciężar trzosa, który ledwie parę dni temu pobrzękiwał pod kapotą, a był przecież tylko zaliczką... Bogactwo! I to prawdziwe.

Na widok trzydziestu sztuk złota ojciec wytrzeszczył oczy, bo potrzebował ładnych paru tygodni, by w ogóle obrócić taką sumą, zarobek miał dużo, dużo mniejszy. Za sztukę złota nędzarz przebiedować mógł dwa miesiące, na samo jedzenie wystarczyło.

„Schowaj i wydawaj ostrożnie, rozpisz to w swojej księdze handlowej albo co” – znacząco powiedział mu syn. „To uczciwe pieniądze, ale lepiej, żeby nikt o nich nie wiedział. Zrozumiano, ojciec? A gdyby ktokolwiek pytał, to nic ci nigdy nie dałem. Darmozjada wychowałeś, zrozumiano?”

Stary ufał synowi, więc tylko kiwnął głową, chociaż nie powstrzymał się, rzecz jasna, od wygłoszenia życiowej mądrości:

„Dobrze, synek. Byleś tylko nie wplątał się w co paskudnego”.

Lecz synek jednak się wplątał i maszerował teraz z zamiarem uczciwego zarobienia pięćdziesięciu sztuk złota, które miały dołączyć do tamtych trzydziestu – jeśli ktoś wydał tyle przez rok, to żył zupełnie wygodnie. Maszerował z duszą na ramieniu, choć ta dusza, no, właściwie nie siedziała tam ze strachu, tylko... z niepewności? Mały nie bał się o swoją skórę; bo to raz wystawiał ją na szwank? Bał się, że coś sknoci. Nie bardzo potrafił udawać. Do ataku marsz? – doskonale. Brać jeńców? – bardzo dobrze; sprawdzicie lepiej i wygodniej jeńców nie brać, ale wziąć też można, no a niech tam. Odwrót? – wiadomo, trudno, odwrót.

Ale straszyć kogoś? Udawać, że chce się zatłuc, oglądając się przez ramię, czy już leci ten, kto niby ma do zatłuczenia nie dopuścić?... A potem jeszcze udawać, że jest się

mniejszym i słabszym od jakiegoś chuderlaka z mieczem. Parszywa sprawa. Okropna robota. Wtedy, przy kubku cienkiego garyjskiego wina, gdy miał świeżo przed oczami obrzydliwe tańce okrutnicy z rynku, wszystko jakoś wydawało się łatwiejsze. I w ogóle bardziej na miejscu. A teraz musiał zrobić to, za co już wziął pieniądze. Bardzo, bardzo dużo pieniędzy, chociaż była to zaledwie zaliczka.

Częściowo rozwalony budynek, będący kiedyś jakimś składem, odnalazł bez większego trudu, tym bardziej że przez szparę w nieodkniętych drzwiach sączyło się słabiutkie światło. Niedaleko skrzybiał osprzęt cumujących przy nabrzeżu żaglowców, czasem głucho stukwały listwy odbojowe. Daleko, w głębi nocy, wciąż wyl piesz i płynął rozfalowany refren pokładowej żeglarskiej piosenki: *Hej, heja-ho! i rrraz! / I zachlął jak swinia, i pod stołem zgasł!*

Zgodnie z zapowiedzią nigdzie nie było żadnych zbirów, budynku nikt nie pilnował. Z mocno bijącym sercem Mały rozglądał się dokoła, potem podszedł do drzwi i nasłuchiwał. Cisza. Przyszło mu naraz do głowy, że przedziwnie wiarygodną bajkę Askar musiał mieć na podorędziu, skoro komendantka pirackiego okrętu, a na dodatek jeszcze jakaś księżniczka, zgodziła się stawić w takim miejscu sama. No, ale wiadomo, Trybunał. Ci zawsze wiedzieli wszystko i mieli coś na każdego...

W stojącej pod ścianą roztrzaskanej skrzyni, zasypane wiórami, było tylko to, co miało być: krótki miecz i drewniana pałka. Nie zastanawiając się dłużej, Mały zaczerpnął tchu i z orężem w obu garściach wkroczył do zrujnowanego budynku.

Do czterech bezek przybito kilka desek, które tworzyły stół. Stała na nim okrętowa latarnia, migotał w niej słaby płomyk. Siedząca przy stole kobieta uniosła zamyślane jednookie spojrzenie i znieruchomiła, patrząc na draba z mieczem i maczugą – i to draba o gębie, której nawet litościwy półmrok nie mógł dodać urody. Zerwała się gwałtownie. Była boso i dzwoniła swoimi bransoletami, a na głowie miała kolorowy fular, lecz poza tym wyglądała zupełnie inaczej niż na rynku – zamiast zawiązanej byle jak koszuli nosiła ciemnozieloną, bogatą suknię, opiętą na wypukłym brzuchu, wybite oko zaś zakrywała haftowana srebrem opaska. Zniknął ciężki krowi kolczyk z przegrody nosowej.

– Kto ty jesteś? – zapytała, cofając się w głąb pomieszczenia.

– Już ja ci powiem, kto jestem.

Okrążywszy pokraczny stół, Mały ruszył ku swojej ofierze – wprawdzie nie aż tak szybko jak mógł, jednak wystarczająco żwawo, by wyglądało to groźnie, szczególnie w wykonaniu osobnika o posturze łądowego wieloryba. Lecz brzemienna piratka nie czekała; wrzasnąwszy opętańczo, biegiem rzuciła się do ucieczki, byle dalej od drzwi. Napastnik, który w głębi duszy nie miał nic przeciwko temu, by ją ganiać po opuszczonym składzie, bo było to znacznie łatwiejsze, niż na niby szarpać i dusić, a tym bardziej na niby zgać mieczem, pobiegł za nią, ale tylko paręnaście kroków, z których trzy lub cztery ostatnie były coraz wolniejsze... Z mroku wypełniającego zakamarki wielkiej szopy wynurzać się poczęli odziani na ciemno mężczyźni. Jeden... czterech... aż siedmiu paskudnych dryblasów. O, i ósmy. No, to nawet więcej niż na Targu.

Kobieta o słabo widocznej w mroku twarzy, ocienionej jeszcze ciemnozieloną opaską, już nie uciekała. Przekrzywiwszy nieco głowę, stała między swoimi, czekając, co zrobi zaskoczony grubas.

Grubas nic nie zrobił. I nic nie rozumiał. A chodziło mu po głowie tylko jedno: że Askar troszeczkę się przeliczył. Coś poszło zupełnie nie tak.

– No i rzeczywiście – powiedziała ze zdziwieniem jednooka. – A ja ci nie chciałam uwierzyć.

Kierowała słowa trochę w bok. Mały spojrział tam i osłupiał, bo w półmroku zobaczył Askara. Ostatnie wątpliwości rozwiązał znany mu głos:

– Cesarscy nie mogą inaczej. Żaden żołnierz w tunice cię nie ruszy. Co innego taki głupek z kontynentu, którego za parę sztuk złota można namówić do wszystkiego. No? Czy to jest ktoś, kto ma ci do sprzedania poufne wiadomości?

– Kawał chłopa – odparła. – Byłby dobrym bosmanem. Aż żal. Kto cię przysłał? No ty, gruba świnió, do ciebie właśnie mówię.

Mały – który w kręgu uzbrojonych obwiesiów, samotny, rzeczywiście wydawał się mały – wciąż sterczał bez ruchu ze swoim śmiesznym mieczykiem i beznadziejną pałąk, marząc o halabardzie. Nie był „głupkiem z kontynentu”, bo w ogóle nie był żadnym głupkiem. Ale potrzebował trochę czasu, by zrozumieć, że wdepnął naprawdę paskudnie. Kim właściwie był Askar? Może rzeczywiście gończym Trybunału, który uznał, że nie będzie wiarygodnym obrońcą napadniętej, gdy nadbiegnie nie wiadomo skąd, w ostatniej chwili, ale za to jak na zawołanie... Więc wymyślił coś znacznie lepszego. Coś, na co żaden najemnik nigdy by nie poszedł, obojętnie, za jakie pieniądze. Mały bardzo niewiele wiedział o Trybunale, ale dość, by wyobrazić sobie, że dla osiągnięcia ważnego celu życie jednego człowieka to nie była wysoka cena.

Tyle tylko, że on sam niczego cenniejszego nie miał. W każdym razie nie miał przy sobie. Rodziny nie przyniósł – więc, na szczęście, bezpiecznie siedziała w domu.

Kobieta nagle zachichotała.

– Kopnął – powiedziała, zwracając się w stronę najbliższego zbira, biorąc go za rękę i kładąc ją na swoim brzuchu. – Czujesz? Czekaj... E, już przestał. Zasraniec – dorzuciła z nienawiścią. – Niech no wreszcie wystawi łeb. Zobaczymy, kto komu dokopie.

– Zasranica – poprawił strofując jeden z mężczyzn. – Czegoś ty się, kapitana, uparła, że to on?

– Jak ci zaraz przydzwonię... – powiedziała i rzeczywiście przydzwoniła.

Kilku drabów zaśmiało się głośno, a najbardziej uradował się skarcony. Ale nic nie powiedział, pokiwał tylko głową.

Mały poczuł, że naprawdę jest źle. Najwyraźniej stał w kręgu pomyleńców. No tak, z całą pewnością, bo oto piracka księżniczka odwróciła się nagle, odbiegła parę kroków i uklękła na ziemi, zakrywając twarz dłońmi – wyraźnie było słycać, jak płacze. Ten, co kiwał głową, widać nie lubił mówić, bo tylko pokazał palcem i dwaj drągale pobiegli za nią, przykucnęli obok i troskliwie jęli pocieszać.

To nie mogło się dziać naprawdę.

– Kto cię przysłał? – zapytał Askar, nie zwracając najmniejszej uwagi na przedziwne sceny, które rozgrywały się tuż obok. – Umrzesz zaraz tak czy inaczej, ale nikt nie musi cię tłuc. Szkoda wysiłku i czasu, jeśli powiesz wszystko bez tego.

W zaległej ciszy słycać było chlipanie wciąż nieutulonej kobiety.

– Mam powiedzieć? – zapytał z chrypką wezwany.

– I to tak, żeby wszyscy słyszeli. Kto cię przysłał, grubasie, gadaj. I co miałeś zrobić? Mów tak, żeby wszyscy słyszeli! – powtórzył, robiąc gest w stronę kobiety.

Mały poczuł, że to grono pomyleńców chyba chce go obrać swoim wodzem. Prosilili, by do nich dołączył.

Skulonej na ziemi piękności najwyraźniej powiedziano jakiś dowcip, i to dobry dowcip, bo parsknęła śmiechem i wstała, otrzepując z kurzu spódnicę sukni. Wróciła na swoje miejsce w kręgu i ujęła milczącego mężczyznę pod ramię. Może był jej zastępcą. Albo bratem, albo ojcem dziecka. Albo jednym, drugim i trzecim.

– Nie chce mi się tutaj stać całą noc – powiedziała, pociągając nosem i sięgając ku twarzy, jakby ocierała łzę z policzka; chyba łzę, bo w półmroku nie było widać, co ociera. – A ty tu nie obiecuj, że nie będzie bity, bo kto ty właściwie jesteś? – zwróciła się ze złością do Askara. – Co ty tu masz do gadania? Wezmę go na pokład i wsadzę do beczki pełnej szczurów, tak że z dziury w denku tylko łysy łeb będzie sterczał. I będzie

sterczał tak długo, aż odpadnie bez niczyjej pomocy. Co to za różnica dla szczurów, czy będzie gadał, czy nie? Przyłóżcie mu wreszcie, bo się zanudzę.

Nim przebrzmiało, co powiedziała, najbliżej stojący mężczyzna – jeden z tych, którzy byli na rynku – przyskoczył i palnął Małego prosto w ucho. Faktycznie nie ułomek, a i pięść miał po zbóju. Mały ustał na nogach, ale głowa odskoczyła mu na ramię. Zmiażdżone ucho zaczęło zaraz krwawić, miał wrażenie, że pulsuje, rośnie i nabrzmiewa.

Nie otaczały go dzieci; już z dwoma albo trzema takimi nie miałyby większych szans. Chyba żeby wyrzucili swoje miecze.

A jednak drągał się zdziwił.

– Stoi... – powiedział i popatrzył niepewnie na pięść, jakby sądził, że ktoś mu ją podmienił.

– Kazałeś mi tutaj przyjść, to przyszedłem – rzekł Mały, zwracając się do Askara. – Mam mówić? No to powiem, bydlaku. Miałem wziąć się za nią na niby – wskazał pałką – a ty miałeś przybiec na ratunek. Żeby pomyślała, że zawdzięcza ci ocalenie, i wzięła do swojej załogi.

Zaległa cisza.

– Mówi prawdę? – zapytała rzeczowo, ze spokojem, który w ogóle nie chciał pasować do wcześniejszych wariackich wybryków. – Co ty na to, Askarze?

– Wszystko jasne, wasza wysokość – z takim samym spokojem odparł zapytany. – Ja bym wierzył każdemu jego słowu. I kiedy to uknuliśmy ten... perfidny plan? – znów zwrócił się do Małego.

– Trzy dni temu. Zaraz po tym, jak na rynku jej ślepa wysokość stratowała dzieciakowi ojca.

Piratka parsknęła przez nos.

– Aha. No to twój zleceniodawca musiał być aż w dwóch miejscach naraz. Zechciej mi wybaczyć, Askarze – powiedziała i Mały, którego myśli biegle kilka drogami jednocześnie, zrozumiał nagle, co z tą dziwną dziewczyną jest nie tak: otóż bardzo, bardzo rzadko słyszał, żeby ktoś tak mówił po garyjsku jak ona. Bardzo rzadko dlatego, że miał ojca drobnego kupca i nie bawił się na podwórku z synami szlachetnych rodów. A i później nie po drodze mu było z ludźmi mówiącymi w ten sposób: tak starannie i bardzo wyraźnie, z mocnymi akcentami i bez polykania końcówek – tak pięknie, że aż uroczyście; że aż śmiesznie. Jak ta tutaj. Długo był poza Garra, trochę nawet zapomniał języka i dlatego nie od razu zauważył. Ale teraz to „zechciej mi wybaczyć”.

Córka pirata? Akurat. Byle wyzwisko, pogróżka bądź obelga w ustach tej pokręconej baby brzmiały niczym... wiersz. A suknia pasowała do niej bardziej niż luźne portki żeglarskie.

– Na okręt z tym grubym wieprzem – rozkazała.

Beczka pełna szczurów to nie było wygodne miejsce, a ponadto „gruby wieprz” uważał, że ma jeszcze do kogoś małą sprawę. Bierność i spokój łysego osiłka uśpiły czujność zbirów; nikt nie zdążył uprzedzić potężnego skoku, dającego pojęcie o sile nóg, które potrafiły wynieść podobny ciężar w powietrze. Mały rąbnął mieczem, ale kiepsko trafił, bo nie w bark, a w ramię – i odrąbał je. Askar ryknął nieludzko... a z niewielkiej odległości Mały poznał, że to nie jest Askar, tylko ktoś podobny. Mrok, rozjaśniany przez jedyną latarnię stojącą daleko z tyłu, zamaskował rysy; strój mężczyzny był podobny albo taki sam, nawet głos brzmiał podobnie – lecz to nie był Askar i koniec.



Gdyby nic więcej się nie zdarzyło, Mały zastygłby w osłupieniu i gapił się na ryczącego wniebogłosa, przyciskającego kikut ręki do tułowia mężczyzną tak długo, aż przytoczyliby mu obiecaną beczkę i wsadzili doń. Lecz rzucono się zewsząd i ciało wielkiego łysola zareagowało szybciej niż głowa: grzmotnął kogoś w zęby ręką i mieczem, drugiego przetrzącił pałą – przetrzącił przy tym także i pałą, bo niewiele zostało mu w dłoni. Dalej waląc mieczem jak maczugą, bo nie umiał dobrze bić się na miecze, urąbał ćwierć łba trzeciemu, uderzony z tyłu wpadł nań i pochwyił w pół, gubiąc oręż. Jakiś nóż wszedł w sadło olbrzymiego brzucha – i w ogóle tego sadła nie przebił. Ryczący z bólu i wściekłości grubas runął przed siebie, wciąż trzymając oburącz zgniecionego draba, któremu z pyska chlustała krew, a z czerepu wyglądał mózg. Jakiś miecz rozplątał szerokie jak cielęcy udziec ramię; inny sztych na całej długości rozciął grzbiet szarżującego żubrocziłka, ale uciekinier, taranując po drodze przeciwników, ominął już pokraczny stół na beczkach i nie zwalniając pędu, wyrznął łbem i łopatkami niesionego trupa w kiepskie drzwi, wyrwał je i wypadł na zewnątrz. Trzej ludzie wypadli zaraz za nim i nawet nie pojęli, co się dzieje, albowiem straszny łysol, wciąż rycząc, puścił trupa, w zamian porwał resztki rozklekotanej, stojącej pod ścianą skrzyni – i zmasakrował ich, łamiąc gnaty, rozbijając głowy, zamiatając na prawo i lewo rozpadającą się kupą skleconych razem desek, którą to kupą grzmotnął wreszcie o ziemię i do reszty rozwalil kopniakami, jakby skrzynka także była czemuś winna. Uciekając, słyszał za plecami śmiech i wrzaski uszczęśliwionej księżniczki (ju-huu!), odciąganej na bok przez milczącego zastępcę. Zdawało mu się, że już wtedy, gdy pędził ku drzwiom, oburącz trzymała się za włosy i skakała z radości jak koza – przy czym wielkie kozie wymiona skakały pod kiecką razem z nią.

## ROZDZIAŁ 3



Urzednicy Trybunału gardzili żołnierzami, mając ich za półgłówek. Żołnierze nienawidzili urzędników, którzy stale wyrastali, gdzie ich nie posiano. Dwie najpotężniejsze instytucje cesarstwa, skazane na współdziałanie, wiecznie rywalizowały o wpływy i wchodziły sobie w paradę.

Askar gotów był przyjąć zakład, że tysięcznik-komendant Wojskowego Okręgu Dranu siedzi dwie izby dalej, nudzi się jak dziecko na przyjęciu i liczy kółka swojej kolczugi, byle tylko petent czekał jak najdłużej.

A „petentem” był Drugi Przedstawiciel Najwyższego Sędziego Trybunału, mający za towarzystwo urzędnika gończego Askara.

Czas płynął. Komendanta nie było.

I nie przyszedł, choć grzeczność tego wymagała. Zamiast niego pojawił się w drzwiach dziesiętnik w szaro-żółtej tunice Gwardii Garyjskiej. Skinąwszy głową po wojskowemu, powiedział:

– Komendant czeka.

Najpierw kazano im siedzieć, teraz iść. Urzednicy wymienili spojrzenia i ruszyli za przewodnikiem.

W izbie tysięcznika panował żołnierski ład. Na umocowanych do ściany półkach dokumenty trwały w iście wojskowym ordynku, poza tym w izbie oprócz stołu było tylko parę twardych krzeseł, a pod oknem pulpit do pisania. Na blacie położono kilka ogromnych ksiąg, okazało się wkrótce, że jedna z nich to dziennik okręgu, druga – dziennik garnizonu, wreszcie trzecia – księga raportów oficera służbowego. Po chwili pisarz garnizonowy przyniósł czwarte tomisko – był to rejestr żołnierzy okręgu, a raczej tylko jeden z tomów rejestru, co z wojskową pedanterią i pietyzmem wyszczególniono i na wstążce tytułowej, i na grzbiecie, i z przodu, i na odwrocie. Przywitawszy się krótko, komendant najuprzejmiej przeprosił za zwłokę, strząsnął palcem nieistniejący pyłek z białej, wykończonej na żółto tuniki mundurowej (regulaminowo spiętej pasem, a jakże), po czym rzekł bez żadnych wstępów:

– Znam już sprawę.

Urzednicy usiedli i czekali. Żołnierz czekał. Pisarz przy pulpicie pod oknem czekał także, ale on był stworzony, albo raczej wyszkolony, do czekania.

Tysięcznik wygodnie odchylił się na oparcie, założył nogę na nogę, wygładził mundurową spódnicę na kolanie, po czym oparł tam splecione dłonie. Chyba zrobił już, co miał zrobić, a teraz najwidoczniej... miał czas.

– Popełniono zbrodnię – rzekł Askar, zaskarbiając sobie krótkie, lecz przychylnie spojrzenie zwierzchnika, który gotów był ustąpić ze swoich przywilejów i cofnąć się w cień, byle tylko uniknąć upokarzających zagajeń i wyjaśnień. Przyszedł z podległym



sobie gońcym tylko po to, by podkreślić wagę sprawy i nadać jej właściwą rangę. Opromienić, jeśli było to dobre słowo, opromienić podwładnego swoim znaczeniem. Zwykły gończy urzędnik, gdyby przyszedł sam, nie mógł być żadnym partnerem dla kogoś na takim stanowisku i mającego taką władzę jak komendant okręgu wojskowego.

A była to władza prawie niepodzielna, chociaż ograniczona. W każdym okręgu miejskim wojskowy komendant miał dużo do powiedzenia, jednak okręg Dranu był okręgiem nie miejskim, a wojskowym. Oddziały miały pełne stany wojenne, nie pokojowe. Imperium toczyło wojnę z piratami, a przynajmniej trwało w gotowości do wojny. Za tym stołem w białej tunice siedział udzielny, bez mała, książę Dranu. W każdej chwili mógł stracić stanowisko, ale dopóki je zajmował, mógł zarządzić właściwie cokolwiek. Gdyby skinął, burmistrz Dranu nie przyszedłby, tylko przybiegł.

– W rzeczy samej, popełniono zbrodnię – przytaknął teraz uprzejmie. – Trybunał zdemaskował złoczyńcę, który napadł na ośmiu uzbrojonych mężczyzn, a następnie zbiegł, pozostawiając dwóch zabitych, trzech ciężko rannych i dwóch poturbowanych. Nie dokonał zaboru mienia. Zniszczeniu uległa... – Tysięcznik urwał i zajrzał do małej notatki, po czym podjął: – Zniszczeniu uległa drewniana pałka i skrzynia o długości trzech łokci, wykonana z desek sosnowych, uszkodzono też poważnie drzwi porzuconego budynku, będącego własnością zbankrutowanego armatora, a ostatnio służącego za schronienie włóczegom. Trybunał wystosował oficjalne zlecenie ujęcia złoczyńcy, którego tożsamość, a także miejsce pobytu są znane.

Dругi Przedstawiciel milczał jak zakłęty. Askar przełknął ślinę, bo w ogóle nie było mu do śmiechu.

– Właśnie tak – powiedział. – Wojsko musi mieć podstawy do ujęcia złoczyńcy i oto one, komendancie. Ale siedzimy tutaj nie po to, by je podważać bądź wyśmiewać, tylko po to, by wyjaśnić sobie nawzajem... by wyjaśnić sobie to wszystko, czego nie można napisać w raportach. Jednym z tych ciężko rannych jest tajny urzędnik Trybunału Imperialnego, wypełniający misję o największej doniosłości. Dodam, że prywatnie to mój starszy brat.

Kpiący uśmieшек zniknął z twarzy tysięcznika.

– Bardzo mi przykro, panie – powiedział z całą powagą. – Nie miałem o tym pojęcia. O tym, że ten urzędnik był... jest twoim bratem, wasza godność.

– Stracił rękę. Nadal jednak próbuje wykonywać powierzoną mu misję. Otóż, wasza godność, spróbujmy odłożyć na bok zwyczajowe niechęci. Gończy urzędnik Trybunału stracił rękę i... mówi się trudno, bo za to bierze pobory z imperialnej szkatuły. To niebezpieczna praca, którą kilku ludzi wykonuje po to, by kilkuset innym na pokładach cesarskich żaglowców umożliwić powrót do domu. Człowiek, którego żołnierze waszej godności mają pojmać, jest zagrożeniem dla tej misji. Zna tożsamość mojego brata i moją. Powodowany chęcią zemsty, gotów sprzedać lub odstąpić tę wiedzę. A nawet jeśli nie ma złych intencji, może zostać do wyjawienia tajemnicy zmuszony. Jeśli go odnajdą ci, co nie powinni.

Komendant znał z grubsza zarysy planu, który z tak nieoczekiwanym skutkiem został wcielony w życie; znał je jeszcze przed nastaniem owej fatalnej nocy, bo Trybunał musiał uzgodnić niektóre szczegóły z wojskiem (przecież jakiś zabłąkany patrol mógł nie w porę pojawić się w porcie). Teraz pokręcił głową.

– Jego „złym intencjom”, jak mówisz, panie, trudno byłoby się dziwić.

– Komendancie, może ciężko w to uwierzyć, ale ja tego człowieka... nie darzę żadną niechęcią, wprost przeciwnie. O takich mówi się czasem: porządny chłop. Wasza godność, ja nie zawsze mam wybór, a jeszcze rzadziej mam czas – powiedział z najgłębszą szczerością. – Ten okręt cumuje tu raz kiedyś, przez tydzień albo przez dwa dni. Potem nie ma go przez pół roku. Co mogę mieć przygotowane, albo co mogę

przygotować wtedy, kiedy nagle się zjawia? Chwytam się każdej najmniejszej możliwości. Jakiegokolwiek szansy.

– I jakimkolwiek kosztem?

– Prawie że tak, bo w pracy, którą wykonuję, nie ma miejsca na podobne rozterki. Jeśli zastanowisz się, panie, to łatwo mi uwierzysz, że po kilku miesiącach bądź po roku można szczerze się zaprzyjaźnić ze szpiegowanymi obwiesiami, a przynajmniej niektórymi z nich, bo nie wszyscy to skończone kanalie. Mają swoje troski i radości, niektórzy nie tyle są źli, ile po prostu zagubieni albo głupi. Czasem ciężko ich... zdradzić. Tak, zdradzić i posłać na stryczek. Cóż dopiero mówić o uczciwym człowieku, którego w imię wyższych celów przemieni musiałem w narzędzie. Ale dlatego właśnie, że pracę dla Trybunału wykonują ludzie obdarzeni ludzkimi uczuciami, otóż dlatego ci ludzie stale muszą pamiętać, czemu służą niezliczone małe i większe szwinstwa, a niekiedy podłości, które się popełnia. Otóż służą temu, komendancie, żeby marynarze i żołnierze pływający na żaglowcach straży morskiej mogli wrócić do swoich domów. Albo temu, żeby nieunikniony bunt w Morskiej Prowincji pozostał tylko buntem, nie zaś przerodził się w wojnę zamorskiego państwa z cesarstwem, która to wojna pochłonie pięćdziesiąt tysięcy ofiar. Temu służą te małe podłości.

– Bardzo pięknie, panie – powiedział sucho żołnierz. – Ale teraz posłuchaj, co powiem, a najlepiej zechciej podejść do stołu, bo warto, żebyś zajrzał do tych ksiąg. Wystawiłeś swojego najemnika do wiatru, oszukałeś go w imię ważnej sprawy, a ponieważ urwał się ze stryczka, chcesz powiesić go jeszcze raz. Ale będziesz wieształ go sam, i to po cichutku, ukradkiem. W każdym razie wojsko nie wyciągnie zatyczki od zapadni.

– Oficjalny nakaz pojmania dotyczy zbrodniarza, który...

– Oficjalny nakaz pojmania pod zarzutem zbrodni – rzekł podniesionym głosem tysięcznik, dziobiąc palcem stronicę jednej z otwartych ksiąg – dotyczy niejakiego Goheta, dziesiętnika Gwardii Armecktańskiej, przedurlopowanego weterana wojennego, warunkowo pozostającego poza służbą. Mówiąc niewojskowym językiem, jest to taki wojskowy sukinsyn, który po wygaśnięciu kontraktu powiedział przełożonym: „No dobra, wróć jeszcze do was, ale najpierw rok poleniuchuję. Gdzie mam podpisać, że za rok?”. Oni na to serdecznie klepnęli go w plecy, wypłacili zaliczkę na poczet przyszłego żołdu i jak najdelikatniej napomnieli, by meldował się w komendanturze każdego garnizonu, na którego terenie leniuchować zechce. Bo miejscowy komendant w razie konieczności może go natychmiast powołać do służby lub odesłać tam, gdzie zawarł kontrakt.

Zaległa krótka cisza. Tysięcznik znowu odchylił się na oparcie.

– A ten tutaj to istna żołnierska legenda, chodząca na dwóch nogach – wytłumaczył już spokojnie, lekko hębniąc palcami w błat stołu. – Opowiedzieć? To był półlegion Gwardii Dartańskiej Księcia Przedstawiciela Cesarza w Rollaynie. Przed wojną wszyscy się z nich śmiali i nazywali „tupaczami”, takie wojsko do parad i szpalerów, było ich raptem trzystu, dobieranych ze względu na krzepę i wzrost. Gdy wybuchła wojna, tupacze wzięli swoje halabardy, nałożyli swoje żelazne skorupy i tupali po piętnaście mil dziennie, tak że lekkobrojni ledwie za nimi nadążali, choć na grzbietach nieśli pięć razy mniej. Przez całą wojnę tupacze łamali szyki ciężkiej jazdy, rąbali rycerskie chorągwie, własnymi zbrojami zasłaniali łuczników, a w odwrocie wyrywali z blocka ugrzęzłe wozy taborów, których nikt inny nie mógł ruszyć z miejsca. Gdy wojna się skończyła i Dartan odpadł od Wiecznego Cesarstwa, wcielono ich do Gwardii Armecktańskiej, nie rozformowując oddziału. Zachowano ten półlegion w całości, bo to obok Gwardii Cesarskiej najslawniejsza formacja piechoty w Szererze, dzisiaj już prawie legendarna. Halabardnik Gohet przesłużył całą wojnę w Armii Wschodniej

dowodzonej przez nadtyśięczniczkę Terezę, o której to armii i jej dowódczyni słyszeli chyba nawet w Trybunale. Bohater mianowany dziesiętnikiem na placu boju. Jak to się czasem mówi: wzięliście się za niewłaściwego człowieka, wasza godność. I musicie załatwić to sami.

Znów przez chwilę panowało milczenie.

– A jednak, komendancie, dla tak ważkich politycznych racji...

– Wiem, co chcesz powiedzieć, wasza godność, i odpowiadam: nie. Otóż dla bardzo ważkich politycznych racji mogą nakazywać żołnierzom, by nie ruszali jej książęcej wysokości Gówna, a nawet uciekali na sam widok. Ale nie poszczuję podkomendnych na takiego żołnierza, bohatera, który dla każdego ma być wzorem, który przeżył może dziesięć bitew i potyczek po to... żeby co? Żeby zarabali go garyjscy koleczy? Bo śmiał bronić się przed bandą piratów? Sami szpiedzy nie wygrają żadnej wojny, a żołnierzom nie wolno pokazywać, że największe męstwo i zasługi nie uchronią ich przed szykanami w imię niezrozumiałych dla nich racji. Jedno takie zadanie zupełnie wystarczy, by zdemoralizować najlepszy garnizon. Współczuję z powodu twojego brata, wasza godność, i mówię to całkiem szczerze – zakończył. – A tu jest wasze oficjalne zlecenie pojmania. Zechciej, panie – zwrócił się wprost do Drugiego Przedstawiciela – zużyć ten dokument w najzupełniej dowolny sposób.

– Ależ... choć rozumiem twoje racje, wasza godność, to muszę jednak powiedzieć, że się zapominasz. – Przedstawiciel Sędziego odezwał się po raz pierwszy. – Nie możesz odmówić pojmania człowieka wskazanego ci przez Trybunał, tak daleko twoja władza nie sięga. Sądzić go będę ja lub ktoś inny do tego powołany i naprawdę nie jest powiedziane, że zostanie skazany na śmierć ani nawet na kamieniołom. Są... możliwości. Sposoby. Wasza godność masz go tylko przyprowadzić i nie wolno ci uchylić się od tego.

– A czy ja się uchylam? Przecież nie mam żadnego zlecenia. – Tyśięcznik wciąż wyciągał rękę z rulonem.

– Owszem, masz, wasza godność. Właśnie trzymasz je w ręku, panie. Zechciej rozwinąć ten zwój. – Przedstawiciel Sędziego nie ustąpił.

Tyśięcznik nawet nie mrugnął. W zamian popatrzył na pisarza – człowieka niebędącego żołnierzem, choć służącego przy wojsku. Każdy wojskowy pisarz był dwunożnym gęsim piórem, niczym więcej; gęsim piórem zupełnie niemym, jak to zwykle z piórami bywa. Miał obowiązek dotrzymania każdej służbowej tajemnicy. Pod groźbą szubienicy, nie utraty poborów bynajmniej.

– Skoro tak... to widzę, że naprawdę nie mam wyboru. Wartownik!

W drzwiach natychmiast pojawił się żołnierz.

– Oficer służbowy do mnie.

– Tak, panie.

Po chwili do izby wkroczył pełniący tego dnia obowiązki oficera dziesiętnik Gwardii Garyjskiej, szpakowaty mężczyzna w sile wieku, ten sam, który wcześniej przyprowadził urzędników.

– Tu masz oficjalne zlecenie... a tu streszczenie sprawy. – Przywołany skinieniem pisarz momentalnie znalazł kartę z notatkami i wraz z podanym rulonem wręczył dziesiętnikowi.

Funkcyjny zerknął do notatki.

– Aha – powiedział. – Sprawa Małego.

– Tak. Natychmiast pojmać.

– Tak, panie – powiedział dziesiętnik.

Askar niemal zgrzytnął zębami, bo mógłby przysiąc, że gwardziście drgnęły nozdrza i kąciaki ust, a może nawet podbródek. Było zupełnie jasne, że wojsko wtargnie

do wskazanego domu i przetrząśnie wszystkie kąty, może nawet zagłębnie do stojących na piecu garnków i poprosi łysego grubasa, by zechciał podnieść dupsko z malowanej skrzyni, po czym zajrzy do owej skrzyni – lecz Małego niestety nie znajdzie.

Drugi Przedstawiciel Sędziego myślał dokładnie o tym samym.

– Ze względu na wagę sprawy – powiedział z największym spokojem, ukazując Askara – Trybunał przydzieli do oddziału gończego urzędnika.

Przez chwilę panowało milczenie. Tysięcznik nie mógł nie wyrazić na to zgody.

– Aaa... to co innego – rzekł powoli i stało się jasne, że ktoś tu wreszcie przeciągnął strunę. – Skoro sprawa jest tak poważna, osobiście wyznaczysz żołnierzy – rozkazał dziesiętnikowi.

– Trudna sprawa, tysięczniku – odparł bez namysłu wezwany, znacząco unosząc sygnowany pieczęcią Trybunału rulon, jakby pokazywał, co w nim jest. – Ze względu na rozmiary popełnionych ostatnio zbrodni wzmocniliśmy patrole na ulicach. Oczywiście natychmiast wyznaczę legionistów spośród tych, których mamy w garnizonie. Najodpowiedniejszych do tej sprawy.

Urzednicy Trybunału nareszcie pojęli to, co było oczywiste od samego początku: że Trybunał nie pozamyka wojsku wszystkich furtek; że samymi środkami służbowymi nikogo tutaj nie da się zmusić do zrobienia tego, czego zrobić nie chce. Było jasne, że jeżeli natychmiast nie wyniosą się z komendantury, to za chwilę gończy urzędnik Askara dołączy do wyznaczonych żołnierzy i podąży ująć Małego na czele oddziału złożonego z kuternogi, półidioty i starca, uzbrojonych w pawęż i rycerską kopię. Idąc, będzie prosił wszystkie moce świata, by nie zastać ściganego w jego domu, a jeżeli mimo to zostanie, to już nigdy nikomu nie złoży żadnego raportu.

Wojsko wróci, niosąc trupa urzędnika, siłą przydzielonego do niebezpiecznej misji, a dowódca sucho zamelduje, że ścigany stawiał skuteczny opór i jak dotąd nie udało się go pojmać.

## ROZDZIAŁ 4



**M**ałego trudno było poskładać do kupy.

Do domu jakoś się dowlókl, przemierzając niemal cały Dran w poprzek, a musiał przy tym ominąć Starą Dzielnicę – prawdziwe miasto w mieście, gdzie służbę patrolową pełnili nie żołnierze straży morskiej bądź legii, lecz gwardziści. W Starej Dzielnicy, pamiętającej czasy, gdy Dran był jeszcze niewiele znaczącym portem na północnym wybrzeżu Królestwa Garry, obowiązywały specjalne prawa, mieściły się tam najbogatsze kupieckie kantory, wszystkie najważniejsze urzędy. Półprzytomnego wojaka nic to

jednak nie obchodziło. Nie mógł iść przez Starą Dzielnicę, bo zatrzymałby go jakiś patrol i tyle.

Rana na plecach, chociaż płytka, miała długość łokcia; rana w brzuchu – głębokość palca; ta na ramieniu – rozmiar dłoni, bo taki właśnie strzęp mięsa ledwo wisiał na kawałku skóry. Na tle tego o boleśnie rozciętym uchu i wywichniętym nadgarstku nie warto było nawet wspominać. Rozwścieczonego człowieka, desperacko broniącego życia zupełnie nic nie bolało. Lecz przemykający ciemnymi ulicami uciekinier odczuwał wszystko w dwójnasób, a co gorsza, wykrwawiał się.

I wykrwawiał się niemal na śmierć. Brat i ojciec pozbiali go z progu domu, wezwani krzykami sąsiadów, którzy usłyszeli hałas przy drzwiach. Przyczyną hałasu był ciężki kułak walący w dolną część drzwi. Mały nie mógł już ustać na nogach, więc tylko leżał i tłukł pięścią w nabijane ćwiekami deski.

Ojciec chciał biec po medyka; ranny syn, resztkami sił, nie pozwolił. Przyszła mu w sukurs macocha, która nieoczekiwanie okazała się najbardziej opanowaną i przytomną osobą w domu, może po prostu dlatego, że pasierba знаła od niedawna i choć zdążyła polubić, to jednak nie pokochała, ojciec i brat zaś – po ojcowsku i bratersku – kochali, co z kolei odbierało im rozsądek.

„To jest mądry chłopak i skoro mówi nie, no to nie. Widać ma ważne powody” – powiedziała stanowczo, ujmując męża za rękę.

Objąwszy następnie rządy w domu, energiczna kobieta zapędziła wszystkich do pracy. Najgorszą robotę wykonała sama – porąbany wojak, zanim zemdlał, kazał sobie przyszyć mięso do ramienia. Podołała. Zaszła też ranę na plecach.

Nie minęło wiele czasu, a opatrzony, umyty i dobrze okryty Mały spał snem człowieka śmiertelnie wymęczonego, osłabłego, a jednak krzepkiego. Nie miał na razie gorączki, oddychał wcale równo i głęboko, krótko mówiąc: chyba nie umierał.

Sąsiadom z dołu – niemłodym już, poczciwym ludziom, mocno wystraszonemu całym zajściem – opowiedziano o bóje z pijanymi łapserdakami w zaułku i proszono, żeby nic nikomu nie mówili, bo kto wie co to byli za złoczyńcy... Staruszkowie przynieśli zaraz jakąś cudowną maść gojącą skaleczenia, a może nawet łagodzącą wzdęcia.

Ranny wzdęć nie miał, za to jadł za trzech, gadał za dwóch, a rozmyślał – przynajmniej za pięciu. Czwartego dnia stał już na nogach; w każdym razie miał dosyć siły, by podnosić się czasem i wędrować do ceberka; nie musiał już sikać na leżąco. Ucieszona macocha nagotowała mu tęgiego kapuśniaku, bo wiedziała, za czym pasierb przepada. Zostali sami w domu; ojciec i najmłodszy brat Małego (byli jeszcze czterej inni bracia, ale dawno się pożenili i wyfrunęli na swoje) musieli dopilnować interesu.

Mały siedział w rozgrzebanej pościeli i jadł, z przyjemnością spozierając na krzątającą się po domu kobietę, zdrową i zręczną pięćdziesięciolatkę.

– Żal mi czasem tego – powiedział. – Żołnierskie życie to bardzo dobra rzecz i tego nie żałuję. Ale trochę ojcu zazdrozczę.

– Tak? A czego? Ledwie wiąże koniec z końcem. Stara się, nie powiem. Tylko że co z tego?

– Ciebie mu zazdrozczę, macocha. Domu... takiej kobiety... Trzeba było wychodzić za starego? Zamiast poczekać, aż młodszy wróci z wojny?

Zamierzyła się żartobliwie.

– Też mi... wymyślił. Ciekawe, co bym z takim dzieciuchem robiła?

– A, tego to już ja ci, macocha, nie powiem. Jeszcze byś staremu powtórzyła.

Zarumieniła się, ale i zaśmiała.

– Patrzcie go, jaki mądrała.

Oddał pustą miskę, odetchnął i powiedział:

– Dobrze. Zostaw już te gary, macocha. I usiądź przy mnie na chwilę, bo musimy porozmawiać. Wolę z tobą niż z ojcem, bo ciebie aż tak się nie boję.

– Ale ja też ci mogę włuć, nie myśl sobie.

– Wiem, że możesz, bo palca bym na ciebie nie podniósł, a co dopiero rękę – powiedział bardzo poważnie. – Ale boję się o was i chcę ci powiedzieć dlaczego. Znam ojca i ty też go znasz, jest uparty. Ja już nie wiem, jak do niego przemówić, za długo nie było mnie w domu. Ty prędzej znajdziesz sposób. Powiem ci wszystko, ale obiecaj, że nikomu nie puścisz pary z ust – ostrzegł.

– Aż tak źle?

– Mniej więcej.

– No to... ja nie wiem – powiedziała szczerze. – Może lepiej porozmawiaj z ojcem? Ja... nie jestem za bardzo odważna.

– No i o to chodzi – skwitował – bo powinniście uciekać. Powinniście wyprowadzić się z Dranu, i to jak najszybciej. Cicho, kobieto. Słuchaj, co mówię. – Był w tej stanowczości ton dziesiętnika gwardii wydającego rozkaz. – Poza tobą jedną lepiej, żeby nikt się wszystkiego nie dowiedział. Mówię tobie najbardziej dlatego, że nikomu nie przyjdzie na myśl, że nie ojcu się zwierzyłem, nie bratu, tylko akurat macosze. Raz, że kobiecie; dwa, że... no, nie gniewaj się, macocha, ale nie tak bliskiej przecież, jak ojczulek albo braciszek.

– Musisz mnie w to mieszać?

– Chyba muszę.

Westchnęła zmartwiona.

– No, to mówi się trudno.

– Pierwszy raz widzę kobitę, która nie jest ciekawa – rzekł poważnie.

– Jestem, głuptasie. Ale boję się. Ja... nigdy nie widziałam kogoś tak pokrojonego jak ty, synku – odparła zatroskana. – Strach na ciebie patrzeć, a co dopiero słuchać takich rzeczy. Jak mam się nie bać? Ale ciekawa... Pewnie, że jestem.

Wkrótce, z szeroko otwartymi oczami i ręką przy policzku, mocno zarumieniona z przejęcia, myślała o tym wszystkim, co powiedział.

– To chyba za wiele jak dla mnie – szepnęła na koniec. – Narozrabiałeś, synku. Ale ja dużo o tym wszystkim wiem, a czego nie wiem, to zaraz się dowiem.

Mały zdziwił się, bo wcześniej, gdy mówił, nie przerywała nawet słowem i nic nie dała poznać po sobie.

– Dużo wiesz? A co ty o tym wszystkim możesz wiedzieć?

– To, co może wiedzieć każdy, kto mieszka na tej wyspie od zawsze i nigdy nie uciekł do Dartanu. A do tego jeszcze to wszystko, co może wiedzieć kupcowa, która zna inne kupcowe, które znają... I to, co może wiedzieć żona, która zna inne żony, które mają mężów, którzy... Chcesz jeszcze kapuśniaku? – zapytała, wstając z obitego miękkim futrem zydełka. – Jest na piecu, dasz już radę sam sobie nalać. Chleb na stole.

– A gdzie się wybierasz?

– Na ploty. Będę trajlowała o piratach.

– Macocha! – powiedział groźnie.

– Leż, niemądry. Trochę mnie nie będzie, wrócę gdzieś tak pod wieczór. I powiem ci, czego się dowiedziałam.

Wyszła.

Znała połowę mieszkańców tego miasta; kilka ulic dalej przyszła na świat. Przenieśli się z mężem i pasierbem z Bagby do Dranu głównie za jej namową.

Miała urwanie głowy z tym swoim Wyspiarzem, którego pierwsza żona na dodatek była półkrwi Dartanką. Nikt nie wiedział, co z taką rodziną robić. Garyjczyk z wzajemnością nie znosili Wyspiarzy, ale ten tu przyjechał na Garrę, choć nie musiał, a z kolei Dartan był kiedyś krajem niemal zaprzyjaźnionym (o ile Garyjczyk mógł w ogóle przyjaźnić się z czymkolwiek, co kontynentalne). Na dodatek został kiedyś tak samo podbity przez Armekt i właśnie rzucił to jarzmo. Jednakże syn Wyspiarza i półkrwi Dartanki, służący najpierw w Legii Dartañskiej – czyli jednak wojsku imperialnym... Prawie zdrajca. Lecz jak na złość, jego ojciec był jednak dobrym sąsiadem, a ona sama rodowitą Garyjką, której brat odniósł rany w niedawnej rebelii, walcząc o wolność Garry... Nikt nie umiał sobie tego poukładać, a już zwłaszcza w Dranie, istnym tyglu, gdzie stopiono wszystko ze wszystkim.

Na szczęście więc nie ona jedna znajdowała się w dziwnym położeniu. Przywykła. Już umiała rozmawiać o tych sprawach.

Gdy wróciła, Mały spał. Przy posłaniu znalazła próżny garnek, na którego dnie zaklekotała łyżka. Mężczyzna... Takiemu nie chciało się nalać zupy do miski, lepiej ćpać prosto z garnka, jak prosię. Pod każdym względem – mężczyzna. I synek swojego taty.

Zbudził go zapach polewki z kostkami sera.

– Już cię miałam budzić – powiedziała od pieca przez ramię – bo zaraz zejda się następne głodomory. Jak oprzytomniejesz, to powiedz.

– Już jestem przytomny. Wypałem się na oba boki, od czterech dni nie robię nic innego.

Wytarła ręce i usiadła tak samo jak w południe.

– Mąż twojej przyrodniej siostry... tak, tej samej, której jeszcze nie miałaś czasu poznać... – przypomniała z wyrzutem. – No więc jego przyjaciel służy przy wojsku jako rzemieślnik. Rymarz – dorzuciła z kobiecą dbałością o nieistotne szczegóły. – W garnizonie dużo się mówi o tej... no, twojej sprawie. Oczywiście nikt nie wie, o kogo właściwie chodzi, wiadomo tylko, że o jakiegoś żołnierza. I bohatera, no, no... Bohater, kto by pomyślał? Na pewno nikt nie przyjdzie zabrać cię z domu. Tyle wiem, bo nie mogłam za dużo wypytywać, musiałam udawać, że mnie to nie za bardzo ciekawi, nigdy specjalnie nie wypytywałam, co tam słychać w wojsku. Ale najwięcej zebrałam...

– Zamyśliła się na chwilę i bardzo spoważniała. – Najwięcej zebrałam takich różnych plotek i bajek. To kraj żeglarzy i kupców, przypominam ci, bo tak długo byłeś... no wiesz, tam! – Machnęła ręką, trochę niezadowolona.

Była Garyjką; tym razem to Mały zaczął się zastanawiać, co to znaczy. Po raz pierwszy pomyślał, że ta kobieta bardzo dokłada starań, by nie odczuł, że ma mu za złe „wysługiwanie się” TAMTYM. „Tamci” mieszkali „tam”. Prawdziwy Garyjczyk prawie nigdy nie powiedział „Armekt” ani nawet „Dartan”. Jeśli już, to najwyżej „kontynent”.

– Każdy tu ma kogoś na morzu, a jak nie ma, to najbliżsi znajomi mają. Piosenki o tej twojej księżniczce marynarze wyśpiewują we wszystkich knajpach, a baby o niej naszeptują sobie na ucho ploty przy straganach. Jak mi dzisiaj powiedziałeś, że to o nią chodzi, to myślałam, że zemdleję na tym stołku. Aleś ty głupi, synku! – Popatrzyła nie tyle z wyrzutem, ile z podziwem i szczerą troską. – Mówi się, że to w ogóle nie jest ktoś, tylko coś. Jakaś rzecz. Jej ojciec jeszcze po śmierci pływał po morzach na swoim spalonym statku. Mówi się, że jest coraz młodsza i ładniejsza, ale ładniejsza tak jakby... – Sceptycznie skrzywiła usta, narysowała przed sobą rękami jakieś monstrualnie wielkie piersi, a następnie nakreśliła w powietrzu dwie pionowe faliste linie; zabawnie wyglądał ten porozumiewawczy męski gest w wykonaniu kobiety. – Ładniejsza tak pod wasz gust. Mówią, że nie można jej zabić, bo podobno ma taką moc jak Przyjęci ze Złego Kraju. Podobno była kiedyś zwyczajną dziewczyną, ani dobrą, ani złą. Nie wiedziała nawet, że jej ojciec to pirat, bo porzucił ją i jej matkę, jeszcze zanim przyszła na świat. Mówi się, że odnalazł ją i zabił, a potem zaszyli jej w brzuchu Ciemny Przedmiot i od tego czasu ona i ten Przedmiot to jedno. Ona już właściwie nie żyje, a chodzi i mówi tylko dlatego, że ma w sobie to COŚ.

– Przecież to zwykłe bajdy – rzekł Mały z politowaniem. – Na co mi to, hę? I ty, macocha, w to wierzysz? Taka mądra kobieta?

Niecierpliwie pokręciła głową: tak i nie.

– Kiedy widzisz, bajek o piratach jest pełno. Ale nie takich. Są o skarbach, o wyprawach, o żaglowcach widmach i żaglowcach, które nie toną, i nie wiadomo o czym. A wiesz, jak nazywa się jej żaglowiec? „Zgniły Trup”! I to już nie jest bajka, bo on stoi w porcie tutaj, w Dranie, każdy może zobaczyć. Żaden marynarz, nawet pirat, nie wejdzie na pokład statku, który tak się nazywa. Ale jej załoga to potwory wyrzucone nawet z innych pirackich statków, matkobójcy i może ludożercy, no naprawdę, zwyczajnego mordercy to tam chyba w ogóle nie przyjmą. Jak wyzdrowiejesz, to idź sobie do jakiejś porządnej tawerny i nie upij się od razu, jak każdy chłop w knajpie, tylko posłuchaj, co mówią i co wyśpiewują. Wystarczy, że dasz dwa grosze, a wędrowny dziad gawędziarz wyśpiewa ci, co tylko chcesz. A najwięcej o Ślepej Foce Ridi.

– I co mi wyśpiewa? Że zaszyli jej w brzuchu Ciemny Przedmiot? Ty, macocha, chyba powinnaś wiedzieć, jakie to są „przedmioty”. Takie, co prują gębę, kiedy przyjdą na świat.

– Ale ona chodzi w ciąży na okrągło, synku. Ona chyba nigdy nie rodzi.

– E, naprawdę... że aż przykro słuchać tych bzdur.

Obraziła się trochę.

– Gdybyś nie był chory – powiedziała – to zaraz sam byś się przekonał, że coś w tych opowieściach jest prawdziwe. Nie wiem co. I nikt nie wie, ale każdy może się przekonać.

– A co jest prawdziwe?

Mały miał kłopoty z Trybunałem; był pewien, że Askar jeszcze pojawi się w jego życiu, i na tle tego karczemnego opowieści o niesamowitej pirackiej księżniczce mało go obchodziły, a nawet irytowały. Nie zamierzał szwendać się po porcie ani po tawernach, dlatego mocno wątpił, by jakaś piracka zgraja odnalazła go w dużym mieście. Był tu



krótko; niewiele się włóczył, bo mu jeszcze nie zbrzydło spokojne domowe życie, zupełnie inne od tego, które wiódł. Przy tej ulicy to pewno ktoś mógł go poznać, ale gdzie indziej... W porcie i na Targu pojawiała się codziennie trzysta nowych gąb; piraci go chyba nie znajdą. Trybunał to co innego.

A słuchał opowieści o piratach. Ludożercach; no proszę bardzo.

– Wiadomo, jak Ślepa Ridi ma na imię, a właściwie jakie są oba jej imiona – powiedziała kobieta, zatroskana, ale i urażona, że pasierb nie chce jej wierzyć. – Riola Ridareta. Stąd się wzięło: Ridi. Tyle tylko, że Riola to nie jest całe imię, a tylko początek imienia. Całego nikt nie może wymówić.

– Bo co?

– Bo źle się poczuje, bardzo źle. A za drugim lub trzecim razem może nawet umrzeć. Byli tacy, co spróbowali.

– Ma na imię... niech no zgadnę... Riolata – powiedział szyderczo Mały.

I poczuł, że stało się coś bardzo, bardzo złego.

Kobieta krzyknęła zaskoczona. To nie było imię, które można zgadnąć; nikt takiego imienia nie nosił, bo właściwie nie było imieniem, tylko jakąś nazwą albo po prostu dźwiękiem bez znaczenia. Umiała czytać, więc napisano jej kiedyś, jak to przekłete imię brzmi – stąd wiedziała. Bała się je wypowiedzieć, choć nie była tak przesądna jak żeglarze.

Mały zsiniał na twarzy i poczuł, że się dusi. Wyciągnął rękę, ale nie mógł wykrztusić słowa, bo w gardle czuł coś parzącego i gęstego – tak smakować musiał płynny ołów. Napęczniały mu żyły na skroniach, po czym zemdlął z wywalonym na brodę językiem i wywróconymi w głąb czaszki oczami; przerażona macocha rozpaczliwie krzyknęła, bo była pewna, że skołał.

o o o

Mrok wypełniający ciasną okrętową kajutę przecięty był tylko jedną smugą światła, wpadającą przez szczelinę w niedomkniętych drzwiach. Owa smuga kładła się w poprzek podłogi i załamywała na stole, by nagle wyłonić z ciemności błysk jednookiego spojrzenia, gdy siedząca z łokciami na blacie kobieta gwałtownie uniosła głowę, opartą dotąd czołem na dłoniach.

– No, nareszcie – powiedziała, oddychając głęboko, jak po długotrwałym wysiłku. – Tylko gdzie to jest?...

Odchyliła się na oparcie krzesła, przyłożyła rękę do piersi i powoli uspokajała ciężki oddech. Światło obnażało jej ramię, bark i połowę twarzy. Zamyślona spoglądała przed siebie.

– W każdym razie żyjesz, grubasie – rzekła znowu. – Skoro żyjesz, to cię odszukam. Tylko martwych nie można odszukać. A jak nawet można, to i tak nie wiadomo, po co.

Chociaż czasem warto było odszukać martwego, by zobaczyć, co zrobi rodzina, gdy odnajdzie tu i ówdzie jego ćwiartki.

Oszukano ją kiedyś w interesach, więc kazała zatłuc oszusta, ale po namyśle wyprawiła kilku ludzi na cmentarz. To, co wykopali, trzymała w beczce z wódką i od czasu do czasu posyłała jakąś część rodzinie. Podobno ktoś od tego oszalał. Po kilku miesiącach, gdy w beczce została sama wódka, kazała zgładzić rodzinę. Teraz szukała coraz dalszych i dalszych krewnych, co w ogóle nie miało końca. Wyglądało na to, że wszyscy ludzie na świecie są ze sobą jakoś spokrewnieni.

Ta historia się nie zdarzyła. Ale jaka była ciekawa i ładna!... W każdym razie wieść się rozeszła i już nikt jej nie chciał oszukać.

Takielunek przycumowanego do nabrzeża okrętu cicho poskrzypywał, przyplływ wdzierający się w szerokie ujście rzeki unosił kadłub i luzował cumy. Oficerów puściła na ląd, więc powinna chyba sama sprawdzić wachtę. Gdzieś na pokładzie chichotała dziwka, miętoszona przez marynarzy. Z głębi kadłuba dobiegały stłumione odgłosy jakiejś sprzeczki, a może tylko żywej rozmowy.

Był dopiero wieczór, lecz na okręcie przebywało zaledwie kilkunastu majtków, większość korzystała ze wspaniałych uroków miasta.

Nadchodziła jesień, w ciągu paru dni musieli wyjść w morze, żeby zdążyć do Aheli przed sztormami. Ale miała zabrać ładunek, głupie zboże, którego wiecznie na Agarach brakowało. Dostawa się opóźniała.

Ridareta wyszła z za stołu, trochę mocniej zawiązała hajdawery pod wyдутym brzuchem i szeroko otworzyła drzwi kajuty. Mrużąc swoje jedyne oko, porażone czerwonym blaskiem zachodzącego nad morzem słońca, oparła się o futrynę. Chichocząca załogantka, z zadartymi do góry czarnymi podeszwami bosych stóp, pukała głową o skrzynię w takim samym rytmie, w jakim poruszało się blade dupsko marynarza, lecz po chwili miłosne zmagania przerodziły się w bójkę: marynarz wyrzucił dziwkę w zęby, ona zaś zostawiła mu na gębie krwawe ślady pazurów.

Ridareta pogapiła się trochę.

– No!... – powiedziała ostrzegawczo.

Na widok dowódczyni okrętu bójka zgasła. Szczercząc zęby w uśmiechu, że niby to nic, tylko tak, dryblas z gołym tyłkiem przyjacielsko poklepał dziewczuchę po policzku, ta zaś rozmazała krew z nosa i znowu zaczęła chichotać. Ridareta pogroziła im palcem, po czym ruszyła ku dziobówce.

– Pilnuj przyplływu – napomniała drugiego wachtowego. – Spokojnie, przyplływ nie zając. Ale jak znów puści cuma, wyrwę nogi.

Załoga kochała ją za to. Bardzo rzadko była sroga dla marynarzy.

Pod pokładem nie znalazła nikogo, dopiero po długiej chwili dojrzała błysk oczu jakiegoś leniuchującego majtki, wyrwanego z drzemki dzwonieniem jej bransolet.

– Kto tu? – burknął i usłyszał nowy brzęk srebra na kostkach nóg, gdy ostrożnie stawiała kroki, starając się o nic nie potknąć. – Ee... kapitana?...

– Kapitana. Śpij, leniu.

Zabrała z haka słabo migoczącą latarnię. Przemykając między barłogami i hamakami, dotarła do najdalszego kąta, w którym wydzielono coś w rodzaju zagrody dla bydła: była to mała przestrzeń ogrodzona deskami. Okrętowa „izba chorych”.

Mężczyzna z obwiązany szmatami kikutem ramienia spał. Oddychał głęboko i równo – było pewne, że się wylży. Drugi wyglądał gorzej, znacznie gorzej. Uderzenie pałki zgruchotało mu łeb, czaszka była wgnieciona i pęknięta. Spocony i nieprzytomny, oddychał chrapliwie – wyglądał na kogoś, kto nie przeżyje nocy. Tu już nic nie dało się zrobić. Był i trzeci, też nieprzytomny, popękały mu chyba wszystkie flaki. Jej okrętowy gwardzista. Kto tak pięknie potrafi przywalić pięścią w ucho jak on?...

Zabity skrzynek? No, niedoczekanie.

Ridareta pochylała się nad nieprzytomnym i świecąc latarnią, marszczyła brwi, jakby czegoś nasłuchiwała. Dotknęła dłonią spoconego czoła, a potem położyła ją na sercu leżącego, jakby chciała wczuć się w rytm słabych uderzeń.

– Nie – powiedziała wreszcie bardzo cicho. – Nie ma mowy, mamuśka wyciągnie cię z tego. A potem zobaczymy, czy będziesz się umiał odwdzięczyć.

Odszukała wyrwanego z drzemki marynarza.

– Wstawaj, no już.

Majtek zerwał się na równe nogi. Uniosła latarnię i ogarnęła go uważnym spojrzeniem. Otwartą dłońią klepnęła w twardy brzuch.

– Nie najgorzej – uznała. – Dasz sobie radę. Jazda na pokład i wracaj zaraz z wachtowym. Zaniesiecie coś ciężkiego do kajuty.

Wkrótce znowu siedziała przy stole, spoglądając na nieprzytomnego żeglarza; zmęczeni tragarze trochę krzywo ułożyli bezwładne ciało na pośłaniu.

Gwardzista konał; Garda, jej straż okrętowa, zaraz miała zostać bez dowódcy. Dalsze czekanie nie miało żadnego sensu, bo ranny zrobił już wszystko, co mógł. Ale nie wyzdrowiał i było całkiem jasne, że o własnych siłach na pewno nie wyzdrowieje.

Przełknęła ślinę i odetchnęła głęboko, jakby podejmowała jakąś trudną a kosztowną decyzję. Rzeczywiście tak było. Jeszcze raz zacerpnęła powietrza, potem z dreszczem podeszła do pośłania i kucnęła obok. Zwlekała jeszcze trochę, wreszcie się przemogła, półotwartymi ustami dotknęła ust nieprzytomnego – i zastygła w bezruchu, jakby przekazując mu swe własne tchnienie. Trwało to dosyć długo. Odsunęła się powoli, znowu odetchnęła głęboko, ale tym razem z ulgą, po czym zawołała:

– Hej tam!

Drzwi otwarły się i stanął w nich marynarz z dziobówki; nie mogła sobie przypomnieć, jak też miał na imię. Pewnie nawet nie wiedziała. Wszystko jedno; w każdym razie na pewno już odpoczął. Pytając spojrzał na brzuchatą dowódczynię, która, siedząc w kucki, wyglądała wyjątkowo ciężko i niezgrabnie – wydawało się, że wielki bęben zaraz oprze się na deskach podłogi.

– Zabierz go z powrotem – powiedziała. – No już. Bierz i wynocha.

– Znaczy... zanieść go tam, gdzie był?

To nie on wynalazł proch.

– Tak, tam gdzie był, zabieraj go. No już! – syknęła ponaglająco.

Majtek się przeraził, bo Foka na załogę gniewała się naprawdę rzadko, ale gdy już się gniewała... Dźwignął nieprzytomnego i aż stęknął, bo było co nieść. Obracając się, wyrzwał bezwładnymi nogami w ścianę (żeglarz, który przetrzymał lanie skrzynią, doprawdy mógł nie przeżyć niesienia przez troskliwego kompana) i niemal wybiegł z kajuty, wołając wachtowego do pomocy, bo już ledwie trzymał. Jego jednooka dowódczyni oburącz uczepliła się blatu stołu, dźwignęła i chwiejnie dotarła do drzwi, zamykając je z najwyższym trudem. Droga powrotna trwała jeszcze dłużej: rozdygotane nogi nie chciały utrzymać ciała; dowlokła się do pośłania na czworakach. Niepotrzebnie, bo nie była w stanie wpełznąć na łóżko. Skulona, wtłoczyła sobie w usta skraj niezbyt czystego pledu i wyła głucho, a właściwie tylko stękała przeciągle, odbierając oczekiwaną i przewidzianą karę. Karę wymierzoną przez bezrozumną i ślepą siłę, która jednak nie życzyła sobie być rozrywana na strzępy. Drobne okrucy tej siły mogły wspomóc czyjeś dogasające życie, lecz treść, z której te okrucy wyrwano, burzyła się i dręczyła nosicielkę.

A jednak owa treść, owa siła, nawet jeżeli miała własne imię, była zaledwie czymś – bo nie kimś. Czymś bezmyślnym i nieświadomym, zakętym niegdyś w przedmiocie, olbrzymim Rubinie Geerkoto. To była... tylko rzecz, głupia rzecz, wszystko jedno, jak niezwykła i potężna.

Ridareta nie mogła i nie umiała ratować każdego. Nie na zawołanie. Czasem tak, a najczęściej nie. Mogła wyrwać Rubinowi wiele, ale nie zawsze i niekoniecznie z takim samym skutkiem. A jednak wszyscy bez przerwy żądaliby od niej cudów, gdyby pokazała, że potrafi uratować życie.

Nawet gdyby mogła ratować zawsze, to po prostu zdechłaby od tego. Wypaliłaby Riolatę do cna.

Ale prędzej skonałaby z bólu.

Niemal tracąc przytomność, bo w ciele rozlewało się coś, co parzyło jak płynne żelazo, Ridareta stękała i wyła głucho w swój brudny knebel, a zarazem narastał w jej gardle dźwięk, który mógł być namiastką skrzeczącego, ochryplego śmiechu, zrodzonego z nienawiści i mściwości. Za sprawą przekłętogo Rubinu, który pojawił się, gdy była w ciąży, i „uważał”, że tak powinno być stale, wiecznie łąziła z bębmem, wystarczyło, że spojrzała na mężczyznę. No dobrze, spojrzenie nie wystarczyło. Ale prawie że.

Zawsze potem jakoś musiała oszukać czerwoną moc. Miało nie być więcej rubinków.

Już dwa kiedyś były – i wystarczy.

A właśnie miał pojawić się kolejny, choć wcale tego nie przewidywała. Ziola, które zwykle pozwalały spędzić płód, nie wywarły pożądanego skutku i Ridareta już nie po raz pierwszy gotowa była urodzić swojego potwora o czasie, choć znaczyło to: po zaledwie trzech miesiącach, bo tyle trwały jej ciąży. Lecz czego nie sprawiły ziola, sprawił ból. Połamana skrzynia w rękach grubego wojaka, tłukąca bebechy żeglarza (bo gdyby chociaż jej własne!), dokonała tego, czemu nie podołało babskie zielarstwo – i było w tym coś śmiesznego. Łysol oszczędził jej prawie dwóch tygodni kolebania się na kaczyczych łapach.

Kłęcząc w kałuży odchodzących wód płodowych, Ridareta nie musiała już tłumić wycia, więc posłyszał je cały okręt, a może i cały port. Kneblowała się śmierzdzącą ścierką, żeby ukryć swoje życiodajne moce, ale rodzić mogła wszem wobec; to nie było coś nadnaturalnego. Więc rodziła, wyła i śmiała się ochryple, aż nowy wybuch ognia w środku ciała odebrał jej przytomność. Bóle porodowe były słabo odczuwalne na tle tego, co sprawiał Rubin.

Oprzytomniała już bez portek, ale za to z kubkiem gorzałki pod nosem, w kręgu kilku marynarzy, niespecjalnie przejętych, za to krzątających się wcale sprawnie. Prawdę mówiąc, u swojej „kapitany” nie takie rzeczy widzieli. Niepotrzebnych przepędzono, a na okręt właśnie wracał Mevev Cichy, po którego posłano do pobliskiej knajpy – skoro miała swojego zastępcę, choćby nawet mocno podpitego, to już mogła rodzić z przyjemnością. Rubin przestał parzyć; było całkiem normalnie. Powyla znowu, wypila drugi kubek wódki i klnąc, wygnała z kajuty okrętową dziwkę, bo wstydziła się rozkładać nogi przy niej. Jak ciekawa, to niech sama sobie rodzi. Wisiała w powietrzu na karkach dwóch zuchów, trzymana przez nich pod uda, bo tak było zawsze najwygodniej – kiedy parla, mogli potrząsnąć, szybciej szło. Objawiał się cud nowego życia, nowego... rubinowania. Ju-huu! Już kompletnie pijana, bo co chwila pociągała parę łyków z podtykanego kubka, krztusząc się i stękając, to znów dla odmiany wyjąc wniebogłose, dokończyła wszystko, co zaczęła, po czym ku zgiełkliwej radości załogi sama powlokła się do burty i osobiście nakarmiła ryby w porcie. Ju-huu! Potrójna sztuka srebra na głowę!

Jak zawsze: córeczka, nie synuś.

Teraz mogła nareszcie spokojnie zająć się Małym.

Ale najpierw zasnęła przy nadburciu.

## ROZDZIAŁ 5



Mały zaś wracał do zdrowia z szybkością – a można by powiedzieć: z wprawą – godną kogoś, komu już niejednokrotnie pochlastano cielsko mieczem. Potrafił wylizac się na wojnie, gdzie za łoże służył mu rozchybotany na wybojach wóz, więc tym bardziej nic nie stało na przeszkodzie, by wyzdrowiał w czystej pościeli, karmiony kapuśniaczkiem przez macochę.

Dziwny udar, którego doznał, wymówiwszy przekłętę imię Ślepej Foki, przejął go obawą, ale nie odcisnął się w żaden sposób na zdrowiu. Mały oprzytomniał po niedługim czasie, w samą porę, by ujrzeć w drzwiach izby postać ojca, pomachał więc tylko ręką do macochy, która doń spieszyła, mając w oczach szczerą troskę i lęk, w dłoniach zaś jakieś kompresy.

„Nic mi nie jest, cicho” – powiedział, rzucając trochę jeszcze nieprzytomne, ale jednak porozumiewawcze spojrzenie. Zrozumiała, że pasierb chce, by wszystko, co się zdarzyło i co sobie powiedzieli, zachowała tylko dla siebie.

Jednak trochę inaczej zaczął się zapatrywać na morskie bajdy. Babskie gadanie macochy nie było takim znowu babskim gadaniem. Mały przemyślał całą rzecz dogłębnie, tak jak to miał we zwyczaju – i pogodził się z rzeczywistością. Niezłe zdążył otrząsać się w świecie, dużo widział i słyszał. Nie rozumiał Szerni – nie rozumiał jej prawie nikt – ale wiedział, że Pasma mogą sprawić niejedno. Widocznie piracka księżniczka miała z siłami Szerni coś wspólnego. Nie ona jedna na świecie.

Trudno było jednak machnąć ręką. Wydawało się całkiem jasne, że dziesiętnik gwardii Gohet wdepnął w coś naprawdę paskudnego. I to coś śmierdziało na potęgę. Mały nie mógł się nadziwić, jak trafny jest przydomek jednookiej. Spotkał ją – i momentalnie całe życie upaprało mu się w paskudztwie. Nie miał pojęcia, jak się z tego paskudztwa wykaraska. Wydawało się niemożliwe, by wszyscy o nim zapomnieli. I Trybunał, i agarska księżniczka majstrująca przy Pasmach Szerni, pewnie za pomocą jakiegoś Porzuczonego Przedmiotu. Od nowa zaczął się zastanawiać, czy na pewno nie odnajdzie go w tym mieście nikt oprócz Trybunału.

Minęło kilka dni. Mały kiepsko sypiał, bo nadrobił już zaległości z całego życia. W nocy obiecał sobie, że rano ogarnie się i wylezie z łóżka na dobre. Od awantury w starym składzie minął ponad tydzień; rany były słabo, ale ładnie zasklepione i musiałyby chyba rąbać drwa na opał, by się pootwierały. Kuśtykając wolniutko po domu i po ludzku siedząc przy stole, niczego nie ryzykował.

Pomyślał o staruszkach z izb na dole, których maść co prawda była do niczego, ale troska nieudawana. Jednak żyło na świecie wielu dobrych ludzi; to nie był taki zły świat. Dwa razy widzieli go na oczy, a pytali o zdrowie codziennie, tak przynajmniej

mówiła macocha. Mały obiecał sobie, że gdy tylko wylezie z łóżka, pójdzie podziękować babci i dziadkowi.

Jednak nie dane mu było wypełnić postanowienia.

Była głęboka noc, na okęcie powiedzieliby pewnie: trzy ćwierćwachty do świtu, i walnęli w dzwon. Człowiek z nożem w ręku postawił słabo migoczącą latarnię na stole i pochylił się nad Małym. Przybył bezszelestnie; był to skrytobójca znający dobrze swój fach i ranny grubas umarłyby, nie wiedząc nawet o tym, że umiera – gdyby spał. Rano w łóżku znaleziono by trupa, to wszystko.

Lecz Mały nie spał. Trochę drzemał i wydało mu się, że to brat przylazł podzerać zimną zupę z garnka na piecu; bywało. Ale – z latarnią?... Jeszcze nie całkiem oprzytomniał i na widok ciemnej sylwetki przy łóżku wzdrygnął się przestraszony, jak ktoś, komu zniechacka za plecami zawołano: „Hu!”, odruchowo zasłonił się ręką i tak samo odruchowo drugą ręką chwycił napastnika, ucapił za gardło i trzymał. Zwój płótna spowijający ramię, do którego powoli i z trudem, mimo szwów macochy, przyrastał urąbany mieczem kawał ciała, w mgnieniu oka przesiąkł krwią, ale ranny tego nie poczuł, bo szamocząc się z napastnikiem, został zahaczony nożem w rękę i ten ból był znacznie wyraźniejszy. Mały ryknął, a głos miał potężny. Postawił na nogi cały dom.

Sploszony morderca wyrwał się i odskoczył. Chciał uciekać, lecz miał pecha, bo wpadł na niski zdelek i przewrócił się. Za drzwiami załomotały szybkie kroki i po chwili jeszcze dwaj ludzie wbiegli do izby; byli to widocznie pomocnicy łotra, pilnujący domu od zewnątrz.

Ale Mały nie był już sam.

Brat i ojciec, za których plecami błysnęły przerażone oczy macochy, nie byli wojownikami, lecz kupcami. W środku nocy wyrwani ze snu, w ogóle nie wiedzieli, co się dzieje ani co w podobnej sytuacji trzeba zrobić. Przestraszony ojciec, na którego wpadł jeden z napastników, złapał go zupełnie odruchowo tak jak wcześniej Mały – i odepchnął, co sprawiło, że intruz wyrznął w ścianę, spłynął po niej jak rzygowina i spoczął na podłodze. Brat miał więcej czasu, bo osłupiały napastnik sterczał nieruchomo i – mimo półmroku – można by przysiąc, że szeroko otwierał gębę. Kupiecki syn, z braku lepszego pomysłu, walnął w tę gębę na odlew; wtedy coś głośno chrupnęło, a potem załomotało. Na moment zrobiło się cicho, lecz ta cisza pękła niemal od razu. Leżący na podłodze zbój ni to kwiczał, ni charczał, próbując policzyć zęby i kawałki połamanej szczęki.

Człowiek z nożem pozbierał się i wyprostował, powoli popatrzył w lewo, potem w prawo, ale drogę odwrotu miał odciętą. Nagle uniosł rękę, przycisnął palcem wskazującym nos i zaczął chichotać jak głupi, oglądając siedzącego na łóżku tłuszczyzka, którego polecono mu zabić. Chichotał i chichotał, wreszcie przestał.

– Ale gównie – powiedział gorzko.

Mały był Małym od zawsze – jedyny, który choć po części wrodził się w matkę. Takie chuchro. Na tle ojca i młodszego brata wydawał się nieduży i szczupły. Trzy grube wielkoludy, ważące razem tyle, ile siedmiu normalnych mężczyzn, to było cokolwiek zanadto. I niedoszły zabójca znowu zaczął chichotać, jakby postradał zmysły.

Nagle rzucił się desperacko do okna, jednak zagrodziło mu drogę czyjeś ramię. Zawadziwszy o nie podbródkiem, najemnik wywinął dziwaczego kozła, a właściwie półkozła w powietrzu i grzmotnął plecami o podłogę, mając nogi wyżej niż głowę. Straszliwy brodaty grubas, chyba najstarszy z trójki, kubek w kubek podobny do dwóch mniejszych, bo tak samo лыs jak kolano, sapnął gniewnie, potem zaś, trzęsąc podłogą, uczynił dwa kroki, złapał go za odzienie, podniósł i posadził na stole obok latarni.

– Najpierw pogadamy – rzekł drżącym z przejęcia głosem. – Kto ty jesteś, co? Znasz go, synek? Żona, przyniesie no więcej światła.

Cichutko i bełkotliwie zaczął stękać leżący na podłodze obwieś ze zdruzgotaną szczęką. Już nie kwiczał, ale ciągle dzierżył w garści mordę, chcąc utrzymać ją w jednym kawałku. Ten pod ścianą leżał i milczał jak zaczarowany. Lub nieżywy.

Roztrzęsiona macocha przyniosła dwa kaganki, po czym jeła opatrywać zranione przedramię pasierba, który miał do powiedzenia tyle samo co nieruchomy tłumok pod ścianą. Wyglądał okropnie, bo rany pootwierały się w trakcie szarpaniny i płótka już przesiąkały krwią.

Brat i ojciec spoglądali wymownie i pytająco zarazem. Trzymany za kark jeniec milczał.

Ale to nie był niegrzeczny chłopiec, jakiś urwis z zaułka, lecz płatny morderca. Nie dano mu czasu na poznanie domu i jego mieszkańców; zleceniodawca naglił, bo Mały wciąż znał niebezpieczną tajemnicę. Zabójca miał pecha: wbrew wszelkim spodziewaniom jego ofiara nie spała; został też zaskoczony posturą domowników, do których powalenia konieczna wydawała się katapulta albo inna machina obłęznicza.

Umiał jednak wykorzystać dany czas. A otrzymał go sporo. Mały myślał i myślał, bo nie chciał gadać przy nasłanym zbirze, a poza tym wciąż jeszcze próbował nie obarczać najbliższych swoimi paskudnymi sprawami. Był prostym wojakiem, który wybornie radził sobie z halabardą w polu, jednak o szarpaninach i bójkach miał znacznie mniejsze pojęcie – zlekceważył więc pojmanego, który na pozór pogodził się z losem. Brat i ojciec, spokojni kupcy, choć wzbudzający respekt wzrostem i tuszą, byli jeszcze mniej niebezpieczni.

– Pytałem cię o coś, synu – powiedział groźnie olbrzym z brodą.

Mały zaczął mówić, lecz w tej samej chwili jeniec niebывale zręcznie wywinął się z uścisku i w mgnieniu oka znalazł przy posłaniu. Pochwyciwszy opatrującą pasierba kobietę, która krzyknęła przerażona, pokazał małe i wąskie ostrze, trzymane dotąd nie wiadomo gdzie, po czym jął krok za krokiem cofać się pod ścianę, zasłonięty ciałem zakładniczki. Nie padło ani jedno słowo, tylko rozwścieczone i ogłupiałe grubasy zastępyły na środku izby, bo było zupełnie jasne, co może zaraz nastąpić.

Rozbójnik dotarł do ściany, po czym, postępując dla odmiany bokiem, zaczął wolno zmierzać ku drzwiom.

– Mogłem darować – ochryple powiedział Mały – że chciałeś mnie dzisiaj zadźgać. Ale tego, skurwysynu, to już ci nie daruję.

– Mmm... jak ładnie – powiedział ktoś stojący za półotwartymi drzwiami; głos należał do kobiety. – Ja bym się przejęła, skurwysynu czy jak ci tam. On naprawdę tego nie daruje.

Mała i biedna garyjska kamieniczka, w której jedne wąskie schodki wiodły z parteru na piętro, stała się naraz areną jakichś dziwnych i ponurych porachunków. Mały nie zdążył pomyśleć, co spotkało pocziwych sąsiadów, którzy mieli takie nieszczęście, że mieszkali na drodze przemarszu zbrojnych band, bo od razu dostał odpowiedź: piękna piratka trzymała w ręku miecz ubroczony tak, że spływające wzdłuż główki strużki było widać bardzo wyraźnie, choć latarnia i kaganki pospołu nie dawały zbyt wiele światła. Uniosła ostrze i niedbale otarła je własnymi włosami, obcinając przy okazji cały pęk, który pogardliwie upuściła na podłogę.

Za plecami jednookiej księżniczki pojawiło się zaraz kilku zbrojnych. Dwóch miało w rękach kusze z nałożonymi bełtami.

– Był grubas, ale uciekł i już nie było grubasa – powiedziała leniwie, podchodząc do zbierającego się z podłogi łotra z połamaną szczęką i oglądając go niczym jakieś dziwo. – Jak kamień w wodę. Aż tu nagle grubas woła: „Riolato! Riolatko, tu jestem, przyjdź,

kochanie!“. Riolatka szuka, szuka i nie może znaleźć, wreszcie ju-huu! I już wie. Jeszcze nie jest pewna, chce sprawdzić. Ale nagle przybiegają dobrzy ludzie i mówią jej uszennie, że ktoś kogoś ma zadźgać w łóżku nad ranem... Ciekawe kogo? Riolatka nic nie wie, ale ma przecucie, a przecucie Riolatki... ooo, to ważna rzecz! Coś tu się Riolatce nie podoba, bierze więc swoją załogę i pędzi, żeby zdążyć. Przybiega i co widzi? Że się trochę spóźniła, ale są aż trzy piękne grubasy. Riolatka już nie będzie potrzebna, teraz kolej na Ridaretkę. A co robi Ridaretka? Ridaretka zaszlachtuje wszystkie trzy. Mniej więcej tak, tylko wolniej.

Co rzekłszy, zamachnęła się nagle i niemal przerąbała szyję jęczącemu u jej stóp, pełznącemu na czworakach nieszczęśnikowi. Poprawiła. Trysnęła krew; porąbany najpierw ryknął, a potem runął na deski i zaczął rzucać się w drgawkach. Jakby na umówione hasło gdzieś na zewnątrz rozbrzmiała potężna, z wielu piersi wydobyta pieśń żeglarska, a w jej tle jakieś hałasy: najwyraźniej plądrowano i demolowano dom.

Foka Ridi nie kłamała: przemierzyła uśpione ulice Dranu, ciągnąc za sobą pół setki zbiorów ze „Zgniętego Trupa“. I Mały przyjąłby zakład, że wojsko nic w ogóle nie chciało o tym wiedzieć. Chodziło przecież, nieprawdaż, o liczne agarskie eskadry, mogące przeważać szalę w nadchodzącej wojnie... Polityka. W środku jednego z największych miast Garry tłum morderców zupełnie jawnie przymierzał się właśnie do podpalenia domu, której to czynności wtórowała piosenka o Rudym Jonie:

*Ładował statki Rudy Jon,  
Hej – ale dziwnie się składa,  
Zasnął w ładowni i płynie w rejs,  
Hej! hej! Rudemu biada!  
Hej! hej! Rudemu biada!*

Sporo czasu minęło, nim Mały dostrzegł coś tak oczywistego, jak brak wydętego brzucha u pięknej Ślepej Ridi. Ni z tego, ni z owego przypomniał sobie, jak macocha skrzywiła usta, z politowaniem mówiąc o piratce, a i o tym, co podoba się mężczyznom: „Robi się coraz piękniejsza, ale tak, no, pod wasz gust“. I rzeczywiście, uroda jednookiej była urodą po prostu nienaturalną, ale za to wychodzącą naprzeciw męskim wyobrażeniom. Ridi miała wielkie i w ogóle nieciążące w dół piersi, włosy tak bujne, że nie widać w nich było braku obciętej przed chwilą mieczem grubej kiści; biodra zbyt okrągłe, nogi aż za długie i kibić nazbyt wąską... Niemożliwie wąską jak na kogoś, kto jeszcze parę dni temu łąził z ośmiomiesięcznym brzuchem. Spódnicę świetnej, bogato zdobionej sukni rozcięto niedbale z przodu i z tyłu, zapewne mieczem, a każdą część obwiązano tuż pod jędrną łydką, tworząc coś w rodzaju wyjątkowo luźnych i przewiewnych szarawarów – były to szarawary odsłaniające kształtne kolana i obłe, zdrowe uda. Dzwoniły bransolety opinające rasową kostkę bosej stopy, której palcami Ślepa Foka Ridi gmerała w rosnącej kałuży krwi – piratka wydawała się bez reszty pochłonięta tym ważnym zajęciem.

Mały przelknął ślinę i powiedział:

– A jeśli się wykupię? Coś ci dam.

W izbie było po prostu tłoczno. Ci z kuszami przeszli dalej do środka, pod ścianą wciąż sterczał niefortunny zabójca, trzymający nóż przy szyi śmiertelnie bladej kobiety, która tak niedawno bała się patrzeć na rany pasierba, a teraz widziała rąbanego mieczem człowieka, sama zaś miała nóż na gardle. Przy drzwiach stał drab z dłonią na



rękojeści miecza; na środku izby piracka piękność nad coraz słabiej podrygującym trupem; wreszcie nieco dalej trzy grube golasy – olbrzymie, łyse, paskudne.

– A co mi dasz? – zapytała ospale.

Mały nie miał nic do stracenia i czuł, że o żadnych targach nie ma mowy. Mógł powiedzieć swoje – i to szybko – albo stracić urąbany mieczem łeb. Tak jak zbój na podłodze. Słaby, spowity w przesiąknięte krwią płótna, wobec uzbrojonych w kusze czujnych dryblasów w żaden sposób nie mógł powtórzyć tego, co mu się udało w opuszczonym składzie.

– Bierz wszystko i rób cokolwiek, ja chcę tylko życia naszej czwórki. A jak nie, to chociaż trójki. – Wskazał ojca, brata i macochę. – Nie kłamałem.

– Hm?

– Nie kłamałem w tej starej szopie – powtórzył bezradnie Mały, czyniąc gest, jakby chciał wskazać port. – Ale się pomyliłem, bo to nie ten twój pupil zlecił mi napaść na ciebie. Ktoś podobny, może jego brat... Nie wiem, czy ma brata, na dodatek bardzo podobnego, ale sprawdź, czy ma. Możesz to sprawdzić? – Mały niemal poprosił, usłyszał to w swoim głosie i zagrył wargę, bo nie chciał płaszczyć się przed tym... przed tym czymś, a zarazem miał świadomość, że naprawdę może tylko prosić.

– Mam wierzyć w tę bajkę? – zapytała, podnosząc głos, by przekrzyczeć wyrykiwaną za oknami piosenkę. – O dwóch braciach?

– A bracia nie bywają podobni? – zapytał przytomnie Mały, pokazując palcem niebrodatego grubasa, stojącego dwa kroki dalej. – Nie wzięłabyś go za mnie po ciemku?

Popatrzyła, pomyślała i niechętnie pokiwała głową.

Mały miał bliźny na gębie, tamten nie – i to była cała różnica, przynajmniej przy takim świetle. A w starym składzie światła było jeszcze mniej.

– Zabierz mnie ze sobą i sprawdź, czy to wszystko bajka – rzekł Mały. – Ja ci nie ucieknę.

– Nie uciekniesz? – rzekła szyderczo. – Ale ja już widziałam, że potrafisz uciekać, i to jak. Bardzo ładnie uciekałeś – pochwaliła, chyba całkiem szczerze. – No, to jeszcze raz, od początku. Opowiedz mi dokładnie, jak to było – zażądała.

Odwrociła się nagle i w trakcie tego szybkiego jak mgnienie oka ruchu błysnęła w jej jedynej źrenicy czerwona iskra – Mały mógłby przysiąc, że ją dostrzegł. Czymkolwiek była ta istota, na pewno nie człowiekiem, albo może nie tylko człowiekiem, bo zwykła kobieta, choćby nawet piracka księżniczka, na pewno nie mogła się poruszać z taką szybkością. Coś w tych żeglarskich bajędach musiało być prawdą. Mały pojął, co zaszło, dopiero wówczas, gdy na powrót zwróciła się ku niemu, lekko uderzając w otwartą dłoń obróconym na płask ostrzem, które bez wysiłku wydarła z ręki stojącego pod ścianą mordercy. Na podłodze wciąż dzwonił miecz; wypuściła go z dłoni, żeby porwać nóż. Chwilę wcześniej odepchnięta na bok zakładniczka z okrzykiem przestrawu wpadła prosto w ręce stojącego w drzwiach zbira, który zaraz wyprowadził ją z izby.

– Jeszcze raz, dokładnie, od początku – powtórzyła.

– Nie, najpierw on – rzekł Mały, wskazując rozbrojonego, przerażonego nagłością ataku skrytobójcę i ruszając ku niemu.

Jednak nie ubiegł swojego starego ojca. Brodaty grubas zrobił trzy kroki i zamachnął się. Ogłupiały złoczyńca, któremu naprawdę tego dnia przytrafiło się zbyt wiele, zręcznie uniknął ciosu, ale stary runął nań i przygniótł do ściany.

– Ojciec, zostaw, on...

Ale było za późno; stary skręcił zbirowi kark, ku radości i podziwowi stojących z kuszami piratów. Dowódczyni pisnęła radośnie, tak wysoko, że bolały uszy, po czym

klasnęła w dłonie.

– Ju-huu!

– ...może powieździeć, kto go nasłał – skończył Mały, chociaż nie miało to sensu. – A ona miałyby swój dowód.

– Jej wysokość miałyby swój dowód – poprawiła uśmiechnięta księżniczka, wysławiająca się z właściwą sobie nienaganną dykcją. – Okaż mi trochę szacunku, żołnierzyku. Bo jesteś żołnierzykiem, tak? Coś słyszałam.

Brodacz pochylił się i podniósł zapomniany, leżący pod ścianą toból. Położył go na stole niczym dwumiesięczne szczenię. Był to trzeci z napastników, ciągle nieprzytomny.

– Tu chyba jest drugi dowód – powiedział.

– Miło na was patrzeć, ale rodzinka – oznajmiła. – Zabieram waszą mamuszkę czy kogo tam. Sprawdzę twoją bajkę, grubasie, i wrócę. Powiedz tylko jedno słowo, a się rozmyślę – rzekła ostrzegawczo do starego, a uśmiech na jej twarzy w jednej chwili zastąpiony został przez złowrogi, prawie niehumaniczny grymas; odsłoniła zęby niczym zwierzę. – A ty miałeś mi wszystko dokładnie opowiedzieć, od samego początku – rzekła znów do Małego. – Ja jestem ładna, ale niezbyt mądra i właściwie to chyba powinnam być blondynką. Może będę?... – Zamyśliła się na krótko, ale zaraz ocknęła. – W każdym razie nie rozumiem intryg, trzeba mi wszystko wytłumaczyć. No, to tłumacz.

Cofnęła się i bez żadnej widocznej przyczyny wyrzuciła potylicą w ścianę. Poprawiła. Mały widział, co robiła w opuszczonej szopie, i pamiętał, że rozmawia z wariatką, nie bacząc więc na osłupienie ojca i brata, jął przedstawiać swoją historię. Słuchała go, rytmicznie stukając głową o drewniane przepierzenie, ale tak, że z półek pospadały na podłogę kłopoty. Na szyję spłynęła wążutka strużka krwi. Rozwaliwszy łeb, próbowała następnie złamać sobie rękę, co się nie udało, bo przedwcześnie zrezygnowała. Nagle roześmiała się w pół słowa, poprawiła przekrzywioną opaskę na oku, skinęła na piratów, którzy zdjęli bełty i zabrali nieprzytomnego draba ze stołu, pogroziła Małemu palcem i wyszła.

– Wrócę. Czekać – rzuciła przez ramię. – I ani kroku stąd.

Nagle zrobiło się cicho i pusto.

W izbie zostały dwa trupy, kałuża krwi, porozbijane sprzęty i trzej nadzy, a raczej półnaczy, ogromni mężczyźni.

– No to, synek... – rzekł po długiej chwili brodac i odchrząknął. – No to narobiłeś.

– Narobiłem – przyznał pokornie Mały.

– Wiem, kto jest, bo wie każdy. I słuchałem, co do niej mówiłeś, ale dalej nie wiem jednego: po co żeś się w to wdawał? Dla złota?

– Nie dla złota. Chyba dla sprawiedliwości.

Przez chwilę wszyscy milczeli.

– Niby głupków nie sieją, a ja jednego zasiałem – orzekł stary z namysłem. – To posłuchaj mnie teraz: siły dopisują, nie narzekam, więc synków, synek, to ja sobie jeszcze narobię ile chceć. Ale żonę mam tylko jedną, synek, i jeśli coś złego... jeśli stanie jej się coś złego... – Wielki brodac odchrząknął po raz drugi. – No to, synek... Zrozumiałeś, co ojciec mówi?

Mały skinął głową, przelykając po swojemu ślinę.

– Mniej więcej.

– To uważaj. Twoja jej wysokość Ślepa Foka Ridi nie zdąży cię skrzywdzić, synu, bo wcześniej sam skręć ci kark.

Minęło jeszcze trochę czasu, nim do kamienicy wkroczył wezwany przez kogoś patrol straży morskiej. Żołnierze zrobili, co mogli, by nie uchodzić za wścibskich: dowiedziawszy się o napadzie piratów, zaraz poszli, zapewniając, że sprawcy zostaną szybko – co tam szybko! natychmiast! – ujęci.

Wkrótce po odejściu wojska stawili się dwaj rozradowani z niewiadomych przyczyn mężczyźni. Pozbierali zwłoki i złożyli na skrzypiącym wózku, otoczonym przez tłumek gapiów, wskazujących to trupy, to dom, a najczęściej kierunek, w którym leżał port.

Trzej mieszkańcy cichej, częściowo splądrowanej i zdemolowanej kamienicy milczeli przez cały dzień. Przyodziali się jako tako, lecz poza tym nie zajmowali się niczym – chyba tylko własnymi myślami.

Nikt nigdy tak tęsknie nie wyglądał powrotu piratów.

## ROZDZIAŁ 6



Piraci wrócili dopiero po upływie doby. Było już całkiem widno, gdy najmłodszy z drzemiących przy stole grubasów unióś głowę i zaraz potrząsnął ramionami ojca i brata.

Kroki na schodach nie były złudzeniem.

Ridi przysła sama, a w każdym razie nikt nie wkroczył za nią do izby. Wyglądało na to, że pozostawanie w niezmienionym stroju dłużej niż jeden dzień jest zupełnie nie do przyjęcia: miała na sobie ładną, ale prostą w kroju kieckę, w jakiej mogłaby chodzić każda mieszcza.

Nie zmieniło się tylko dzwonięcie bransolet. Obuwia najwyraźniej nie używała nigdy. Może zimą.

– Nabrałam się na to – powiedziała, przysuwając sobie taboret do stołu i siadając, jakby była we własnym domu. Niecierpliwym fuknięciem odrzuciła pukiel włosów, który spadł jej na oko. – Nie kupiłabym historii o przypadkowym zbawcy, który w ostatniej chwili wydarł mnie z rąk mordercy – oszczędnym ruchem pokazała Małego we własnej osobie – ale kupiłam (i to kupiłam naprawdę, bo za złoto!) historię kogoś, kto ostrzegł mnie przed zamachem. A jeszcze tam, na nabrzeżu, zacząłeś bredzić, że Askar, ten mój Askar, coś ci zlecił... Niczego nie mógł zlecić, bo był wtedy na pokładzie „Trupa”, już od roku jest tutaj moim szpiegiem, a raczej udawał szpiega... Teraz prosił, żebym wzięła go na okręt, bo niiby Trybunał zaczyna przy nim węszyć. Dobrze to było przez nich pomyślane. Przynajmniej na rozum blondynki, bo postanowiłam, wiesz. – Znacząco pokazała swoje włosy. – Za parę dni powinny być jasne. Ale figiel! – dorzuciła z zadowoleniem; nie wiadomo, co miała na myśli. – No dobrze, cała trójka może sobie żyć dalej. Nic już do was nie mam.

Po krótkiej chwili Mały raczej stwierdził, niż zapytał:

– Trójka.

– Twoja macocha, żołnierzyku, trafi na pokład statku, który nazywa się „Orzeszek”. Łatwo go znaleźć w porcie, to mała karawela rejowa, właśnie wyładowała dla mnie zboże, a ja załaduję i odpływam. Twój brat i ojciec zaokrętują się już teraz. Na „Orzeszek”. Natychmiast, jeszcze przed południem. Sprawdzę to. Statek jutro płynie do Dartanu, do La. – Tak żeglarze nazywali starą Llapmę, największy południowy port kontynentalny. – Nie możecie tu zostać, bo za dużo wiecie, a Trybunał prędzej czy później dopnie swego, przecież nie będę was chronić. Nie wracajcie tu nigdy, ani do Dranu, ani w ogóle na Garrę. Świat jest duży, ale ta wyspa za mała dla was i dla mnie. Powinam was pozabijać, bo zemścicie się i jak nie tutaj, to w Armeckie doniesiecie Trybunałowi, że wiem o szpiegu na swoim pokładzie. – Zamyśliła się. – Ale nie, nie zabiję was. Wystarczy mi ty, żołnierzyku.

– Nigdzie nie pójde bez syna – powiedział stary.

Uśmiechnęła się i przekrzywiła głowę.

– Pójdiesz, ojcie – spokojnie powiedział Mały. – Masz żonę, a ja... ja mam macochę. To dobra i wspaniała kobieta, a piwa nawarzyłem tylko ja.

– Czy twoi piraci oddadzą mi żonę, jeśli w zamian dostaną swoją komendantkę? – twardo zapytał brodac.

– „Czy piraci waszej wysokości” – poprawiła spokojnie. – Albo chociaż: „Czy twoi piraci, księżniczko”. Jestem następczynią tronu małego, ale niezależnego księstwa, czy to się komuś podoba, czy nie. Co ci chodzi po głowie, ojczulku? Czy oddadzą ci żonę w zamian za mnie? Pewnie. Zaraz potem wrócę tu z nimi i zaczniemy zabawę od początku, tylko już na innych warunkach. Powinnaś zaraz wypływać, ale ostatecznie mogę przesiedzieć jesień w Dranie. A na zimę puszczyć wolno trzy grubasy bez rąk, nóg i frędzelków. Kobięcie utnę tylko to, co ma.

– Zostaw mi syna – rzekł stary brodac do Ridi. – Ja... proszę.

– Nie.

– Co mam zrobić...

– Nic – ucieła. – Podoba mi się, jak prosisz, i możesz to robić dalej, ale ja nawet nie odpowiem.

Wstała od stołu.

– „Orzeszek” czeka w porcie. Sprawdzę, czy jesteście na pokładzie. Nie przyjdziecie wy, to nie przyjdzie też kobieta. Jak przyjdziecie, to zaczniecie nowe życie. Gdzieś.

– To niesprawiedliwe. Nie masz prawa – rzekł najmłodszy z mężczyzn.

Parsknęła śmiechem.

– Idiota. To chyba rodzinne. Też powinieneś być blon... No nie, bo jesteś łysy. Mogę zrobić wszystko. Mogę napluć na ciebie i nasmarkać, bo po co od razu zabijać takie nic. A co do sprawiedliwości... Twój brat, chłopce, za pieniądze wtyka nos w nie swoje sprawy, zabija moich ludzi, którzy chwilę wcześniej nic do niego nie mieli, nie wiedzieli nawet o jego istnieniu. Czy to ja przysłałam tutaj z mieczem w garści, bo nie spodobało mi się coś, co robisz? Nie, to twój brat przyszedł do mnie. A teraz jest za późno. Nie mogę nie pomóc swoich, choćbym nawet chciała. Dowodzę zwierzętami i rozszarpia mnie, jeśli będę niełojalna wobec nich. No, od razu nie rozszarpia. Najpierw przestaną kochać, potem słuchać, aż pewnego wieczora się upiję i rankiem wstanę bez głowy. Nie wolno sikać na załogę. Nie taką. Mogę być okropna, byle sprawiedliwa.

Uśmiechnęła się. Naprawdę ładnie.

– Puszczam was, bo wasz syn i brat to dobry wojownik. Bardzo dobry, chociaż głupi. Nie daruję mu tego, co zrobił, ale przebaczę jego rodzinie. Idźcie stąd, grube wieprze, to już nie jest wasz dom ani chlew. Wyrzucam was z Garry, ale za to daruję życie, bo potraficie wyświadczyć komuś dobro za zło. Jeśli chce. No? Wytłumaczyłam się, a teraz precz.

Przesła się po izbie, dzwoniąc bransoletami. Zajrzała z ciekawością tu i tam. Znalazła jabłko w koszyku, wzięła sobie jedno i ugryzła, patrząc wyczekująco.

– Zabierz pieniądze, ojcie, i wszystko, co musisz wziąć – powiedział Mały. – Rzeczywiście, już chyba czas.

Objął brata za szyję; brat się rozplakał.

– Przekłęta... szmata – wymamrotał. – Nie było cię tyle lat... Odzyskałem brata... i co mam?

Mały uściskał ojca.

– Nie zostawię cię – ochryple powtórzył brodac. – Nie z tym... czymś.

– S chsiężniczka – poprawiła, z apetytem chrupiąc jabłko.

– Nie zostawiłbyś, ale nie jesteś sam, ktoś na ciebie czeka – rzekł Mały. – Uściskaj macochę ode mnie. Idźcie już.

– Nie mogę tak wyjść, synek.

– Możesz. Ja sobie... ja sobie poradzę.

– Tak, on sobie poradzi – potwierdziła ze swojego kąta. – Nie każdy potrafi żyć, ale on ma do zrobienia coś innego. Nic trudnego, to potrafi każdy, a co dopiero żołnierz... No właśnie: żołnierska to rzecz. Wynocha. Czy mam zacząć przy was? Bo jak chcecie popatrzeć, to patrzcie.

– Nienawidzę cię, dziwko – rzekł stary.

– Chociaż raz mógłbyś powiedzieć „wasza wysokość”. Hm?

Mały odszukał skrzynkę z ojcowskimi księgami rachunkowymi, różnymi dokumentami i pieniędzmi.

– Zabierz to i idźcie. Ja sobie poradzę, coś wymyśliłem. Wierzcie mi.

Nie uwierzyci, bo było jasne, że łyże. Ale męskie kłamstwo pozwoliło mężczyznom na rozstanie.

Gdy wreszcie poszli, w izbie długo panowało milczenie.

– A co zrobisz z Askarem? Tym moim, z Morskiego Targu? – zapytał wreszcie Mały, byle coś powiedzieć, bo było mu żal siebie, ojca, brata, macochy i nie chciał zdradzić się z tym żalem; jakoś myślał, że połata swoje grube cielsko i pomacha jeszcze halabardą. – Co z nim zrobisz?

Wzruszyła ramionami.

– Najpierw nic. A pewnego dnia powiem mu, że wiem wszystko o jego bracie. Zobaczymy wtedy, czy bardzo kocha brata. Bo bywa i tak, że bracia się kochają.

– Nie zabiłaś go? Znaczy tego, któremu urąbałem łapsko?

– Nie. No co ty? Przecież to prawdziwy skarb. Szpicel, który nie wie, że został odkryty. Można karmić takiego bzdurami. Przyda się.

Pogroziła palcem.

– To dlatego nikt, kto zna całą historię, nie może zostać na tej zapowietrzonej wyspie. Mówią na mnie Gówno, na pewno już słyszałeś. Ale ładnie pachnę w porównaniu z tym, co śmierdzi tutaj. Nie chce ci się, żołnierzu, rzygać na ten kraj? A chcesz poznać największe tajemnice? – zapytała. – Ani garyjscy rebelianci, ani Wieczne Cesarstwo, nikt nie będzie miał mojej floty. Nikt. To porządna piracka flota, na okrętach pływają uczciwi mordercy, mordujący dla zysku, no czasem dla przyjemności, ale nie dla jakichś politycznych racji.

– Te racje to przynajmniej jakiś powód. Źle zrobiłem, że wydałem Askara.

– Ocaliłeś rodzinę. Nie chce mi się o tym rozmawiać, żołnierzyku. Szpicel jest dobry, okrutnica zła. Nasłuchałeś się legend.

– Legend? Ci starszkwowie na dole...

– Co z nimi?

– Widziałem twój miecz, jak tu weszłaś. Kogo niby tym zaszlachtowałaś?

– Myślałam, że szczura na schodach, takiego jak ci trzej tutaj. Ta miła babcia na dole dostała ode mnie sznurek pereł. Wart tyle co ta kamienica. I przegnałam ją razem z dziadkiem. Powiedziałam, że jak wrócą, to zabiję.

Patrzył, ale nie wierzył. W ani jedno słowo.

– Miałam dać ją chłopcom, tę babinę? – zapytała. – No, gdyby miała dziewiętnaście lat, tobym nie mogła nie dać. Przegnałam dziadków i tyle, moi nawet za nimi nie spojrzeli. Jakbym zabijała każdego, kogo spotkam, toby nie miał mi kto sprzedać bułki w Dranie. Ja chcę słuchać legend o Pięknej Ridarecie, a trupy niczego nie opowiadają.

– A to chłopisko na rynku?

– Jak się roztańczy, to czasem mnie ponosi – przyznała. – Chyba przeżył. Żołnierze przyszli i poszli, ale trochę oprzytomniałam. Kiedyś kilku takim odbiło, czasami nie słuchają rozkazów. I zwiewałam, aż się kurzyło. Na co mi taka legenda?

Uśmiechnął się krzywo i rozwścieczył ją tym. Wyszczrzyła zęby w grymasie, który już znał, i chciała go palnąć w łysy łeb, ale zdążył zasłonić się ręką. Drobną pięść z kłaśnięciem zniknęła w wielkiej dłoni, a wtedy zacisnął palce. Przytrzymał.

Nie wyglądała ładnie. Dziewczyna, z którą przed chwilą rozmawiał, gdzieś zniknęła, wychylnęło zwierzę. Riolata?...

– Mhm – mruknęła i się uspokoiła. – Auć.

Popatrzył z namysłem.

– Wczoraj ruszałaś się szybciej, malutka.

– Ty masz swoje cielsko zawsze, a ja mogę sprawiać cuda tylko czasem. No, puść już, bo ugryzę cię w palec. Na okręt cię nie zabiorę, musimy załatwić rzecz tutaj. Ja naprawdę dowodzę piratami, jeśli jeszcze nie zauważyłaś. Zabiłeś kilku moich, co mam zrobić? Zwyczajnie uciekłam z okrętu, bo przyleźliby ze mną, żeby patrzeć, jak wypruwam z ciebie flaki. Mój zastępca wie wszystko, właśnie znalazł chłopcom robotę, to zboże naprawdę trzeba załadować. Wrócę i opowiem legendę, uwierzą. Ale nie mogłam tak po prostu cię puścić. Kiedy przyprowadzą na „Orzeszek” tę twoją macochę, to mają widzieć mordy twojego ojca i brata. Wesołe będą?

– Puścić?...

– Puścić.

– Chciałaś mnie... puścić?

– Chciałam i chcę. No, ale nie tak od razu. Na dole jest peleryna z kapturem. Najpierw sama się puszczę, ciebie dopiero potem. Hm?

Zrozumiał, że z głową księżniczki znowu gorzej.

Wyjęła z koszyka drugie wielkie jabłko i rzuciła mu; złapał odruchowo. Skończyła swój ogryzek, naląła znalezionego w dzbanku zsiadłego mleka do kubka, wypila, po czym usiadła na skrzyni pod ścianą, podciągając sukienkę i opierając bosą stopę na kolanie. Poruszyła brudnymi, ale za to upierścienionymi palcami tej stopy, skubnęła bransolety na kostce i z namysłem popatrzyła na rozmówcę.

Miała białe „wąsy” od mleka. Wytarła je rękawem.

– No co ty, naprawdę jesteś głupi? Jakbym chciała cię zabić, tobyś nie żył. Ale chciałam tylko nastraszyć, dać nauczkę. Nie pchaj nosa w nie swoje sprawy. Poroniłam właśnie coś, co z grubsza wyglądało jak dzieciak, ale było tak naprawdę przedmiotem – powiedziała zupełnie obojętnie. – Zaraz znowu zajdę w ciążę, bo tak to wygląda... mniejsza, z jakich powodów, to długa historia. Chociaż raz chcę wiedzieć, z kim zajdę, bo na okręcie... no wiesz. – Wzruszyła ramionami. – Bardzo mi się podobasz, wielkoludzie. A twój ojciec chyba nawet jeszcze bardziej. Ale on się nie bije tak jak ty. Sam jeden na ośmiu moich! – powiedziała z niedowierzaniem. – I wtedy się zakochałam.

Mały trzymał w gębie wielki kęs jabłka, które ugryzł odruchowo, tak jak wcześniej złapał.

– Ka-hehusz?... – zapytał.

– Nie wiem, co powiedziałeś, ale chyba tak. No już, czas ucieka, do południa masz być na „Orzeszku” – ciągnęła, wstając ze skrzyni i rozsznurowując swą mieszcząską sukienczynę. – Wy pływa nie jutro, lecz dziś. Kapitan da ci brzęczący woreczek, to zapłata za dom. Kamieniczka ładna, na uboczu i naprawdę może mi się przydać. Urządźcie się jakoś w tym Dartanie, ja mówiłam poważnie, że potrafię odplacić dobrem za zło. Tak dla porządku: jeśli spotkam cię jeszcze gdziekolwiek, kiedykolwiek, to zabiję. Ciebie i wszystkich, którzy będą z tobą. Odkochuję się bardzo szybko. Zaraz po.

Z nadgryzionym owocem w rękę Mały gapił się na agarską księżniczkę. Nie był naiwnym poczwiiną, stale tęskniącym do świata, w którym wszyscy byliby łagodni

i dobrzy jak ci staruszkowie na dole... Ale przed oczami miał obrzydlistwo, dla którego zło i dobro były wymieszane razem, nierozpoznawalne.

Jej tańce na rynku... Jak to powiedziała? Że ją ponosi. Piętami połamała człowiekowi zebra, bo tak dobrze jej się tańczyło.

Nie zabiła tych staruszków z dołu? Ale to znaczyło, że umie wybierać, nie morduje dlatego, że musi, że zniewolił ją jakiś zły Przedmiot z legendy. Była obłąkana, pomyłona, rządziły nią tylko kaprysy, jeden bardziej obrzydliwy od drugiego. Nie zabiła dwojga starców, no naprawdę, miała dobre serce. Wypędziła starych ludzi z domu jak psy, rzuciła garść pereł – o co chodzi? Czy stało się coś złego? Przecież mogła zabić, a może i zamęczyć. Poucinać ręce i nogi.

A teraz nagle wymyśliła sobie nową zabawę i znalazła zabawkę. Jego.

Miał być wdzięczny? Ta wspinała kobieta właśnie darowała mu życie. Życie! A miał ochotę odpowiedzieć: nie, dziękuję.

Nie wiedział, jak ma sprostać zadaniu, które go za chwilę czekało. Raz jeszcze mógł ocenić, jak trafny był jej przydomek: wydawało mu się, że naprawdę czuje smród. Miał obsługiwać kupę gówna i było mu po prostu niedobrze.

Ale sznurówki puściły, sukienka poleciała do kąta i największe cycki Bezmiarów rozhustały się na boki, gdy rozłożyła ręce: no i jak? Kołysząc biodrami, zmierzwiła runo pod pępkiem, drugą dłonią przecesała włosy na głowie. A wówczas kęs jabłka wypadł Małemu z japy.

– Wszędzie będę blondynką – obiecała i potrząsnęła dłonią. – Ależ ty masz krzepę... Jeszcze boli, wiesz?

Nieoczekiwanie wyszło na jaw, że mały Małego ma na temat Ridi własne zdanie.

Zadzwończyły naszyjniki, gdy walnęła piersiami o stół; jedna kula wylądowała w misce z resztką zupy. Piratka chwyciła blat po obu stronach, aż pierścionki zgrzytnęły o deski.

– Tylko żadnych migdałów! – przestrzegła, spoglądając przez gęstwą włosów. – Jest żołnierz i ma być natarcie, a ten stół ma dojechać do ściany. No, żołnierzu, żołnierska to rzecz!

– Suko jedna.

Odepchnięty stół od razu rąbnął w ścianę, a wojsko ruszyło do boju z piratami i dobrało im się do dupy.

Dziesiątnik Gwardii Armeckańskiej Gohet zawdzięczał życie nie rozumowi i krzepie, nie wrodzonej uczciwości nawet, lecz bezmyślności swojej halabardy, która nie brzydziła się byle czym, bo nie miała moralnego kręgosłupa. Ani w ogóle kośćca. Miała jednak dostatecznie twarde drzewce, długie i solidne – na szczęście.

Od jakości oręża zależy czasem życie żołnierza.

Później, w trakcie rejsu na pokładzie „Orzeszka”, nagabywany przez brata o szczegóły niewiarygodnego ocalenia, Mały powiedział krótko, choć całkiem zgodnie z prawdą:

– To nie twój zafajdany interes.

Nigdy więcej nie spotkał Ślepej Foki Ridi.





## Siedmiu najemników<sup>2</sup>

---

2 Opowiadanie na kanwie filmów Siedmiu samurajów i Siedmiu wspaniałych (przyp. Aut.).



## PROLOG



Przeziązione łodzie płynęły do brzegu. Rozchybotane w załamaniach fal wydawały się małe i kruche. Patrzący z brzegu Yolon wiedział jednak, że wcale takie nie są. To nie były zabawki z kory, które można połamać kopniakiem.

Oglądane z mniejszej odległości przywodziły na myśl kaszaloty. Krępe i czarne. U wschodnich wybrzeży Dartanu bardzo rzadko oglądano te potwory, ale Yolon widział kiedyś zabłąkane stado. Zawsze już kojarzyły mu się z niebywałą siłą.

Pobiegł do wsi.

Przyplnęli nie po raz pierwszy. Zazwyczaj zjawiali się w nocy. Żaglowiec rzucił kotwicę niedaleko od brzegu, tuż przed świtem odbijały od jego burty dwie łodzie, pełne uzbrojonych lotrów. Przyplýwali dla zabawy. Tylko raz uzupełnili zapas słodkiej wody i zabrali do szalup kilka kóz. Rabowali niewiele, zwykle jakieś drobiazgi, które wpadły im w oczy; znacznie więcej niszczyli dla uciechy. Zasobna wioska dostarczała czegoś cenniejszego niż zapasy i łupy: niewynędzniałych, a więc ponętnych kobiet i silnych, mogących dużo znieść mężczyzn. Kobiety gwałcono, mężczyzn bito, poniżano. Jednodniowy wypad na brzeg był chyba nagrodą za jakieś zasługi, przyznawaną przez dowództwo żaglowca.

Tak w nagrodę zabiera się dzieci na jarmark.

Yolon nie bał się bólu. Twardy człowiek, któremu sól morska wżerała się w poranione dłonie, któremu pękały ramiona od walki z krótką falą, potrafił wytrzymać niejedno. Ale choć był tylko rybakiem, miał swój honor. Pewnie, że mniejszy od honoru znakomitych panów z miast... Taki mały honor, który kazał mu płakać ze wstydu, gdy włóczono za włosy jego żonę i córkę, on zaś nie mógł ich bronić. Zamiast tego śpiewał i podrygiwał pod ścianą, bo tak mu kazano, zmuszając kopniakami i biciem, aż nie widział świata przez opuchliznę na porozbijanej twarzy.

Gdy przybiegł, między domami trwała przepychanka.

Nie dało się ukryć wszystkich kobiet, oznaczałoby to koniec wioski. Ale po którychś napadzie uradzono odsyłać do lasu choć niektóre. Piraci przyplýwali zbyt rzadko, by pamiętać twarze, a nawet gdyby który szukał dziewczuchy, co uprzednio wpadła mu w oko, to jedna z drugą mogła pójść niby do miasta. Teraz kilka dziewczyn chyłkiem biegło ku odległej linii drzew. Yolon widział oczy ich ojców, ludzi szczęśliwych, że przechytzyli bandę szubrawców; szczęśliwych, że gdy przyjdzie im lykać krew z połamanych nosów, gdy ich żony będą ujarzmiane przez kolejnych zbirów, córki tego nie zobaczą i choć raz nie stanie im się krzywda.

Na progu jednej z chałup szarpano się z Miholem, który nie chciał dotrzymać umowy. Wbrew temu, co wcześniej ustalono, próbował odesłać do lasu dwie córki, a to

nie była ich kolej. Nieszczęśnik płakał i błagał. Niedawno zmarła mu żona, potem morze zabrało synów. Trochę mu się od tego pomieszało we łbie.

Miał już tylko swoje dziewczyny.

Yolon wdarł się między wzburzonych ludzi, zaczął krzyczeć na wszystkich pospołu i każdego z osobna. Wzywał do opamiętania.

Łodzie były coraz bliżej brzegu.

Do sponiewieranego, płaczącego jak bóbr Mihola przedarła się wysoka dziewczyna.

– Niech idą – powiedziała. – Dzisiaj ja będę waszą córką, Miholo. Odeślijcie je.

Yenna była najładniejszą kobietą we wsi: z rudymi warkoczami, cycata, wąska w pasie jak jakaś księżniczka – każdy chłop rozdziawił gębę, gdy szła. W losowaniu wyszło, że wolno jej uciec do lasu.

Niesforne to było dziewczuszyko. Odkąd odumarli ją rodzice, broiła we wsi, że szkoda gadać... Aż tu znalazł się jeden, co najpierw ją sprął (tak mówili), potem zaś zapytał: „No, Yenna, a poszła ty byś za mnie?”. Nie oglądał się, co ludzie powiedzą.

Zwał się Nes i nie był miejscowy. Gdy osiem czy dziewięć lat nazad drugi raz i już do szczętu spaliła się wieś za lasem, pogorzelnicy poszli do miasta szukać szczęścia, inni byle dalej od przekłętą miejsca, a Nes przyszedł tutaj i spytał: „Przyjmiecie mnie? Roboty się nie boję, dobrze łowię”.

Nie skłamał. Użyczyli mu jedzenia i pomogli się pobudować, a od tego czasu spłacił wiose wszystko z nawiązką. Bardzo porządny był chłop, chociaż obcy.

Miał wziąć Yennę do siebie lada dzień.

– Odeślijcie córki, Miholo. Zamiast mnie.

– Dwie za jedną?! – zawołał ktoś.

– Jedną, ale za to jaką – zauważył przytomnie Yolon. – Nie postrzegą się.

Póżywy Miholo już wyciągał córki z chałupy.

– Wynocha z innymi do lasu, no już! – ponaglił Yolon.

Podniosły się głosy protestu.

– Za dużo uciekło, poznają się i wtedy...

– Żeby z tego...

– Poznają, jak ja ucieknę! – zawołała Yenna. – Mnie to może i zapamiętali, ale taki drobiazg?

Zapłakane dziewczyny pędziły przez łąkę. Już nie dzieciaki, ale czy kobiety?... Trzynaście lat i czternaście.

– A co ty taka chętna, żeby zostać, he? – wyrwała się jedna z bab. – Bo twój kochaś poszedł do miasta, to już? Ciągnie wilka do lasu? Tak ci się uprzednio spodo...

Yolon odwrócił się i otwartą ręką chlasnął babę w mordę, aż usiadła i zanosła się wrzaskiem. Podskoczył z boku jej stary, ale Yolon wycelował w niego palec i rzekł:

– Oberwiesz i ty. Jak sam nie umiesz zamknąć dzioba głupiej kwoce.

Yolon cieszył się dużym mirem we wsi. Miał rozum, umiał pomóc, ale i zdrowo oknocić, a nawet przyłożyć, jeśli trzeba.

Stańto za nim dwóch synów, krzepkich wyrostków.

– Miholo, to jest dziś twoja córka, pamiętaj. Idźże, Yenna, do niego. Dzielnas ty, dziewczucho, oby los ci w życiu nagroził! – powiedział z głębi serca. – A reszta do chałup i będzie, co ma być. No, ludzie... Obyśmy się wszyscy wieczorem policzyli.

o o o

Ale się nie policzyli.

Piraci odpłynęli przed zmierzchem.

W snutych wieczorami opowieściach starych ludzi pełno było zła. Z pokolenia na pokolenie przekazywano historie o okrutnych wojnach, które przetaczały się przez kraj. O łupieskich napadach; o palonych wsiach, gwałconych kobietach, mordowanych mężczyznach. Ale żadna z tych opowieści nie mówiła o krzywdach wyrządzanych bez żadnego powodu, dla samej tylko zabawy. Prosty dartański rybak nie umiał zrozumieć, a tym bardziej wyrazić, na czym polega różnica – ale czuł, że różnica istnieje. Ogromna różnica między nieopłacanym, niedowodzonym żołdakiem wyrzyganym przez wojnę moźnych – a grubym pijanym piratem ze złotym kółkiem w uchu, który lądował na brzegu tylko po to, żeby się pobawić i odpłynąć.

Yolon tarł czerwone oczy, które – głupie – pocily się wbrew jego woli. Nie miał niczego, co mogłoby stanowić okup dla tych ludzi. Gdyby żądali ryb, sprzętów z domu i obejścia, może wykonania jakiejś pracy... Niechby i pieniędzy. Mógłby nie dojechać, ciuć grosz, byle tylko wykupić rodzinę od krzywdy. Ale tamci nie chcieli jedzenia ani nawet srebra. Chcieli się tylko bawić, zabawkami zaś byli rybacy.

W zdemolowanej izbie płakały żona i córka, mocno objęte ramionami. Yolon nigdy nie umiał być czuły, więc nie wiedział, jak je pocieszyć. Wziąć babę siłą – ano, wiadomo, taki już babski los. Ale po co jeszcze ją bić, skoro dała wszystko, czego chcieli? Po co bić, tak bez powodu?

Nie wiedział, jak przemówić do córki; odezwał się tylko do żony:

– No już, stara. Poszli. Nie bec, głupia... No, już.

Ale jak miał uspokoić żonę, gdy sam ledwie mówił przez ściśnięte gardło i czuł płynące po policzkach łzy.

– Ty lepiej idź do chłopaków – powiedziała. – Teraz to najbardziej trza im ojca.

Dobrze wiedziała, co mówi.

Każdy może pobić i zgwałcić kobietę, bo kobieta jest słaba. I ona także to wie. Ale mężczyźni są silni, mają bronić kobiet i dzieci. Właśnie po to są silni, żeby bronić swoich. Gdy nie mogą bronić, stracony jest wszelki sens ich istnienia. Zgwałcona kobieta nadal może być sobą, dobrym duchem domu. Bo przecież w niczym nikogo nie zawiodła.

Złamany mężczyzna nie może już nic.

Zniszczony jest sens jego istnienia. To obrońca, który nie obronił.

Po pirackich najazdach kobiety dochodziły do siebie. Szybciej, wolniej. Ale mężczyzn należało pilnować, bo niejeden już się powiesił.

Na co żonie i dzieciakom taki ktoś?

Yolon musiał wyjaśnić dorastającym synom, w jaki sposób i po co mają żyć. Gdzie kierować oczy, by nie spotkały się z oczami siostry i matki. Wy tłumaczyć, jak być mężczyzną, gdy pół dnia leżało się pod studnią, na golasa, z patykiem wetkniętym dla śmiechu w wystawione dupsko – dwa krwawiące, mocno związane kłębki, od czasu do czasu kopane, obszczywane i opluwane dla uciechy.

To mieli być już wkrótce obrońcy i opiekunowie swoich rodzin.

Yolon musiał znać odpowiedź na pytanie, jak jego synowie mają znaleźć żony wśród wioskowych dziewczyn, które na to patrzyły. Jak zawrócić w głowach dziewczuchom, które już widziały swoich siłaczy i bohaterów.

W studni coraz ciszej skomlał podtopiony pies. Nie miał siły wyć. Yolon wyswobodził ze sznurów swoich pobitych chłopaków, ale łzy wciąż napływały mu do oczu i nie umiał spojrzeć w twarze synów. Zdrętwiałe, obolałe dzieciaki – bo przecież jeszcze dzieciaki, ledwie co wyrosnięte gołowasy – z trudem mogły się ruszać.

Pies skomlał, słabo chlapał wodą i drapał cembrowinę.

Do Yolona dotarło, co trzeba powiedzieć synom.

– Wyciągnijcie go, ale już. Ale już! – rozkazał z gniewem, pokazując studnię. – Jak się który przy tym zabije, tak i warto! Jazda mi! To niby tylko pies... ale nasz. – Zamilkł, bo mu się załamał głos. – Jak można przed nimi uratować psa, tak go trzeba ratować i tyle.

Ledwie żywe chłopaki nie pojęły, co właściwie powiedział ojciec. Ale niemal wyłaziły ze skóry, by ocalić tonącego kundla, bo tak kazał.

Dopiero po jakimś czasie miało stać się jasne, że wiedział, co mówi. Że tak trzeba.

Yolon dobrze już znał sukinsyna, któremu się chciało topić psa. Wielki jak tyka, chudy dziad w żółtej kapocie. Inni zbóje chyba się zmieniali, ale ten przypląwał zawsze. I najbardziej sobie upodobał jego dom. Za baby się nie brał, bo ani chybi już nie mógł, ale w zamian niszczył i wyrządzał tyle krzywd, ile wszyscy pozostali razem wzięci. Porozbijane łby, połamane nosy, naświnione w spizarcie – to wszystko była jego robota.

Cały czas gadał, ale nie po dartańsku, więc nikt tu nie rozumiał ani słowa. Znalazł malowane koraliki córki i kazał dziewczynie ciąć je nożem. Zapłakany dzieciak szczybił i dziurawił twarde kulki, które dostał od swoich braci na skończone piętnaście lat. Kupili dorosłej już siostrze te korale, najpiękniejsze, jakie były na jarmarku, bo po ojcu nieładną miała buzię, a chcieli, żeby podobała się jak inne.

No to tak się spodobała dwóm piratom, zawołanym przez Żółtego Dziada, że gdy już zrobili swoje, to skopali ją i podeptali na klepisku, aż wyła przy progu jak pies.

Teraz Yolon laził po wsi w tę i nazad, marząc o powolnym zakatrupieniu parszywca w żółtej kapocie. Był gorszy niż cała reszta.

Nieopodał, siedząc w kucki pod ścianą, trząśł się jak osika i krzyczał cherlak Miholo. Z bełkotliwych wrzasków Yolon wyrozumiał, że dzielną Yennę spotkało coś naprawdę złego. Coś znacznie gorszego niż zwykle.

o o o

Nes, narzeczony Yenny, wrócił tuż po zmierzchu.

Idąc brzegiem morza, z daleka ujrzał kotwiczący żaglowiec. Rzucił dzwiganę z miasta zakupy i biegł do wsi, jakby mógł zapobiec nieszczęściu. Wiedział, że jego Yenna jest bezpieczna, że miała uciec do lasu, ale mimo to biegł i dowiedział się, że już nigdy jej nie zobaczy. Zbyt ładna to była zabawka.

Już tak kiedyś zrobili, zabrali dwie dziewczyny. Parę dni później morze wyrzuciło pokaleczonego trupa jednej z nich. Łatwo było sobie wyobrazić los kobiety na dużym żaglowcu, gdzie pod pokładem mieszkało półtorej setki obwiesiów.

Nes rzucił się do morza i chciał ścigać przekłęty okręt, ale skoczyli za nim inni, podtopili i wywlekli na brzeg.

Wieś do późnej nocy rozbrzmiewała jękami pobitych ludzi, przekleństwami i złorzeczeniami. Kobiety płakały nad zniszczonym dobytkiem, mężczyźni krążyli z ponuro zwieszonymi głowami, stroniąc od innych, bo nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Przed północą Yolon wziął za ramię Mihola i razem odnaleźli Nesa. Yolon patrzył na zgarbioną sylwetkę siedzącego na wydmie człowieka i rozumiał, że wkrótce będzie go szukał nie na wydmie, ale gdzieś na skraju lasu, rozkołysanego na skrzypiącym sznurze.

Bo widywał już w życiu takie zgarbione w świetle księżycy sylwetki.

– Powiedzieli, że wrócą przed końcem miesiąca. Nie tylko się pobawią, ale jeszcze będą chcieli zapasów, mamy naszykować. Słyszysz, Nes?

Słyszeć słyszał, ale nie odpowiedział.

– Wróć tutaj, i to nie za pół roku – powtórzył Yolon. – Słyszysz, Nes?

– Tak, i co z tego? Wróć czy nie wróć...

– A może twoja Yenna jakoś... Może ją wykupić? Wszyscy dadzą, a jak który by żałował, to już ja mu...

– Będzie ich tam ze stu albo więcej. Wiesz, co teraz z nią robią – rzekł Nes, pokazując czarne morze, gdzie odplynął piracki okręt. – A jak wiesz, to po co w ogóle otwierasz gębę?

Przez chwilę trwała cisza.

– Tylko że, jak już chcesz się zabić, to poczekaj na nich i choć zabierz ze sobą którego! – powiedział z gniewem Yolon, nie bacząc na przerażenie Mihola, który znowu zaczął się trząść, jak to on. – Tak nie można żyć! A jak umrzeć, to nie tak głupio, na gałęzi albo w morzu, z kamieniem u szyi!

– A jak niby?! – zawołał Nes, zrywając się z zaciśniętymi pięściami. – Umiesz bronić się przed takimi? Co poradzisz?

– Może i nic. To cię zabiją, najwyżej. Ale przynajmniej nie jak psa. A może i zarąbiesz siekierą którego.

– A niby czego mam bronić? Kogo niby?... Jutro ją znajdę na brzegu, z otwartym brzuchem, tak jak tamtą. Nic w środku nie miała, wypatroszyli jak rybę, dla zabawy. Kogo mam niby bronić?

– Bo ja wiem... Nas wszystkich. Tych dziewczuszek Mihola, za które twoja Yenna... Ona pewno by chciała, żebyś coś...

Yolon nie potrafił się wysłowić. O takich rzeczach trudno się mówiło. Potrzebne były rzadko używane słowa, które może i znał, ale jakoś nie mógł poskładać do kupy. Tak, żeby coś znaczyły i żeby dobrze brzmiały.

Nes zapłakał.

– Jak tam sobie chcesz – powiedział Yolon. – Ale ja już więcej do moich chłopaków nie pójde, żeby im powiedzieć... Co ja mam im mówić? Ja, ich ojciec. Że tak właśnie powinno być? Że to dobrze, jak przybłędy tarzają się na ich siostrze i matce, robią, co tylko chcą, a ich stary czeka, kiedy sobie pójda? Nie, nie może tak być. Bo to jest niesprawiedliwe.

– Pewno, że niesprawiedliwe – odrzekł Nes, ocierając oczy rękawem, z powrotem siadając na piasku i przesypując go między palcami. – Patrzenie go. Niesprawiedliwe.

Yolon nie tego się spodziewał po rzutkim, silnym mężczyźnie, który dopiero co skoczył w morze, tak jakby mógł gonić żaglowiec. Chciał w Nesie znaleźć oparcie, bo się bał tego, co sobie wymyślił – ale oparcia nie znalazł.

– Chodźmy do Dziadka – powiedział.

– Do Dziadka? Toć to cudak – wyjęczał Miholo, który nie umiał inaczej, jak tylko biadolić i stękać. – No i głupi, nie pamięta, co było dzień nazad.

– Ale za to stare dzieje zna jak nikt, to akurat pamięta, ma coś na każdą okazję. Może co doradzi. Dawno już nam trzeba było iść do niego. Chodźże, Nes.

– A co mi takiego powie Dziadek?

– Może nic. No, chodźże.

o o o

Dziadek mieszkał w starej wędzarni za wsią. Już nikt nie wędził tam ryb.

Wiatr leciutko poskrzypywał obluzowanymi drzwiami. Łojowy kaganek kopcił i nieznosnie cuchnął. Staruch coś przeżuwał, pomlaskiwał, mruczał. Przymykał, to znów otwierał niedowidzące oczy. Yolon, Nes i Miholo niczego się nie dowiedzieli.

– Śpijcie dobrze, Dziadku – powiedział wreszcie Yolon i wstał.

– Jużeś się nagała? – zapytał Dziadek. – A ja jeszcze się dobrze nie namyślił.

– Jeszcze się nie namyślili?

– Jak kto młody, to mało widział i nie ma o czym myśleć – orzekł gospodarz surowo.

– A stary długo musi patrzeć w głowę, bo tam dużo jest.

– Ja bym powiedział, Dziadku, czego tam jest dużo... Zaraz rano.

– Nie tak zaraz.

– Zaraz, nie zaraz. Powiecie?

– Może powiem. A o co żeśta pytali?...

Yolon westchnął, bo Miholo przecież miał rację. Stary potrafił zapomnieć, z której strony w chałupie są drzwi.

– O piratów, Dziadku. Śpijcie dobrze.

– O piratów, prawda. Jak o piratów, to powiem: trzeba wam najemników.

Zapadła cisza.

– Najem... Że jak, powiadacie?

– Najemników. Wieś niebiedna, każdy trochę da. Najemnik zabija dla srebra i o nic mu więcej nie chodzi. Najemnicy was obronią.

– A kto tu ma srebro, Dziadku? Wieś niebiedna niby, ale żeby zaraz...

– Jak pokopiesz u siebie pod jabłonką, to zobaczysz prędko, kto ma srebro – wytknęła dziadyga. – Będzie mi tu sypał piaskiem w oczy, patrzył go. Bo ja to się wczoraj urodziłem i nie wiem. Zakopał żeś se garnuszek czy nie? I co myślisz? Że ty jeden tak?

– Zakopałem, nie zakopałem.

– Jak żeś nie zakopał, tak nie ma o czym gadać. Idźta, bo już rano.

– Gdzie tam rano, chyba w waszej głowie. I taki najemnik weźmie, powiadacie, srebro od rybaków? A kto my jesteście, żeby...

– Weźmie od każdego. Dawno, bo za królów, przychodziły w czas wojny różne bandy do wioski. Tak jak teraz tutaj. To ja wiem od swojego ojczula, a on od swojego. A on jeszcze od swojego, a on...

– Tak, Dziadku. Od swojego.

– Przecie mówię. A była wtedy jedna wioska, która wzięła sobie taką bandę na... jak się mówi... jak się to mówi...

Stary przymknął oczy i jął grzebać w pamięci, aż odgrzebał zapomniane słowo.

– Na żołąd.

– Żołąd?

– Ano, żołąd. Mieli strawę, odzienie, dużą chałupę dla siebie, może i trochę grosza. Jak tam było z dziewczynami, to już nie wiem. Aż się wojna skończyła, król zaprowadził porządek na nowo. A tej bandzie, co broniła swojej wioski przed innymi bandami, wszystko uszło na sucho, kiedy inni zbóje pod topór. A się chyba dużo nie nawojowali, bo jak kto tylko zobaczył, że we wsi takie zabijaki, to szedł dalej. Wieść się rozeszła, a potem bywało, że bogate wioski od razu płaciły najemnikom. Takim wojownikiem, co zamiast rabować, to ich bronili za pieniądze.

– I zawsze obronili?

– A kto ich tam wie. Ale macie co lepszego do roboty, jak popróbować? He?

– Szkoda grosza dla takich, co wezmą i nie obronią.

– A to daj te grosze swoim synom – doradził zgryźliwie stary. – Toć żeś mówił, że nie umiesz z nimi gadać. Daj im po pieniądzu i powiedz: „To, synkowie, żeby wam się lepiej patrzyło na ściuchraną mateczkę i ojca, co się zesra i żeże, jak mu każą”. Lepiej tak im



powiedz, jakbyś miał zmarnować grosz na takich, co obronią albo nie obronią. Niech młode wiedzą, jak trzeba. I że warto tyrać całe życie, żeby potem mieć co oddać różnym zbójcom.

Dziadek wygłaszał tyradę, a Miholo znowu się trząsł. Patrzył to na Nesa, któremu chyba było wszystko jedno, bo siedział wciąż nieruchomo, z głową opartą o ścianę, to znów na Yolona.

– Najlepiej iść do miasta. Ale nie naszego, tylko dalej. Do Ninu Aye. Duży port, byłem za młodu – powiedział jeszcze stary. – Tam zawsze pełno zuchów, co mają pod ręką toporek, ale i puste brzuchy.

Na chwilę zaległa cisza.

– Znajdziemy najemników – rzekł Nes. – Obronią czy nie obronią, byle tylko zabijali tamtych. Ja oddam wszystko, co mam.

## ROZDZIAŁ 1



**N**in Aye, tak jak wszystkie inne miasta dartańskie, od dawna nie miało murów obronnych. Popadły w ruinę, nikt ich nie odnawiał, potem rozebrano resztki. Zachowały się fragmenty tu i ówdzie. W granicach Wiecznego Cesarstwa, gdzie panował, jak to się mówiło, wieczny pokój, kosztowne umocnienia były zbędne.

Wieczny pokój skończył się wojną. Lecz szczęśliwie ominęła wschodniodartański port i mieszkańcy nie musieli żałować braku murów. Dartańskie królestwo odzyskało niepodległość; daleko w stolicy młoda królowa być może snuła plany ufortyfikowania najważniejszych miast, ale jeśli nawet tak było, to w Nin Aye nic o tym nie wiadano. Miasto pozostało otwarte, a ponieważ Królewska Straż Krajowa dość sprawnie i gładko przejęła zadania dawnej legii imperialnej, żadne zbrojne bandy po Dartanie się nie włączyły, pospolicci rabusie zaś nie psocili bardziej niż za nieodległych czasów Wiecznego Cesarstwa. Nie trzeba było ryglować żadnych bram.

Na przestrzeni swoich dziejów rozpostarte wzdłuż morza miasto przybrało kształt strączka fasoli, przy czym jedno ziarno w owym strączku, wyjątkowo nabrzmiałe, kielkowało znakomitym portem, największym na całym południowo-wschodnim wybrzeżu.

Pierwsze z ziaren-przedmieść, to najmniejsze i najdalej wysunięte na południe, było ponurym skupiskiem chałup – bo nie domów bynajmniej – bud, straganów, komórek, jakichś dziwaczných schronisk dla ludzi albo zwierząt. Niepodzielnie królowała tam nędza, a rządziły z jej nadania brud i smród.

Lecz dla dartańskiego rybaka, który nie wytykał nosa za opłatki wioski, była to iście bajkowa stolica. Nawet jeśli ów rybak wyprawiał się czasem do pobliskiego miasta, to najczęściej miał do czynienia z miasteczkiem obwodowym – przeważnie mniejszym i mniej gwarnym od przedmieścia Nin Aye.

Zakończona dopiero co wojna przewróciła świat do góry nogami. Dartań odpadł od Wiecznego Cesarstwa, wprowadzono nową monetę (stara nadal była w obiegu), pozmieniano niektóre prawa. Ale działy się też rzeczy daleko dziwniejsze, na przykład takie, że tu i ówdzie pojawiły się koty.

Mało kto mógł uczciwie powiedzieć, że potrafi zrozumieć kota. Gdzieś bywały, a gdzie indziej nie. Można by pokazać na mapie Szereru takie miejsca, gdzie koty żyły wraz z ludźmi i były czymś całkiem zwyczajnym, w innych stronach tymczasem uważano ich istnienie bez mała za legendę. Nie wiadomo, dlaczego unikały pewnych okolic. Kto nie podróżował, mógł przemieszkąć w Nin Aye całe życie i nigdy nie ujrzeć kota.

Do czasu.

Po wojnie, bez żadnego znanego powodu, koty zaczęły odwiedzać Nin Aye. Oswojono się nieco z ich widokiem, ale wciąż nie wiedziano, jak z nimi postępować, jak rozmawiać, jak się zachowywać. Trudna sztuka, naprawdę trudna, jeśli wziąć pod uwagę, że kocie widzenie świata pod wieloma względami było całkowicie odmienne od ludzkiego.

W wielkiej budzie na rogatkach mieściła się parszywa tawerna. Ktoś tam nie wiedział, jak postąpić z chudym szarym kocurem, śpiącym w kącie pod ścianą, więc dla śmiechu rzucił w niego zydłem. Mocno rzucił. Chcący czy niechcący, dość, że trafił.

Kot wywłókł się jeszcze przed knajpę, po czym skonał w kałuży cieknącej z pyska krwi.

Małego trupa otoczył krąg gapiów. Jeden z nich, trzydziestoparoletni mężczyzna w mocno zniszczonym odzieniu, ale chyba niebiedny, bo dosiadał świetnego konia, a przy boku miał niezły miecz, zeskoczył z siodła i przekroczył próg budy. W smudze światła wyraziście się zarysowała okolona krótką brodą twarz – ten człowiek widział niejedno i mało czego się bał.

Paskudne wnętrze nie rozbrzmiewało zwykłym gwarem. Zbieranina mniej lub bardziej pijanych żeglarzy (przeważnie takich, którym dawno nie łopotał żagiel nad głową), rzeźmieszków, włóczęgów bez grosza, żołdaków, dla których brakło uczciwego zajęcia po wojnie – wszystko to hałasowało mniej niż zwykle, bo coś było nie tak. Ktoś zatłukł kota na śmierć. Nie bardzo wiedziano, co z tym zrobić ani co to właściwie znaczy. Było śmiesznie i nieśmiesznie zarazem.

Właściciel świetnego konia podszedł do oberżysty i zapytał po dartańsku, choć z lekkim armektańskim akcentem:

– Posłałeś po Straż Krajową? Albo może teraz macie tu straż miejską?

Oberżysta wzruszył ramionami.

W izbie zrobiło się jeszcze ciszej, bo wszyscy byli ciekawi, co mówi do oberżysty nieznajomy z brodą.

– No, to poślij. Karą za morderstwo jest strycalek.

– Ja go nie zabiłem.

– Nie posyłasz po królewskich, gdy kogoś u ciebie pchną nożem? Albo jeden drugiemu skręci kark? Pierwszy raz się zdarzyło? – pytał przybysz. – Człowiek i kot to to samo. Jeśli nie dla ciebie i tych świń, to przynajmniej dla twojej królowej. Nie podoba ci się, że tak jest?

Oberżysta najpierw skrzywił głowę w głupim uśmiechu, ale jednak wyraźnie stracił rezon. Minęły raptem trzy lata, jak skończyła się wojna i Dartan został królestwem. To nie były dobre czasy dla żartów. Kto nie szanował królowej i jej praw, ten pewnie tęsknił za pobitym Wiecznym Cesarstwem, wciąż tak to rozumiano. Brzydka sprawa.

– Jak pijak zachłasta pijaka, to co robisz? – wciąż łagodnie dopytywał nieznajomy, obdarzony widać wielką cierpliwością. – Wzywasz Straż Krajową, tak czy nie? Chyba wzywasz, bo robią tak nawet w Grombelardzie, a tutaj jest wasz Złoty Dartan. No to wzywasz królewskich czy nie?

– A co cię to wszystko, Armektańcu, obchodzi? – zapytano od stołu pod ścianą. – Będziesz nam gadał o naszej królowej? Won do siebie!

Mężczyzna z brodą odwrócił się.

– To ty zabiłeś kota?

– Może ja, a może nie ja.

– On go zabił? – zapytał natręt, wodząc wzrokiem po głębach w izbie. – No, pytam. Kto zabił tego kota?

Przy samych drzwiach sterczała grupka jakichś wystraszonych chłopków. Nie pasowali do tego miejsca. Niepewnie spoglądali po sobie, to znów na trzech drabów

przy wielkim stole. Choć w izbie było tłoczno, siedzieli z nimi tylko karczemne zdziury. Goście za stołem nie życzyli sobie widać innego towarzystwa, a wyglądali na takich, co potrafili wytłumaczyć, że im ciasno.

Wiele spojrzeń kierowało się ku owej trójce.

– Któryś z was?

Nachalne wścibstwo obcego rozdrażniło siedzących przy stole.

– Chodź no tutaj, mądrała – powiedział jeden. – Ja cię tu zaraz przepytam.

Przybysz skinął głową na zgodę, zrobił trzy szybkie kroki, capnął biesiadnika za gardło, drugą ręką zaś za przyodziewek i w mgnieniu oka wywlókł zza stołu niczym worek wypchany szmatami. Miał krzepę.

Pośród gwaru, szurania odsuwanych ław i zydli rozpalila się bójka, jakiej dawno tu nie oglądano. Wrzeszczące dziwki z ogromną wprawą zwiały gdzieś w głąb izby. Intruz, którego próbowano pochwycić, uchylił się, a jednocześnie kopniakiem podciął z przodu nogi trzymanego draba, aż ten poleciał na pysk, i wyrznął nim w blat stołu. Jego kompan zahaczył przybysza w szczękę, ale to było dużo za mało – rosły brodacz nawet nie mrugnął. Puścił tego z rozwaloną gębą, grzmotnął drugiego kolanem w przyrodzenie i zrobił z nim to samo co z pierwszym: kopniakiem zagarnął mu nogi do tyłu i kazał pocałować blat stołu. Przywalił pięścią trzeciemu, ale tak, że chrupnął złamany nos. Teraz znowu capnął pierwszego i ponownie grzmotnął jego gębą o blat, widać chciał wybić resztę zębów. Przy okazji temu też złamał nos. Jeśli coś w tej gębie jeszcze trzymało się kupy, to przestało.



Było po walce. Sprawca zamieszania już zmierzał ku drzwiom, wlokąc krzyczącego, wiosłującego rękami drągala. Te wiosłujące łapska przeszkadzały najbardziej; zniecierpliwiony obcy pchnął jeńca, nie pozwolił mu odzyskać równowagi, w zamian oburącz pochwylił jedno z ramion i złamał o słup będący podporą powały.

Nie bacząc na opętańcze wrzaski, identycznie postąpił z drugim łapskiem.

Jednak trochę za długo się guzdrał.

Ciężki zydel nadleciał z tyłu i byłby rąbnął go w potylicę, lecz został zбитy w bok innym zydlem, trzymanym przez szczupłego chłopaka. Pogromca pijaków odwrócił się, oenił sytuację, po czym lekko skinął chłopakowi głową.

– Zostaw połamańca i wyнос się stąd wreszcie – powiedział tamten ze złością. – Musiałem wstać ze stołka i rozlałem piwo, mam cię dość.

Dwaj popaprańcy, którym zabrano kamrata, już się pozbierali, ruszyło za nimi dwóch następnych, lecz chłopak ostrzegawczo wycelował w nich palec i – z jakichś powodów – przystanęli. Przybysz z brodą powtórnie skinął głową, ale nie zostawił porykującego z bólu jeńca, tylko znów go ucapił i powłókł.

– Pójdzie do królewskich.

– I co jeszcze zrobi?

Holowany drab nie mógł nawet pełznąć do królewskich; wyglądało na to, że można go zanieść, lecz po drodze odpadnie ręka albo łeb.

Już nikt w izbie nie rwał się do bitki.

Czekano, co będzie dalej.

– Odpowie za morderstwo – zapowiedział praworządny przybysz.

– To nie on zabił kota.

– To nie on? A kto?

– Jak ci powiem, to zaczniesz od nowa, a ja chcę spokojnie wypić piwo.

– Mam gdzieś twoje piwo.

– A ja mam gdzieś kota, wyglądam na jego brata? Idź już stąd.

Uważnie mierzyli się wzrokiem.

– Jak królewscy przyjdą, to im powiem, kto zabił twojego kota – rzekł chłopak, widząc, że tamten nie ustąpi. – Może być?

Nie wiadomo, czy mogło być, bo ktoś już jednak posłał po królewskich. Patrol zjawił się jak na zawołanie, chociaż, można by powiedzieć, ku rozczarowaniu biesiadników. Bardzo szybko zapanował spokój, nikt się nie kwapił do bitki z drągalami Straży Krajowej.

Zresztą to już by była naprawdę gruba sprawa. W nieokręplym jeszcze królestwie bardzo dbano o autorytet nowej monarchini. Jej żołnierze i urzędnicy byli nietykalni. Choć podobno trzymano ich krótko. Mieli budzić respekt, nie nienawiść.

Strażnicy zażądali wskazania zabójcy. Chłopak pokazał palcem jakiegoś chudzielca o zakazanej gębie.

– Chyba ten. A połamaniec mu pomagał.

Chudzielca zatkało. Dopiero gdy wojacy capnęli go za kark, powiedział coś w rodzaju:

– Ożeż ty...

W izbie na nowo wszczął się gwar. Ktoś rechotał, ktoś wrzeszczał, ktoś inny się przepychał ku dowódcy patrolu. Jazgotała oblana piwem dziwka. Dostała w papę od drugiej i zaraz się wzięły za kudły. Jeden z żołnierzy rozdzielił je, tłukąc po dupach pałką. Co prawda tak raczej od niechcenia.

Obronca kotów i chłopak wyszli przed karczmę. Wciąż stało tam mnóstwo ludzi dzielących się nowinami. W pełnym świetle wyszło na jaw, że „chłopak” nie jest

chłopakiem – miał młodzieńczą sylwetkę i także rysy twarzy, ale jednak było to oblicze mężczyzny co najmniej trzydziestoletniego.

– Nie napiję się i nie zjem – powiedział. – Zawsze się mieszasz do nie swoich spraw? Oj, jaki konik! – ocenił, ujrawszy zwierzę obcego. – Co ty, oszalałeś? Sprowadzasz tutaj bydlę warte więcej niż całe przedmieście?

Właściciel odwiązał wierzchowca od słupa.

– Zawsze łziesz? – odpowiedział pytaniem. – To nie tamten załukł tego kota.

– Ale znam go, to menda jakich mało. Nawet patałachy się uradowały, nie widziałeś? Jeśli trafi na galery, wszyscy tutaj się ucieszą i będzie sprawiedliwie. Lubisz sprawiedliwość?

– Lubię. A kto naprawdę był winien?

– Nie wiem. Nie widziałem, chyba twój połamaniec. Kto ty jesteś, poszukiwacz prawdy? Chciałeś się czegoś dowiedzieć w tej knajpie? Niech się tym zajmuje Straż Krajowa, przyszli już. Dalej ich będziesz wyręczał?

– Chciałem wiedzieć, kto załukł tego kota.

– A ja chciałbym wiedzieć, ile stołków powinienem złapać, zanim któryś trafiłby cię w łeb? Potrafisz się bić, więc ci wyszło, że jesteś nieśmiertelny? Zaraz by cię załukli w tej knajpie. Dobrze, że przyszli królewscy.

– Nie prosiłem o pomoc.

– Za to prosisz się o piąchę w głupi ryj. Umiesz odróżnić wroga od niewroga? Oddaj mi za piwo, bo rozlałeś.

– Nie wylałem ci piwa.

– Wylało się przez ciebie.

Podchodziło do nich coraz więcej ludzi zaciekawionych sprzeczką. Zabity kot już się opatrzył – takie niby zwierzę-niezwierzę; kto to wie czy naprawdę rozumne?...

Jeździec na chwilę przykrył dłonią chrapy wierzchowca, najwyraźniej zniecierpliwionego. Widocznie rumak nie lubił hałasu.

– Jak się nazywasz?

Szczupły przekrzywił głowę.

– Może być Sayl. A ty?

– Może być Aktar.

Gdyby zebrać wszystkich Sayłów w Dartanie i przyłączyć do Aktarów z Armektu, a jeszcze dodać trochę Askarów, to pobiliby pozostałych mieszkańców Szereru. Dzięki przewadze liczebnej.

– Rzeczywiście Aktar?

– Nie, Ajana. Skoro jestem ci winien piwo, to prowadź. Tutaj pić nie będziemy.

– Ajana?... No, w Ajaną mogę uwierzyć. Ale armektańska czy dartańska?

Poszli ulicą w stronę portowej dzielnicy.

– Znaczy pytasz: Ajana czy Ayana? Ajana.

– Ta dartańska?

– Ta armektańska.

## ROZDZIAŁ 2



Sayl mieszkał w ładnej kamienicy na skraju dzielnicy portowej, w nieco ciasnej izdebce, która jednak nie do niego należała. Wystarczył rzut oka, by ocenić, że jest to królestwo kobiety. Żaden mężczyzna nie zniósłby takiego nieporządku. Tworzyły go przedmioty najzupełniej zbędne; mężczyźni urządzają bałagan za pomocą tego, co jednak może się przydać. Takich rzeczy jest mało, więc zazwyczaj mniejszy jest bałagan.

W niemożliwie zagraconej izbie do Sayla należała tylko duża wypchana torba, obszerny płaszcz i łuk, do którego komplet stanowiły aż dwa kołczany strzały.

– Rozgość się, Ajano – rzekł gospodarz, stawiając na podłodze przyniesioną baryłeczkę piwa. – Jeśli nie sprawi ci różnicy... nie brzmiałoby lepiej: Ajan?

Brodaty Armekańczyk przyglądał się broni. Nie dotknął jej; najpierw zapytał:

– Mogę?

– Tak. Tylko nie zepsuj.

Sayl zręcznie odbił denko beczułki. Nigdzie nie było kubka (kubek mógłby się przydać), wziął więc ze stołu gliniany malowany dzbanuszek z wetkniętym zwiędłym chwastem, wyrzucił chwast, wychlupnął zawartość dzbanuszka przez okno, po czym nabrał odrobinkę piwa i wypłukał. Chlupnął znowu, nabrał do pełna i nareszcie mógł pić. Oparł się o framugę drzwi.

Ajan oglądał broń. Przesunął palcami po cięciwie, ale znacznie więcej uwagi poświęcił pierzastym pociskom.

– Ty też masz łuk – rzekł gospodarz. – Widziałem przy koniu.

– Ale nie takie strzały.

Warte były majątek.

Niemal zawsze strzały warte były więcej niż łuk – rzecz zaskakująca dla ludzi, którzy nie posługiwali się tą bronią i mało o niej wiedzieli. A zawartość tych kołczanów naprawdę robiła wrażenie. Pociski w pierwszym miały zwykłe liściaste groty; te w drugim najróżniejsze, od romboidalnych do przebijania zbroi, po półksiężycowe, służące chyba do przecinania lin. Brzechwy oznaczono kolorami. Ajan znał się na łukach i strzałach, ale nie aż tak, by odgadnąć przeznaczenie wszystkich rodzajów grotów.

– Chyba nie nazywasz się Sayl.

– Wiedziałem, że zaraz się wyda.

– Co ci strzeliło do głowy, że mi pomogłeś w tej norze?

– Mogłem, to pomogłem. Znają mnie i dalej będę tam pił.

– Mhm. Ale to nie odpowiedź. Dlaczego mi pomogłeś?

– Bo z kimś cię pomyliłem.



– A z kim?

Sayl znowu napił się piwa.

– Z takim jednym. Dawno temu, będzie już parę lat, kręcił się tutaj pewien Armektańczyk, bardzo dobry jeździec. Mówią, że nie zabijał, chociaż umiał. Ale ile zrabował! Trochę trwało, zanim go złapali. Cesarscy, bo to było jeszcze za imperium. Trafili do kamieniołomów, skazali go na dziesięć czy piętnaście lat, a podobno dwa lata wystarczy, żeby tam wykończyć każdego.

– I wykończyli go?

– Coś dziwnego się z nim porobiło. Przeżył, chociaż tyrał za dwóch, bo pomagał jeszcze innym więźniom, słabszym. Nie wiadomo, dlaczego tak się zawziął. Po paru latach przyszła wojna z Armektem, a potem piękna Ezena ogłosiła amnestię, zaraz po koronacji. Mówią, że w samą porę, bo tego dziwnego złodzieja tak wszyscy w kamieniołomach szanowali, że... Nie tylko więźniowie, bo dozorczy też. Gdyby nie było amnestii, toby mu dali uciec.

– I wzięłeś mnie za niego?

– Bo tak samo był walnięty jak ty. Odkąd wyszedł, zaczął włóczyć się po całym Dartanie i wyprawiać nie wiadomo co. Pobił jakichś chłopców z nożami, którzy chcieli się zabawić w zaułku z dziewczątkiem, potem przywłókł królewskim dwóch obwiesiów, o których pytał kat. Oj, dużo tego było, co ci będę gadał. Pocziwina. Kochany stryjek. Taki, co o zabitego kota się upomni. No mówię: walnięty jak ty.

– To wygląda na bajkę. O szlachetnym złodzieju, poprawionym w kamieniołomach.

– Ale umiesz przywalić w łeb jak w tej bajce. Czasem daję komuś takiemu zarobić trochę srebra. Powiedz, gdzie cię szukać, jakby co.

Ajan z namysłem zmarszczył brwi.

– Ty słyszałeś o złodzieju z kamieniołomów, a ja słyszałem o bardzo dobrym łuczniku. Podobno czasem królewscy wojacy znajdują strzałę między czyimiś łopatkami, albo tylko dziurę po strzale. Dziwnym trafem, to zawsze są łopatki jakiegoś zucha, którego wojsko i sądy nie lubią, ale nic na niego nie mają.

Sayl patrzył z namysłem.

– No, no. Nikt tutaj nie wie, że jestem trochę do niego podobny. A ty skąd wiesz?

– Bo mi pokazałeś swoje strzały.

– Może je dla kogoś przechowuję.

Armektańczyk spacerował po izdebce. Ruchem głowy pokazał okno.

– Czego trzech rybacy mogą chcieć od ciebie?

Zdziwiony Sayl pochylił się i wyjrzał na ulicę.

– Nie znam żadnego. Chyba byli w knajpie.

– Przyszli tu za nami. A teraz sterczą przed domem.

– Zaproś ich na piwo i zapytaj, czego chcą. Może głodni albo zdrożeni?

Armektańczyk ruszył ku drzwiom. Gospodarz na chwilę zaniemógł, a gdy odzyskał głos, było już za późno na tłumaczenia, co to takiego kpina albo żart. Ajan wyszedł.

Wkrótce wrócił, prowadząc trzech rybojadów. Przerażonych ogromem miasta, przepychem komnaty, do której ich wprowadzono, a najbardziej chyba dostojeństwem rycerzy, z którymi mieli mówić.

– Walnięty – powiedział Sayl. – Ty naprawdę jesteś walnięty.

– Ale oni nie. Życzycie sobie czegoś?

Najmniejszy z rybaków zaczął się trząść i wyglądało na to, że upadnie zaraz na podłogę, a wcześniej zaleje się łzami. Jego towarzysze wyglądali solidniej. Starszy miał spokojne spojrzenie, a ogorzła kwadratowa twarz znamionowała człowieka stanowczego, z którym na pewno ziomkowie się liczyli. Gdy coś postanowił bądź

powiedział, to dotrzymał. Najmłodszy, ale i najwyższy z całej trójki, barczysty trzydziestolatek, też chyba wiedział, czego chce.

– Mamy kłopot, panie – powiedział rybak z kwadratową twarzą. – Nie wiemy, gdzie iść z naszą sprawą, a wy, panie, bez żadnej pomocy pobiliście tamtych w karczmie. O kogoś takiego nam chodzi.

– Skoro tak, to słucham.

Nie przebierając w słowach, tak prosto, że niemal obcesowo, rybak przedstawił swój problem. Jego roztrzęsiony towarzysz jął w trakcie tego stroić miny, jakby z żadnym słowem się nie zgadzał i tylko żałował, że żyje. Trzeci milczał z niewzruszoną twarzą.

Wkrótce zaległa cisza.

Krótką, nieskładną opowieść wywarła duże wrażenie. Może właśnie dlatego, że nie było w niej żadnych meandrów, niedomówień, upiększeń.

– W jaki sposób miałbym wam pomóc? – zapytał po chwili Armekańczyk, spoglądając na swego towarzysza, który wymownie wzruszył ramionami. – Idźcie do garnizonu, to sprawa dla Straży Krajowej. A właściwie dla Straży Morskiej.

– Jużśmy byli, panie. Pół roku, a wcześniej rok nazad. Teraz też. Znaczą dzisiaj.

– No i...?

– Żołnierze przyszedli i poszli, bo nie mogli u nas siedzieć na okrągło, zresztą ledwie paru ich było. A teraz niby wiadomo, kiedy żaglowiec przyplynie, ale żołnierze mówią, że za mało ich. A na morzu nie mają okrętów.

Jedno i drugie było prawdą. Oddziały posłane przez królową do Niskiego Grombelardu to było prawdziwe wojsko. Lecz tutaj, w głębi Dartanu, Królewska Straż Krajowa tak jak kiedyś Legia Dartańska rozsyłała patrole utrzymujące porządek na ulicach miast i gościńcach. To nie była formacja do bitew z piratami. Zresztą, pomijając już nawet wartość tych wojaków, potrafiących tuc rzeźmieszaków kijami, trzeba by chyba zebrać żołnierzy z całego okręgu miejskiego, by uskładać dość liczny oddział. A znów Królewska Straż Morska była po skończonej wojnie bardzo, ale to naprawdę bardzo słaba. Na mocy traktatu pokojowego południowodartańskich wód miały tymczasowo pilnować imperialne okręty. Wiadomo, jak pilnowały. Pokonanemu Wiecznemu Cesarstwu było, bez ogródek mówiąc, bardzo na rękę, że pirackie żaglowce kręcą się po oddalonych od Armektu i Garry niestrzeżonych wodach, należących na dodatek do byłego wroga.

Sayl i Ajan, wiedząc, że tak właśnie wygląda sprawa, łatwo uwierzyli rybakowi.

– Jak się nazywasz?

– Yolon, panie. A to Nes i Mihol, ale u nas się mówi Miholo. Jakoś tak, nie wiadomo dlaczego.

– Jeśli to duży żaglowiec, a mówicie, że duży...

– Bardzo duży.

– Może tam być nawet półtorej setki ludzi.

– Pewnie tak, jak mówicie, panie. Ale do nas przyplывa mniej jak dwudziestu, bo mają dwie łodzie, wcale nie takie wielkie. Może... jakby tak ich...

Armekańczyk zmarszczył brwi.

– A kto wie?... – powiedział z namysłem. – Dwudziestu zaskoczonych popaprańców, którzy przyplynęli się zabawiać...

– Czekaj, czekaj – przerwał Sayl. – Widziałeś kiedyś dwudziestu ludzi naraz? Nie zmieściliby się w tej izbie.

– Daj pomysleć.

– Dwudziestu ludzi. Mają razem czterdzieści rąk albo więcej, a w każdej ręce...

– W kolczugach i hełmach nie będą, kusz i łuków też nie pobiorą, na pirackich okrętach nie wydaje się załodze broni bez powodu, bo o nieszczęście łatwo – zastanawiał się głośno Ajan. – Idę o zakład, że połowa tych zuchów będzie miała najwyżej noże. Można by potem spalić te ich szalupy na brzegu. Jeśli żaden nie wróci, to tamci na żaglowcu... Skąd mają wiedzieć, kto jest we wsi? Może oddział żołnierzy, którzy tylko czekają na okazję.

– Właśnie, panie.

Na ciemnej twarzy rybaka pojawił się rumieniec. Chyba dotąd nie wierzył, że ktokolwiek potraktuje go poważnie. I naraz taki wojownik, pogromca całej bandy zbirów, myślał na głos tak, jakby opowiadał jego własne, najskrytsze myśli.

– Co myślisz? – zagadnął Ajan, spoglądając na Sayla.

– O czym? – zapytał sucho wezwany. – Przed chwilą już mówiłem, co myślę. O tobie też już mówiłem, jesteś walnięty. Ale że aż tak?

– Pytam poważnie.

– Poważnie. Chcesz się rzucić na dwudziestu zuchów uzbrojonych w noże, no chyba żeby w coś jeszcze. A nie wystarczą im siury? Zaplaszczą cię nawet miękki, a słyszę, że jak przyplywają, to im sterczą.

– Jeśli wojsko nie może pomóc, to musicie poszukać najemników – rzekł Ajan do rybaków.

– T...tak, panie! – przytaknął Yolon olśniony darem jasnowidzenia, którego był świadkiem.

– Macie czym zapłacić?

Zapadła cisza.

– Tak. Tylko nie wiemy, czy starczy. Pokaż, Nes. No, pokaż, co mamy.

Yolon bał się, czy wystarczy, i nie tylko tego. Nie wiedział, czy może zaufać dwóm nieznajomym wojownikom, którzy przecież z trójką obszarganych rybaków mogli zrobić, co tylko chcieli.

Ajan odgadł te wątpliwości.

– Nie odbierzemy wam pieniędzy – powiedział, wyciągając rękę po woreczek, ostrożnie wydobyty przez Nesa z zanadrsa; rybacy nieomal z lękiem spoglądali na skarb, który musiał być wspólnym majątkiem całej wsi. – Srebro? Bo chyba nie złoto?

Przerazili się, jakby powiedział nie wiadomo co.

– Srebro, panie! A skąd my złoto? Ja to nawet nigdy...

Urwał. Mimo to było jasne, że można mu wierzyć. Nigdy nawet nie widział złota, a w każdym razie złotej monety. Może kolczyk lub pierścionek u pirata.

– Na jednego to mnóstwo pieniędzy, a dla dwóch więcej niż trzeba – powiedział Ajan, wążąc płócienny miśzek w rękę.

Rozwiązał go i zajrzał do środka; między większymi i mniejszymi sztukami srebra było trochę dużych miedziaków imperialnych, tych potrójnych. Miały wartość.

Zawiązał woreczek i znów popatrzył na Sayla.

– Dla trzech, czterech... może wystarczy.

– Dla pięciu to o wiele za mało, dla dziesięciu kpina i śmiech. Oddaj im to i przestań robić z siebie durnia. Z siebie, a może z nich? Urządziłeś sobie zabawę? Może to są i głupi, ale jednak uczciwi ludzie. Myślałem, że takich lubisz?

– Dobrze myślałeś.

– No, to powiedz im wreszcie, że nic za to nie kupią. Dwóch albo czterech oszustów, którzy wezmą to srebro i przepadną. Nie możesz pomóc, ja też nie. Zabierzcie sobie tę beczkę, przyjaciele, jest ledwie napoczęta, pięknie się we trzech upijecie. No już, już! Biercie i idźcie, i pijcie ile wlezie, nie musicie za nic dziękować.

– Nikt nie weźmie od nich tych pieniędzy?

– Tu, w tym mieście, w porcie? Nie słuchałeś? Każdy weźmie i od razu wsiąknie. A uczciwie? Uczciwie, to wiesz, sam bym od nich wziął, bo mi żadne srebro nie śmierdzi. Mogę za to zabić pirata, niechby nawet dwóch... co ja mówię, trzech dużych upasionych piratów, jeśli dadzą sobie zrobić niespodziankę. Ale ci poczciwi ludzie mówią, że bym za ich srebro wygrał wojnę. Gdybym w pojedynkę mógł wygrywać wojny – zaczął tłumaczyć Sayl – to nie do nich bym się zgłosił, tylko do królowej. Słyszałem, że też jakąś planuje, a dałaby mi większy woreczek. Już nie mówię, że piękniejsza jest od nich; słyszałem, że znacznie piękniejsza.

– Bardzo dużo mówisz jak na kogoś, kto nie chce tego woreczka.

Sayl zamilkł.

– Bo nie znoszę rybojadów. Bo cuchną – rzekł po chwili. – Zabierać mi się stąd, ale już.

– A ja z nimi pójdę. Nie, nie cuchną – rzekł Ajan. – Trzymaj, yy... Nes.

Rybak schował podany woreczek.

– Z imperialnej wioski? – zapytał Armekańczyk. – Jesteście z imperialnej wioski? To znaczy: teraz królewskiej?

– Tak, panie. My... wolni ludzie. Poddani jej królewskiej wysokości – odpowiedział z namaszczeniem, ale i dumą wieśniak.

Pewnie, że tak. Pólniewolnik z prywatnych dóbr nie ośmieliłby się wyleźć za próg domu. Tyle tylko, że były broniony przez prywatny poczet swego pana, któremu odwiedziny piratów w jego dobrach raczej by się nie spodobały. Może nawet tak bardzo, że poprosiły o sąsiedzką pomoc dwa albo cztery zaprzyjaźnione Domy i zebrał siedemdziesięciu przepysznie uzbrojonych pocztowych.

– Popytamy, poszukamy – wytłumaczył rybakom Ajan. – Przydałoby się dziesięciu, ale może wystarczy ośmiu, to zależy. Może nawet...

– Nie znajdziesz ani jednego – ocenił życzliwie Sayl. – Znam to miasto, bo mieszkuję i bywam w nim od lat. Ile wyjdzie? Po piętnaście na głowę? Rybak za te pieniądze sprzeda własną matkę, a najemnik najwyżej może dać ci w mordę. Niech ci będzie: połamie kogoś w zaułku, robota na jeden wieczór. Ale nie wyprawi się na stu piratów!

– Jeśli mój przyjaciel ma rację, to sam z wami do wsi nie pójdę, bo najwyżej rozzłoszczę waszych wrogów. Ale myślę, że kilku najemników znajdę. Zobaczymy, czy tyłu, ilu potrzebujemy.

– Znajdź pięciu, a masz szóstego – powiedział kpiąco Sayl i popukał się palcem w pierś, po czym wypił z dzbanuszka resztę piwa. – Słyszysz? Znajdź połowę tej liczby, co trzeba.

– To jest zakład?

– Jeśli znajdziesz pięciu, i to takich, których sam mógłbym wybrać, nie jakąś pijaną hołotę, to idę z tobą! – przytaknęła Dartańczyk. – Ale w zamian, jeśli nie znajdziesz...

– To co?

– Jeśli nie znajdziesz, to ty pójdziesz ze mną. Za darmo. Całkiem niedługo, może za dwa, trzy tygodnie, chyba mógłbyś się przydać.

– Do pomocy temu człowiekowi, którego strzały przechowujesz?

– Właśnie.

– No, to mamy umowę. Pomożesz mi zebrać oddział?

– Żeby przegrać zakład?

– Przecież i tak nie zbierzemy.

– Oczywiście.

– No, to połaż ze mną. Nie za darmo, weźmiesz moją część. Jak za łażenie po porcie to chyba znośny zarobek? Dajcie mu jedną dziesiątą z tej sakiewki – rzekł Ajan,

zwracając się do rybaków. – Jeśli nie znajdziemy najemników, to tyle będziecie stratni. Przynajmniej powiecie swoim, że naprawdę próbowaliście.

– Dobrze, panie – zgodził się z ciężkim sercem Yolon, bo miał okropne wrażenie, że wyrzuca pieniądze w błoto. – Niech tak będzie, panie. Tak jak mówisz.

– Przyjdźcie jutro z samego rana. Macie gdzie nocować?

– Jakoś... Poradzi się.

## ROZDZIAŁ 3



**N**ie, nie cuchną – powiedział Ajan. – Po prostu nie lubisz rybaków.

– O, to prawda.

Szli porządną, częściowo brukowaną ulicą, mijając dwu- i trzypiętrowe kamienice. To była bogatsza część miasta. Ulica wiodła od rynku aż do portu i ruch na niej prawie nigdy nie zamierał – inaczej niż za czasów imperium, kiedy wolno było hałasować tylko w dzień. Teraz nawet w nocy, ku utrapieniu mieszkańców, turkotały wozy załadowane towarami, które miały trafić do składów

w różnych częściach miasta albo odwrotnie – do portu. Nin Aye, choć nie miało takiego znaczenia jak Seyen, obsługiwało handel w znacznej części południowo-wschodniego Dartanu.

– To są wolni rybacy, tak jak gdzie indziej chłopi. Mieszkają w cesarskiej... yh, nie mogę się przyzwyczaić. Mieszkają w królewskiej wiosce. Płacą daninę królewskiemu poborcy, poza tym nikt nie ma nad nimi żadnej władzy. Bez pozwolenia chodzą sobie, gdzie chcą, kupują, co chcą, i żenią się, z kim chcą. W porównaniu z niewolnymi wieśniakami znają świat, przynajmniej na pięć mil dokoła, nie śmierdzą...

– Śmierdzą.

– ...i nie otwierają gąb na widok butów. Wiedzą, co to miasto, karczma, most, a nawet port. Nie uciekają na widok domów wyższych niż parterowe, bo już wiedzą, że się nie zawałą. Gdyby to był Armekt, wszyscy umieliby jako tako składać litery.

– Co jeszcze mi powiesz o dartańskich wsiokach?

– Zdaje się, że mało o nich wiesz.

Ajan doskonale zdawał sobie sprawę, że jego towarzyszem powoduje przekora, mająca swe źródło w zwyczajowej niechęci do najbiedniejszych, prymitywnych mieszkańców kraju. Droczył się leniwie, żeby zabić czas i pokryć zniechęcenie.

– Przede wszystkim umieliby sami się bronić, potrzebowaliby pomocy, ale nie wyreki – rzekł z namysłem. – Gdyby żyli w Armekcie, to w każdej wolnej chwili strzelaliby z łuków, a po ogłoszeniu poboru na wyścigi zaciągali się do legii.

– I nie byliby przyjmowani.

– Bo przyjmują jednego na stu, albo i to nie. Czasem jednak któryś się dostaje i zaczyna zupełnie nowe życie. Rodzice chwalą się takim synkiem, a cała wieś znowu strzela na wyścigi, kiedy tylko może. Stara bajka o łuczniku, który po latach został dowódcą legionu i mógł w każdej chwili prosić o widzenie z cesarzem... No, teraz to z cesarzową. Do tego też się nie mogę przyzwyczaić.

– Ale tu jest Dartan, nie Armekt. Tu nie strzelają z łuków i zostają najwyżej dowódcami chlewów, nie legionów. Mogą prosić o widzenie z knurem.

Cały dzień łażenia po porcie zaowocował hufcem chętnych, ale był to hufiec ladacznic ciągnących za mężczyznami, którzy wszędzie rozpowiadali, że chcą wydać pieniądze. Wprawdzie nie na dziwki, tylko na jakąś awanturę, ale było przecież możliwe, że stać ich na jedno i drugie. Sayl zaczął się chować po kątach, co prawda nie przed dziwkami. Ot, zbyt wielu ludzi go znało, choć wyglądało na to, że raczej nie z powodu „przechowywanych” strzał, za które płaciło wojsko... O tym akurat chyba nikt nie wiedział. Cieszył się mirem z jakichś innych powodów (ktoś zapytał o jego ojca, chyba znaczną – kiedyś? – osobę; Sayl natychmiast uciął rozmowę). Teraz przynosił sobie wstyd, pytając, kto się zgodzi umrzeć za dwa śledzie. Prowadził, wskazywał Ajanowi tę lub inną jaskinię zbójców, nazywaną szumnie gospodą, po czym czekał gdzieś z boku, aż towarzysz wróci z wieścią, że nic z tego.

Chętnych do magnackiego pocztu znaleźliby od ręki, i to nawet gdyby nie mieli pieniędzy. W czas pokoju to było wspaniałe zajęcie. Dach nad głową, przyodziewek, utrzymanie. I żadna robota. Łażenie za panem lub panią dla fasonu, może pogonienie jakiegoś kłusownika. Już nawet kupiecki pacholek chciał więcej, bo tłukł się po całym Szererze, nocował byle gdzie i byle jak. Na wozie czasem jechał, ale równie często go pchał, w błocie albo mocno pod górkę. No i jakaś utarczka na bezludziu rzeczywiście mogła się zdarzyć.

Ale tutaj miała być przeprawa z piratami. W wielkim porcie każdy wiedział, kto to pirat. Wystarczyło wydudlić piwo i posłuchać żeglarskich opowieści w knajpie, żeby stracić całą ochotę.

To nie było dawno, dawno temu ani za górami, za lasami. Po ostatnich wojnach – bo przecież raptem kilka lat wcześniej cesarstwo stłumiło garyjskie powstanie – piractwo stało się plagą. Przynajmniej na morzach wschodnich i południowych. A ponoć daleko na Bezmiarach piraci zdobyli jakąś wyspę i mieli tam własne księstwko.

Werbunek siedł po grudzie także i dlatego, że o „Armektańcu od kota”, wtrącającym się w nie swoje sprawy, już tu i ówdzie słyszano. Takie wieści rozchodziły się piorunem.

Wędrowali z powrotem do kamieniczki Sayla. Powolutku zmierzchało.

– A ty gdzie się nauczyłeś strzelać?

– Tam gdzie ty się nauczyłeś gadać.

– Grzecznie pytałem.

– Grzecznie odpowiadam. W Armekcie. Co powiesz rybojadom?

– Żeby jutro znowu czekali pod twoim domem.

– Nie moim.

– Przed tym domem, gdzie masz izbę.

– Nie mam izby ani nawet tych kiecek, co tam wszędzie leżą.

– A co tam masz albo kogo?

– Piwo tam mam, a poza tym krótszy jęzor niż ty.

– Tylko pytam. Nie lubią mnie tutaj, bo biłem się o kota. Teraz mieszkam w „nie twoim” domu i „nie twojej” izbie, do której mnie zaprosiłeś. Nie chcę narobić kłopotów, może lepiej będę spał z rybakami?

Sayl złagodniał.

– Będziesz spał w tej stodole?

– Oberża jak oberża.

– Może tak – powiedział Sayl po namyśle i krótko dorzucił: – Siostra. Wdowa bez dzieci.

Ajan o nic tym razem nie spytał. Mimo to Sayl dopowiedział:

– Tak, dość ładna, ale stara, chyba starsza nawet od ciebie. Mieszkam u niej, kiedy jestem w Nin Aye. A poza tym trzymam ją z daleka od takich ludzi jak... my. Gdy tu jestem, idzie od matki. A pomieszkuję specjalnie, żeby czasem przypomnieć... No, że jest jakiś mężczyzna, który w razie czego ujmie się za samotną kobietą.

– Zabiorę swoje rzeczy.

– A ja powiem rybojadom, że na razie nic. Na dworze tak bardzo nie cuchną – wytłumaczył, wskazując ruchem głowy milczącą grupkę przed domem. – Poczekam na ciebie i pójdziemy razem. Chcę zobaczyć, jak będziesz mieszkał.

Ajan zniknął w głębi domu.

I nie było go dosyć długo. Gdy wyszedł, rybacy już poszli, w zamian sterczał przy Saylu jakiś obcy człowiek.

– Znalazłem ci najemnika – rzekł Sayl, wskazując pociesznego grubaska, który mógł być przepupniem, młynarzem albo kimś podobnym.

Grubasek uklonił się bądź czknął.

– Idę, patrzę, słucham, kurwy z całego miasta, jakiś pojebaniec szuka sukinsynów – rzekł, palcami wycierając nos. – Pytam dalej, ale wszyscy to mają w dupie, nikt nic nie wie, o co tutaj chodzi, trzeba spalić jakiś okręt albo dwa, ale nic na tym nie można zarobić, mam pilnować zaszczanej wioski, w życiu nie słyszałem takich srułów, tylko że nabroiłem tutaj trochę i dobrze by było zniknąć, gdzieś się trochę zaszyć, wystarczy, jak mnie nakarnią dorszem na patyku. No i tak uliczką popierdalałam i myślę, co za potłuk chce wcinać tego dorsza razem z mną, aż tu patrzę i kogo widzę, idzie sobie...

– Sayl – powiedział Sayl, wpadając w słowo.

– Że kto idzie? Nie no, widzę, że ty idziesz... a! – pojął grubasek. – Że jak, mówisz, idziesz?

– Że Sayl.

– Aa. A ty jak się nazywasz?

– Ajan.

– Dobrze. Sayl i Ajan. Jakbyś się nazywał, weźmy, Sayla, tobyście się mogli pierdolić.

– Kto to w ogóle jest? – zapytał Ajan.

– Pomagał mi parę razy.

– Weź mnie – powiedział grubasek. – Znaczący przyłącz. Najmij. Przejechałem wszystko w kości, zrobiłem awanturkę, teraz dobrze by było gdzieś przycupnąć. Jak im przejdzie, to wrócę i poszukam roboty. Jakoś ich przekonam, że popracuję jak skurnol i zaraz oddam dług. Ale teraz jeszcze im nie przeszło, weź mnie. – Nie brzmiało to przekonująco, więc dorzucił: – Dupa i gównno.

– Zarobek niewielki, będzie z piętnaście sztuk srebra. Długu za to chyba nie spłacisz, ale może będzie na początek.

Gruby coś wymamrotał.

– Chcesz się bić w obronie rybaków? – upewnił się Armeктаńczyk.

– Bardzo. Kocham rybaków i bardzo lubię jeść ryby, a jak się nawtrzącham, to tak pierdę...

– To jest duży okręt, holk albo karaka. Załoga z półtorej setki.

– Ale... ten... no on, Sayl, mówił, że na brzeg przyplływa dwudziestu?

– Coś koło tego.

– Jak dwudziestu, to sam się zaczaję. Chyba żeby dwudziestu jeden, wtedy was zawołam. Pomożecie?

– Naprawdę jest taki dobry? – zapytał Ajan, spoglądając w chłopięce oblicze Sayla, jeszcze młodsze niż zwykle, bo lekko uśmiechnięte.

– Nie aż tak, ale strzelać umie bardzo dobrze. Nawet szybko, jak na kusznika. Tylko sam widzisz, że kurdupel. Nigdzie nie pobiegnie, od razu się zmęczy, nic nie widzi,



kiedy wejdzie w kępę trawy... No i jeszcze trzeba go osłaniać, bo umie tylko strzelać i nic więcej.

– Pocałujcie mnie obaj w dupę. Kusza lekka, to bełty krótkie, kutasa mam dwa razy dłuższego, no to jak się trafi obrzydliwie gruba świnia, na wylot jej nie przedziurawię, grubasy są najgorsze – powiedział z odrazą grubcio. – A toporem machać nie będę, bo kiedyś tak wykur...

– Byle tylko nie mówił.

– Przeważnie bardzo mało mówi, teraz klepie, bo chce ci się przypodobać – wytłumaczył Sayl.

– No, to się przypodobał. Jeżeli ręcysz za niego, to powiedzmy, że jest nas czterech. Chociaż właściwie sam nie wiem.

– Jest was dwóch, ja się liczę dopiero jako szósty lub wcale – powiedział stanowczo Sayl. – Czekaj, jakich czterech?

– Ja też kogoś przed chwilą zwerbowałem.

– Zaraz... Tam? – Sayl pokazał dom. – To dlatego cię tak długo nie było. Kto to jest, jak tam wszedł i dlaczego jeszcze nie wyszedł? Nie lubię takich żartów, więc...

– Żadne żarty. Nie wiem, jak tam wszedł, ale za to powiem, że już wyszedł. Chcesz sprawdzić, czy się nadaje? Bo mówiłeś, że nie uznasz byle kogo.

– Nikt stamtąd nie wyszedł, nie jest jeszcze zupełnie ciemno, a ja nie jestem ślepy.

– Dla niego wszyscy są ślepi, no i nigdy nie jest całkiem ciemno.

Wyglądało to na jakąś zagadkę.

– Kot – powiedział grubasek; miał bardzo paskudny język, lecz poza tym był chyba niegłupi. – Przecież ty jesteś ten od kota, nie? A tamten zabity kot to pewnie nie był sam, miał jakichś koleżków, co?

– Mam w oddziale kota? – spytał Sayl z ożywieniem.

– Ja mam w oddziale kota, ciebie jeszcze nie ma w ogóle, będziesz dopiero szósty. Tak, mam do pomocy kota. Zjawi się, gdy uzna, że pora.

– A ja jestem Gruby – rzekł gruby. – Mówią na mnie Gruby, bo jestem...

– Gruby, niech zgadnę.

– No tak.

o o o

Gruby wlaź do kąta między tobołki rybaków, naciągnął na siebie resztki starego wora i oznajmił, że wstanie tylko po to, żeby srać albo szczać. Naprawdę nie chciał rzucać się w oczy, nawet w wyłożonej wilgotną słomą budzie, którą tutaj mianowano wielką izbą sypialną. Co najmniej dwudziestu chłopów spało w niej lub deptało się nawzajem. Sayl spozierał spod oka i czekał, kiedy Ajan coś powie, ale Ajan nic nie powiedział.

– Naprawdę chcesz tutaj spać?

– Tak.

– No, to jesteś zdrowo walnięty.

O ile Ajan był walnięty, o tyle Gruby nazajutrz wczesnym rankiem pokazał, że jest przydatny. Widać było, że naprawdę ziemia mu się pali pod nogami. Bardzo chciał opuścić Nin Aye i zależało mu na jak najszybszym zebraniu drużyny. Znał miasto na wylot, słyszał różne pogłoski i plotki, mógłby chyba wymienić imiona wszystkich karczemnych zabijaków. Kilka rzeczywiście wymienił, ale najważniejszą wiadomość zatrzymał na sam koniec.

– Najpierw idźcie na rynek – poradził spod swojego wora. – Stoi tam zajazd jak fiut, Złoty Klon. Ciężko będzie wejść, bo nie każdego wpuszczają.

– Kto tam mieszka?

Gruby powiedział, co wiedział. Jeśli pominąć paskudnictwa, sens był mniej więcej taki:

Przed kilkoma dniami na arenie Nin Aye odbył się wielki turniej. Tradycja orężnych walk na niby, wyśmiewana w całym Szererze, nie była wcale taką niewinną zabawą, jak mogłoby się wydawać. Rozstrzygano na arenach rodowe waśnie – i nie zawsze w sposób bezkrwawy. Przede wszystkim jednak obstawiano walki niewolników, rujnowano się nawzajem za ich pośrednictwem bądź zbijano majątki. Dartański rycerz nie wstydził się stanąć w szranki z niewolnikiem, czyli żywym, przeznaczonym wyłącznie do walki urządzeniem. Takie pojedynki obstawiano najwyżej, mógł więc zyskać sławę i pieniądze, a stracić jedynie życie, bo honor w żadnym wypadku – nie było hańbą ulec machinie do zabijania, wprost przeciwnie: nawet porażka była chwalebna, bo świadczyła o wielkiej odwadze (choć zdaniem Grubego raczej o głupocie). Podczas ostatniego turnieju laur zwycięzcy zyskał młody rębajło, syn świetnego Domu, niemający jednak jeszcze rycerskiego płaszcza i pierścienia. Ukryty pod workiem grubcio z ogromną pewnością siebie jął wywodzić, że bez trudu można pozyskać tego chłopca. Umieśnione, potrafiące wymachiwać bronią dziecko, z głową pełną baśni o wspaniałych czynach swoich przodków, gotowe stanąć w obronie każdej sprawy, byleby była beznadziejna. Bo naprawdę, im marniejsze widoki na cokolwiek, tym łatwiej przekonać takiego rycerzyka. Nadstawić pierś w obronie nieszczęsnych rybaków, którymi potomek dartańskiego Domu musiał gardzić – oto właśnie wspaniały czyn, nie dla poklasku tłumów, nie dla złota. Najwyżej dla kaprysu. To moneta rzucona żebrakowi, a im bardziej żałosny i godny pogardy żebrak, tym zasługa z dania mu jałmużny większa. Mało tego: im większa i cięższa sakiewka, rzucona w błoto ulicy...

Rybaczy słuchali grubaska, ale chyba niewiele rozumieli. Ajan przeciwnie, coraz bardziej był przekonany, że tłusciutki strzelec wie, co mówi. Umiał patrzeć, myśleć, bardzo dobrze znał zwyczaje swego kraju, a jeszcze lepiej ludzi. Plugawy język i śmieszna powierczliwość skrywały niebezpiecznego wojownika, którego główną bronią wcale nie była kusza. Raczej to, co miał między uszami.

Obejrawszy swój przyodziewek, mocno zniszczony strój obieżyświata, w sam raz pasujący do wielkiej izby sypialnej, Armektańczyk pokiwał głową, upewnił się, że Gruby nie zechce mu towarzyszyć, nakazał rybakom czekać na swój powrót, po czym wybrał się do domu Sayla, który chyba zasnął. Po drodze mijał stragany i kramy. Zatrzymał się przy jednym, podlubał w sakiewce i niedługo potem mógł zdjąć sfatygowane odzienie. Bezceremonialnie poświeciwszy na ulicy muskularnym torsem, przyoblekł się w brązowy kaftan z nieźle wyprawionej skóry, spiął pasem nową czarną spódnicę i wyciągnął spod spodu starą, wreszcie przytupnął w nowych butach. Stare rzeczy kupiec przyjął w rozliczeniu. Armektańczyk poprawił kaftan, jeszcze raz przytupnął. Tak zastał go Sayl, idący od swego domu.

– Będziesz się żenił? – zapytał.

– Sam nie wiem, jak jest lepiej: kiedy mówi czy kiedy siedzi cicho – odrzekł zapytany. – To bardzo roztropny człowieczek, ten twój Gruby – wyjaśnił. – Chyba aż za roztropny.

– Co masz na myśli?

– Nic. Podsunął mi dobry pomysł, ale żeby go wykorzystać, musiałem się trochę ogarnąć. Zresztą, tak czy owak, należało mi się. Wejdziemy najpierw do stajni po mojego konia, a potem pójdziemy na rynek. Mieszka tam uzbrojony chłopiec, któremu

marzą się chwalebne czyny. Gruby ma rację. Jeśli dobrze takiego podejść, to przyłączy się do nas i jeszcze sygnie srebrem.

– Gdzie mieszka? Na rynku?

– Przy.

– Wytłumaczysz, o co chodzi?

Ajan wytłumaczył.

Złoty Klon był okazałą kamienicą, w której na piętrach urządzono pokoje gościnne, na parterze zaś salki – bo nie izby – służące biesiadzie i rozrywce.

Przydrożne zajazdy dartańskie sływały z wygod odpowiednich raczej dla zwierząt niżli ludzi; podobnie miała się sprawa z portowymi knajpami. Jednak gospody takie jak Złoty Klon służyły wyłącznie najbogatszym. Były to wygodne noclegownie, jadłodajnie, zarazem zaś domy schadzek. Nowe, wcale niebiedne szaty Armekańczyka wyglądały dość blado na tle stroju i oręża dryblasza tkwiącego przy drzwiach. I gdyby Ajan miał tylko to, co na sobie, nie zostałby wpuszczony do środka.

Ale Sayl, udający przybocznego strażnika, prowadził za nim konia.

Dryblas przy drzwiach spojrział na Ajana, na zwierzę, potem popatrzył uważnie. Chyba znał się na koniach, bo bardzo uprzejmie zapytał, o co chodzi. Przybysz spokojnie i godnie, ale za to kompletnie niezrozumiale odpowiedział łamanym dartańskim, składającym się głównie ze słów armekańskich. Strażnik popatrzył na Sayla; ten bezradnie rozłożył ręce.

– Jestem tylko przewodnikiem, najętym przez dwóch podróżnych. To Armekańczycy Czystej Krwi – wyjaśnił. – Zdaje się, że w tej gospodzie mieszka znajomy rycerz. Nic więcej nie wiem. To jest – wskazał Ajana – dowódca poczty tych dwóch, którzy mnie najęli. Ma przekazać jakąś wiadomość, ale dokładnie nie wiem, nie znam armekańskiego. A mojego kinenu on czegoś nie rozumie.

Dryblas usunął się z drogi.

– Gospodarz zna języki – powiedział niby obojętnie, ale widać było, że ceni sobie pracę u wykształconego pryncypała. – Odesłać konia do stajni?

– A mógłby zostać tutaj? To chyba długo nie potrwa.

– Takie zwierzę może stać wszędzie – odpowiedział bez wahania strażnik, któremu nie na próżno kładziono do głowy, co może dodać, a co ująć splendoru domowi, w którym pracował.

Przywiązał konia do klamry w ścianie domu. Wezwał pacholka i posłał po właściciela Klonu.

Sayl i Ajan znaleźli się w przestronnej salce, gdzie można było usiąść przy uzbrojonym w prawdziwe szyby oknie i oglądać równiutkie, czerwone deski bukowej podłogi bądź też raczyć się darmowym trunkiem i leniwie spozierać na ulicę.

Wkrótce zjawił się szpakowaty, bardzo dostojny mężczyzna, gotów odpowiedzieć na pytanie o młodego rycerza, opróżnionego sławą zwycięzcy turnieju. Strażnik powiedział prawdę: nie wiadomo, jak było z innymi językami, ale armekańskim jego pracodawca posługiwał się bardzo dobrze, i to armekańskim w pełnym brzmieniu, nie kinenem.

Ajan znał swą rodzimą mowę co najmniej równie dobrze jak gospodarz, więc porozumieli się bez trudu.

Sayl pojmował tylko kinen, chwycił więc piątę przez dziesiątę. Wysłuchał ułożonej wcześniej bajki o dwóch Armekańczykach, a następnie, z rosnącym podziwem, istnych bredni o długu wdzięczności, jaki zaciągnęli armekańscy podróżni wobec bardzo młodego rycerza, który pomógł im w drodze i pospieszył dalej, nie chcąc wyjawiać imienia. Czy przypadkiem nie zatrzymał się tutaj?...

Lecz właściciel gospody najwyraźniej uznał historię za prawdopodobną, bo uśmiechnął się tylko i odrzekł:

– Może być, panie, iż rzeczywiście odnalazłeś tego tajemniczego dobroczyńcę. Jego godność N.L.Selett jest tyleż odważny i biegły w rycerskiej sztuce, co skromny. Jesteś, panie, cudzoziemcem, więc się nie obrazisz, gdy wyjaśnię, że Dom N.L. należy tutaj do najświetniejszych. To, że postradał w minionej wojnie znaczne dobra, jest rzeczą pozbawioną znaczenia.

Może rzeczywiście nie miało to znaczenia – a może jednak miało; Sayl i Ajan nie potrafili ocenić, co jest ważne dla oberżysty goszczącego w progach swego przybytku taką lub inną osobistość.

– Ojciec jego godności Seletta zmuszony był honorowo wykupić się z niewoli... ale o tym już nie mogę opowiadać – zakończył gospodarz, opowiedziawszy to wszystko, o czym nie mógł opowiadać. – Młody pan Selett obdarował całą swoją wygraną właściciela tego niewolnika, który zginął na arenie z jego ręki – opowiadał dalej, chociaż opowiadać absolutnie nie mógł. – Znajdźcie go na podwórzu za domem. Rąbie drewno.

– Co robi? – Ajan sądził, że się przesłyszał.

– Zapytał mnie wczoraj, czy zechcę udzielić mu gościny jeszcze przez jedną noc, pomimo iż nie ma pieniędzy, bo jak powiedziałem, obdarował pokonanego. Powiedział, że zapracuje na swój pobyt – objaśnił właściciel Złotego Klonu. – Nie potrafiłem się oprzeć podziwowi dla młodego człowieka, który mógłby mnie po prostu zapewnić, że uisci należność kiedy indziej. Coraz rzadziej spotyka się ludzi takiej krwi. Obecność jego godności Seletta przynosi zaszczyt mojemu domowi. Jak już powiedziałem, znajdziesz go, panie, na podwórzu.

Sayl i Ajan poszli we wskazanym kierunku.

– Wszyscy tu są walnięci – powiedział Dartańczyk.

– Nie znasz swojego kraju?

– Znam. I jest całkiem nie taki.

Wkrótce ujrzeli szeroko otwarte drzwi. Na podwórzu barczysty, jasnowłosy chłopak, rozebrany od pasa w górę, rąbał drwa z krzepą budzącą szacunek. Nieco dalej stajenny czyścił karego konia.

Przystanęli niedaleko pniaka; młode słońce rzuciło dwa długie cienie. Spocony chłopak obejrzał się, pokazując najwyżej dziewiętnastoletnią twarz, na której sypał się wąs, ale broda jeszcze nie bardzo.

– Wasza godność – powiedział Ajan, Sayl zaś szczerze się zdziwił, ujrawszy swobodny ukłon swego towarzysza i brak czegokolwiek, co można by uznać za skrępowanie lub zakłopotanie. – Nazywają mnie Ajan, jest to żartobliwe imię, które byłem zmuszony przybrać. Czy porozmawiasz ze mną, mając świadomość, że nie mogę zdradzić swego pochodzenia ani prawdziwych powodów, dla których znalazłem się w Dartanie?

Młodzieniec wyprostował plecy, wbił siekiere w pień i oparł dłonie na stylisku.

– Żartobliwe imię – powtórzył. – Te powody, dla których je przybrałeś...?

– Nie jestem ścigany prawem.

– Dobrze, porozmawiajmy – rzekł po chwili namysłu młody rycerz. – Jesteś, panie, Armekańczykiem?

– Półkrwi, wychowanym w Armeckie. Wieść o twojej walce, wasza godność, a także o twojej niezwyklej hojności szeroko rozeszła się po mieście. Odnalazłem cię, bo potrzebuję pomocy.

Bardzo krótko, w słowach iście żołnierskich, Ajan przedstawił sprawę.

– Jest to przedsięwzięcie, które nie przyniesie majątku ani sławy – zakończył krótko, niemal sucho. – Nie skusi to żadnego najemnika. Podobnego zadania może się podjąć tylko ktoś, kto ma swoje powody, jak ja. Albo dartański rycerz ze świetnego Domu, dla którego jedynym powodem jest płynąca w jego żyłach krew.

Na policzkach chłopaka pojawiły się rumieńce, widoczne mimo zmęczenia pracą.

– A te twoje powody, panie? – zapytał.

– Wyrządziłem kiedyś ludziom dużo zła. Teraz staram się je wynagrodzić. Czy pomożesz mi, wasza godność?

Sayl nie wierzył własnym uszom.

A jednak N.L.Selett dostał wszystko, czego mogła łaknąć dusza młodego Darta Czystej Krwi, wychowanego na opowieściach o dawnych bohaterach, rodowych wojnach o honor, rycerzach umierających dla jednego spojrzenia kobiety. Wojownikach, którzy nie dobijając broni, rozpedzali bandę zbójów tłukących na gościńcu żebraka. Znalazł się w środku legendy o wspianiałych orężnych czynach.

– Kiedy wyruszamy? – zapytał.

Gruby łucznik o plugawym języku naprawdę znał się na ludziach.

Ajan popatrzył na Sayla.

– Jutro rano. Spotkajmy się, panie, na rogatkach za południowym przedmieściem.

– Będę tam.

– A zatem do jutra, wasza godność.

I znowu ten ukłon, tak niewymuszony, jakby Ajan przez całe życie rozmawiał wyłącznie z synami dartańskich Domów.

Wrócili po wierzchowca. Gdy szli, Sayl milczał, bo nie bardzo dało się rozmawiać w obecności oberżysty, potem zaś przy pilnującym drzwi dryblasie. Dopiero gdy ruszyli przez rynek, powiedział:

– Umieć rozmawiać z wojskowymi, nawet z wysokimi dowódcami. I nie peszę się przy byle kim. Ale ty mnie coraz bardziej zadziwiasz. Ten rycerzyk od razu wziął cię za swojego.

– A kto ci właściwie powiedział, że przez całe życie siedziałem na pastwisku? – przerwał tamten, trochę rozdrażniony i chyba z czegoś niezadowolony; rzecz dziwna o tyle, że przed chwilą pozyskał niezłego rębajłę i raczej powinien być rad.

– Gdybyś był rzeczywiście Czystej Krwi, toby cię nie zesłali do kamieniołomów. Do takiej roboty posyłają tylko...

– Nie byłem w żadnych kamieniołomach, bierzesz mnie za kogoś innego.

– E, naprawdę?

– Mamy umowę – uciął tamten. – Znajdę jeszcze jednego i idziesz ze mną, tak?

– Dałeś sobie czas tylko do jutra. Trochę mało.

– To nie ja sobie dałem, tak wyszło. Jeśli jutro nie ruszymy, to możemy się spóźnić. Przypłyną przed końcem miesiąca, został tydzień. To są według rybaków dwa dni drogi, a na miejscu trzeba się rozejrzeć, przygotować plan obrony, pokazać wieśniakom, jak się trzyma siekiere albo wiosło do wiosłowania po łbach. Lepiej, jeśli stawi się tam sześciu trochę wcześniej niż szesnastu dwa dni za późno.

– Coraz gorzej wygląda ta nasza umowa. Bo właściwie to jakich sześciu? Kogo liczysz, kota? Taki może być zwiadowcą w wojsku, mają tam koty i bardzo je chwalebą, ale jaki z niego pożytek dla nas? Przypływają dwie szalupy i tyle. Kogo będzie szpiegował? Bo jeśli jakoś się zdarzy, że za tą dwudziestką wysiądzie jednak reszta załogi, to ja od razu odwrotnie: wskakuję do morza i płynę byle dalej, żaden zwiadowca nie będzie mi potrzebny.

– Zobaczymy.

– Nic nie zobaczymy. Pytam: jakich sześciu? Kot odpada, a ty? Chcesz pojmać tych dwudziestu na brzegu? Bo przecież ty jesteś dobra dusza, poczciwiec, który wlecze złoczyńców do Straży Krajowej. Przywlokłeś kiedyś aż dwóch naraz, tak czy nie? Wiem, że tak, bo to był tutejszy garnizon.

– Pomocy kota się nie odrzuca, bo naprawdę nie warto, a co do mnie... Posłuchaj, Sayl, ja też słyszałem tę bajkę o człowieku z kamieniołomów. Nie zaprzeczam, kiedy biorą mnie za niego, bo mi tak wygodnie. Ale nawet nie wiem, czy ten ktoś naprawdę istniał.

Uparł się, nie wiadomo dlaczego, więc Sayl tylko wzruszył ramionami.

Na rynku nie było tłumów, mimo to musieli zwolnić, bo przechodnie przystawali, zagradzając drogę. Rosło gapiowisko.

Coś zaślniło, odbijając słoneczny promień. Z pałacyku wzniesionego w pobliżu ratusza wyszło kilka osób, które skierowały się do czekających lektyk. Jako pierwsza zeszła po trzech niskich stopniach ubrana na jasnobrązowo dwudziestokilkuletnia kobieta. Pod lekką szatką miała koltczugę, najwyraźniej powleczonej srebrem. Nosiła się jak przyboczna niewolnica, strzegąca bogatej damy. Wzrostu więcej niż średniego, miała wzdłuż uda zawieszony na czerwonym pasie miecz. Rozciętą po bokach tunikę spinał w talii drugi pas, a pod szyją migotał gładki ryngraf, pokryty srebrem tak jak koltzuga.

Przeznaczone do walki niewolnice były drogie, ale w tej części miasta biedacy nie mieszkali. Co najmniej kilkanaście świetnych rodów miało w Nin Aye strzeliste pałacyki, naśladujące kształtem rezydencje w dalekiej stolicy. Mieszkańcy – i mieszkanki – tych pałacyków mogli sobie pozwolić nie tylko na orężne strażniczki, trzymane zresztą głównie dla fasonu, ale i Perły, najdroższe niewolnice Szereru.

Jednak uzbrojona kobieta w brązowej tunice idąca do lektyki, naprawdę wyjątkowo urodziwa, nie pasowała do obrazu zwykłej przybocznej niewolnicy, a Perły się tak nie nosiły.

– Bardzo ładna, ale nie aż tak, żebyśmy tu tkwili – rzekł Sayl, który często widywał kosztowne niewolnice i jeśli się na nie gapił, to nie jak na cudo z innego świata, bo najwyższej jak mężczyzna.

– Zaraz, czekaj. Kto to w ogóle jest?

Od ratusza niemal biegiem nadciągała w asyście zbrojnych pachółków grupka wysokich urzędników miejskich, prowadzona przez starszego mężczyznę w wielkim berecie burmistrza. Trudno podejrzewać, by ci ludzie pędzili do niewolnicy. Ale tylko ona jedna nie wsiadła do lektyki, wszyscy inni to uczynili, ponagleni zresztą skinieniem.

Z pałacyku wyszły jeszcze dwie kobiety, ubrane i wyposażone niemal tak samo jak pierwsza. Jednak rękojeści ich mieczy nie lśniły od klejnotów, a pasy nie były nabijane złotymi guzami. Zbliżyły się do czekającej przy lektyce piękności. Oto były zwykłe przyboczne strażniczki, raczej muskularne niżli urodziwe, tu nie kryła się żadna tajemnica.

Zdyszany burmistrz przystanął przed dziwną kobietą i przez moment mogło się wydawać, że rąbnie na kolana; wysoki Ajan dobrze wszystko widział nad głowami gapiów. Niższy Sayl nie widział prawie nic.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Nie wiem, ale to bardzo ciekawe.

Kobieta zamieniła trzy słowa z burmistrzem, ucięła gestem dalszą rozmowę i wsiadła do lektyki. Strażnicy miejscy towarzyszący urzędnikom natychmiast ruszyli naprzód, otwierając drogę lektykom. Niesione przez barczystych chłopaków, popłynęły jedna za drugą. Z pałacyku wyszło czterech mężczyzn pod bronią, nie mieli żadnych

barwnych narzut, ale wszyscy byli podobnie ubrani i uzbrojeni tak samo, wyglądali na mały zbrojny poczet. Ruszyli za lektykami.

Burmistrz i jego świta pędem zawrócili do ratusza, Ajan mógłby przysiąc, że rozplączą się zaraz albo zaczną załamywać ręce. Najwyraźniej mieli jakiś kłopot.

– Odprowadź mojego konia – powiedział Armektańczyk, wciskając wodze w rękę towarzysza. – Jestem ciekaw, dokąd ją niosą. I po co.

– Aż tak ci się spodobała? Co cię korci? Nie umiesz usiąść na...

– Po prostu jestem ciekawski. Bardzo lubię wiedzieć, co się dzieje.

– A co się dzieje takiego, powiesz mi w końcu czy nie?

– Właśnie nie wiem. To jest chyba przebrana królowa. Kto ma w tym mieście taką władzę, żeby burmistrz narobił pod siebie?

– Każdy, komu miasto winne jest pieniądze. Przebrana królowa, że też zaraz nie zgadłem. A przed nią sam burmistrz Nin Aye.

Ajan zostawił Sayla i ruszył za lektykami.

Wyglądało na to, że eskortowana przez pacholków kawalkada zmierza prościutko do portu.

I rzeczywiście tak było.

Z tego, co zdarzyło się w porcie, Ajan nic nie zrozumiał.

Piękna pani w asyście swoich strażniczek i czterech zbrojnych pocztowych rozpendziła załogę dużego statku, przycumowanego do nabrzeża; kilku marynarzy najwycyżajniej wskoczyło ze strachu do wody. Tak – naprawdę wyskoczyli za burtę. Oficerów, w tym dowódcę żaglowca, pojmano. Uzbrojeni strażnicy miejscy zaciągnęli wartę przy otwartej furcie ładunkowej.

Wyglądało to na jakąś kontrolę znajdujących się w ładowni towarów.

## ROZDZIAŁ 4



Wnoszenie światła do stodoły zwanej „wielką izbą sypialną” było karane natychmiastowym wywaleniem gościa na bruk. Trudno się dziwić temu zakazowi – toż gdyby nie on, zacna przybudówka znakomitej gospody momentalnie poszłaby z dymem, podpalona przez pijaka z kagankiem. Lecz bezwzględne przestrzeganie zakazu owocowało niezliczonymi przekleństwami stale deptanych ludzi, bo choć środkiem budy biegło przejście (nie było tam słomy do spania), to w ciemnościach zawsze ktoś zmylił drogę. W takich warunkach można by bez trudu kogoś zamordować i nikomu nie przyszłoby do głowy, że stęknienie i jęki oznaczają coś szczególnego.

Dwie wysoko uniesione pochodnie były w noclegowej izbie tak bardzo nie na miejscu, że nikt o nic nie pytał, nikt nie protestował, chociaż obudziło się wielu. Ajan ledwo zdążył otworzyć oczy; zaraz je zmrużył, porażone blaskiem ognia. Jacyś krzepcy ludzie bezceremonialnie poderwali go na nogi. Obudzili się śpiący obok rybacy; trwożliwy Miholo z miejsca zaczął postękiwać i wzdychać.

– Chodź z nami – rzekł do Ajana jeden z przybyłych mężczyzn (było co najmniej dwóch oprócz tych, którzy trzymali pochodnie). – Nie róbmy więcej zamieszania, niż trzeba.

Zabrzmiało to całkiem serio.

– Mój miecz – powiedział Ajan.

– Słusznie. – Mężczyzna schylił się, podniósł odpięty na noc pas i owinął nim pochwę z orężem. – Dobra broń, szkoda ją tu zostawić.

Wyszli na zewnątrz. Zdeptane pochodnie pogasły, oczy z wolna przywykły do ciemności przedświt, bo noc miała się ku końcowi. Ale gwiazdy świeciły jeszcze całkiem jasno i już wkrótce dało się rozróżnić zarysy uspionych domów.

– Gdzie idziemy?

– Niedaleko, tylko do rynku. Związać cię czy nie trzeba?

– Nie trzeba.

– Mądry człowiek; to dobrze.

Ruszyli ulicą. Rzeczywiście było aż pięciu. Dwaj ludzie szli przodem, dwaj z tyłu. Dowódca towarzyszył Ajanowi.

– Jestem bardzo ważny.

– Chyba nie. Myślę, że wcale. Ale to nie ja decyduję i zatrzymam cię, panie, jeśli będziesz uciekał. Potem już zwiążę, i to mocno.

– Kto zdecyduje, czy jestem ważny?

– Nie ja.

Nie bardzo było o czym dalej gadać.



Nin Aye nawet w Dartanie uznawano za duże miasto, ale tylko z północnego i południowego przedmieścia wiodła do rynku długa droga. Obrzeża dzielnicy portowej leżały, prawdę rzekłszy, nieomal po sąsiedzku. Znalazłszy się na ulicy godnej nazwania główną, tej, która łączyła port i rynek (nie wiadomo, czy miała jakąś nazwę, może żadną, a może właśnie taką, czyli: Główna), Ajan mógł bez mała policzyć w pamięci, ile jeszcze zostało kroków do zrobienia.

W ogóle nie był zdziwiony, ujrzawszy się przed białym pałacykiem.

Stu ludzi dla stu powodów mogłoby przyjść po niego do wielkiej izby sypialnej. Ale z rynkiem Nin Aye łączyły go (co prawda bardzo słabo) tylko dwie osoby: młody rycerz ze Złotego Klonu i niezwykła pani o ogromnej władzy, przebrana za niewolnicę.

Pięciu zbrojnych nie chcieli pasować do Złotego Klonu.

W stołecznej Rollaynie już od dawna zabraniano wyburzania kamienic pod budowę strzelnych pałacyków. Stolica nie mogła się przemienić w pustynię – przecież w tych zdobionych słupach, będących pustym świadectwem znaczenia i zamożności, nikt nie mieszkał, a co najwyżej bywał. Pozwalano wznosić nowe pałace tylko na przedmieściach.

Lecz Nin Aye nie było Rollayną. Uchodziło za najbrzydsze i najgorzej rozplanowane miasto Dartanu.

Ajanowi oszczędzono wyprawy na szczyt wieży. Został wprowadzony do ciasnego dziennego pokoju, mieszczącego się nisko, bo już na pierwszym piętrze.

Wszystko tutaj było małe. Wąskie okna, takie same drzwi, kręcone schody wiodące wyżej. Pięć osób w tym bogato urządzonej wnętrzu stworzyło nieomal tłum.

Mężczyzna niosący miecz Ajana (to nie był ten sam człowiek, który mu go zabrał; tamten zniknął) zbliżył się do jednej z kobiet, podał broń i wyszedł. Armekańczyk miał wrażenie, że niedawno widział jego twarz. Minionego dnia na rynku albo w porcie. Ale wtedy chyba nie należał do zbrojnych.

Dwie przyboczne niewolnice pod ścianami nie miały kolczug, lecz poza tym wyglądały dokładnie tak samo jak wcześniej. Już wtedy, gdy towarzyszyły lektyce, Ajan zauważył, że jedna z nich, ładniejsza, chodzi bosą, nie bardzo wiadomo dlaczego. Trudno było uznać ją za marynarza, któremu w olinowaniu żaglowca nie powinny spadać kapcie z nóg; jeszcze trudniej przypuścić, że nie dano jej pieniędzy na obuwie.

Najważniejsza z kobiet, ta, którą noszono w lektyce, miała łokieć oparty na poręczu wygodnego karła, głowę zaś na dłoni. W rześkim świetle niezliczonych świec (na niczym tutaj nie oszczędzano) jej kasztanowe za dnia włosy wydawały się prawie czerwone. Krótkie, bo nawet nie do ramion, zawiąły się lekko ku szyi.

Wyjątkowo piękna dziewczyna. Znacznie piękniejsza niż wtedy, gdy z mieczem u boku wsiadała do lektyki. Może dlatego, że niemal rozebrana. Bosa jak jej strażniczka, z nogami wyciągniętymi przed siebie i skrzyżowanymi w kostkach, ubrana była w lekką domową suknię z czarnego jedwabiu, pospinałą w talii łańcuszkami, a na piersiach małą zapinką. Mając ten haftowany złotem skrawek tkaniny, nawet bez łańcuszków i zapinki, Ajan mógłby pewnie opłacić najemników.

– Jesteś Armekańczykiem – powiedziała po armekańsku, bez cienia obcego akcentu.

– Półkrwi, pani.

Mógł tak zwrócić się do każdej kobiety, choćby i cesarzowej, był to tytuł bezpieczny.

– Może wolisz rozmawiać po dartańsku? – zapytała.

Także i ten język, gdy mówiła, brzmiał czysto.

– W tym języku, który wybierzesz, pani.

– Za lektykami z rynku aż do portu poszło kilku gapiów – powiedziała bez wstępów.

– Dokładnie sześciu. Tylko jeden nosił broń, nie wyglądał na mieszczaucha, a w porcie

pytał o mnie z armektańskim akcentem. Czy to coś znaczy?

Ajan przypomniał sobie, skąd znał twarz człowieka, który przed chwilą oddał jego miecz niewolnicy. Jeden z gapiów, o których wspomniała.

– Byłem szpiegowany?

– Nie, dlaczego?... – Zawiesiła głos, zdziwiona, chyba szczerze. – To ja jestem pilnowana. I sama chcę zapytać: czy jesteś może szpiegiem? Armektańskim, albo może...? Moi ludzie w to wątpią, szpieg nie pytałby gapiów, kim jestem, ja jednak wolę sprawdzać takie rzeczy. Więc wstałam dziś trochę wcześniej, a teraz rozmawiamy. Nie chcę ci zrobić żadnej krzywdy, Panie.

Uniosła wyciągnięte, wciąż skrzyżowane w kostkach nogi i oparła na futrzanym podnóżku. Nie wiadomo, na czym chodziła, musiała mieć do tego jakieś inne stopy. Podeszwy tych tutaj były delikatne jak policzki, różowe, właściwie nieskazitelne. Najwyraźniej nieużywane. Równiuteńkie, chyba wypolerowane, płytki paznokci zaślśniły.

– Nie jestem niczym szpiegiem, pani. Poszedłem do portu ze zwykłej ciekawości. Nieczęsto... – Urwał, po raz pierwszy zakłopotany.

– Dokończ.

– Nigdy nie widziałem tak urodziwej kobiety przy mieczu.

Jedna z przybocznych zachichotała.

– I to już wszystko?

– Tak.

– Możesz to jakoś udowodnić? Przedstawić ludzi, którzy zaświadczą, kim jesteś?

– Wielu. Ale nie wiem, czy wiarygodnych w oczach kogoś takiego jak ty, pani. Od kilku dni wszędzie mnie pełno, bo podjąłem się... pewnej misji. Może dziwnej, ale zupełnie legalnej, chyba nawet godnej pochwały.

– Tajemnica?

– Nie. Opowiedzieć?

Pokazała gestem, że słucha.

Ajan opowiedział.

Dowiedziała się o wiosce, o okręcie, rybakach, którzy przyszli do miasta, i o poszukiwaniu najemników.

– Nie uwierzyłabym – powiedziała po długim namyśle, gdy skończył. – Ale to wszystko tak łatwo sprawdzić, że chyba musi być prawdą. Jednak wciąż nie rozumiem, po co za mną szedłeś do portu? Chciałeś zaproponować mi żołąd u tych... nieszczęśliwych rybaków?

Obecne w pokoju strażniczki na pewno wiedziały, co im wolno. Ta ładniejsza pokazała zęby w uśmiechu; druga znowu rozchichotała się na głos. Kobieta w sukni pogroziła jej palcem, ale nawet nie odwróciła głowy – trudno było się przejąć taką polajanką, więc przyboczna śmiała się dalej. Odrobinę ciszej co prawda.

– Byłem w gospodzie Złoty Klon, przyłączył się tam do mnie młody rycerz – odpowiedział otwarcie i szczerze Ajan, bo był zupełnie pewien, że ze strony tajemniczej pani naprawdę nic mu nie grozi. – Popatrzyłem na bogato urządzone wnętrza, potem przystanąłem przed tym pałacykiem. Wysłaś ty, pani, twoje niewolnice i jeszcze kilka osób, których rodowych monogramów nie znam, ale gdybym zaczął wszystkie wymieniać, pewnie nie skończyłbym do rana. Pozyskałem dobrego członka drużyny, byłem zadowolony i nie chciało mi się tak od razu wracać do zaułków. Do tej pięknej izby, z której właśnie kazałaś mnie wywlec.

– To nie ja, to ona. – Całkiem nieoczekiwanie kobieta w jedwabiu zwała winę na przyboczną, która już nie chichotała, a w zamian się obraziła. – To ona odpowiada za

moje bezpieczeństwo i każe sprawdzać zupełnie wszystko, nawet takie głu... Jesteś, panie, mężczyzną Czystej Krwi?

– To chyba nieistotne.

– Chciałabym cię odpowiednio tytułować.

– Nie trzeba. Jestem wolnym człowiekiem, tyle powiem.

– Ja i tak wiem swoje, wasza godność.

– Jeśli tak, to ja też zapytam: a do ciebie, pani, należy się zwracać...?

– Jakkolwiek. Jesteś, mówisz, wolnym człowiekiem. Ja nie. Możesz więc, wasza godność, nie używać żadnego tytułu, bo nie rozmawiam z tobą w imieniu mojej pani. Gdyby tak było... Ale nie jest – ucięła z uśmiechem; naprawdę nie była na niego obrażona. – Stoisz znacznie wyżej ode mnie, wasza godność, i właściwie wcale nie musisz odpowiadać na moje pytania. Ani nawet ze mną rozmawiać.

Niby tak, a jednak nie. Prowokowała go czy po prostu sobie żartowała? Niewolnik załatwiający jakąkolwiek sprawę swego pana, choćby tylko robiący zakupy, był jego oczami i ustami, a właściwie nawet więcej: w jakimś sensie był swoim panem, takim drugim, zapasowym ciałem, posłanym gdzieś w jakiejś sprawie. Ten sam niewolnik, obdarzony wolnym popołudniem i robiący zakupy dla siebie, był zupełnie nikim. Oczywiście należał do kogoś, nie można go było skrzywdzić ani ukraść, ale zasługiwał na taki szacunek jak pies, koń, a może i pęto kielbasy. Nikomu nie miał prawa rozkazywać.

Jednak były to nietrwale rozróżnienia. W świetle tego, co powiedziano, Ajan rzeczywiście nic nie musiał. Pewnie mógłby się nawet poskarżyć Królewskiej Straży Krajowej, że został tej nocy porwany. Ale niewolnica o kasztanowych włosach, która tak niedawno jednym gestem i słowem rozpędziła załogę żaglowca, wcześniej zaś wprawiła w drżenie radę miejską, mogła zaraz wyjść do drugiego pokoju i wrócić – już reprezentując swoją panią, o której wcześniej wspomniała. A wtedy wyszłoby na jaw, czy ta pani jest dużo ważniejsza od półkrwi Armektańczyka z mieczem, włączającego się po Nin Aye.

Właściwie pólżęca przed nim kobieta nawet nie musiała wychodzić, żeby o coś pytać. Sama mogła, a nawet powinna zdecydować, czy właśnie reprezentuje nieobecną właścicielkę.

Była to sprawa wyłącznie między nimi. To ta właścicielka odpowiadała przed każdym pokrzywdzonym albo choćby tylko niezadowolonym. Nikt nie musiał używać niewolników, nikt w ogóle nie musiał ich mieć. Jeśli jednak miał i używał, to brał pełną odpowiedzialność. Żywe i myślące przedmioty mogły być najbardziej niebezpiecznymi zabawkami świata. Szczególnie dla lekkomyślnych właścicieli.

– Kizyna. Oddaj miecz jego godności.

Strażniczka podeszła do ładniejszej bosonogiej towarzyszkki, wzięła broń i podała mężczyźnie.

– Nazywasz się, panie...?

– Używam imienia Ajan. Tyleż zabawne, co fałszywe.

– A jakie oryginalne. Dlaczego używasz fałszywego imienia?

– Właściwie dla żartu. Zakpiłem sobie z kogoś. Teraz niech tak zostanie.

Dotknęła palcem nosa.

– Nieznośny człowiek, same tajemnice. Kobiety to uwielbiają, więc uważaj. Wasza godność, poczekaj chwilkę przed domem, spełnisz moją prośbę? Kizyno, pójdziesz z jego godnością Ajanem do jego... mmm, noclegowni i dowiesz się, czy powiedział prawdę. Właściwie nie wątpię. Ale to ty wymyśliłaś, że jest szpiegiem albo zamachowcem, więc upewnij się teraz, że nim nie jest. Przebierz się i biegnij przed dom.

– Tak, Perło. – Kizynie w ogóle już nie było do chichotu.  
Pożegnany uśmiechem i skinieniem Ajan skłonił się lekko i wyszedł.

o o o

Kizyna szybko sprawdziła, co trzeba. Nadal jakoś nie było jej do śmiechu. Zamieniła dwa słowa z przerażonym Yolonem, który choć sto razy odważniejszy od Mihola, nie był aż takim bohaterem, by po ludzku rozmawiać z uzbrojoną, wcale roslą babą, ładną czy nieładną, ale czystą jak jakaś księżniczka, zresztą i tak w jego oczach piękniejszą od wszystkiego, co oglądał kiedykolwiek w życiu, zachodu słońca nad morzem bynajmniej nie wyłączając. Popatrzyła (ze złością czy z wyrzutem?..) na Ajana, który nie powiedział ani słowa, tylko zaczął się zbierać. Wiele manatków nie miał. A jeszcze mniej czasu niż manatków.

Spod wora, zza tobołków rybaków, wyłonił się obficie przetykany słomą Gruby. Niewolnica do reszty zaniemówiła. Zadała mu pytanie; zaczął odpowiadać. Zamachała ręką i zakryła uszy.

Wielka izba noclegowa udzielała schronienia ludziom, którzy – bywalcy dużego miasta bądź rozmaici podróżni – widzieli w życiu wiele, także orężne strażniczki w służbie dam, żon i córek znakomitych panów. Ale nie z tak bliska. Pięknie pachnąca nie wiadomo czym, wielka, długonoga dziewczoja, przyodziana w krótką kolczugę i tak samo krótką, bo niesięgającą kolan spódnicę, pod którą rysowały się uda zdradzające iście końską siłę – to było naprawdę za wiele dla schorowanych po wódzie gości świetnej tawerny. Chciałoby się dużo, bardzo dużo, ale z drugiej strony, jak tu w ogóle tknąć takie coś? Zaraz by się upomniał ktoś naprawdę ważny. Ktoś, kto z prywatnym poczem pewnie czekał na ulicy przed gospodą.

Ajan nie miał czasu na oglądanie min strojonych przez zbieraninę. Był spóźniony. Musiał biec do Sayla, następnie po konia, którego trzymał w nieodległej, przyzwoitej stajni razem ze swoimi rzeczami, bo publiczne stajnie przechowywały i bagaże. Potem miał jeszcze zdążyć na przedmieście, gdzie był umówiony z młodym N.L.Selettem.

Przegrał zakład, nie miał pięciu najemników. Mimo to wybierał się do wioski i był prawie pewien, że Sayl pójdzie z nim. Bo trochę znał się na ludziach.

– Rzeczywiście nie jesteś szpiegiem, wasza godność – orzekła z wielkim żalem Kizyna.

Nic nie odpowiedział. Wzruszyła ramionami, odwróciła się i poszła, odprowadzana narastającym pomrukiem, a na koniec gwizdami i wrzaskami.

Gruby kusznik i rybacy od razu mieli ruszać na rogatki. Ajan niecierpliwie patrzył, jak zbierają kłamoty, bo chciał mieć pewność, że opuścili gospodę i nic ich nie zatrzymało. Gruby pozbierał się szybko, za to nieprzywykli do życia w podróży wieśniacy guzdrali się, marudzili, niczego nie mogli znaleźć, chociaż tak na dobrą sprawę nic nie mieli. Wreszcie pozawiazywali tobołki i wstali gotowi do drogi.

Marnie wyglądali. Bardzo marnie. Jedli byle co i byle jak, źle sypiali, nie umieli przestać się martwić. O zostawioną wieś; o wykonanie zadania, którego się podjęli. O wszystko. Ajan bez trudu mógł wyczytać w ich twarzach narastające zwątpienie. Już dawno nie byli pewni, czy słusznie postąpili, wdając się w awanturę. Nie na długo wystarczyło gniewu, zawziętości. W wielkim i obcym mieście wszystkie uczucia i postanowienia zblakły, wydawały się nieważne, w ogóle nieprawdziwe. Bardzo małe. Chciałoby się wrócić do wioski, przycupnąć, najlepiej wszystko odwołać. Zostawić bieg spraw własnemu losowi.

Przecie jakoś to będzie. Zawsze jakoś było. A teraz...

Wyprawiwszy rybaków, na których naprawdę przykro było patrzeć, Ajan rozejrzył się jeszcze, czy na pewno nic nie zostało, po czym także ruszył ku drzwiom.

Natknął się w nich na Sayla. Dartańczyk nie był sam, towarzyszył mu bardzo wysoki, niepiękny na twarzy, czarnowłosy mężczyzna, mniej więcej czterdziestoletni, jawnie obnoszący się ze swoim rzemiosłem – pod skórzaną kapotą miał solidną kolczugę, przy boku krótki wojskowy miecz, z drugiej strony zaś myśliwski nóż. Gruba, czarna spódnica niejedno już widziała, a ponieważ była z boku rozdarta, załatano ją, używając strzępu kolczej siatki, uzupełniała więc zbroję, dając niezłą ochronę lewej nodze. Na ramieniu mężczyzna trzymał mocny berdysz, a w płóciennym worku, zawieszonym na berdyszu, nosił prawdopodobnie cały swój dobytek. Nie wyglądał na człowieka, który ma gdzieś dom.

Co tu dużo mówić. Najemnik.

Przystanęli we trzech przed drzwiami sypialnej budy.

– Spotkałem go wczoraj, właściwie sam się zgłosił – rzekł Sayl, wzruszając ramionami. – To jest Gerhedrr, Garyjczyk. Ale rozumie po dartańsku na tyle, że mnie wysłuchał, kiedy usłyszał ofertę.

– Więc co tutaj robi?

– Nie wiem. Przyłazł o świcie i kazał się prowadzić do ciebie.

– Jakies piętnaście sztuk srebra – krótko powiedział Ajan, zwracając się do Gerhedrra. – Mało nas, no to może wyjdzie trochę więcej, po dwadzieścia parę na głowę. I tyle ryb, ile zjesz. Nie wiem, czy mają tam coś jeszcze, ale głodem nie przymierają, to chyba niebiedna wieś.

Garyjczyk pokręcił głową.

– A trochę nic więcej? – zapytał. – Potargujma się. Zawsze najpierw jest mało, pota robi się więcej.

– A ile byś chciał?

– Dwadzieścia tych waszych dukatów. Tych tu, dartańskich.

– Dwadzieścia królewskich dukatów?

– No... niech tam osiemnaścia.

– Oni tyle mieli na nas wszystkich! – powiedział ze złością Ajan, wyciągając rękę tam, gdzie podążyli rybacy. – Idź już, Gerhr... przyjacielu. Nawet jeśli jesteś tyle wart, nikt ci nie zapłaci, bo nie ma.

– Osemnaścia ne aghera. Na pewno nie?

– Poszukaj gdzie indziej.

– Duża opuściłem. Hone mo ah. Jestem z Garry i szanuję rybaków. Stryj był rybak. Ja też pewnie bym był, ale ojciec uciekł do miasta. Osemnaścia. Co mi odpowiesz?

Ajan tylko pokręcił głową. Ale odezwał się ktoś inny:

– Pięć. Ale nie dartańskich, tylko imperialnych. Trzy... cztery...

Na ziemi wylądował złoty krążek – potrójna sztuka złota z mennicy Wiecznego Cesarstwa. Następna pojedyncza, potem jeszcze jedna.

– ...i pięć.

Oparta o ścianę kobieta pokazała otwarte dłonie.

– Więcej nie mam, tyle dostałam na wydatki. Do tego te dwadzieścia sztuk srebra od rybaków. Wystarczy ci, Garyjczyku?

Wielkolud popatrzył uważnie, z wielką wprawą przeniknął spojrzeniem tu i tam pod ubiór niewolnicy, po czym jął się uśmiechać. Zakazana gęba nieoczekiwanie wydała się całkiem pogodna.

– A ty też, straża, idziesz?

– Bo co?

– Bo każdej babie tylko jedno w głowie. Powiedzieć gorąca zupa, to usłyszysz...

– Ale mądrała – wpadła mu w słowo, ale zaraz się zaśmiała i wytłumaczyła: – Bo ja w pierwszej chwili zrozumiałam: zupa.

Garyjczyk bardziej wyszczerzył zęby. Znowu zachichotała. Tych dwoje już się świetnie dogadało.

Schylił się i pozbierał pieniądze. Sayl i Ajan wymienili spojrzenia.

Nieopodał stał pacholek z koniem; zwierzę było okulbaczone i obwieszona bronią. Niewolnica wskoczyła na siodło. Kazała chłopcu dogonić rybaków i wypytać, jak w razie czego znaleźć wieś. Miał już nie wracać. Widocznie musiał tylko przyprowadzić wierzchowca, na żadną wojnę ruszać nie zamierzał.

– Masz mnie na osiem dni, wasza godność. Z tego odlicz, ile trzeba, na powrót – powiedziała do Armektańczyka. – Chyba żeby przysłali po mnie wcześniej. Wtedy cię zostawię, choćby się paliło. Prędzej sobie język odgryzę, niż znowu ją ostrzegę przed szpiegiem.

Ajan popatrzył na Sayla.

– Pięcioro, nie licząc kota.

– Umie liczyć, idź już po konia.

– Idź po łuk.

– Czyli razem z kotem będzie siedmiu? Może wystarczy, kto wie.

– Siedmioro.

– Siedmioro to jakaś rodzina. Ona jest teraz twoją niewolnicą? Jak jej każesz, to będzie mężczyzną. Siedmiu najemników. Walecznych i walniętych.

## ROZDZIAŁ 5



W ieś pobudowano bez ładu i składu, jak zwykle w tych stronach. Było tych domów naprawdę sporo, więc żadne obwarowania nie wchodziły w rachubę. Zresztą zasieki zdradziłyby zamiary mieszkańców, a to mogło zaowocować tylko jednym: posłaniem szalup z powrotem na okręt i dowiezieniem posiłków. Wojna z całą załogą żaglowca nie mogła być rozważana poważnie. Plan polegał na zaskoczeniu i wyrżnięciu do nogi dwudziestu nieprzygotowanych do walki awanturników. Tylko tyle.

Ajan i jego drużyna przybyli drugiego dnia wieczorem, przesiedzieli kolejne dwa dni. Już nazajutrz po przybyciu dowódca najemników laził po wsi w tę i nazad, bez sensu zaglądając w różne dziury i zachodząc w głowę, jak wykrzesać z rybaków najmniejszą ochotę do obrony, bo na bojowy animusz nie liczył. Trzej rozpaprani i łatwo ulegający zniechęceniu wieśniacy, którzy go zwerbowali, mogli na tle swoich ziomeków uchodzić za istne demony czynu i odwagi. Wielu rzeczy można dokonać, ale z ludźmi, którzy czegoś chcą.

Minął drugi dzień i było gorzej. Nie do wiary – a jednak.

Rybaczy pragnęli tylko tego, by nic, ale to nic się nie działo. Dobre życie to takie, w którym żaden dzień nie różni się od innego. Na wszystkie kłopoty jedna rada: przeczekać, bo jakoś to będzie.

I rzeczywiście, zawsze jakoś było.

Ajanowi natrętnie snuła się po głowie garyjska, ale znana wszędzie bajka o kaczorcu, który lekcewał dobre rady i cało wychodził z tarapatów. Aż pewnego razu nie wyszedł i nic nie powiedział, bo – zjedzony – niczego nie żałował i w ogóle miał wszystko gdzieś. Nieżywy był zupełnie taki sam jak wcześniej. Nie mądrzejszy, ale i nie głupszy.

Ostatecznie wyszło, że kaczorek miał rację. Nadal jakoś było. Mianowicie bezkaczorkowo.

Straszliwie musiano zależeć za skórę tym rozmamłanym wieśniakom, że zdecydowali się coś zrobić i posłali po najemników. Ale teraz najchętniej odprawiliby ich. I szczerze się do tego przymierzali.

Wyszło na to, że do wsi zawitało siedmioro intruzów. Łagodniejszych niż ci w szalupach, ale jednak zbójów, których nie wiadomo jak się pozbyć; łapersdaków żrących ryby, wcinających kapuśniak i omaszczoną kaszę, a jeszcze domagających się srebra.

Wieśniacy mieli ich dosyć, zanim w ogóle przyszli.

Nikt dotąd tego nie powiedział, ale Ajan mógł się domyślić, że powinien zginąć na golasa. Wówczas jego niezniszczone, niedawno kupione odzienie, choć w części wynagrodziłoby udrukę, której przysporzył wiosce.

O konia już zapytano. Co z nim będzie, gdy zginie właściciel.

Przezornie odpowiedział, że konia odziedziczą towarzysze. Gdyby odrzekł, że wieś, to na widok piratów rybacy ani chybi zatłukliby go wiosłem i zwalili wszystko na wroga. Przecie konia na okręt nie ukradną? Zostanie i będzie jak znalazł.

Krótko mówiąc, do zgonu przygotowany był dobrze. Oznajmiwszy swoją ostatnią wolę, rozporządziwszy mieniem, mógł spokojnie opuścić ten padół i uwolnić zmęczonych rybaków od swej obmierzłej obecności.

Może dałoby się coś zrobić, gdyby wioska miała przywódcę. Ale to w Armeckie. W Dartanie wieśniacy nie wybierali starszyny. Ktoś tam cieszył się poważaniem i mirem, jak Yolon; inny był najstarszy, więc pytano go czasem o radę. Jednakże do podjęcia jakiegokolwiek decyzji dotyczącej wsi zbierały się wszystkie chłopcy i radzono. Z reguły bezowocnie. Wychodziło, że jakoś to będzie, po co zaraz coś postanawiać.

Długie pogodne wieczory sprzyjały biwakowaniu. Niedaleko za wsią był las, w lesie zaś chrust na ognisko. Las królewski – wolno było zbierać patyki. Siedmioro walniętych nie spieszyło się na nocleg do domu posępnego Nesa, który – odkąd mu porwano narzeczoną – nie uśmiechnął się bodaj ani razu. Lepiej było siedzieć do późna przy ogniu. A nawet przemocować pod niebem.

Pachniało pieczonymi na patykach rybami. Tego jednego tu nie brakowało.

Rybacy wrócili z kolejnego połowu, kobiety rozwieszały flądry za wsią, urobek miał suszyć się w słońcu. Zbierano na daninę dla królewskich poborców, ale było tego tyle, że nawet trochę marnowano. Łby makreli wcale nie szły na zapę rybną, karmiono nimi psy.

Wieś w ogóle była zasobna, ale tutaj to znaczyło po prostu, że wszyscy jadali do syta i nie bali się jesieni ani zimy. Czasem na targu zeszło trochę ryb, no to było na wstążkę dla córki, a jak pękło ostrze siekiery, to bez płaczu szło kupić nową.

– No, jak tam? Wymyśliłeś coś? – zapytał Sayl na widok nadchodzącego dowódcy.

– A co mogłem wymyślić? Nes naostrzył swój ciesielski topór, a Yolon martwi się, że głupio zrobił, idąc po najemników. Ale Yolon jest przynajmniej uparty i postąpi tak, jak sobie zaplanował, bo ma więcej rozumu niż wszyscy pozostali razem wzięci. Wie, że trzeba w lewo albo w prawo, dlatego skończy, co zaczął. Cała reszta poszuka drógów i siekier, jeśli zagrozimy, że spalimy wieś.

– Zróbmy tak – zgodził się Sayl. – Możemy zagrozić.

Ajan usiadł przy ogniu, wzruszył ramionami i wrzucił patyczek w płomień.

– Zróbmy tak albo się wynośmy – powtórzył łucznik. – Rozmawialiśmy o tym, kiedy chodziłeś między chałupami. Nie patrz na mnie, bo nie żartuję.

– Najęliśmy się do obrony wsi. Mogliśmy nie przychodzić. Teraz mamy wypełnić umowę.

– Czekaj, czekaj, coś mi tu nie pasuje... W Nin Aye słyszałem, że jakaś wioska chce stawić opór piratom i rybacy potrzebują pomocy. A ci tutaj nie chcą pomocy i w ogóle nie chcą stawiać żadnego oporu. To chyba nie tak miało być? Yolon nic nie mówił, że pół setki zdrowych chłopca usiądzie sobie na wydmach, żeby dobrze widzieć, jak będziemy atakować na plaży dwudziestu piratów. Była mowa, że wieś chce się bronić.

– Czyli co, umowa nieważna?

– Biją się albo wracamy do miasta.

Ajan powiódł wzrokiem po twarzach. Kocura jak zwykle nie było, polazł gdzieś. Cała reszta chyba zgadzała się z Saylem.

– Wasza godność?

Dartański rycerz nie był aż tak młody, żeby nie mieć własnego zdania, a rozsądek nakazywał pytać go o wszystko przed innymi.



– Ci ludzie poprosili cię o pomoc, a ty poprosiłeś mnie – powiedział obojętnie N.L.Selett, rzucając patyczkiem w swojego pacholka, dwunastoletniego dzieciucha, który chciał zwałić rybę z ogniska. Pogroził mu palcem. – Sprawa wyglądała na słuszną, jednak czuję się tutaj jak intruz.

– Mówiłem, że to zadanie nie przyniesie chwały.

– Ale nie mówiłeś, że może przynieść hańbę. A przecież lada chwila ci poczciwcy pošlą po Straż Krajową, żeby nas stąd przepędziła. Mam tłumaczyć się, co tutaj robię? I przysięgać, że strzegę wioski, chociaż jej mieszkańcy tego nie chcą?

– To królewska wioska. Strzeżesz, wasza godność, dóbr królowej, a więc także danin pobieranych przez jej poborcę.

– Królowa nie zażądała, bym pilnował jej danin. I tak zresztą pilnuję, bo mój Dom płaci podatki i z tego jest na żołd dla królewskich żołnierzy. Mimo to mogę, dowódcu, bronić dóbr i poddanych królowej. Tak się godzi. I tylko dlatego wciąż siedzę przy tym ogniu.

Ajan znowu powiódł wzrokiem dokoła.

Jakkolwiek przypadkową zbieraninę stanowił jego oddziałek – dobrze się patrzyło na tych ludzi. Młody syn rycerskiego Domu nie tyle nawet kłamał, ile się mylił... a może po prostu nie chciał bądź nie mógł czegoś powiedzieć. Siedział przy tym ogniu nie tylko jako lojalny poddany królowej.

Siedział, bo było mu dobrze. Otaczali go wojownicy, z którymi mógł rozmawiać bez ujemy. Musiał poznać się na nich każdy, dla kogo walka o życie nie była czymś wyjątkowym – a wiele wskazywało na to, że młody Dart porąbał na arenach więcej przeciwników, niż liczył sobie lat.

– Gruby – powiedział Ajan – idziemy czy zostajemy? Chyba jeszcze nie chcesz wracać do Nin Aye?

– Bo dalej mnie tam nie lubią, za mało czasu minęło – odparł kusznik, co drugie słowo paskudząc po swojemu; Ajan już się nauczył puszczać to mimo uszu i wyławiać sens wypowiedzi. – Ale brzuch napelnilem całkiem niezłe, nawet srebra do podziału na siedmiu wyszło trochę więcej, niż miało wyjść na dziesięciu, nie muszę iść do Nin Aye, napcham pełno zarcia do torby i pójdę sobie gdzieś indziej.

– Jeszcze nie dostałeś tego srebra.

– To poproszę i na pewno wyplacą, bo jak nie, to powiem, że będę ich bronił. A tego to oni, ojoj... bardzo nie chcą. Zapłacą, byłem tylko nie bronil.

– A ty, Garyjczyku? – zapytał Ajan.

Imię Gerhedrr może dało się od biedy wymówić, ale nie zapamiętać; przynajmniej nie tak od razu. Najemnik nie obrażał się o to, od dawna siedział w Dartanie i przywykł. Teraz leżał na ziemi i wyglądało, że śpi.

– Wziąłem robotę – powiedział, nie otwierając oczu. – Wziąłem jako jeden z dziesięciu, wyszło jeden z siedmiu, no niech tam. Ale sam się tu bić nie będę, nie taka była umowa. Hereneh ne tolmd. Sam to ja muszę na końcu, jeśli się sam zostanę, ale nie od początku sam.

– Po co tu w ogóle przyszedłeś? Opłacało ci się brać taką robotę za pięć sztuk złota?

– Imperialnych.

– Zgoda, imperialnych. Opłacało ci się?

– Opłacało. A czemu nie?

– Można za to dziadować przez pół roku, żyć po ludzku przez dwa miesiące. No, jeśli dodać srebro, to przez trzy. Jakim cudem jeszcze nie zginąłeś, jeśli co trzy miesiące najmujesz się do takiej roboty?

– Powiedział – rzekł kpiąco Garyjczyk.

– Nic nie wiesz o najemnikach – zachichotała Kizyna, podpierając się na łokciach i z niejakim zdziwieniem patrząc na Ajana. – Wasza godność, to nie jest poczet dartańskiego rycerza, gdzie najemnik zaciąga się jak do wojska i bierze mały żołd, ale za to całkiem niezłe utrzymanie. Po pierwsze, na ile części podzielone będzie srebro rybaków?

– Na siedem.

– Naprawdę aż tyle? Zdaje się, że płyną tu piraci. A ty mówisz, wasza godność, że dzieciaki?...

Ajan skinął głową, bo Kizyna liczyła lepiej.

– A po drugie – dodała – to są właśnie piraci. Przywiozą ze sobą jakąś broń, może trafi się nawet kolczuga, złote kółko, pierścień, niezły skórzany pas albo haftowany złotem jedwab na łbie, bo pirat czego od razu nie przegra, nie sprzeda i nie przepije, to zawsze nosi przy sobie. Zdobycz, wasza godność. Właśnie z tego żyją najemnicy.

– Może nie być tak słodko, czasem wszystkie łupy skupuje kapitan, żeby mu się chłopaki pod pokładem nie tłukły o błyskotki – wtrącił Gruby. – A należy każdemu pieniądz zapisuje, trzyma i wydziela dopiero na lądzie. A jak właśnie byli niedawno na lądzie, to już wszystko przepuścili, no i du...

– Kra, kra! – rzekła Kizyna. – No to, wasza godność, jedziemy z powrotem?... Ja chyba nigdy nie jadłam takich rzeczy, jakimi tutaj karmią. Brzuch mnie boli. A masz mnie jeszcze trzy dni, bo czwarty muszę mieć na drogę, jeśli będę wracała galopem. Litości dla niewolnicy!

Kota nie było, ale jego zdanie Ajan znał. Trudno właściwie mówić o jakimś zdaniu. Czarny chudzielec, po kociemu niewyraźnie i oszczędnie, ale jednak całkowicie zrozumiałe oznajmił już w izdebce siostry Sayla:

„Jestem coś winien. Tobie. Żadna wioska nic mnie nie obchodzi. Zabiją cię, idę. Spłacę dług wcześniej, idę”.

Uczciwie i nieodwołalnie.

Więcej nie rozmawiali. I prawie się nie widywali, bo kocur łąził po krzakach, wygrzewał się gdzieś na wydmach, zjawiał się tylko po to, żeby zjeść. Inaczej niż Kizynie, pieczone ryby bardzo mu smakowały.

Wcześniej, gdy zmierzali do wioski, czasem biegł z przodu albo z tyłu, ale najczęściej spał na karku kuca, dosiadanego przez pachołka. Polubili się z małym służącym, o ile kot mógł kogoś lubić.

– Opłaci mi się nawet, jak nic nie będą mieli – rzekł Garyjczyk. – To nie jest zła robota.

– To nie jest zła robota? – zapytał Sayl.

Najemnik na chwilę otworzył oczy.

– Zanim się zgodziłem, to najpierw pogadałem z tobą, a ty nie jesteś nikt. Wiadomo, z kim trzymasz w Nin Aye.

– Ale o tym nikt nie musi wiedzieć.

– No to nie. Powiedziałaś, że idzie z tobą twój tangt... jak jest po waszemu?... Pomocnik. Jeszcze kot i rycerz. Potem zobaczyłem, kto będzie dowodził. Ja umiem się poznać, czy ktoś nosi żelazo od parady. Dwadzieścia piratów? Pięć sam zakatrupię.

– Może przypłynąć więcej.

– A, to pogadamy o nowej robocie.

Ajan uniósł brwi.

– Więc tak to rozumiałaś?

– A jak? A ty tu przyjechałeś, żeby zakatrupić wszystkie sto półtora?

– Ja tam chyba nikogo nie zakatrupię, jestem tylko przyboczną strażniczką – powiedziała kpiąco Kizyna. – Nadziać się na sztylet, który ktoś wyciągnie przeciw mojej

pani, to zupełnie co innego, niż rznąć się z piratami... Znaczy nie rznąć, tylko walczyć. Umieć strzelać z łuku i obronię się, jeśli ktoś mnie zaatakuję, ale to już wszystko.

– No i starczy. Zamknij ty się, straża, bo już uszy bolą.

Rzeczywiście, Kizyna miała wysoki, właściwie trochę jędrzowaty głos, a jej wieczny chichot w końcu męczył. Gaduła miała trochę rozumu i przeważnie mówiła do rzeczy, ale jednak było lepiej, gdy siedziała cicho.

Nawet bez irytującego głosu przybocznej Ajan miał dosyć przekomarzań i narzekań. Całej tej wiodącej donikąd pogawędki. Piękność wraca do swej pani za trzy dni; ten odliczy dwadzieścia trupów i też pójdzie. Zbierając poczet, wyszedł na durnia, teraz już tylko krok dzielił go od śmieszności. Wyglądało na to, że rację ma Sayl: należało iść do wsi, pożegnać się, a o świcie ruszyć z powrotem do Nin Aye.

– Chodź ze mną – powiedział do łucznika. – Pogadamy z Yolonem. Jeśli nic z tej rozmowy nie wyniknie, to niech daje srebro i jutro bladym świtem wracamy do miasta. I to jeszcze zanim rybojady się obudzą, bo jak którego zobaczę...

– Ty się, dowódca, nie złość – wtrącił pojednawczo Garyjczyk i ziewnął. – Jak się nie narobima, no to chyba lepiej? Ładne parę sztuk srebra za haver tam i z powrotem. Kto narzeka na taki zarobek?

– No, ty na pewno nie. Pięć imperialnych sztuk złota. Tobie ten haver na pewno się opłaci.

Najemnik znowu ziewnął i znowu się uśmiechnął.

o o o

Dziadka trzeba było obudzić, bo jak większość staruchów wstawał bladym świtem, ale za to lubił się położyć przed zmierzchem. Teraz siedział i nie bardzo było wiadomo, czy ma coś do powiedzenia; ba, czy w ogóle usłyszał, o co go pytano. Może drzemał.

Skrzypiały krzywo osadzone drzwi, dociskane do framugi podmuchami bryzy.

W końcu Ajan chciał przerwać ciszę, ale Yolon pokazał ręką, że nie trzeba. Siedział więc dalej w milczeniu, od czasu do czasu wymieniając spojrzenia z Saylem.

– A z rybakim to zawsze tak – powiedział na koniec Dziadek. – Popłynie na łów, wróci, baba oczyści sieci... Najlepiej, żeby nic się nie działo.

– Właśnie widzę – powiedział sucho Armektańczyk. – Tylko, Dziadku, ja nie jestem rybakim i moi towarzysze także nie. Za wyjaśnienia dziękuję. Ale to wyście, jak słyszę, doradzili, żeby wziąć najemników. Więc jesteście. Nie wiedzieliście, że z rybakim to zawsze tak? Na łów popłynie, baba mu sieci oczyści, a najlepiej, żeby nic się nie działo?

– Wiedzieć to wiedziałem.

– No, to czego się spodziewaliście? Nie szkoda srebra? Bo my zapłatę i tak odbierzemy, to nie nasza wina, że rybacy się rozmyślili. Dlaczego zmienili zdanie i już nie chcą się bronić?

– Bo, widzi mi się, myśleli, że was będzie więcej. A tu siedmiu. Jeden dzieciak, drugi mały i gruby, do tego dziewucha i ten tam... kot...

– Tu was boli. Ale nas może być więcej, dużo więcej. Ilu mężczyzn mieszka w tej wsi, jeśli policzyć starszych chłopaków, takich jak synowie Yolona? Zdaje mi się, że z pięćdziesięciu?

– To i tak za mało.

– Za mało na dwudziestu? Bo tylu ich przypląwa, tak czy nie?

– Ale jest jeszcze okręt.

– No, okrętu nie zdobędziemy. Nawet gdybym miał pół setki żołnierzy, nie rybaków, i wszystkich wsadził do łodzi, to i tak by się nie udało. Piraci na pokładzie mają działa prochowe. Nawet byśmy nie dopłynęli.

Nie wiadomo, czy rybacy wiedzieli, co to są działa prochowe. Na pewno nigdy nie widzieli ich w działaniu.

Prawdę mówiąc, mało kto widział. Po ulicach miast, po łąkach i między wsiami okręty jakoś nie pływały, a te, co stały w porcie, do niczego nie strzelały z dział.

Dziadek znacząco łypnął na Yolona. Ten pokiwał głową i przedstawił swoje wątpliwości.

Najpierw, mówił, wszystkim się wydawało, że piratów można nastraszyć. Pozabijając tych na brzegu i rachować, że reszta nie wylądaje. Tylko czy na pewno tak będzie? Yolon myślał, myślał i doszedł do wniosku, że nie. Załoga na pewno znajdzie jakiś sposób, żeby się dostać na brzeg. A wtedy pomści zabitych kamratów.

– Sam mówiłeś, że przyplływają tu tylko dla zabawy – zaprotestował Ajan. – Teraz chcą jakichś zapasów, ale znajdują je w każdej innej wiosce. Ja na ich miejscu...

Zawahał się i zamilkł.

Dotąd myślał, co zrobią piraci. Pierwszy raz popatrzył na to inaczej. Co on sam by zrobił na ich miejscu.

– Mają rację – powiedział Sayl. – Nie wiem, jak to sobie wyobrażaliśmy? Odplynąłbyś? Ja najwyżej bym udał, że odpływam, a gdzieś dalej posłał choćby paru pływaków na brzeg. Żeby sprawdzili, co się stało we wsi. I gdybym się dowiedział, że wyrżnięto dwudziestu moich... O, nie pytaj. Tu już nigdy by nawet trawa nie wyrosła.

– W takim razie trzeba ich przekonać, żeby odpuścili. Nie dawać powodu do zemsty. Porozmawiać.

– Żartujesz? Już sto razy ci mówiłem, że jesteś wal...

– Czekaj. Wszystko zależy od postawy wieśniaków. Skoro już patrzemy na to od strony piratów, no to patrzmy. Pół setki chłopca z drągami i siekierami, a do tego my. I mówimy grzecznie: odejdźcie. Warto toczyć wojnę o coś, co parę mil dalej, w innej rybackiej wiosce, można wziąć bez żadnych kłopotów?

Sayl zaczął się zastanawiać.

– Sam nie wiem. Nawet jeśli bym odpłynął, to pewnego dnia chciałbym wrócić. Choćby tylko po to, żeby nauczyć rybojadów moresu.

– Jeśli nawet, to bardzo byś się mścił?

– No... nie wiem. Chyba nie. Wtłukłbym im solidnie, ale wsi bym z dymem nie puścił.

– Czyli, w gruncie rzeczy, nic nie ryzykują. Kapitan żaglowca najpierw będzie wściekły i będzie myślał jak ty: że pewnego dnia wróci i nauczy rybojadów moresu. Ale po jakimś czasie może uznać, że właściwie nie warto. Specjalnie płynąć tylko po to, żeby pogonić paru chłopków?

– Dużo tutaj gdybania.

– A wy co myślicie? Dziadku? Postraszyć ich, ale nikogo nie zabijać? Żeby nie mieli powodów do zemsty?

Stary nie wiedział, co myśleć. Dla niego, podobnie jak dla Yolona, wszystko działa się trochę za szybko. Nie byli ludźmi czynu, nie umieli szybko podejmować decyzji. Każdą myśl należało oswoić, obrócić w głowie przynajmniej kilka razy.

Ajan po raz drugi tego dnia poczuł, że ma dosyć. Wioski, rybaków, głupiej awantury, w którą dał się wplątać jak dziecko.

Chyba był walnięty.

Dobiegający gdzieś z zewnątrz, od strony wsi, natarczywy dźwięk drewnianej kołatki, używanej w tych stronach do płoszenia ptactwa, napełnił oczy Yolona

przerażeniem. Sayl i Ajan nie musieli o nic pytać, bo wydawało się oczywiste, że jest to sygnał alarmowy. Najemnicy poderwali się i wypadli za próg domostwa, a potem biegiem ruszyli do wioski.

Na dużym placyku przy studni, niedaleko domu Yolona, już zbierał się tłum. Nieustanne klekotanie kołatki mogło doprowadzić do szału.

Ajan zauważył, że od strony biwaku między wioską a lasem nadbiegają jego towarzysze.

Przecisnął się przez stłoczonych wieśniaków i wyrwał kołatkę z ręki rybaka, który z zamkniętymi oczami, ale za to otwartą gębą hałasował, jakby jego życie od tego zależało.

Zresztą może i zależało.

Dwaj chłopcy bawiący się na plaży przysięgali, że daleko na morzu dostrzegli okręt.

Zapadła już jednak noc i nie dało się sprawdzić, czy mówili prawdę. Czarną bryłę kotwiczącego niedaleko żagłowca dałoby się zauważyć – ale nie plamkę oddaloną o kilka mil. Może coś tam i było. Albo nie.

Przed wszystkim mogli to być piraci albo zwykły statek handlowy, nic nadzwyczajnego w tych stronach. Żagłowce płynące uczęszczanym szlakiem widziano tutaj codziennie.

Chłopcy zarzekali się jednak, że dostrzeżony statek na pewno był bliżej niż inne, te, które zwykle widywano. Musiał więc zboczyć ze szlaku.

– Dzieciaki i starsze kobiety – powiedział głośno Ajan.

Nerwowe rozmowy ucichły.

– Popakować jedzenie, powyciągać z chałup wszystko, co cenne i dające się unieść. Pieniądze, jeśli jakieś macie. O świcie, jeśli się okaże, że jednak przypłynęli, wszystkie dzieciaki pod opieką starych kobiet mają iść do lasu. Wrócą, kiedy piratów już nie będzie.

Wszczęł się lament.

– A jak przegramy, panie? – zapytał ktoś. – Jak nie da się ich odpędzić?

– To dzieciaki pójdą na tułaczkę. Tutaj ich nie chcę. We wsi każdy ma się bić albo pomagać. Stare babki do lasu. I ciężarne tak samo. – Przypomniał sobie, że widział we wsi jakąś kobietę przy nadziei, mogło być więcej. – Wszystkie inne kobiety zostają. Może trzeba będzie opatrywać rannych.

Lamenty przybrały na sile.

– Jesteście silni! – zawołał Ajan. – Nawet nie wiecie, jak bardzo!

Powoli zaległa cisza.

– Płyną tutaj ludzie, nie demony! – Armektańczyk wskazał czarne morze. – Tacy sami ludzie jak wy. Połowa z nich to rybacy albo chłopci, którzy kiedyś zaciągnęli się na statki. Nie są więksi ani silniejsi! Chcieliście wzywać na pomoc żołnierzy, a ci żołnierze to też tacy sami ludzie. Podbili cały wielki świat, a wyszli z takich wiossek. Każdy z nich uderzył kiedyś wroga po raz pierwszy, tak jak wy uderzycie jutro. Nikt nie rodzi się wojownikiem, ale każdy może nim zostać. Wojownicy rodzą się w wioskach! – zakończył dobitnie, pokazując palcem miejsce, w którym stał. – Myśleliście, że spadają z księżycy?

Rybacy słuchali z uwagą. Nikt nigdy tak do nich nie mówił.

Ale słowa dowódcy najemników były proste i nie dało się im zaprzeczyć. Bo skąd niby pochodzili wojownicy? Przecież rzeczywistość nie spadał z nieba.

– Gdybyście mieli statek – powiedział jeszcze Ajan – i wszyscy na niego wsiedli, to jutro moglibyście być takimi samymi piratami. Podpływalibyście do brzegu, a tam chłopcy robiłyby ze strachu pod siebie. Bo żaden nie pomyśli, że płyną tacy jak on.

Dokonał rzeczy na pozór niemożliwej: wyzwolił najpierw nieśmiałą, a potem powszechną wesołość. Wieśniacy wyobrazili sobie, jak przyplływają na tym statku, a ci na brzegu nie wiedzą, że to płynie Nes, Yolon... i nawet Miholo, he!

– Do chałup! – rozkazał, gdy się uciszyli. – A przed świtem zbiórka tutaj. Każdy ma mieć broń. Siekierę, pałkę, jakiś drąg albo wiosło. Widziałem parę bosaków, świetny oręż. Podzielicie się na dwie równe grupy. Jedną będzie dowodził Nes, a drugą Yolon. Oprócz tego każdy oddział dostanie dowódcę od nas, ale to później. I jak któryś znowu zacznie się bać, to niech sobie zaraz przypomni, że tutaj płyną rybacy. Rybacy! Tacy jak wy.

Ludzie rozeszli się, od nowa rozmawiając.

– Ale wódz, ale przemowa! – powiedziała Kizyna, gdy zostali tylko najemnicy. – Sama mogłabym uwierzyć, że tu płyną zasmarkani wieśniacy.

– Bo to prawda – uciął Armektańczyk i po długiej chwili dodał: – Poniekąd.

Sayl zaczął się śmiać.

– Poniekąd, oj, poniekąd.

Ruszyli w stronę biwaku. Ognisko wciąż ładnie płonęło, podsycane przez małego pacholka.

– Lepiej, żeby to byli oni – rzekł Sayl, myśląc o okręcie. – Jeśli nie, to zapal naszych wózków ostygnie. A za drugim razem już ich tak łatwo nie pokrzepisz.

Gdzieś niedaleko, w mroku, rozbrzmiał bardzo niski, trochę niewyraźny i ochrypły głos:

– Czarne żagle. Trzy maszty. Płynie prosto tutaj.

Wszyscy zapomnieli o kocie.

Czarne, a właściwie specjalnie pobrudzone, wymazane dziegciem żagle, słabo widoczne na morzu, a jeszcze mniej na tle brzegu, na pewno nie należały do kupca.

Zamigotały żółte ślepie. Niewielki czarny kształt przysiadł na ziemi, na wprost grupki ludzi.

– Nie chcecie zabijać – rzekł kot, dając dowód, że słyszał rozmowę z Dziadkiem; może wylegiwał się na dachu starej wędzarni. – Widziałeś plażę?

– Co z nią? – zapytał Ajan, mimo woli przejmując zwięzły sposób mówienia kocura.

– Brudna. Kamienie, wodorosty.

– Co z tego?

– Zakop się – powiedział kot i poszedł. – Popilnuję okrętu, wy śpijcie – dorzucił jeszcze z ciemności.

Otoczony przez podkomendnych Ajan stał i myślał, cmokając przez zęby.

– Obejrzyjmy tę plażę – rzekł na koniec. – Rybacka sieć?... Kto wie.

Zawrócili i poszli nad wodę. Po drodze wstąpili po Yolona, bo nikt z nich nie znał się na morzu. Kiedy i jaki tu był odpływ? Albo przypływ?

– Nie zabijać? – zapytał z powątpiewaniem Garyjczyk. – Coście tam mądrego naradzili?

Sayl wyjaśnił, o czym rozmawiali z Dziadkiem.

## ROZDZIAŁ 6



**D**uży holk zakotwiczył trochę ponad ćwierć mili od brzegu. Trzy strzały z łuku, tak mniej więcej. Mógłby podejść bliżej, ale musiałyby uciekać wraz z odpływem, bo brzeg okalała rozległa pływiczna. Można było wierzyć rybakom, przecież wiedzieli, co mówią.

Dawniej kupieckie statki niekiedy tak właśnie dokonywały wyładunku – osiadając na dnie i podnosząc się z powrotem wraz z przyływem. Ale pirat nie mógł sobie na to pozwolić. A gdyby przyszło uciekać?...

Yolon pokazał palcem, dokąd dojdzie, a gdzie zejdzie woda. I było jasne, że jeśli się pomylił, to najwyżej o grubość tego palca. Przesiedział tu całe życie.

Noc minęła bez niespodzianki. Zgodnie ze swym obyczajem piraci obsadzili łodzie o świcie. Niebo na wschodzie było błękitno-różowe, słońce jeszcze nie wzeszło.

– Chyba mniej ich, niż miało być – powiedział leżący na wydmie Sayl, mrużąc oczy i próbując policzyć sylwetki wioślarzy, co nie było łatwe. Rozgarnął ostre trawy i znowu patrzył. – Trzy... albo tylko dwie pary wiosel na łódź. No i sternik na każdej. Dziesięciu, najwyżej czternastu.

– Płyną po zapasy – przypomniał Gruby. – Muszą mieć miejsce.

– Ile trzeba żarcia na taki żaglowiec? – zastanowił się Sayl.

– Dużo. Lepiej jest zawinąć do portu czy przystani na jakiejś wysepce, ale tu w Dartanie już by nie wypłynęli, bo na morzu to oni się dartańskiej floty nie boją, wiadomo, jaka to flota, ale w porcie królewscy by im powyrywali kuta...

– A nie lepiej by im było pogonić rybojadów, żeby dowieźli zapasy we własnych łajbach?

– Pewno pogonią. Ale woda? Zawsze jak jest okazja, dowozi się na statek słodką wodę, chociaż trochę. Musieli zabrać zasrane beczki do łodzi.

– Sporo wiesz o tych rzeczach.

– Jakoś tak. Bo dupa.

Zabrzmiało przekonująco.

Łodzie wolno zbliżały się do brzegu.

Gdy były całkiem blisko, okazało się, że Gruby miał rację. Pośrodku każdej szalupy widniała wielka baryła i piętrzyło się z dziesięć mniejszych. Pięciu ludzi w małej, siedmiu w większej łodzi.

– Ale będzie! – powiedziała przejęta Kizyna, nakładając strzałę na cięciwę łuku.

Sayl i Gruby zrobili to samo.

Pierwsza łódź przybiła do brzegu, zaraz potem zaszurało na piasku dno drugiej. Marynarze wyskoczyli, mocząc nogi. Wciągnęli szalupy trochę dalej na plażę. Był odpływ; dopiero po południu morze mogło je zabrać.

W dalszej części piaskowej łachy sterczał wielki pień, wyrzucony przez fale. Wkopano go bardzo starannie i przybrano najrozmaitszymi ozdóbkami. Z wysłizganych przez wodę czarnych sęków zwisały się krótsze i dłuższe sznurki, jakieś powrosła, wianuszki uplecione z trawy. Furkotała na wietrze pojedyncza czerwona wstążka.

Piraci poszli obejrzyć dziwowisko. Podśmiewano się, wzruszano ramionami. Ktoś zaraz wyciągnął ptaka i obsikał pień ku zgiełkliwej uciesze kompanów.

Gruby rozdarł gębę, jakby obdzierano go ze skóry.

Na zaśmieconej morskimi odpadkami plaży ożyły dwa niewielkie pagórki piasku, przybrane strzępami wodorostów. Dwaj wysocy mężczyźni pochwycili solidne drągi, między którymi rozpięta była sieć. Wychynęła spod piachu. Unosząc drągi wysoko niczym drzewca sztandarów, draby w rybackich kapotach pognały w stronę morza, a potem sobie na spotkanie, zgarniając do sieci zarówno cudaczny pień, jak i otaczających go, osłupiałych ludzi.

Niemal w tej samej chwili zaroilo się na szczycie niedalekiej wydmy. Killkudziesięciu rybaków z drągami i wiosłami w dłoniach zbiegło na plażę. Oręż poszedł w ruch. Biegący na czele rybak z krótką brodą dał przykład wszystkim innym, bo walnął wiosłem jako pierwszy, po czym zaraz odbiegł na bok, zmiierzając ku kryjówce Sayla i Grubego. Odnalazł przysypany piaskiem łuk i kilka strzał.

Nie było to jednak potrzebne.

Na schwytyanych w pułapkę ludzi, z których każdy ciągnął sieć w swoją stronę, chaotycznym działaniem powiększając mętlik, rzucono jeszcze jedną sieć, potem trzecią. Tego już nie dało się rozerwać. Pośród wrzawy gromada rybaków bezlitośnie okładała drągami nieforemny, oplątany sieciami kłęb, wyzwalając ryki wściekłości i bólu, bo łamane tam były gnaty, rozwalane łby, odbijane płuca i nerki. Mieszkańcy wioski pracowali wiosłami sumiennie jak nigdy, bo czuli słodycz, jaką daje tylko uczciwy żnój. Żaden połów dotąd nie był tak owocny.

Przebrany w chłopski strój Ajan zostawił swój wykopany spod piasku łuk i krzyknął na Sayla, żeby pobiegł do rybaków i zarządził koniec roboty. Sayl posłuchał i pognął, wrzeszcząc co sił w płucach. Należało przerwać młóckę, zanim w sieciach zostaną same trupy. To, co jeszcze próbowało tam pełzać, już w żaden sposób nie mogło być groźne.

Udało mu się przywrócić porządek. Rozcięto sieć i przez niewielką dziurę zaczęto pojedynczo wywlekać połamańców. Trwało to i trwało. Jeszcze od czasu do czasu przyskakiwał z boku krewki rybak i walił wiosłem w zgrubienie pod sieciami, gdzie coś się poruszyło bardziej żwawo.

Ajan zabrał z plaży Garyjczyka, który wraz z Nesem zrobił swoje na początku i teraz nie miał nic do roboty – obaj jeszcze otrząsali się z piasku, w którym byli tak ładnie zakopani. Wszyscy najemnicy oprócz Sayla schowali się w trawach na wydmie, bo mimo przebrań przy bliższych oględzinach nie bardzo wyglądali na rybaków, zwłaszcza że jego godność Selett nie zgodził się przyoblec w chłopskie szmaty, Kizynie zaś odznaczały się piersi pod kapotą. Dowódca najemników chciał na razie zachować w tajemnicy obecność zbrojnego oddziału w wiosce. Ujawnić się i rozmawiać z jeńcami miał Sayl – mógł uchodzić za syna któregoś z rybaków, kogoś, kto opuścił wioskę dawno temu i wrócił, bo nie znalazł szczęścia w świecie, ale za to trochę się otrząsał. Obecność takiego człowieka mogła wytłumaczyć niezwykle powitanie, zgotowane gościom przez wieśniaków.

Powiązanych, jęczących z bólu jeńców, pośród których wielu miało coś złamane, wszyscy zaś stłuczone lub pęknięte żebra, po kolei wleczono do wsi i nie był to miły spacer. Na samym początku drogi Sayl częstował każdego kopniakiem w tę rufową wypukłość, na określenie której Gruby miał co najmniej dwadzieścia słów, będących



w stałym użyciu. I nie były to kopniaki na pokaz, mało który z jeńców zdołał się utrzymać na spętanych „po końsku” nogach.

Dwaj rybacy pod kierunkiem Sayla wiązali kolejnych piratów. Reszta spoglądała po sobie.

Niesłychana łatwość, z jaką spuszczone manto tym samym ludziom, którzy jeszcze niedawno gwałcili ich córki i żony, wydawała się aż niewiarygodna. Chłopi nie mogli uwierzyć, że żalosne zbiry, których całą grupę właśnie sprano wiosłami, jeszcze niedawno mogły pijane łązić po ich wiosce i wyprawiać, co im się spodobało. A przecież wystarczyło wziąć wiosło. Miał po stokroć rację mądry dowódca najemników: to byli zwyczajni ludzie! Połamani popaprańcy, niektórzy ozdobieni mokrymi plamami na hajdawerach, bo po którymś uderzeniu drągiem najzwyczajniej złazi się w portki. Jakim cudem takie oferny mogły im skakać po głowach, dlaczego tyle razy pozwalali?...

Prawie zapomniano o kotwiczającym niedaleko żaglowcu, na którego pokładzie panował wzmożony ruch. To, co się działo na plaży, było pilnie obserwowane.

Poczesnym miejscem we wsi był placyk przy studni. Pousadzano tam jeńców. Wyzwoleni z sieci, za to powiązani, przedstawiali taki widok, że szczerza litość brała. Spoglądający na nich z pewnej odległości Ajan, otoczony przez kilku wieśniaków, bo nie chciał się rzucać w oczy, zaczął dumać, czy dobrze wszystko obliczył. Że nie docenił rybaków, to pewne. Dwaj piraci wyglądali na takich, co zaraz wyzioną ducha: pierwszy miał zmasakrowaną gębę, żuchwę wbitą chyba do gardła; drugi – nieprzytomny, musiano go nieść – dostał po łbie tak, że widać było zakłębienie w czaszce.

Mogło się okazać, że zacni ludzie morza nie zdołają wrócić na swój statek.

Tak czy siak, najpierw potrzebny był choć jeden, który zdoła dotrzeć tam wpław. Z ofertą dla swego kapitana.

Wyglądało jednak, że żaden z tych zuchów nie da rady przepłynąć sadzawki.

Sayl, którego dało się dojrzeć przez lukę w kregu rybaków, rozmawiał z jakimś piratem, który trochę rozumiał dartański. Człowiek ten miał niezwiązane ręce, a to z tej przyczyny, że przetrącono mu wiosłem i połamano chyba wszystkie palce; pewno miał je wczepione w sieć, gdy usiłował się wydostać. Trzymał teraz ręce przed sobą w taki sposób, jakby o coś prosił.

Jęczał co drugie słowo.

– Dostaniecie wodę – mówił powoli i wyraźnie Sayl. – Zaraz napełnimy wasze beczki. Zrozumiałeś?

Pirat rozumiał. Za wsią płynął strumień, wody było dość. Nieliczne studnie wykopano dla wygody, bo po co wiecznie łązić aż sto kroków?

– Jeśli twój kapitan powie, że odpłynię, to ja mu uwierzę. Zrozumiałeś? Wtedy odeślę was ze słodką wodą na statek wszystkich.

Pirat potakiwał.

– Na pewno zrozumiałeś? – upewnił się Sayl.

– Tak. Ja... mówi słabo, yf... ale rozumi cało. Wszystko... yf... co słyszy dartańskie... yf...

– No to yf – powiedział Sayl. – Nic do was nie mamy, ale już nie przyplływajcie, już was tutaj nie chcemy i będziemy się bić tak jak teraz. Służyłem kiedyś w wojsku i wyszkoliłem swoich. – Wskazał kciukiem za plecy, gdzie stali srodzy rybacy, wsparci na wiosłach niczym na halabardach. – Znajdźcie sobie jakieś inne miejsce. Twój kapitan jest mądry i na pewno pomyśli, że nie warto tracić czasu na jakąś głupią wieś.

Pirat potakiwał gorliwie. Dałby zaraz słowo w imieniu kapitana, a nawet burmistrza Nin Aye, byle tylko wrócić na pokład żaglowca.

– Zrozumiałeś? – zapytał znowu Sayl. – Twój kapitan ma usłyszeć wszystko, co ci powiedziałem. Jeden z was zaraz wróci na statek, a potem przyplynie z powrotem

z odpowiedzią.

– Yf... – powiedział pirat. – Płyć... yf... sam, tak że nie w hog... yf, yf... płyć nie w łodzi?

– Wpław. – Sayl zakręcił ramionami, pokazując pływanie.

Pirat obrócił się, popatrzył na swoich, poszukiwał wzrokiem... Szukał i szukał. Znów popatrzył na Sayla. Niemal z lękiem.

– Żaden. Ci, co najdobrzej płyć... yf... Oni...

Machnął ręką w geście rezygnacji i natychmiast się skrzywił z bólu; połamane paluchy musiały naprawdę doskwierać.

– Byle się trzymał na wodzie – powiedział Sayl po krótkiej chwili namysłu. – Nie musi być dobrym pływakiem. Podwieziemy go łodzią rybacką i wysadzimy do morza w połowie drogi. Dostanie belkę i niech się trzyma. Twój go chyba wyciągną? A wróci z odpowiedzią ktoś inny.

Pirat odwrócił się, znowu poszukiwał wzrokiem, wreszcie przemówił po garyjsku, tłumacząc swoim, o co chodzi. Na pokładach żaglowców – wszystkich, nie tylko pirackich – zwykle co najmniej jedna trzecia, a zazwyczaj zdecydowana większość marynarzy pochodziła z Garry albo Wysp i mówiła jednym językiem, choć niektóre gwary wyspiarskie mocno się kłóciły z czystym garyjskim. Był to jednak język na morzach powszechny, co nie znaczyło bynajmniej, że nie dało się usłyszeć armektańskiego, dartańskiego, a nawet grombelardzkiego. Niemal w każdej odpowiednio licznej załodze można się było dogadać we wszystkich językach Szereru.

Zgłosiła się przeszło połowa pobitych. Niemal każdy wyobrażał sobie, że lepiej mu będzie w morzu, ze złamaną ręką i nogą, byle z jakąś belką pod pachą niż tutaj, w gościnnej wiosce.

– Ty zostaniesz, bo muszę mieć z kim gadać – uprzedził od razu Sayl.

Nie chciał mieszać do rozmowy Gerhedrra, którego pobliżniona gęba, mięśnie, a zresztą cała postawa od razu mówiły, że taki z niego rybak jak... Żaden przyrodziewek nie mógł tego zmienić. Gnając z siecią po plaży, nie mógł zostać należycie oceniony przez osłupiałych przybyszów; co innego, gdyby zaczął służyć za tłumacza.

Skądinąd wcale nie było oczywiste, czy dobrze zrobili, zatajając swą obecność we wsi. Wieść o tym, że rybacy nie są sami, mogła wpłynąć na decyzję dowódcy okrętu. Z drugiej strony, gdyby jednak wysłano z żaglowca jakiś oddział szturmowy, element zaskoczenia mógł być na wagę zwycięstwa. Wydawało się wątpliwe, by dla pobicia samych rybaków zesłała na ląd cała załoga. A wzmocnioną, nawet uzbrojoną po zęby obsadę dwóch łodzi może dałoby się odeprzeć; mieli kilka pomysłów, jak to zrobić.

I takie myślenie przeważało, gdy minionej nocy układali plan.

Rozwiązano jednego z ochotników. Ocierał krew z rany na kości policzkowej, oddychał ostrożnie i utykał, niemniej wśród swych towarzyszy wyglądał jak okaz zdrowia.

Rybakom nie bardzo się podobało wypuszczanie jeńca, a jeszcze mniej podróz łodzią w stronę ponurego okrętu. Wbrew wątpliwościom Ajana wiedzieli, co to są działa. Jednak nikt ich nie pytał o zdanie. Wkrótce kilkunastu rybojadów z ociąganiem, naprawdę wielce nieskwapliwie, spychało łódź na wodę.

Wybrali najgorszą ze wszystkich, zbutwiałą, bodaj dziurawą. Zdaje się, że miała iść na opał. Ot, chłopskie rozumowanie. Wszyscy mogli nie przeżyć następnego dnia, niemniej, jeśli piraci mieli coś zatopić – toć przecie szkoda dobrej łodzi.

Miał z nimi popłynąć Sayl. A to oznaczało z kolei, że przez jakiś czas nie będzie żadnych pogawędek z pojmanymi.

Łucznik pogadał jeszcze chwilę, popytał, potem rozłożył ręce i wzruszył ramionami, spoglądając na Nesa: „Nie wiadomo”.

Rybak odwrócił głowę.

Ulokowano piratów w drewnitni i obstawiono strażą.

Sayl i rybacy zabrali jeńca, po czym popłynęli.

Łajba rzeczywiście nabierała wody. Na widok Sayla wywijającego ceberkiem Ajan nie wiedział, czy się śmiać, czy złościć. Wreszcie wybrał to pierwsze, ku zdziwieniu rybaków, którzy nie rozumieli, co tak bawi dowódcę najemników, a zresztą także jego podkomendnych.

Na brzegu wyraźnie było słyhać przekleństwa rozgniewanego, czerpiącego wodę z łodzi łuczніка.

Nie dopłynęli nawet do połowy drogi. Wyrzucili za burtę grubą belkę i – tak samo bez ceregieli – pirata. Zawracali spiesznie do brzegu.

Żeglarz w wodzie dał się z całej siły. Na okręcie wzmógł się ruch. Wkrótce kilku członków załogi ściągnęło przyodziewek i skoczyło do morza.

Rybacy Sayla wiosłowali tak, jakby płynący po kamrata piraci mieli go ominąć, dogonić łódź i przeprowadzić abordaż.

Najemnicy skupili się przy studni, tam gdzie wcześniej leżeli pobici. Garyjczyk swoim zwyczajem wyciągnął się na ziemi, Kizyna i Gruby przykucnęli. Dartański rycerz pōsiedział na cembrowinie.

– Na razie wszystko po naszej myśli – rzekł Ajan, podchodząc.

– Układy prowadzi się w pół drogi między wojskami – powiedział młody Dartańczyk, któremu nieobce były dzieje rodu i związane z nimi historie zbrojnych zmagañ. – Po południu można znowu wysłać łódź i czekać. To będzie zaproszenie do rokowań.

– Niezła myśl. Chociaż zdaje mi się, że do tego czasu ktoś przypłył.

– Uważam, że nie, dowódcu. – Dartański rycerz, raz uznawszy zwierzchność, dawał wszystkim przykład zgoła żołnierskiego szacunku dla przełożonego. – Herszt tego żagłowca, nawet jeśli przyjmie nasze warunki, na pewno będzie chciał pokazać załodze, że nie pędzi na pierwsze skinienie.

Ajan kiwnął głową, bo ten młody mężczyzna był niegłupi.

I rzeczywiście. Czas płynął, minęło południe, a posłańca z okrętu się nie doczekali. Rybacy z coraz większym niepokojem popatrywali na morze. Zbierali się w grupki, rozmawiali, rozchodzili i zbierali znowu. Nastroje podupadły. Na pokładzie żagłowca ktoś dobrze wiedział, jak wyniszczające może być czekanie.

Dowiadywał się o tym i Ajan.

– Zrobimy tak, jak powiedział rycerz – rzekł do Sayla. – Wyślemy łódź. Popłyniesz?

– Tak, tylko w czymś, co ma dno.

– Od tego, co ustalisz, zależy właściwie wszystko. Słomianego zapału rybaków nie starczyło na długo i jeśli jednak dojdzie do starcia...

– Przecież widzę.

Wieśniacy nie byli oddziałem wojskowych weteranów. Doświadczony żołnierz wie, jak zmienne są koleje losu wojennego, i nie szaleje z radości po każdym sukcesie, porażkę zaś gotów skwitować wzruszeniem ramion albo i grubym dowcipem. Ci tutaj, spokojni zjadacze ryb, umieli w ciągu jednego dnia przejść od euforii do rozpacz. Całkowicie złamać morale mógł nawet przelotny deszcz.

Dopiero co wyśmiewali pobitych wiosłami piratów. Ale oto wciąż nie było odpowiedzi z okrętu – ani chybi, nikt się tam nie przestraszył. I zejdą na ląd, i pomordują, i biada...

Zupełnie nic się od rana nie zmieniło, a wieś była gotowa posłać drugą łódkę, z okupem i błaganiem o litość.

– Nienawidzę rybojadów – rzekł Ajan.

– A widzisz.

Sayl skinął na kilku rybaków i poszedł wybierać łódź. Wieśniacy upierali się przy tej co poprzednio. Wreszcie Sayl się rozszłościł, pobiegł gdzieś i wrócił z ciesielskim toporem. Pośród krzyków zgrozy i rozpaczony jął rąbać nieszczęsną łajbę, aż wybił w zbutwiałym poszyciu dziurę.

Rybaczy gotowi byli pędzić ze skargą do Ajana, powinien chyba wybatożyć podkomendnego, który dopuścił się gwałtu na ich mieniu. Ajan jednak, z rękami założonymi na piersi, wyglądał nieprzystępnie; tak nieprzystępnie, że chłopcy – doprawdy, na swoje szczęście – odpuścili.

Wkrótce łódź, dość solidna, choć najmniejsza ze wszystkich (szkoda przecie, żeby piraci zatopili z dnia dużą łódź), płynęła w stronę okrętu, unosząc czterech odważnych rybaków i Sayla. Na żerdzi łopotała biała szmata.

Tak, było zupełnie jasne, że takie cenne cudo piraci z radością puszcza na dno. „Zbombardują bombami z bombardów”, jak wywodził ziomkom jeden rybak, najwidoczniej dobrze obeznany z morską sztuką wojenną.

o o o

Sayl dowiedział się czegoś ważnego, jeszcze zanim pływak z żaglowca dotarł do burty łodzi. Rano patrzył pod wschodzące słońce i niewiele widział, teraz jednak zdołał odczytać nazwę okrętu widniejącą na rufie, a to dało mu do myślenia.

Znał ją. Znał tę nazwę. Bo znał każdy, kto raz w życiu posłuchał żeglarskich historii w knajpie.

Sprawa siedmiu walniętych stała naprawdę źle. To nie był byle okręt piracki.

Nadrabiając miną, Sayl pomógł oddelegowanemu do rokowań żeglarzowi dostać się do łódki. Człowiek ten nie był jakimś znakomitym pływakiem, wyglądał zresztą raczej chuderlawo. Przepłynął akurat taki dystans, na jaki go było stać, i – pozbawiony pomocy – wisiałby, dysząc, u burty. Do prowadzenia rozmów wybrano najwyraźniej nie rębajkę i nie człowieka-rybę, tylko kogoś z głową na karku.

To był drugi ważny sygnał, że nie wolno lekceważyć przeciwnika.

Posłaniec mówił po dartańsku tak, jakby to był jego rodzimy język, i prawdopodobnie był. Zaraz jednak zaznaczył, że może się rozmówić także po garyjsku albo w kinenie, ale zrozumie także pełny armekański. Może chciał wywrzeć wrażenie. No, to wywarł. Poza strasznie kaleczonym kinenem znajomość języków nie była w Szererze powszechna. A ten tu, morski łapserdak...

Miał na sobie tylko skrócone, obcięte nad kolanami żeglarskie hajdawery. Wygodniej pewnie płynęłoby się bez nich, ale pirat widocznie zdawał sobie sprawę, że pełnego golasa nikt nie potraktuje poważnie. Jego misja była wystarczająco niewdzięczna nawet bez pokazywania skurczonych w chłodnej wodzie klejnotów.

– Oddajcie naszych. I łodzie – powiedział, gdy już trochę odsapnął.

– Odpłyniecie? – zapytał tak samo zwięźle Sayl.

– A jak powiem, że tak, to uwierzysz?

Sayl namyślał się, milcząc.

– Chyba wiem, kto wami dowodzi – rzekł, przechodząc na kinen. – Ale oni nie wiedzą. – Przewrócił oczami, jakby chciał pokazać siedzących z tyłu rybaków. – I lepiej niech tak zostanie.

Pirat popatrzył na swój okręt. Zauważył, że da się przeczytać napis na rufie, po czym uśmiechnął się domyślnie.

– Czyli umiesz czytać. I znasz garyjski?

– To przeczytałem. Bo we wszystkich knajpach mówią tę nazwę po garyjsku.

– Dlaczego rybacy mają nie wiedzieć?

– Bo po co? Nie z nimi rozmawiasz, tylko ze mną. Będziesz snuł im teraz morskie opowieści? To snuj i dogaduj się z nimi.

Językoznawca cmoknął, podumał, na koniec skinął głową.

– Nie w swoim imieniu dasz mi słowo – dorzucił, znów po dartańsku, Sayl.

– W swoim też. Jestem drugim oficerem tej łajby. O takich sprawach jak ta decyduje całe dowództwo okrętu.

– Nie wierzę, ale niech ci będzie. To dasz mi słowo czy nie?

– Odeślijcie naszych. Zapasy, woda i łodzie. Dam ci słowo, własne albo czyjekolwiek, że wtedy wszystko zostanie po staremu.

– To znaczy?

– To znaczy, że wasz wygłup pójdzie w niepamięć. Każdy czasem chce pobrykać, to się zdarza – rzekł pirat wyrozumiale. – Pobiliście naszych, teraz my wlepimy wam porcję kijów w pięty, ale nikt nie zginie. Masz słowo. Może być?

– Czyli pohulacie po wiosce. I to bardziej niż zwykle.

– Pohulamy. Tak było i tak będzie teraz.

– Dlaczego nie popłyniecie gdzieś indziej?

– Na tle tego lasu w ogóle nie widać nas z morza.

– To jedyny las na wybrzeżu?

– Dobrze wiesz, dlaczego przyplływamy, a jak nie wiesz, to kogoś zapytaj. Tych czterech z tyłu. Bo kto ty właściwie jesteś? Nie pochodzisz stąd.

Pirat czy nie pirat, był to człowiek spostrzegawczy i rozumny. Potrafił się wysłowić; potrafił także poznać, z kim rozmawia. A przynajmniej – kim rozmówca na pewno nie jest. Na przykład synem miejscowego rybaka.

– Ożeniłem się z dziewczyną z tej wioski.

– To porozmawiaj z teściem. Będzie wiedział, dlaczego przyplływamy.

– Ty mi nie powiesz.

– Nie. Sam się dowiedz, przynajmniej będziesz miał powód, żeby im się dokopać do dupy. Poskarżyli ci się? No to niech skarżą dalej. Odpocząłem – zakończył pirat – i mogę wracać na okręt. Dogadaliśmy się?

Sayl myślał. Myślał i myślał.

Siedzący przed nim morski zbój wydawał się... uczciwy. W każdym razie uczciwie prowadził negocjacje. Chyba można było wierzyć jego słowu, że na kijach w pięty się skończy. Toż gdyby chciał kłamać, to od razu by powiedział, że odpłyną i nigdy nie wrócą. Ale tego nie zrobił. Z jakichś przyczyn dowództwu żaglowca zależało na wiarygodności.

Jednak te zagadkowe powody, dla których przyplywali... Czy naprawdę istniały? Co takiego mogli ukrywać rybacy? Trudno przecież wyobrazić sobie, by zaleźli za skórę piratom. W jaki sposób? Może ktoś stąd należał kiedyś do załogi, stchórzył albo zdradził. Albo ktoś ważny na okręcie wziął sobie z tej wioski kobietę, która potem od niego uciekła. Co właściwie mogło być istotne dla tych ludzi? Co mogło być powodem, że od lat dokuczali rybakom? Bo właściwie tylko dokuczali; gdyby mieli powód do prawdziwej zemsty, to wioska już dawno by spłonęła, a zjedzone przez wrony wisielce poodpadały od gałęzi drzew.

Wyprawa siedmiu walecznych podjęta została z myślą o chronieniu wioski, którą załoga pirackiego okrętu wpatrzyła sobie przypadkowo. Bo na tle lasu, o prośbę, nie było ich widać z morza. Jeśli jednak istniały jakiekolwiek prawdziwe (wszystko jedno, czy

ważne, czy w ogóle zrozumiały) powody, dla których przyplływali... No, to było „po ptokach”.

– Dogadaliśmy się? – powtórzył pytanie pirat.

– Nie. Muszę wracać do swoich i sprawdzić, co powiedziałaś. I pamiętaj, że ciągle mamy dziesięciu waszych.

– Jedenastu.

– Nie. Jeden wykitował. Oby przeżyła reszta.

– Nie groź. Bo ja też ci pogrozę.

Żeglarz przełożył nogę za burty.

– Już więcej nie przyplynę z tobą gadać – powiedział. – Do wieczora obie łodzie z naszymi mają cumować u burty. – Pokazał palcem żaglowiec. – A jak nie, to w ogóle się nie wysilaj i lepiej do nas nie płyn, bo rozwalimy cię z dział. Jestem ciekaw, czy naprawdę zatłuczecie naszych. A ty powinienes być ciekaw, czy bardzo tym będziemy przestraszeni. Ktoś zginął; na wojennym żaglowcu niesłychane.

Zsunął się do wody.

– Jeszcze jedno – zatrzymał go Sayl. – Poprzednio zabraliście stąd dziewczynę. Te twoje głupki na brzegu nie wiedzą albo mi nie chcą powiedzieć.

– Ładna. O, do kur... To ta twoja? Z nią się ożeniłeś?

– Co? A, nie.

– To ci powiem, bo jakby była twoja, tobym skłamał. Sprzedana. I nawet ci nie powiem, gdzie jest, bo łobuz handlarz zaraz odsprzedał ją dalej, jeszcze na naszych oczach, skubany, za dwa razy więcej, niż dał nam. Może być już gdziekolwiek w Dartanie.

Odbił się nogami od burty.

– A jak cię właściwie zwą? – zapytał jeszcze, odwracając głowę.

– Sayl.

– O, to ładnie. Mnie też – powiedział pirat, zarechotał i napił się wody. Zakaszał, zaczerpnął tchu i popłynął.

Przez całą drogę powrotną Sayl uporczywie patrzył na rybaków. Słyszeli przecież rozmowę, ale żaden nie dał poznać po sobie, że cokolwiek wie o powodach, dla których żaglowiec przyplwiał akurat tutaj. Gapili się tak, jakby nie rozumieli, o czym mowa. Sayl chciał ich wypytać, ale jeszcze bardziej chciał porozmawiać z Ajanem. I z Yolonom, o tak. Z Yolonom.

Wyszło jednak, że najpierw pomówi z kimś innym.

Nes czekał na plaży. Sam, bo tłumek chciwych wieści rybaków zebrał się nieco dalej. Może ktoś im przemówił do rozumu, a może po prostu czuli, że Nes czeka na inne wieści niż wszyscy. Dwa razy się zgłaszało do wiosła i dwa razy Sayl mu odmówił.

Mógł sobie pozwolić na przeczność.

Nesowi było całkiem obojętne, czy piraci znowu pohulają we wsi. Chciał być w łodzi, bo ta łódź zbliżała się do żaglowca, który zabrał najważniejszą dla niego istotę. Wbrew rozsądkowi, wbrew wszystkiemu, nadzieja nie chciała umrzeć. Tliła się mała isierka. Matka głupich.

Sayl wyskoczył na piasek i nie wiedział, co rzec. „Nes, mam dwie nowiny, złą i dobrą, od której zacząć?”

Uniósł rękę, capnął rybaka za kapotę i przyciągnął do siebie, po czym schylił głowę i powiedział niegłośno:

– Żyje, nieskrzywdzona, ale już jej nigdy nie zobaczysz. Ktoś ją kupił i wywiózł gdzieś w świat.

Odepchnął lekko mężczyznę i poszedł dalej, bo nie chciał patrzeć mu w oczy. Bo bardzo było mu żal; bo był po prostu człowiekiem.

Nes został na plaży sam.

Sayl minął grupkę rybaków i spotkał się z idącym ku niemu Ajanem. Odeszli na bok, rozmówili się. Wkrótce wezwali Yolona i we trzech poszli plażą wzdłuż morza, zostawiając rybaków przejętych wieściami przyniesionymi przez obsadę łodzi.

– Co im zrobiliście? – pytał Ajan. – Mów mi, Yolon, bo nie wrócisz do wioski, zakopiemy cię w tym piachu żywcem, słyszysz mnie? Co im zrobiliście? No już.

Jednak kwadratowa twarz rybaka robiła się coraz bardziej podłużna, a oczy coraz większe. Jeśli udawał, czynił to znakomicie.

Ale raczej naprawdę nie wiedział.

Rozkładał ręce, ramiona zaś same wznosiły mu się do uszu.

– Słuchaj, chłopie, oni coś do was mają. O co poszło? – pytał z kolei Sayl.

Yolon wybiegł przed nich, zagroził drogę i znowu rozłożył ręce. Gotów był chyba uklęknąć, a na pewno przysięgać na wszystkie morza Szereru, Pasma Szerni, imiona swoich dzieci. Nie wiedział.

– A ktoś z was? Może nie cała wieś, może jeden, dwóch? Może ktoś im dopiekł, a ty o tym nie wiesz?

Rozgarnięty Yolon, bez wątpienia najrozsądniejszy z rybaków, tym razem kompletnie stracił głowę, a w każdym razie na dobre zapomniał, jak się używa języka. Ale jego wytrzeszczone oczy i rozłożone ręce mówiły tyle, ile mogłyby powiedzieć słowa. Był żywym obrazem zdumienia i niedowierzania. „Co rybacy mogli zrobić takiemu żaglowcowi?” – pytał całym ciałem, twarzą, całym sobą.

Szczerze mówiąc, Ajan i Sayl też nie mieli żadnego pomysłu.

– Wierzgaliście kiedyś? – zaczął zgadywać dowódca najemników. – Pobiliście kóregoś za pierwszym czy drugim razem, kiedy przyплыnęli? Ktoś z nich... nie wiem... poszedł do lasu i nie wrócił, a oni teraz się mszczą, bo myślą, że to wy?...

– Nie – powiedział rybak. – Brali zawsze, co tylko chcieli. Może jaka baba dała w gębę któremu, kiedy ją poniewierał. Ale... za to?

Patrzyli po sobie.

– Zabili kiedyś kundla, co szczekał i gryzł...

Znów patrzyli.

– Zaczynamy bredzić – rzekł Ajan. – Przyplywają tutaj, bo szczekał na nich pies? Albo dziewucha pacnęła kóregoś, kiedy ją...? Zaczynamy bredzić – powtórzył.

– Myśl, Yolon – rzekł z naciskiem Sayl. – Jeśli oni naprawdę mają powód, żeby tu przyplywać... to koniec. Koniec! Słyszysz?

– Nie wiem. – Twardy rybak gotów był się rozplakać. – Nie wiem, panie. Nic a nic.

Teraz Ajan rozłożył ręce.

– A ty ręczysz, że tamten nie łągał? – zapytał z kolei Sayla. – Pewien jesteś?

– Wtedy dałbym głowę. Teraz nie wiem.

– Nie wiesz? Może chciał właśnie tego, żebyśmy...

– Trzeba było posłać jasnovidza! Czego chcesz ode mnie? Jeszcze raz mam ci powiedzieć, co to za skrzynia i kto na niej siedzi? – Wyciągnął rękę i pokazał kotwiczący okręt.

– Powiedz, bo niewiele zrozumiałem. Nazwę słyszałem, ale...

– Nazwę słyszał. – Sayl zwrócił się na chwilę do Yolona, jakby brał go na świadka. – Co ty robisz w ogóle w tym kraju, przecież tutaj dookoła jest morze! W Nin Aye każdy gówniarz na ulicy ci opowie o Demonie Walki i jego przekletej córki! Zaśpiewać ci piosenkę? Może kilka? Gadają o tej pannie takie rzeczy, że jeżeli co dziesiąte słowo jest prawdą, to wszyscy powinniśmy się zabierać do... a do Grombelardu, bo dalej już nie można! Jaki żeglarz ci wejdzie na pokład okrętu, który się nazywa „Zgnięty Trup”? A oni tak opaskudzili swoją łajbę, przed chwilą sam mogłem przeczytać, to nie jest żadna

bujda. Ich nawet na innych pirackich statkach nie chcą. Najparszywsza banda przekleństwów, jacy istnieją pod słońcem, jeśli któryś tam nie trącał własnej matki, to przynajmniej powiesił ojca i sprzedał rodzeństwo na targu.

– I przyplývają tutaj?

– Wszyscy tam są walnięci.

Ajan zamyślił się.

– No to co? Koniec roboty? – zapytał po chwili. – Zabieramy nasze srebro i jedziemy, a chłopcy niech szybciułko odsyłają szalupy, biorą kije w pięty i się cieszą, że na tym koniec?

Sayl bezradnie wzruszył ramionami, a potem poruszył głową w stronę żagłowca, jakby chciał powiedzieć: „Oni nie odpuszczą”.

– Czyli koniec roboty – nalegał Ajan. – Yolon?

Rybak bał się. Miał naprawdę dosyć i myślał już tylko o zakończeniu awantury. Jakimkolwiek zakończeniu, byle prędzej. Ale podjąć decyzji, tak w jednej chwili, nie umiał. Każda nieoswojona myśl była straszna. Albo i jeszcze gorzej, bo właściwie w ogóle nie wiadomo jaka.

Yolon był tylko dartańskim rybakiem. Jednym z tłumu beznadziejnych głupków niezdolnych do myślenia, działania, do niczego.

Umieli tylko moczyć swoje sieci.

Ajan już wiedział, skąd się biorą piraci. Wystarczyło przyjść do wioski rybackiej i posiedzieć w niej ze dwa dni. Trzeciego dnia rano budziłeś się z nożem w rękę i zaczynałeś podrzynać gardła, aż odpadały brudne, durne lby. Potem mogłeś wsiadać na okręt.

– Myślę, że naprawdę nie odpuszczą – rzekł Sayl. – Postraszyliśmy ich, ale pokazali wała. Czyli koniec. Przyjechaliśmy tutaj, żeby ich nastraszyć. Od początku było jasne, że jeśli się nie uda, to cała załoga żagłowca nie wyrżniemy. A oni tam są wszyscy walnięci – powtórzył, znowu pokazując okręt ruchem głowy.

– Ten, z którym rozmawiałeś, też?

– Ten? No, ten to chyba... nie.

– A te pobite wiosłami łamagi? – Ajan wyciągnął rękę w stronę wsi; oprzytomniał nieco i zaczął odzyskiwać rozsądek. – To wszystko są te straszne potwory, o których opowiada się legendy? Albo może przysłali tu same ofermy, a ci naprawdę okropni wciąż siedzą na swoim okręcie, wszyscy co do jednego?

Sayl z namysłem powiódł wzrokiem za wyciągniętą dłonią, wskazującą wieś... i galopem ruszył wzdłuż plaży. Ajan i Yolon popatrzyli za nim, potem zaś tak samo zerwali się do biegu.

Nad wsią kłębił się dym. Zaraz wiatr przyniósł liczne krzyki ludzi. Zaczęły skowyczeć i ujadać psy.

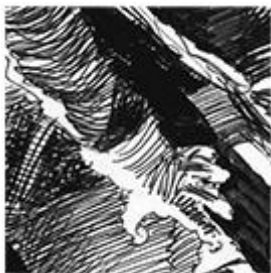
Jasnym ogniem, jak szalas z patyków, płonęła drewnitnia, w której byli trzymani jeńcy. Chrust, wysuszone szczapy, wióry, wszystko aż huczało od ognia. Gorzej, bo te płomienie wyły ludzkim głosem, a raczej wieloma głosami.

Razem z szopą podpalono jeńców.

Nes zakończył negocjacje z piratami.



## ROZDZIAŁ 7



Sayl gotów był zatłuc smroda, ale była to robota głupiego, bo siedzący pod ścianą jednej z chałup Nes chyba nawet nie czuł kopniaków. Podrzucający nimi, z krzywym uśmiechem na gębie obserwował pożar. Odbijały mu się w oczach płomienie.

Hałasując, biadoląc, rybacy biegali z cebrami, nie tyle próbując gasić, ile powstrzymać rozprzestrzenianie się ognia. Drewnitnia stała blisko wielkiej szopy, lada chwila mogło spłonąć pół wsi.

Barczysty Gerhedrr trzymał za kapotę jakiegoś jęczącego rybojada i co chwila walił go otwartą dłonią w łeb. Był to jeden z wartowników. Oczywiście, gdy Nes podłożył ogień, jeńców nikt nie pilnował. Cała wieś roztrzasała przecież wieści przyniesione przez wiosłarzy Sayla. Jakżeby mogło w tym tłumie braknąć kogokolwiek?...

A jednak to nie rybojady były winne. Półprzysłany z gniewu Ajan musiał sobie powiedzieć, że nad taką sprawą jak strzeżenie jeńców należało roztoczyć nadzór. Wszakże wydawało się, że półzywi, dobrze skrępowani połamańcy nie przysporzą kłopotów.

Rzeczywiście, to nie oni byli ich przyczyną.

Dwie lub trzy pochodnie, wetknięte przez Nesa tu i tam, załatwiły sprawę niemal w mgnieniu oka. Nim posłyszano wrzaski, nim ktokolwiek zrozumiał, co się dzieje, było już po wszystkim, bo chyba tylko stóg siana mógł szybciej zająć się ogniem. A pierwsi, którzy nadbiegli, oczywiście nie wiedzieli, co robić. Gasić, wyciągać jeńców?...

Jaskrawe, niemal białe płomienie wciąż jak wściekłe buzowały w resztkach drewnitni. Nikt tam już nie wrzeszczał, bo rozżarzone powietrze, wciągane z każdym oddechem, spaliło płuca nieszczęśników. Nawet jeśli któryś jeszcze żył, to nie krzyczał.

Rybacy wciąż czerpali wodę ze studni i podawali sobie cebry z rąk do rąk. Zaskakująco sprawnie. Szopa obok drewnitni ociekała wodą i wyglądało na to, że ogień się nie przeniesie; później wyszło na jaw, że wieś już miała do czynienia z pożarami. Rybacy po prostu wiedzieli, co w takich wypadkach robić.

Ajan poszedł na wydmy i obserwował okręt. Na pewno dostrzeżono z niego pożar. Należało jednak wątpić, czy piraci odgadli, kto się w tym ogniu upiekl.

– Czyli co, jednak koniec roboty? – zapytał Sayl, który także wdrapał się na wydme.  
– Teraz to już ich wyróżną. Całą wieś.

Wymienili spojrzenia.

– Nie – odpowiedział Ajan. – Teraz to my musimy ich wyróżnać. Całą załogę tego wraku.

Dopiero co sinoczerwony z gniewu biegł po wsi, jakby chciał kogoś zadusić. Bardzo szybko doszedł do siebie.

– Koniec rozmów, straszenia. Gadania: odpłyną, nie odpłyną... – mówił spokojnie dalej. – Wpakowałem się po same uszy i nauczkę mam na całe życie. Ale już ich tutaj samych nie zostawię. Tych rybaków.

– No jasne, że nie – odrzekł Sayl i dodał po chwili: – Przytuliłem Nesa.

– Co zrobiłeś?...

– Skopałem go, a potem usiadłem obok, objąłem i przytuliłem ten jego głupi łeb – wyjaśnił pogodnie łucznik. – Dziwisz mu się? Tak między nami mówiąc?

Znowu patrzyli na okręt.

– Myślę, że w nocy paru zuchów, najlepszych pływaków, ukradkiem przepłynię na brzeg, gdzieś kawałek dalej, może tam? I spróbują wykraść swoje łodzie. Przy najwyższej wodzie.

– A ja myślę, że podniosą kotwicę i przemieszczą się milę, może dwie. Tylko tyle, żeby zniknąć nam z oczu. Sklecą jakieś tratwy i przed świtem przerzucą na brzeg oddział. Może obróć kilka razy.

– Zobaczymy, jakie duże tratwy zrobią. Setki ludzi naraz chyba nie przerzucą. A jeśli to będzie piętnastu, góra dwudziestu chłopca...

– To wyrzniemy wszystkich na brzegu, zanim zdążą przewieźć drugi rzut.

– Wyrzniemy, mówisz.

– A jakże.

Na żagłowcu trwał wzmógłony ruch, załoga oblepiła kasztele, wielu marynarzy pięło się na maszty. Mogli jednak widzieć najwyżej dym nad wsią, wszystko zasłaniały stojące bliżej brzegu chałupy. Drewnitnia była po drugiej stronie wioski, od strony lasu, nie morza.

– Chodźmy do naszych. Trzeba im powiedzieć, w co wdepnęli, bo na razie wiedzą tyle co rybacy. Potem idziemy spać, do wieczora nic się nie wydarzy. A w nocy musimy być przytomni.

o o o

Tratwę rzeczywiście zbudowano. Poza tym jednak wszystko odbyło się inaczej, niż przewidywali. Załoga pirackiego okrętu nie znalazła żadnego powodu, dla którego miałyby szturmować wieś znieścacka i ukradkiem.

Sayl i Ajan niby wiedzieli, ale jednak nie pamiętali, że nikt na żagłowcu nie ma pojęcia o najemnikach we wsi.

Karna wyprawa z okrętu wyruszyła sporo po północy, niesiona falą przyprływu. Na wielkiej tratwie płynęło kilkunastu uzbrojonych po zęby zbirów, kilku dalszych uczepliło się belek ciągniętych przez tratwę na linach, o czym powiadomił ludzi kot, bo pływaków ludzkie oko dostrzec z brzegu nie mogło. Morscy zbóje w ogóle się nie kryli – toż płynęli przeciwko rybojadom i naprawdę się ich nie bali; figiel z siecią zakopaną w piachu wieśniacy mogli splatać tylko raz.

Tym bardziej nikt nie wierzył, że rybacy zdecydują się zabić jeńców i zerwą za sobą mosty.

Gwiazdy wciąż świeciły, niebo było znacznie jaśniejsze niż morze i na jego tle krępa tratwa, gdy tylko wyszła z cienia żagłowca, odcinała się nader wyraźnie.

– Długo im nie zejdzie – ocenił Ajan. – Wylądują tak w najwyższym momencie przyprływu. Jeśli dobrze liczę te przyprływy.

– Trochę mało światła jak dla mnie – powiedziała niepewnie Kizyna.

– Mało – zgodnie potwierdzili Sayl i Gruby.

Już na samym początku podróży z Nin Aye, na pierwszym południowym postoju, urządzili sobie zawody. Kizyna strzelała nieźle, Ajan bardzo dobrze. Gruby ze swej kuszy znakomicie. Sayl zaś...

Sayl zaś należał do najlepszych łuczników, jakich Ajan widział w całym życiu, a na armektańskich Równinach, w ojczyźnie łuku, spotkał niejednego. Trafiał zawsze. We wszystko. Gdyby miał wystarczająco mocny łuk, toby trafił w coś za horyzontem.

Niemniej strzelanie w ciemnościach nie rokowało sukcesu.

– To nie dla łuczników robota – orzekł Ajan. – Wasza godność? Zaszarżujemy?

Młody rycerz uśmiechnął się.

– Przy wodzie piasek jest mokry i twardy.

– I tak właśnie się po nich przejedziemy. Po linii wody.

Dartański rycerz i armektański jeździec świetnie wiedzieli, co mówią. Ale z pozostałych najemników tylko Garyjczyk zastanowił się, a potem krótko skinął głową. Złożyło się, że widział kilka potyczek w minionej wojnie z cesarstwem – miał pojęcie, do czego jest zdolny dobry jeździec na odpowiednim koniu.

– Po mnie byście się nie przejechali – rzekł, klepiąc stylisko berdysza – ale po nich... Seggel he dot, he arro, jak to po waszemu...

– Chcecie na nich szarżować? We dwóch? Na dwudziestu? – dopytywał Sayl z powątpiewaniem. – Bo ja z wami nie jadę, żaden ze mnie konny wojownik. Szarżownik czy szarżowiec, jak to będzie po waszemu...? A, walnięty.

Też miał szarżowca, podobnie jak Kizyna. Razem były cztery, nie licząc kuca małego pachołka.

Jeźdźcy po raz drugi wymienili uśmiechy – nie było aż tak ciemno, by to ukryć.

– Myślisz, że te zuchy często walczyły z jazdą? Na pokładzie jakiego okrętu? – zakpił Ajan. – Ledwie wiedzą, jak wygląda koń, a tutaj na dodatek niczego podobnego się nie spodziewają. Tamci na okręcie chyba nas nie zobaczą – myślał głośno – brzeg jest ciemny i na takim tle... Jak zrobić, żeby żaden nie wrócił na okręt? Przejedziemy się po nich, zawrócimy, trzeciej szarzy raczej nie będzie, bo reszta wskoczy do morza.

– Albo na swoją tratwę.

– Nie zepchną jej na wodę, to już nasza w tym głowa.

– I moja – wtrącił Garyjczyk. – Płatać się wam pod koniami nie będę, ale pota...

– Dobrze. Co z pływakami? Wystrzelacie ich w wodzie?

Troje strzelców naradziło się krótko.

– Z brzegu ciężko, może tak, a może nie. Ale wezmę paru rybaków i przepchniemy łódź do samej wody. Tak, żeby podniósł ją przyplływ. Żaden pływak nie wygra z wiosłami. Dogonię ich łódką i wystrzelam, z wody nic mi nie zrobią – rzekł Sayl.

– Nie zauważą łodzi? Z tratwy albo okrętu?

– Sam mówię, że na tle brzegu nie ma mowy. Konnych nie zobaczą, a łódkę zobaczą? Przepchniemy ją tylko kawałek i schowamy się w niej, a kiedy będzie trzeba, to do wiosel. Chcę Yolona i Nesa, i jeszcze dwóch niebojących. Trzech, bo jakiś do steru, przecież ja będę strzelał. Schowamy się w sześciu w tej łódce? – myślał na głos.

– Schowacie. Trochę będzie wam niewygodnie.

– Tylko czy... na pewno będą uciekać? I to akurat do morza? Bo jak pognają po brzegu, to ja zostanę w tej łódce i...

– Na brzegu będzie Gruby i Kizyna. I Gerhedrr, żeby osłonić. Światło światłem, przecież znowu nie jesteście ślepi i z bliska paru traficie, a my zaraz ich dogonimy i załatwimy resztę – wytłumaczył Ajan. – Od strony wsi postawimy dwudziestu chłopów, jakby który pirat zablądził, to go chyba zatłuką? Spokojna głowa, będą uciekać do wody. Uciekałbyś przed koniem wzdłuż brzegu? Jak kura?

– Chyba nie – zgodził się łucznik.

– No, to do roboty, leć po rybaków i łapcie się za łódkę. Wszyscy po zbroje i oręż, koniec przebieranek. A my, wasza godność, chodźmy po konie.

W kępie trawy na wydmie zabłyśły dwie małe tarczki.

– Dużo czasu, marnie wiosłują – rzekł kot. – Dziewiętnastu, ciasno im. Ci wleczeni za tratwą wleźli na nią, bo w wodzie nie szło, przez te belki prawie stali w miejscu. Odcięli je. Jeden popłynął z powrotem na okręt. Chyba trzy łuki i kusza. Sześciu w zbrojach, a jeden ma hełm.

Rozeszli się, odruchowo schyleni, tak jakby płynący piraci mimo wszystko mogli ich dojrzeć.

o o o

Parsknął koń.

Nie tak głośno, żeby usłyszano na okręcie. Chyba że też mieli kota. Ale nie mieli, bo żaden czworonożny nie wybrał się nigdy na morze.

Wiecznie nieobecny i milczący czarnuch tylko raz opowiedział o czymś przy ognisku.

„Lepiej słyszę, niż widzę” – powiadomił pozostałą szóstkę, zaskoczoną tym, że się odezwał. „Ludzie tego nie wiedzą. Kiedy patrzę, nikt nie trafi mnie z łuku. Nawet ty” – rzekł osobno do Sayla. „Chyba że na pięć kroków. Albo gdy strzeli wielu. Człowieka nie zabiję, za duży. Zajmę uwagę, ogłupię. Wiecie wszystko” – zakończył i zasnął.

Rzeczywiście dowiedzieli się wszystkiego, co powinni wiedzieć o niezwykłym towarzyszu broni.

Zanim parsknął koń dartańskiego rycerza, kocur powiedział z dołu:

– Zeszli wszyscy, wciągają tratwę. Dwieście kroków. Pięciu pobiegło pod wydmę. Na czaty. Werk.

Kocie słowo, trochę pomruk mający sto znaczeń. Tak, w porządku, to wszystko, powodzenia...

Jeźdźcy nie widzieli niczego. Poszli stępa, ramię przy ramieniu.

Ktoś przy tratwie być może usłyszał parsknięcie konia. Ale nie był pewien, co usłyszał. Ostrzegł towarzyszy albo nie.

Wierzchowce szły kłusem.

Morze szumiało, żeglarze szarpali się z tratwą.

Galop. Łomot kopyt dwóch pełnokrwistych dartańskich ogierów – to już było słychać nawet na mokrej plaży.

Piracka grupa zamajaczyła jako ciemniejszy kłęb. Ktoś tam krzyknął. Ostrzegawczo albo z zaskoczenia, to nie była żadna komenda.

Wyłaniające się z mroku dwa olbrzymie rozpędzone kształty były jak zjawisko nie z tego świata. Nawet wyszkolona i stojąca w szyku piechota potrafiła załamać się na widok szarżujących jeźdźców – kto nie widział pędzącego prosto na niego konia, ten nie miał pojęcia, o czym mowa. Razem z jeźdźcem to było pięć razy większe i ważyło dziesięć razy więcej niż stojący na ziemi, mały człowiek. W głowie i sercu kołatało się jedno: natychmiast zejść temu z drogi! I to był tak silny odruch, że pękały linie piechoty.



Żeglarzom nic się nie kołatało, bo zdążyli tylko zgłupieć i osłupieć.

Jeźdźcy nie mieli włóczni ani kopii. Ajan trzymał miecz; Selett także miał miecz, a w drugiej ręce daleko odsunięty od ciała korbacz. Pełnokrwisty kary dartańczyk nie był bojowym wierzchowcem ruszającego na wojnę kopijnika, ale został ułożony do jazdy w szyku i młody rycerz nie musiał go prowadzić. Koń sam równał do towarzysza.

Zwierzęta obaliły bądź poroztrącały na boki większość ludzi na brzegu. Ajan zdołał tylko raz uderzyć mieczem, młody rycerz zrobił cztery razy tyle: z niewiarygodną szybkością aż dwa razy zakręcił ramionami, niczym jakaś wiatraczna machina przytwierdzona do grzbietu ogiera. Przelecieli przez gromadę galopem, Ajan wkrótce zarył wierzchowca, a karosz młodego rębajły samorzutnie stanął dziesięć kroków dalej, biorąc przykład z gniadego pobratymca.

Wyrównali i zawrócili.

Kilka cieni oderwało się od wydm, piracy czatownicy biegli do głównej grupy. Jeden krzyknął i przewrócił się w piach; coś trzasnęło, świsnęło i obok upadł drugi. Poderwał się jeszcze, chciał biec, lecz zarobił strzałę. I kolejną, już na leżąco.

Armektańczyk i Dartańczyk przejechali po rozbitej gromadzie w drugą stronę; większość ludzi dopiero zbierała się z ziemi. Skowyczał ranny, ktoś wrzeszczał, ktoś coś pokazywał. Łupnął korbacz, rozwalając czaszkę jak orzech, ochryple zawył mężczyzna z odrąbaną dłonią, grzmotnął o ziemię inny pchnięty końską piersią i od razu poszedł pod kopyta. Dwa podszyte tętentem widma po raz drugi zaczęły wsiąkać w mrok.

Ucichł odgłos kopyt. Znowu parsknął koń.

Przy trawie przepychano się, ryczano. Ktoś kogoś gdzieś ciągnął, ktoś wstawał, ktoś się znowu przewrócił. Ktoś gnał w stronę wydm, byle dalej. Ruszyli za nim dwaj inni. Próbował ogarnąć grupę rosły marynarz z mieczem w ręku.

Rozchlapując liżącą brzeg wodę, z narastającym łomotem po raz trzeci gnał brzegiem plaży rozdwojony ogromny cień. Potwór o dwóch końskich głowach ulepiony z kamieni i wody, piasku i ciemności, ze skrzydłami groźnymi jak śmierć. Jeźdźcy obalili dwóch kolejnych i ranili jeszcze dwóch marynarzy. Jednemu ręka zwiśla na płacie mięsa, niemal odrąbana tuż przy barku – był już trupem, chociaż o tym nie wiedział.

Leżał na plaży i wył.

Zepchnięcie pokracznej tratwy na wodę okazało się niepodobieństwem.

Pod wydmą zaryczał wniebogłose człowiek z bełtem i strzałą w piersi. Klęczał, zaciskając dłonie na pociskach, których nie zatrzymała kolczuga. Upadł na plecy, z piętami podwinętymi pod siedzenie. Już tylko charczał, nie ryczał.

Jakaś czarna sylwetka wielkimi skokami przecięła drogę dwóm innym. Huknęło coś, jakby okręt wpakował się na rafy – ale to tylko berdysz przerąbał korpus człowieka. Drugi pirat wrzasnął nienawistnie i przyskoczył z mieczem. Machnął dwa razy i pchnął; był szybki, ale nie dość. Kolejne cięcie zakończyło się, raczej przypadkowo w ciemności, zderzeniem główki miecza z żeleźcem berdzysza. Zaklinowana między drzewcem a toporzyskiem broń odleciała w mrok, wyrwana z ręki. Rozbrojony pirat pognał ku morzu.

Czy ktokolwiek umiał rzucać berdyszem?...

Owszem, tak. Nie jak toporem, lecz jak włócznią. Masywne żeleźce, ciśnięte z odległości kilku kroków, grzmotnęło uciekiniera w środek pleców, zabijając samą siłą uderzenia, ale jeszcze połamało żebra i rozerwało kręgosłup.

Grzęznący w sypkim piachu pojedynczy jeździec dogonił ostatnią czarną sylwetkę pod wydmami. Zadzwonił łańcuch broni; łupnęło.

Pięciu ludzi trzepało się w morzu, pniąc fale – przez te bryzgi byli widoczni nawet w ciemnej wodzie. Jeden się topił, zapewne ciężko ranny. Zaczął wzywać pomocy, lecz najbliższy towarzysz chyba go nawet nie widział i nie słyszał.

Na wodzie zarysował się krępy kształt, niczym czarny łeb kaszalota. Skrzypiały i pluskały wiosła. Najbardziej wysforowany w morze pływak krzyknął i poszedł pod wodę.

Klasnął w falę opierzony patyk, zabrzmiało przekleństwo i natychmiast nadleciała druga strzała. Mknąca łódź, napędzana ramionami ludzi, którzy wiosłować naprawdę potrafili, bo robili to przez całe życie, rąbnęła dziobnicą i wzięła pod kil kolejnego pływaka. Znow jęknęła ciężiwa, załkał i zniknął pod wodą trzeci uciekinier.

Temu przejechanemu przez łódź, gdy tylko półprzytomny wynurzył się za rufą, sternik z miejsca przebił łeb bosakiem. I zaraz znow chwycił rumpel.

Na plaży kolejno milkły wrzaski, skowyty. W świetle gwiazd odcięła się jaśniejsza plama twarzy, błysnęły białe zęby.

– Nie wiedziałam, że lubię. A lubię.

Chichotała, dorzynając rannych. Przytomnych, więc być może jeszcze niebezpiecznych, przybijala sztychem miecza do ziemi. Innych, ledwie żywych, z nieskrywaną przyjemnością szlachtowała jednym ze swoich dwóch sztyletów. Ręce miała pokryte krwią, zupełnie czarną w tym świetle. Poprawiła przepaskę na włosach, brudząc sobie przy tym pół twarzy.

Chyba naprawdę jej się podobało.

Jeden zbroj udawał rannego, albo może leżał powalony strachem. Zrozumiał, że rannych dobija kobieta – i zniecka skoczył na nią z mieczem.

W bardzo, bardzo dobrym warsztacie wykonano rzecz służącą tylko do jednego – zabiła go szybciej, niż zdała sobie sprawę, że jest atakowana. Kiedy Gruby ostrzegł ją krzykiem, było już dawno po wszystkim. Nie zrywając się z kolan, sztychem przebiła kolczugę jak szmatę, jednocześnie uchylając się przed ciosem; właśnie wyciągała z brzucha trupa miecz. Zwłoki jeszcze charczały i wyrzucały z ust krew, więc wstała i oburącz odrąbała im łeb. Aż dwa razy musiała poprawić.

– O... – powiedziała cichutko, biorąc oddech. – A to nawet lepsze niż to wcześniej. Gruby? Tobie też tak zawsze wali serce?

Trzymała rękę przy piersi.

– Chyba się przestraszyłam. Jeszcze nigdy nie walczyłam, wiesz?...

W morzu krzyknął ostatni zabity.

Teraz łódź już tylko krążyła. Szukano trupów, sprawdzano. Wyławiano.

Plaża była zupełnie cicha.

Na kotwiczącym okręcie zapalono liczne latarnie. Ale przecież ich światło nie mogło osiągnąć brzegu, raczej tylko przeszkadzało, odzwyczajając oczy od ciemności.

Było cicho. Przy wydmach parsknął koń.

o o o

Nim nastał świt, trupy z plaży ściągnięto. Ciemne plamy na piasku zostały zasypane, posprzątano wszystko, co dało się dostrzec w mroku. Gdy niebo na wschodzie poróżowiło, przy niezgrabnej tratwie na brzegu i przy wydmach pojawiło się kilku wyrostków. Jeszcze nie mężczyźni, już nie dzieci.

Mieli kosze i wrzucali do nich różne rzeczy. Kolejny zagubiony w piachu nóż. Znalazła się jakaś szmata, bełt z kuszy, strzała. I odrąbana dłoń. Niewiarygodnie daleko, aż na wydmie leżąca miecz.

Dwaj najstarsi weszli do morza. Jeden znalazł pływającą strzałę i ucieszył się, ale wetknął zdobycz do koszyka ukradkiem. Niepotrzebnie, bo z pokładu żaglowca nikt nie

mógł dostrzec i rozpoznać tak drobnego przedmiotu.

Wkrótce chłopcy zniknęli z plaży. Zamiast nich pojawili się mężczyźni. Niemal w mgnieniu oka rozebrali tratwę, tnąc sznury spajające belki i deski. Odczyli puste beczulki, które zwiększały nośność, powlekli do wsi całe drewno. To wszystko mogło się przydać.

Brzeg był spokojny jak zwykle. Brudna plaża i wydmy. Łodzie, dalej pale i rozpięte na nich sieci. Głębiej las, a w zakolu lasu wioska.

Coś na tym spokojnym brzegu pożarło, pochłonęło bez śladu dziewiętnastu uzbrojonych żeglarzy.

Pośrodku wioski, na placu przy studni, stała niewidoczna z morza grupka ludzi, obwieszonych bronią po zęby. Troje było w zbrojach, przy czym dartański rycerz miał oprócz kolczugi także kirys i pełną osłonę ramion. Brakowało mu tylko rękawic.

Najemników otaczali półkregiem wieśniacy.

Daleko, bo aż pod lasem za łąką, kopano wielki dół. Mogiłę. Rybacy zerkali w tamtą stronę, to znów na dowódcę zbrojnych, który z wielkiego kosza wyjmował uzbierane przez dzieci szyszki.

– Nie wiemy, ilu ich jest. Ci tutaj, zanim się spalili, nie umieli powiedzieć. Wierzę, że nie wiedzieli. Dokładną liczbę zna pewnie tylko dowództwo żaglowca. Na kupieckim statku jest tylko tyłu, ilu trzeba do żagli. Dwudziestu albo trzydziestu, nikt nie będzie żywił niepotrzebnych, to kosztuje. A na takim okręcie jak ten może być nawet dwustu, chociaż raczej znacznie mniej ludzi. Stu na pewno. Uznajmy, że jest stu pięćdziesięciu.

Zaczął odliczać szyszki. Sto już policzył wcześniej, więc dołożył jeszcze pięćdziesiąt.

– Jeden skonał na samym początku, dziesięciu w drewnitni, teraz dziewiętnastu.

Dwa koszyczki z szyszkami. W jednym bardzo dużo, w drugim niby też sporo, ale jednak nie tyle.

– Zostało ich mniej więcej stu dwudziestu. Ale taki żaglowiec musi mieć załogę. Jak ich zginie jeszcze stu, to odpłyną, bo inaczej nie obsłużą okrętu. Więc dokładam tu jeszcze dwudziestu. Nie liczą się.

Po nocnej bitwie wieśniacy nie śmieli się w ogóle odzywać. Ten spokojny mężczyzna w ładnym, nowym odzieniu zabijał morderców z mieczami, jakby to były kozłeta. Ani jeden z jego podkomendnych nie został nawet draśnięty. Zakrwawiona kobieta w kolczudze umyła się rano – i to nie była jej krew. Bardzo zadowolona, teraz szeptała coś do swoich. Chichotała.

Wszystkie dziewczuchy z wioski patrzyły na nią jak na królową z bajki. Zresztą od samego początku. Chętnie z nimi gadała, więc wiedziały, że jest niewolnicą. Teraz wszystkie marzyły po nocach, żeby sprzedać się do hodowli i też zostać niewolnicami. I mieć potem za przyjaciół takich mężczyzn z mieczami, jeżdżących konno, w zbrojach lub pięknych kaftanach. Gdybyż została żoną takiego!... Najpierw jeżdżącą na rumaku niewolnicą, a następnie żoną wojownika.

Nawet Gruby od razu znalazłby trzy chętne. A za jego towarzyszy wydałyby się wszystkie. Tylko nie za młodego rycerza, bo on tak bardzo był nie z tego świata, że w ogóle nie wydawał się człowiekiem. Co dopiero mężczyzną i mężem.

Na cembrowinie studni spał kot. Wszystkie psy – raptem trzy kundły w całej wsi – były dobrze uwiązane, zresztą nie ze względu na niego. Trwała wojna, więc nie mogły biegać, gdzie chciały.

– Skłecą drugą tratwę, tak myślę – powiedział Ajan. – Z trzecią będą mieli kłopoty. Lasy na ich okręcie nie rosną, a skądś muszą brać drewno. Przecież nie zaczną rozbierać żaglowca. Mają jakieś puste beczki, skrzynie, jakieś deski i belki do napraw. Nie jest tego nieskończenie dużo. A ludzie, jeszcze z bronią, to bardzo ciężki ładunek.



Widzieliście, jakiej tratwy trzeba, żeby przewieźć raptem dwudziestu. A teraz spróbują więcej.

Pokiwał głową.

– Muszą już wiedzieć, że macie jakieś wsparcie – rzekł do chłopów. – Myślę, że teraz wybiorą się za dnia. Żeby chociaż zobaczyć wroga i zrozumieć, co się tu dzieje. Wydaje im się, że na widok jakiegoś dużego zagrożenia zdołają zawrócić na okręt, w każdym razie pod osłonę jego dział. Nie wierzą, że tu chowa się za chałupami trzydziestu żołnierzy, każdy z kuszą.

Znowu zamilkł.

– Dobrze. Teraz radzić – powiedział. – Każdy może powiedzieć, co myśli. Nawet najgłupsza uwaga może okazać się... dobra. Wszystko, co tu ktoś wymyśli, mogą wymyślić i tamci. Mądrego albo głupiego. Niech nikt się nie boi mówić.

– Dzisiaj sklecą tę tratwę? – zastanowił się Gruby. – Przyплыw po południu. Zdążą, jebani? Czy nie zdążą?

– Może dzisiaj, a może jutro.

Zaległa cisza.

– Nikt już? Zupełnie nic?

Poruszył się jakiś rybak. Ale gęby jednak nie otworzył.

– Chcesz coś powiedzieć? Śmiało.

To był jeden z tych odważniejszych. Minionej nocy wiosłował w łodzi Sayla.

– A nie poczekają do nocy? Żeby... – Wieśniak wzruszył ramionami. – Jakby posłali tak dwóch najlepszych pływaków... Morze ciepłe, spokojne. Naprawdę dobre pływaki, żeby... A ja jestem dobry pływak, to wiem – pochwalili się nieoczekiwanie, może chcąc dodać sobie animuszu. – Mogliby wylądować ładny kawałek stąd. I podkraść się. Żeby podpatrzeć.

– Kto wie? Niegłupio myślisz. Tratwy się nie ukryje, ale człowieka w wodzie albo dwóch... Nikt w nocy nie zauważy.

– Zauważy – powiedział kot i wielu się uśmiechnęło, bo nawet nie poruszył ogonem i wyglądało, że śpi nadal.

– Ale oni o tym nie wiedzą.

Rybak starał się ukryć dumę. Nikt go nie wyśmiał, przeciwnie. Najemnicy rozważali, co powiedział.

– Mądrzej byłoby wysłać zwiadowców – powiedział z namysłem Ajan. – Ale jeśli szybko pójdzie im budowa tratwy, to nie będą czekać. Bo nie wytrzymają.

Powiódł spojrzeniem dokoła.

– Wiecie, co się tam dzieje? – zagadnął z kpiącym uśmiechem. – My rozumiemy wszystko, oni nic. Przyplęnęło dwunastu, wrócił jeden. Nic nie wie, pobili go rybacy. Popłynęło dwudziestu, słuch zaginęła. Tam ich dowódca teraz – specjalnie nie mówił „dowódczyni” – z batem w ręku pilnuje porządku. Bo na pewno ma sporo takich, którzy zaraz wyskoczyliby za burtę, żeby tylko dobrać się do wioski. A jak ma dwóch zastępców, to oni mają dwa pomysły, co robić. Albo cztery.

Pokiwał głową.

– Czekamy. Odpoczywać, zając się czymś. Podzielcie się bronią, zbrojami. To wszystko wspólne – zaznaczył, widząc poruszenie Garyjczyka, a Gruby też już chciał coś powiedzieć. – Na razie macie tego używać. Chcę tu widzieć zaraz wszystkie kolczyki, pierścionki, cokolwiek mieli piraci. Kiedy będziemy odjeżdżać, wszystko sprawiedliwie podzielimy, wieś dostanie swoje, a my swoje. Na razie zdobywcą jest wspólna. I wszystko ma trafiać do mnie. Tutaj. – Wziął do ręki zdobyty na piracie hełm i rzucił go koło studni. – Kto pierwszy na wartę? Trzeba bez przerwy obserwować okręt.

– Mogę ja – zgłosił się Gruby.

– Weź jakieś dzieciaki na wydnię, niech się bawią i też gapią na okręt. Niech załoga pamięta, że stale ktoś na nich patrzy. Wściekną się.

Nie miało sensu trzymanie starych kobiet i dzieci w lesie. Zawsze mogły tam zdążyć. Sporo dobytku już wyniesiono i schowano.

– A po co ich wściekać, panie? – zapytał któryś z wieśniaków.

– Bo w złości się robi głupoty. To wszystko, rozejść się – zakończył po wojskowemu. Rybacy rozleźli się po wiosce.

– A my najpierw jeść, potem spać. Do przyływu na pewno mamy czas. Kizyna, ty poczekaj.

Gdy zostali sami (bo poszedł nawet kot), zapytał:

– Wszystko... w porządku?

Dziwnie łatwo zrozumiała, o co chodzi.

– Przyjemnie. Lubię zabijać, dzisiaj w nocy się dowiedziałam – powiedziała i nawet nie mrugnęła okiem. – Taką mnie zrobiono i ja za to nie odpowiadam. Odpowiada za wszystko ten, kto mnie ma.

– Dlatego właśnie pytam, przedmiocie. Nie znam się na rzeczach z hodowli. Jesteś sprawna czy uszkodzona?

Zabrzmiało to bardzo zimno.

– Jestem sprawna. Nie pobiegnę z mieczem między domy i nie zacznę szlachtować wieśniaków. Z przyjemnością, ale tylko na rozkaz. I nie twój. Na twój rozkaz mogę tylko piratów.

Wiedział o tym, rzecz jasna. Tej niewolnicy nikt mu przecież nie dał; pożyczono mu ją na pewnych warunkach.

– Ty, panie, nie lubisz zabijać?

– Nie lubię.

– Ale w nocy...?

– Nie wiem, czy kogoś zabiłem. Kilku stratowałem, trzech raniłem. Nie, nie oszczędzałem, próbowałem zabić – przyznał. – Dobrze, przyboczna, przecież nie robię ci wyrzutów. Wszyscy wzięliśmy srebro za zabijanie.

– Właśnie – powiedziała. – Masz mnie jeszcze przez dwa dni, wasza godność. Pamiętaj, że trzeci odliczam na powrót. A teraz: czy mogę się położyć pod Garyczykiem?

O to na pewno nie musiała pytać. Może swoją panią, lecz nie jego.

## ROZDZIAŁ 8



Załoga „Zgніłego Trupa” zbudowała tratwę tak sprawnie, że aż trudno było uwierzyć. Ktoś tam naprawdę przebierał nogami, żeby wylądować, puścić wioskę z dymem, porozpruć wszystkich i wszystko. Albo może po prostu dokądś się spieszyli. Nie do wioski, tylko do innego celu; przecież ten żaglowiec gdzieś płynął, jego dowódczyni miała jakieś swoje plany, zamiary. Myślała, że weźmie trochę zapasów i popłynie dalej, a tymczasem...

Poszło do morza chyba wszystko, co mogło się utrzymać na powierzchni. Istny tłum ludzi w wodzie, a niedługo potem na załadunku tratwy, walił młotami, wiązał,

holował coś i przytwardzał. Było jasne, że na ten pływający pomost wejdzie nie dwudziestu zbrojnych, a czterdziestu.

I gdy już rzeczywiście wleźli, nawet kocur nie zdołał ich policzyć. Ale było z grubsza właśnie tylu.

Zdążyli i zaczęli wiosłować jeszcze na fali przypląwu.

Czworo najemników leżało na wydmie.

– Jeśli wylądują, to po nas.

Ktoś tam po stronie piratów próbował przewidzieć niespodzianki. Dość dziwny rejoy żagiel mógł trochę pomóc wiosłarzom, łapiąc bryzę, ale bardziej miał chyba osłonić przed możliwym ostrzałem z brzegu. Najpierw próbowano zbudować coś w rodzaju ściany z desek, którą dałoby się opuścić niczym trap. Ale „statek” tego nie wytrzymał, ciężar tej konstrukcji był zbyt wielki. Niestabilna tratwa, obciążona ludzkim, a więc mogącym się przemieszczać ładunkiem, gotowa była na fali zdrześć „rufę” w niebo.

Wszystko pewnie dałoby się zbudować, ale nie na chybcika. Zamiast ściany postawiono w końcu niezbyt szeroki trap, który tylko częściowo mógł osłonić załogę przed strzałami.

Czworo strzelców na brzegu odbyło krótką naradę.

– Nie spalimy im tego żagla, bo ugaszą, a zresztą chyba zmoczyli wodą. Stąd strzelać nie będziemy, bo sięgniemy ledwie kawałek od brzegu. A na plaży nie ma gdzie się schować. Jak zaczną strzelać do nas...

– To nie trafią, nie będziemy stać w kupie – przerwał Sayl. – A oni się nie rozproszą, muszą siedzieć jeden na drugim. Trafisz w tratwę, to na pewno i w któregoś.

Przyglądali się wszyscy drewnianej, pływającej konstrukcji.

– Wczoraj strzelałem z rozhuśtanej łodzi – przypomniał Sayl. – Na dwadzieścia kroków trafiałem co drugi raz. No, to sobie na nich popatrzcie. Trafiłbyś w coś z tego stołu, na którym siedzą i wiosłują? W stodołę.

Pokraczna, szeroka tratwa w ogóle nie cięła fal. Przewalała się z jednej na drugą.

– Trudno ustać. A spróbuj strzelać. Właściwie to możemy wygodnie rozsiąść się na tym brzegu.

– Naprawdę?

– Nie. Ale tak od razu nas nie wystrzelają.

– Ty dowodzisz – zdecydował Ajan. – Aż zawrócą albo wylądują.

Obejrzał się. Dwie grupy rybaków z siekierami, wiosłami i zdobyczną bronią stały kawałek za wydumą. Jednym oddziałem dowodził Garyjczyk, drugim rycerz. Kilku chłopów miało nawet kolczugi. Przede wszystkim ci z łodzi Sayla.

– Jak tylko zaczniemy strzelać, dowiedzą się o nas raz na zawsze.

– A jak zejda na brzeg, to niby nie?

– Schodzimy na plażę, tak piętnaście, dwadzieścia kroków jedno od drugiego. Zaraz będą w połowie drogi, czyli w zasięgu. Strzelajcie, jak komu wygodnie.

Podnieśli się i zbiegli z wydmy na plażę.

Na tratwie od razu ich zauważono i wszczęła się ruch. Wioślarze zgubili rytm, jacyś inni piraci przepychali się do przodu.

Tratwa przebyła połowę drogi i trochę.

Sayl okrągłym ruchem wyjął strzałę, nałożył na cięciwę. Wystawił twarz do wiatru. Chciał go poczuć.

Paskudne to były warunki dla łucznika. Oślepiało zbyt jasne niebo, płatała figle porywista bryza.

Plusnęły przy brzegu bełty, strzały. Dwie trzepnęły trochę dalej, w piasek.

Sayl też posłał strzałę i patrzył, jak leci wielkim łukiem.

Doleciała i wpadła w wodę obok tratwy.

Nie umawiając się, strzelali po kolei. Każde próbowało dojrzeć, gdzie pada jego pocisk. Kusznik zaobserwował; tamtych dwoje nie. Drobne pluśnięcia trudno było dostrzec.

Nie spieszyli się, nie męczyli ramion. Znow się nie umawiając, zamierzali strzelać w tym tempie co Gruby. Kusznik zaczął strzemiączko o stopę, a przytwierdzony do pasa hak o cięciwę. Napinał broń, nakładał bełt i był gotów.

– Gruby, Kizyna, Ajan i ja.

Kusznik trafił, na tratwie ktoś krzyknął. Krótszy i masywniejszy od strzały bełt nie był tak wrażliwy na podmuchy wiatru.

Kizyna i Ajan nic. Sayl trafił w żagiel; strzała uwięzła w nim.

Ciężki bełt wbił się w piasek dwa kroki od Ajana. Co chwila coś pluskało w wodę lub dziobało plażę.

– Dla mnie za daleko – powiedziała niewolnica. – Mam dwadzieścia cztery strzały. Znaczy teraz już dwadzieścia dwie. I wszystkie wpakuję w morze.

– Ja mam trochę więcej, ale zapasowe przy koniu – rzekł Ajan i strzelił zaraz po Grubym.

Na morzu ktoś krzyknął.

Sayl tak jak Kizyna miał tylko jeden kołczan zwykłych strzał. Od minionej nocy niekompletny, bo kilka pocisków przepadło w morzu, a podrostki wyłowiły tylko dwa.

Bryza była nieobliczalna, ale po silniejszym podmuchu zwykle na chwilę zamierała. Sayl odczekał, wybrał moment i strzelił. Chwilę potem ktoś na tratwie nie krzyknął, a ryknął i zwałił się do wody. Zaraz dwóch wskoczyło za nim. Ratowali.

Rozwścieczeni piraci tłukli w brzeg na wysięgi. Kilkanaście łuków i kusz. Któryś strzelec w końcu musiał trafić, choćby tylko przypadkiem.

Gruby znow chybił. Ajan trafił. Sayl trafił.

– Szybciej, dowódco. Teraz to już ile wlezie.

Zwalił się do wody jeszcze jeden pirat. Bełt na wylot przez żagiel, kolejna strzała w żaglu. Ktoś znów wrzasnął. Strzała w pionowe deski trapu. Druga obok. Przekleństwa i wrzaski. Po garyjsku, więc niezrozumiale, ale brzmiały jak pogróżki.

Troje łuczników i kusznik na brzegu mogli już strzelać bezpośrednio. Poziomo, niemal prosto do celu, zamiast wielkim łukiem do góry. Dało się rozpoznać strzelców na tratwie, a wiatr przestał mieć takie znaczenie – lecący prosto pocisk miał do przebycia trzecią część tej drogi, jaką pokonywał pod niebo i spod nieba. Sayl trafił jednego, drugiego. Chybił, potem zranił trzeciego. Ajan zabił wiosłarza, trafiła Kizyna. Trafił Gruby. Sayl strącił do wody wiosłarza, tak jak wcześniej Ajan. Jakiś rozwścieczony marynarz skoczył w fale, przekonany, że wpław dotrze szybciej i dorwie przeklętych morderców na brzegu. Sayl włożył w ten strzał całe serce, doświadczenie, umiejętności – i trafił pływaka w czoło. Ryk na tratwie podniósł się taki, jakby płynęło ich tam stu, nie czterdziestu.

– Spróbuję zdjąć im tę szmatę. Kizyna! Jak zdejmę, pomagaj.

Nie dostrzegł, że już pomagała.

Strzała z grotem w kształcie półksiężyca przeszła tuż obok żagla. Przekłete porwy mokrej bryzy czyniły ze strzelania loterię.

Sayl miał cztery takie strzały. Trafił czwartą i przeciął lewy szot, czy jak tam się ta lina nazywała. Brudne płótno zafurkotało, skręciło się i strzeliło na wietrze, odsłaniając załogę tratwy. Wiosłarze wywijali wiosłami i zastępującymi je deskami, ryczano, napinano łuki i kusze. Pocisk z brzegu powalił majtką szarpiącego się z żaglem. Tratwa zbliżała się wolno, ale stawało się jasne, że dopłyną.

Ajan zarobił strzałę w bok, nisko pod lewą pachę, cofnął się, potknął i usiadł, upuszczając łuk. Patrząc na to, Sayl dostrzegł dalej Kizynę i najpierw nie uwierzył w to, co widzi. Z wbity w udo strzałą stała nadal, choć wyraźnie przeniosła ciężar ciała na zakroczną nogę. Krew kapała na piasek. Niewolnica zwolniła cięciwę, śmignął pocisk, na tratwie ktoś oberwał.

– Gruby, bierz dowódcę i do tyłu! Kizyna, wynoś się stąd!

Posłał strzałę i trafił żeglarza.

Parsknęła śmiechem.

– Tylko z tobą! – krzyknęła i dostała drugą strzałę w to samo udo.

Byłby przysięgł, że było słyhać, jak grot stuknął w kość. Wrzasnęła i już nie utrzymała się na nogach.

Sayl strącił do morza kolejnego łucznika.

Nagle hałasy na tratwie umilkły.

Rzucił spojrzenie za siebie i zobaczył rybaków zbiegających z wydmy na plażę. Prowadzili ich Gerhedrr i Selett. Migotały ostrza siekier, mieczy i toporów, chwiały się nad głowami bosaki i wiosła.

Wydawało się ich dwa razy tyle, ile było. Plaża zaroila się od ludzi.

Z tratwy przestali strzelać. Zresztą chyba już nie bardzo mieli czym. Kusznicy – to może jeszcze tak. Ale łucznicy dotychczas tłukli na wyścigi, a raczej nie zabrali po sto strzał na głowę.

Plaża była zjeżona od pocisków.

Ajan pólleżał na piasku z łukiem i nienałożoną na cięciwę strzałą w rękę. Podparł się na łokciu, usiadł, teraz wstawał, chociaż dużo go to kosztowało. Nie miał strzały pod pachą, chyba wyrwał. Nałożył pocisk na cięciwę; udawał, że wciąż może strzelać. Gruby klęczał tuż przed nim z przygotowaną kuszą, tak jak go zastąpił po zranieniu. Kizyna stęknęła przeciągle i dźwignęła się, chwiejnie stając na zdrowej nodze, bo drugą nawet nie mogła się podeprzeć, oparła tylko stopę na ziemi. Sięgnęła do kołczana i nałożyła strzałę. Spod przybitej do uda spódnicy krew ściekała i kapała na piasek.

– Nie strzelać! – rozkazał Sayl.

Na tratwie ktoś kłął, inny stękał, ale nikt już nie ryczał. Mieli tam kilku zabitych i co najmniej kilkunastu rannych. Było jasne, że ktokolwiek zejdzie na ten brzeg, ten już nigdy nie wróci na żaglowiec.

Sayl wolno zdjął strzałę z cięciwy i znacząco wyciągnął w bok rękę z łukiem, trzymając go z daleka od siebie. Palcem drugiej ręki wskazał okręt. „Won!”

Milczące szeregi rybaków stanęły na linii wody. Kilku było w zdobycznych koczugach i przy mieczach. Z morza na pewno nie dało się poznać, że to nie są prawdziwi wojownicy. Dobrze zbudowany Yolon i drugi, też nie miały rybak obok niego, obaj z pirackimi toporami i w zbrojach, nawet z bliska wyglądali groźnie. Garyjczyk wszedł dwa kroki do wody i zawiął berdyszem, aż powietrze zafurkotało. Pokazał, co potrafi robić z bronią, potem oparł się na niej i patrzył wyczekująco. Dalej młody rycerz splótł ramiona na piersi; zaślnął kirys.

W oczach piratów najemników było kilkunastu. A do tego pół setki wieśniaków.

Oglądano milczący tłum na brzegu. Wciągano na pokład topielca.

Żałowały kopyta pod wsią; ktoś tam miał naprawdę dobry pomysł. Może kocur?... Nieustraszonego młodzieńca pacholek rycerza wiódł kłusem trzy konie, a sam siedział na czwartym. Właśnie zjeżdżał na plażę.

Na wszelki wypadek trzymali zwierzęta pod siodłem, teraz wywarły wrażenie. Sayl ponownie wycelował palec na okręt, potem poszedł w stronę małego tabunu i jednym skokiem dostał się na grzbiet swego konia. Podprowadził karosza rycerzowi, ten zaś go dosiadł niespiesznie. Garyjczyk wzruszył ramionami, wyszedł z wody i tak samo spokojnie znalazł się na grzbiecie konia niewolnicy. Umiał jeździć konno. Nie potrafił bić się z kulbaki, ale niby kto o tym wiedział?...

Czterech jeźdźców. Z dwustu kroków młodzieńca pacholek był po prostu człowiekiem na koniu.

Piraci ściągali resztki żagla, bo tylko kręcił tratwę i przeszkadzał, a nie dało się ustawić go pod wiatr. Zaczęli wiosłować z powrotem, walcząc z końcówką przypląwu, który zaraz miał osiągnąć swój najwyższy punkt. Wyprostowany stał obok „bojowego trąpu” jakiś rosły mężczyzna. Miał ramiona splecione na piersi, tak jak wcześniej młody rycerz na brzegu.

– Wróć po was, skurnole! – zawołał po dartańsku, a głos miał naprawdę silny. – Choćbym miał piechotę leżę po dnie!

Nikt mu nie odpowiedział.

Woda chyba przestała przybierać. Tratwa wolno oddalała się od brzegu.

o o o

Ajan miał szczęście, oberwał prosto w zebro. Było naruszone, lecz raczej nie złamane. Grot zsunął się wzdłuż kości i pojechał dalej, ale cały czas płytko pod skórą. Armekańczyk oddychał normalnie, nie pluł krwią, płuco było całe. Otrzymał ranę bolesną, ale w sumie lekką. Dopóki się nie paprała, wszystko było w porządku.

Opatrzono go i chodził normalnie, choć się krzywił, gdy nikt nie widział.

O strzelaniu z łuku już nie mogło być mowy, ale prawą stronę ciała miał sprawną.

Horzej było z Kizyną, straciła dużo krwi. Jedna z ran wyglądała nieładnie, Garyjczyk znalazł się na tym trochę, a Gruby miał zręczne palce i umiał przedzierzgnąć się w chirurga. Oczyszczono rany i zalano wódką, której Ajan trochę miał w bukłaku. Gdyby zaczęły gnić, niewolnica mogła stracić nogę, a w najgorszym wypadku nawet

umrzeć. Owinięto jej udo jak najstaranniej, żeby nie dostał się brud. Podobno nie był dobry na rany.

Przynajmniej nie straciła humoru. Przy opatrywaniu pokazała wszystko, na co sobie chcieli popatrzeć, a uchichotała się jak nigdy, szczególnie wtedy, gdy nie stękała z bólu. Gdy do rany nalano wódki, powiedziała parę słów jak Gruby. Ucieszył się, że poznała ludzką mowę, i gadał razem z nią.

Była młoda i silna jak koń, a to rokowało dobrze.

Łuk i kusza zabijały podstępnie. Szczególnie strzała z łuku rzadko odbierała życie, a dokładnie: odbierała nie od razu. Rany klute nie lubiły się goić, a już grot w brzuchu to była sprawa niemal beznadziejna.

Ajan i Sayl oszacowali, że na tratwie zginęło pięciu piratów, a co najmniej siedmiu zostało poważnie rannych. I jeszcze drugie tyle podziobanych, boleśnie, ale w sumie niegroźnie. Z tych ciężko rannych większość w ciągu tygodnia prawdopodobnie miała skonać. W męczarniach, bo tak się umierało od ran brzucha.

Dorzucili do koszyka tuzin szyszek. Mniej więcej tylu wrogów wytrącili tego dnia z dalszej walki.

Rybacy znowu czuli się pewnie. Gdy kazano im zbiec na plażę, wcale nie byli tacy chętni i niejednemu trzęsły się nogi. Spośród strzelców na plaży dwoje leżało we krwi, pozostali dwaj niewiele mogli.

A niedługo potem wielka banda zbójów, chyba cała załoga żaglowca, wiosłowała z powrotem na okręt. Kogo się tak przerazili? Najemników? Ci stali na plaży od początku.

Wieśniacy odkryli, że są groźni. Że na sam ich widok piraci wiosłują z powrotem na swój okręt.

Pytanie brzmiało: na jak długo im wystarczy animuszu? I odpowiedź: aż któryś się potknie i rozbije sobie nos. Biada.

Najemnicy swoim zwyczajem rozpalili ognisko za wsią. Przylazł Ajan, przykuśtykała Kizyna oparta na Grubym, bo w sam raz był jej pod pachę.

– Może w nocy zrobią to, co mówił rybak – rzekł Ajan. – Wrzucą do wody zwiadowcę albo dwóch, będą chcieli nas policzyć. Zarznąć tych zwiadowców? Czy pokazać coś, co nam wyjdzie na dobre?

– A co takiego? – zapytał Sayl.

– Nie wiem. Że jest nas dużo? Może przebrać paru rybaków za najemników, ale tak, żeby nawet z bliska nikt nie poznał?

– To już lepiej zarznąć tych dwóch czy trzech, co przypłyną. O tylu będzie mniej. A ci na okręcie znów się wściekną, bo znów ich kamraci przepadną, jakby pochłonęła ich ziemia.

Ajan myślał.

– Tak zrobimy. Zarzniemy ich. Bo nie pokażemy niczego, o czym by już nie wiedzieli. Że są we wsi najemnicy, to już wiedzą. Konie? Wiedzą. Że najemników kilkunastu? Tak pewnie uważają, bo kiedy ktoś bierze w tyłek, to zaraz mu się wydaje, że przeciwnik był bardzo mocny. Zresztą, co powiedzą swojej kapita... kapitani... – Zachnął się. – Tej swojej kapitanie? Że czterdziestu uciekło przed czterema? Od razu dodadzą dziesięć.

– Pływacy skorzystają z nocnego przypływu. Z odpływem poradzi sobie łódź, od biedy może tratwa. Człowiek grezej.

– Trzeba znowu wypytać Yolona, woda podnosi się i opada każdego dnia o trochę innej porze. Ja nie umiem sobie tego poukładać. Co jest w ogóle z tym odpływem? Bo ja naprawdę nie wiem: pływak sobie z tym poradzi czy nie? Wcale nie umiem pływać.

– Kocur będzie czuwał od zmierzchu. Nie przegapimy ich.

– Równie dobrze mogą zrobić coś innego – rzekł Sayl. – Ja na ich miejscu po prostu bym się stąd zabrał. Popłynąłbym kawałek wzdłuż brzegu, parę mil, i wysadził tyłu, ilu trzeba. Przecież wiedzą, że nie będziemy gnać za nimi. Żeby znów strzelać i straszyć.

– Skąd wiedzą? – zapytała Kizyna. – Że nie będziemy gnać?

– Pomyśl. Mamy zabrać ze wsi pięćdziesięciu chłopów i gnać z nimi wzdłuż brzegu tak szybko, jak płynie okręt? Nie znam się na żaglowcach, ale to jest chyba przynajmniej takie tempo, w jakim maszeruje dobry piechur, no może gdyby mieli jakiś bardzo zły wiatr, wtedy wolniej. A będą mieli zły wiatr? Przecież oni mogą wybierać, w którą stronę sobie popłyną, bo chcą tylko wysiąść na ląd.

Poślinił palec i z kpiącą miną wystawił w górę do wiatru.

– Powiedzieć wam, gdzie popłyną? O, tam. Taki ze mnie dobry żeglarz, że już wiem.

– Tak – powiedział Ajan. – Sayl ma rację. Popłyną i zbiją się gdzieś do lądowania, a jak nas zobaczą, to wruszą ramionami i pożełgują dalej. W pół dnia przepłyną piętnaście mil, a jak dalej będziemy ich gonić, to zawrócą i znów zakotwiczą tutaj. I wtedy to już sobie wylądują prosto we wsi. Zrobimy biegiem wzdłuż brzegu trzydzieści mil jednego dnia, po piętnaście mil w tę i nazad? Może armektańska lekka jazda, ale nie nasi rybacy. Ani nawet my. Nie ruszymy się ze wsi i tyle. Próbowali tu lądować na siłę, bo chłopów lekceważyli, a o nas to w ogóle nie wiedzieli. Ale teraz już wiedzą i chyba nie lekceważą.

Zamilkli. Nie bardzo było o czym gadać.

– Przynajmniej strzał mamy więcej, niż straciliśmy. Prawie połowa tego, co szczeniaki zebrały z plaży, da się wykorzystać.

To już było najmniejsze zmartwienie. Właściwie łucznik został tylko jeden.

– Kizyna – powiedział Ajan – rano zabierasz się stąd. Zjesz flandrę i wracasz do Nin Aye.

Uniosła głowę.

– Strzelania już raczej nie będzie. Z tą nogą nie przydasz się na nic. Nie uciekniesz, nie dogonisz, nie powalczysz. Podobijać rannych może ktoś inny.

Niepotrzebnie to powiedział. Nie zasłużyła.

– Tak, wasza godność.

Wszyscy patrzyli na niego. Ta dziewczyna na plaży po prostu świetnie walczyła.

– Przepraszam – rzekł szczerze. – Wyzdrowiej. Wszystkim nam zależy.

Uśmiechnęła się kpiąco.

– Myślisz, panie, że walczysz z piratami? – zagadnęła nieoczekiwanie. – Nie, to ja z nimi walczę. I możliwe, że będę z nimi walczyć, kiedy ty już zapomnisz o tej wiosce. Byłeś w porcie. Powiem ci, co widziałeś, bo to nie tajemnica, a nawet przeciwnie, powinni wiedzieć wszyscy. Najlepiej wszyscy w Dartanie.

Zamilkła na chwilę.

– Statki pod dartańską banderą. A tak naprawdę z Agarów. Piraci urządzili tam sobie księstwko, mają miasto, zwyczajne wioski i coraz więcej pieniędzy. Zacni kupcy handlują towarami złupionymi przez takich jak ci. – Wskazała ręką morze. – Do Nin Aye za kilka dni ma zawinąć drugi żaglowiec z ładownią wypchaną łupami, czekałabym na niego bezczynnie, więc dlatego mogłam jechać z tobą. Za właścicielami tych żaglowców stoi kilka świetnych dartańskich Domów. Osłaniają ich swoim znaczeniem. Nie każdy Dartańczyk, a nawet Dart wielkiego rodu jest szlachetnym człowiekiem, wasza godność – powiedziała do młodego rycerza.

Nic jej nie odpowiedział.

– Patrz, *kahor*, jak się spełnia – odezwał się Gerhedrr chwilę później. – Odplywają.

Spojrzeli. Na żaglowcu stawiano żagle, wybierano kotwicę. Mocowano liną tratwę do rufy.



Chłopi we wsi szaleli ze szczęścia. Sprowadzenie ich na ziemię było zadaniem i niewdzięcznym, i przykrym. Niby mogli mieć rację – zamiary piratów dało się tylko zgadywać, może rzeczywiście odpływali na dobre.

Ale z tratwą na holu? Taka cenna?...

A zresztą, z tratwą czy bez, Ajan miał niemal pewność, że wróg nie odpuścił. Chyba że naprawdę, ale to naprawdę dokądś się spieszyli. Aż tak, że nie mogli poświęcić jeszcze dnia albo dwóch.

Sayl wziął konia, razem z kocurem umościł się na kulbace i ruszyli brzegiem – ale oczywiście nie plażą – śledzić okręt. Ajan wątpił, by czekała ich bardzo długa droga.

Rzeczywiście, Sayl wrócił jeszcze w nocy. Ale tylko po to, by powiedzieć, że właśnie lądują z przyływem, niewiele mil dalej. Zaraz pojechał z powrotem, bo kot został sam, bez żadnego kontaktu z wioską.

Po raz drugi Sayl przyjechał o świcie.

Trochę zmęczony, ale przede wszystkim rozeźlony kazał rybakowi odprowadzić konia na pastwisko. Pół nocy przesiedział w krzakach i co chwila miał przed nosem najwdzięczniejszy cel, ale nie wypuścił ani jednej strzały. Teraz żałował. Mógł chociaż na pożegnanie zastrzelić dwóch albo trzech, potem wskoczyć na konia i uciec, zanim przetrząsnęliby lasek. I tak przecież na pewno się domyślali, że ktoś śledził żagłowiec. Mieli oczy, więc konie na plaży widzieli.

– Kocur mi odradził – rzekł, bo najpierw wyjawiał przyczynę swego złego humoru. – Prawie pięćdziesięciu, bo niektórym nie chciało się czekać i wpływ popłynęli obok tratwy. Dla nich ognisko na lądzie to jest dobra zabawa. Z okrętu wypatrzyli miejsce jeszcze przed zmrokiem, mierzyli głębokość wody... sondowali, tak? Podpłynęli bliźutko, znacznie bliżej niż tu. Strzał z łuku od brzegu, nie więcej. Tratwa wróciła, teraz z dziennym przyływem chcą przerzucić resztę ludzi i co tam jeszcze potrzebne, jakieś żarcie, broń... Nie wiem. Próbowali teraz obrócić dwa razy, ale z powrotem pod falę przyływu jednak nie dali rady, musieliby mieć więcej wioślarzy, a jaki sens wracać pełną tratwą? Wrócili dopiero, gdy woda stanęła. To dwie, może dwie i ćwierć mili stąd, zaraz za tym cyplem-niecyplem, no za tym wyrzuceniem brzegu. Koty podobno dobrze słyszą. Jak wrzaśniemy razem, to przynajmniej nadstawi uszu. – Zaśmiał się. – To naprawdę jest niedaleko.

Kot został na straży pirackiego biwaku.

– Opowiem wam wszystko i znów wracam – rzekł Sayl. – Chyba że ty, wasza godność? Bo Kizyna ani dowódca nie pojadą.

– Mogę jechać – powiedział rycerz.

– Wzdłuż brzegu. Jeden las, drugi, cały czas widać morze. Trzeci lasek to już ich zagajnik. Kot cię wypatrzy.

Łucznik rozsiadł się wygodnie na piasku. Siedzieli w zwykłym miejscu na wydmie, bo ognisko i łąka były po drugiej stronie wsi.

Wielu rybaków już nie spało. Przyczłapali Yolon i Nes, a za nimi jeszcze trzej w kolczugach. Czyli ci najbardziej „niebojący”. Łatwo dało się poznać, który z mieszkańców wsi ma ducha do walki, bo prędzej albo później upominał się o zdobyczny oręż. Inni przeciwnie, nie chcieli za żadne skarby. Wyszło im, że od dobrze uzbrojonych wszyscy będą oczekiwać znamienitych czynów i wypchną do pierwszego szeregu.

Właściwie trochę racji w tym było.

– Koty mają poczucie humoru, wiedzieliście? – zapytał Sayl. – Albo jakąś wrodzoną beczelność. On tam łaził właściwie między nimi. Z drugiej strony, tylko w niektórych portach można zobaczyć kota, wielu z tych piratów nigdy w życiu nie widziało nic takiego. Tutaj to jest najwyższy jakiś nocny królik. Nie, nie pchał się w oczy specjalnie. Ale podsłuchał wszystko, co mógł. I tak więcej, niż sam oczekiwał, bo na pierwszą tratwę od razu wsadzili chyba wszystkich Dartańczyków, jacy są w załodze, i w ogóle każdego, kto mówi po dartańsku. Oni też myślą o wysłaniu jakichś szpiegów, podsłuchiwanie nas. Sporo się zebrało, chociaż na takim żaglowcu powinno być nawet więcej. No, może nie wszystkich jeszcze zwieźli. W każdym razie niektórzy całkiem często rozmawiają między sobą po dartańsku. Tylko że na razie o niczym specjalnym nie gadali. Niekiedy wyrwywają się do nas, trzeba przyznać. Ale większość nie. Woleliby posiedzieć przy ognisku, a potem znowu na okręcie, mają tam, ech, dziwki. Przynajmniej parę. O czymkolwiek zaczęli, to i tak na dziwkach skończyli. Tak przynajmniej powiedział mi kot.

– Czyli – powiedział Gruby – mają już na lądzie... jak to się mówi, jakoś tak po wojskowemu? Że złapali...?

– Uchwycili przyczółek – rzekł Ajan.

– I dupa kwas. – Gruby sobie przypomniał, że wcześniej nie powiedział ani słowa po swojemu. – I picz. I... – mówił jeszcze długo.

– Co teraz zrobić? – zapytała Kizyna.

Armektańczyk wzruszył ramionami.

– Pobiwają. Jest pół setki, jutro zbierze się ich tam do kupy prawie setka, więc możemy ich... Powiedz, Gruby.

– Pocałować w dupę. Zasraną.

– Przymaszerują tu w nogę, śpiewając którąś z tych ładnych żeglarskich piosenek. Może będą się chcieli pobawić, więc otoczą z kilku stron wioskę, żeby nikt nie uciekł? A może wypuszczą z daleka, bo ja wiem, po kolei pięćset płonących strzał i zobaczą, czy coś się zapali. Mogą tyle, że aż trudno wybierać. Zrobiłeś swoje – powiedział, spoglądając na Garyjczyka. – Była mowa o dwudziestu i jak dotąd ani razu nie stanęło ich na brzegu więcej. Teraz będzie pięć razy tyle.

– Dwa mila stąd.

– Ale przyjdą, a wtedy...

– Raz – powiedział Garyjczyk. – Jedna walka, rozumiesz mnie, *kahor*? Raz ich pobijemy, i ja pota idę.

– Będzie tylko raz. Jedna walka, pewnie jeszcze dzisiaj pod wieczór. I raczej już nigdzie potem nie pójdziesz.

– Może tak, a może nie. Jedna walka. Ze wszystkimi albo z szczęścia, jak wypadnie. Jedna.

Armektańczyk skinął głową.

– A ty się zabieraj, bo nie zdążysz – powiedział do Kizyny. – Galopować nie będziesz, powrót zajmie ci tyle, ile droga tutaj. To nie ty dałaś sobie osiem dni, zdecydował ktoś inny.

– Mogłabym zostać do wieczora, potem jakoś zdążę, najwyższej zrobię krótsze popasy. Koń zadbany, wytrzyma taki spacer.

– Ledwie stoisz, prawie nie chodzisz. I błada jak ten piasek, straciłaś dużo krwi.

– Mogę strzelać z siodła, potrafię. Chociaż lepiej mi idzie na stojąco, ale to chyba każdemu. A najładziej by było, jakbym sobie znalazła we wsi jakiś kącik z dobrym widokiem. Trochę szczęścia, a z ukrycia mogę kilku trafić. Wcale nie muszę biegać.

– Tylko że jak cię któryś wypatrzy, to nawet nie zdołasz...

Zamilkł.

Czekała.

– Zostań do wieczora – powiedział.

– Tylko sprowadź mi tu konia, wasza godność. Żebym miała pod ręką w razie czego.

– Negocjuj z nimi, dowódcu – powiedział N.L.Selett. – Podczas każdej wojny więcej jest układów niż bitew.

– Rycerskiej wojny.

– Podczas rycerskiej są właściwie same układy. – Dart też miał poczucie humoru. I dystans młodego człowieka, powoli zanikający, gdy syn Domu stawał się dostojnym rycerzem oraz głową rodu.

– Ale co mogę im proponować? Życie tych dziesięciu, o których myślą, że ich ciągle trzymamy? Za tę monetę nic już nie kupię, bo nie dość, że mało warta, to fałszywa. Żeby negocjować, trzeba coś mieć dla wroga. Stracili jedną czwartą załogi. Myślisz, wasza godność, że darują? Nic dla niech nie mamy.

– Więc zdobędziemy. Ta ich sławna dowódczyni, gdzie będzie? Na okręcie czy wylądowała tutaj razem z resztą?

– A kto wie, gdzie ona...

Urwał.

– Porwać ją? – zapytał.

Młody rycerz zrobił skąpy gest o niejasnym znaczeniu.

– Ty wymyśl, dowódcu. Pojadę zaraz do kota, ale łuczника pošlij razem ze mną. Zaraz wróci i przywiezie ci najświeższe wieści. Tam i z powrotem, razem cztery mile, długo to galopem? Może kot usłyszał albo zobaczył coś nowego i będziesz miał o czym myśleć.

– Jak wszyscy będą w kupie, to poczną się bardzo silni – powiedział Sayl z namysłem. – Do głowy im nie przyjdzie, że się rzucimy na stu. I nie rzucimy się. Ale jeden z nas umie zakraść się wszędzie, drugi naprawdę dobrze strzela z łuku... Jest i trzeci, co może złapać wierzgające dziewczę pod pachę, albo czwarty, który ją przewiesi przez kulbakę i zawiezie nie wiadomo gdzie. – Wskazał młodego rycerza, który już udowodnił, że naprawdę potrafi jeździć konno. – Jak nie porwać, to może z zarosli trafić w oko? Podobno ma tylko jedno, a nawet jak dostanie trochę obok, to już żadne nie będzie jej potrzebne. Bardzo legendarnie. Dużo możliwości, yy... Jak ty mówisz do niego?

Garyjczyk uśmiechnął się.

– *Kahor*.

– Widzisz, *kahor*, to dużo możliwości. Co znaczy *kahor*? – zapytał.

– Nie ma słowa. Nie macie jednego. Dowódcu, ale taki... Do nie każdej roboty, tylko takiej...

Zakręcił bezradnie ręką.

– Walnięty – powiedział Sayl.

– Walnięty, trocha. No, coś tak.

Ajan się nie uśmiechnął. Nie bardzo mu było do żartów.

– Nie ma jej tutaj i nie wiadomo, czy będzie. Na razie siedzi na żaglowcu, a tam jej nie dostaniemy. Wszystkie łodzie i wszyscy rybacy z tej wsi albo pójdą na dno, jak tamci zaczną walić z dział, albo... Wszyscy pozdychamy, wspinając się na burty tego okrętu, trzech piratów z bosakami postrąca nas do morza. Różne rzeczy sobie wyobrażam, ale zdobywania tego okrętu nie. Ten ze swoim berdyszem, ten z brzuchem i kuszą, jego godność Selett w swojej zbroi, a ja z jedną ręką. Nie.

Nad grzbietem wydmy popatrzył na morze. Był już dzień.

Po plaży znowu biegały dzieciaki, bardzo przejęte i uszczęśliwione „zabawą w obserwowanie”. Miały patrzeć, czy okręt nie wraca. Co chwila jakiś malec chciał

pędzić do Grubego i Kizyny (tych dwoje najczęściej czuwało na wydmie i musiało mieć do dziatwy żelazną cierpliwość), żeby donieść o czymś niezwykle ważnym, ale zatrzymywał się, widząc ich dowódcę i rycerza. Ci dwaj onieśmielali.

Wcześniej ta dzieciarnia na plaży na pewno doprowadzała piratów do szału. Rybacy nie wypływali na połów, poza tym wieś żyła normalnym życiem. Nad domami snuły się dymy z palenisk, po plaży biegały dzieci. Właściwie szkoda, że z wydm nie zbiegły dziewczuchy, żeby wypłuskać się w morzu. Na widok czegoś takiego dowódczyni piratów chybaby przegryzła bukszprycel... no, ten dziobak na przodzie okrętu.

Ajan aż się uśmiechnął. I zaraz spochmurniał, bo to był ostatni taki ranek dla tej wsi.

– Jedźcie już, bo kocur wciąż sam – powiedział do Sayla i Seletta. – Rozruszam nogi, pójdę z tobą, wasza godność, do koni. Muszę się pokazać mojemu, bo się czasem obraża. Twój też? A ty tu siedź, odpocznij jeszcze chwilę – rzekł do łuczniaka. – Przeprowadzimy twojego.

Ruszyli tam, gdzie ognisko i królewska łąka pod lasem.

Zwierzęta wyglądały bardzo dobrze. Napojone przez pachółka, teraz znów pasły się osiodłane, bo wcześniej, w nocy, chodziły rozkulbaczone. Kasztan Sayla nie był zdrożony, zrobił tej nocy dziesięć mil, czyli tyle co nic. Miał się bodaj najlepiej ze wszystkich, bo chociaż sobie trochę pobiegał.

Gnidosz i karosz się zaprzyjaźniły. Razem ruszyły ku swoim panom. Obaj mieli dla nich po jabłku, zabrali po drodze z wioski. Wszędzie było tego pełno, w jabłkach nie płaciło się daniny. Najpiękniejsze owoce chłopci czasem targali na jarmark, a brzydkimi żywili kozy zimą.

– Przebacz ciekawość, dowódcu – rzekł młody rycerz, po raz pierwszy trochę niepewnie. – Taki koń?... Jeśli pytam o coś, o co nie powinienem...

W Dartanie, a zresztą wszędzie, najczęściej spotykało się krzyżówki. Wytrzymałe i niewybredne armeaktańskie stepowce zyskiwały na ręczości, gdy ich krew wymieszano z krwią wyższych i znacznie szybszych dartańczyków, rodziły się z tego najbardziej wszechstronne konie Szereru. Pełnokrwistych dartańskich rumaków było mało.

Tutaj, pod rybacką wioską na końcu świata, stały dwa.

– Żadna tajemnica. Nie stać mnie na takiego konia. Nazywa się Dar.

Poklepał gnidosza po szyi.

– Dobrze, opowiem, ale bardzo krótko. Pomylenieć porwał dzieciaka. Odnalazłem pomylenieca i wydobyłem z niego... Nie miałem wtedy żadnego konia, jechałem na pożyczonym. Ojciec tego dzieciaka, dwóch pachółków i ja. Nie zdążyliśmy, dzieciak umarł. Ojciec go trzymał i zapłakał, potem wcisnął mi wodze w rękę i powiedział: „Może nie zawsze tak musi być, może gdzieś kiedyś zdązysz”. Zabrał pachółków i odjechał. Miałem... odrzucił ten dar?

Selett z namysłem pochylił głowę.

– Nie wiesz, panie, jak sławny jesteś. Słyszałem o tym dziecku, to znaczący południowodartański Dom. Dwa lata temu?

– Dwa i pół. Jedźmy, wasza godność.

Rycerz dosiadł karosza, Armeaktańczyk Saylowego kasztana, którego najpierw poklepał po prawym boku. Wierzchowiec go znał, nie był narowisty, więc Ajan dosiadł go z prawej strony, żeby oszczędzić obolałą połowę ciała. Poszło mu dobrze, ale mądre zwierzę obejrzało się, trochę zdziwione, co właściwie wyprawia człowiek.

Tak czy owak, dowódca najemników minę miał nietęgą. Jakoś mu się zdawało, że dosiad z prawej strony nie zaboli.

– No, byłbym zapomniał, przecież bierzemy cały tabun, zostaje tylko mój – powiedział skrzywiony. – Niewolnica kazała mi sprowadzić konia.

Zaśmiali się obaj krótko. Znowu zabołało, Armekańczyk przyłożył dłoń do boku. Rycerz kiwnął na chłopca, wskazał palcem wierzchowca Kizyny.

– Ja go wezmę. Też mogę przyprowadzić konia niewolnicy. Tej.  
Ujął podane cugle i ruszyli stępa do wioski.

## ROZDZIAŁ 9



Kocur przyjechał wierzchem razem z Saylem. Na bardzo krótką odległość mógłby pewnie wyprzedzić konia, ale ponad dwie mile to nie była podróż dla niego.

Koty nie miały wilczej wytrzymałości. Gdy jeszcze były tylko zwierzętami, nie goniły ofiary, aż ta padła z wyczerpania. Błyskawiczny atak z ukrycia, jeden skok.

I tak zostało. W takiej wiosce czarnuch z szybkością pioruna mógł się znaleźć w kilku miejscach jednocześnie, ale potem chciałby spać cały dzień. Gdyby miał biegać od rana do wieczora, toby się chyba przekreślił.

– Dużo wieści – powiedział teraz swym nieco ochrypłym, niewyraźnie brzmiącym głosem. – Ale ja już raz opowiedziałem. Teraz on.

– Tu masz rybę. I prześpij się trochę.

– Wystawili czaty, ostrożni – zaczął Sayl, powierzwszy konia rybakowi. – Ale to nieważne. Uciekają. Ci na okręcie.

Powiódł wzrokiem, ciekaw wrażenia. Potem opowiedział, jak było.

Rozjaśniło się.

Na horyzoncie, jak zwykle w tych stronach, dało się dostrzec żagle, i to co najmniej dwóch statków. Może trzech. A o wiele, wiele bliżej dwa duże okręty – bo wojenne okręty, nie statki. Z niebieskimi żaglami. Jeden bliżej, drugi ze dwie mile dalej, tak w pół drogi od tych na horyzoncie. Oba szły tak prosto i tak pewnie w tę stronę, jakby czegoś szukały albo o czymś wiedziały. Na przykład o pirackim żaglowcu.

– No i zobaczyli pirata – ciągnął Sayl. Trochę raportował, co sam widział, a trochę, co powiedział mu kot. – To nie jest takie miejsce jak tutaj. Rośnie mały laszek, dalej płaskie wydmy, brzeg jak denko beczki... Zobaczyli naszych znajomych, nawet ślepy by ich zobaczył.

Według tego, co mówił, ci na „Trupie” nie wiedzieli, co robić. Pewnie bili się na morzu, i to niejedną raz. Ale z dwoma holkami jednocześnie? Na dodatek – czterdziestu ubuło, następnych pięćdziesięciu na brzegu... To ilu ich zostało na pokładzie? A na takim żaglowcu Straży Morskiej siedzi dobrze ponad setka załogi, z czego jedna czwarta to żeglarze, a cała reszta żołnierze. I nie jakieś zuchy ze Straży Krajowej, tylko piechota morską, która rozumie, co to jest abordaż.

– Kocur mówi – ciągnął Sayl, wskazując czarnucha, który już zdążył zasnąć – że o mało nie wpakowali się na brzeg, bo wszystko tam robili jednocześnie. Wrzeszczeli do tych w lasku, stawiali żagle, podnosili kotwicę, odczepiali tratwę... Zostawili ją, a na niej chyba czterech. I zwiali na morze, stąd nie widać, bo cypel zasłania. Tamte żaglowce teraz chyba ich gonią. Niebieskie żagle, czyli Armeктаńczycy. Skąd oni tutaj?

– Z konwoju – powiedział Gruby, dodając kilka słów po swojemu. – Dartan nie ma czym konwojować, ale Armekt zbiera statki handlowe po kilka, nawet dziesięć,

i przydziela wojenny żaglowiec. Czasem dwa. Tam na horyzoncie były żagle kilku statków? No, to może ten konwój. Ci strażnicy morza mogli się na chwilę odłączyć po drodze, a potem dogonią, bo handlowe kogi, czy nawet te nowsze hogi, jak tam się to nazywa, a jeszcze załadowane, są o wiele wolniejsze od holków imperialnych.

– Zobaczyli piracką łajbę spod horyzontu? W nocy? Bo przecież rano już byli blisko, tak? – pytał Ajan.

Gruby powiedział kilka słów bez większej treści, po czym wytłumaczył. Trzy rybojady w Nin Aye poleciały najpierw na skargę do garnizonu i komendantury Królewskiej Straży Morskiej. Tu i tam dostali kopniaka, bo jedni i drudzy nie mają co posłać do jakiejś cuchnącej wioski. Ale jeśli do Nin Aye wpłynął, weźmy, armektański konwój, idący dalej na przykład do Llapmy, czyli tędy, to dowódca konwoju na pewno usłyszał, że ledwie kawałek dalej miał się kręcić albo właśnie się kręci duży żaglowiec piracki. I to nawet dokładnie wiadomo gdzie. Komendant eskorty mógł po drodze odbić kilka mil w bok, żeby sprawdzić, i dlatego płynął tak prościutko tutaj. Dwie mile w lewo albo w prawo to na morzu przecież jest to samo miejsce.

– I zostawił konwój?

– W zasięgu wzroku. Niechby co, to przecież nawet kogi mają żagle i nie stoją w miejscu. Kupcy zaczęliby uciekać w jego stronę, on od razu na spotkanie i tyle, ryzyko właściwie żadne, dorwałby swojego pirata na morzu albo przepłoszył skur... – rzekł Gruby i zakończył wywód po swojemu.

Przetrawiali wieści.

– A ci na brzegu? Co oni na to wszystko? – zapytał Ajan.

– Wściekli się – powiedział Sayl. – Będą czekać, bo teraz to zupełnie nic nie wiedzą. Nawet tego, czy za chwilę nie będą piechurami, jeśli ich żaglowiec nie zdoła się wywinąć. Tylko że jest jeszcze...

– Czyli na brzegu siedzi tylko pięćdziesięciu.

– Tylko. O, jak mało. Ale wiem, co myślisz, dowódco, też mi to chodziło po głowie. I uważam, że nie. Da się paru ustrzelić z zarośli, ale to nie jest miejsce na jakąś zasadzkę z prawdziwego zdarzenia. Gdyby nas było dziesięciu, mam na myśli łuczników, no to może tak. Ale jest kusznik, łucznik i pół łuczniczki, choćby nawet to ważniejsze pół.

Uśmiechnęła się kwaśno.

– Bo ty, dowódco, jeszcze przez tydzień nie strzelisz z niczego, chyba że będziesz trzymał łuk nogą – podsumował Sayl. – Ja naprawdę nie wierzę, żeby nasi rybacy rzucili się do otwartego boju w proporcji jeden na jednego i żeby coś z tego wynikło. A jak postrzelamy z Kizyną i zaraz uciekniemy, to właściwie zmusimy piratów, żeby napadli na wieś. Przecież nie będą tak trzy razy dziennie chować kolejnych czterech trupów, żeby potem znów beznadziejnie gonić konnych łuczników. Tylko że...

– Czyli właściwie nic się nie zmieniło. Zawierzamy matce głupich, że jakoś to będzie, i czekamy. A ta ich hersztowa? Czyli co, nie zeszła na ląd?

– No właśnie, bo zaczynam trzeci raz, a nie dajesz mi skończyć – rzekł Sayl. – Na żaglowcu też jej chyba nie ma. Nie na tym. Oni gdzieś tu mają drugi statek. Nie tak bardzo blisko, ale... gdzieś. Jakaś koga, chyba zdobyta, czyli... przyz?

– Przyz.

Robiło się coraz ciekawiej.

– Ale tutaj na pewno nie przyplynie, bo to „Trup” miał płynąć do tej kogi, tam jest tylko załoga przyzowa, czyli tak nieliczna, jak tylko można. A komendantka chyba na kodze. Ale raczej na niej nie siedzi, bo leży. Pijana.

– Pijana? – Ajan nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

– Kocur słuchał rozmów. Narzekali i marudzili. Hersztowa poszła w cug, a lubi na dwa tygodnie. Jeszcze nawet tydzień nie minął.

Znów przyszli Yolon i Nes zwabieni długą naradą. I dwaj rybacy w kolczugach.

– Jeszcze raz, bo nie mogę zrozumieć. Oni się tu tłuką, umierają... a ich hersztowa chleje? – Ajan nie dowierzał. – Na jakiejś zdobytej łajbie, pięć mil stąd?

– Nie wiem, pięć czy pięćdziesiąt. A może i sto pięćdziesiąt. Chłała, kiedy się rozdzielili. Teraz ci tu narzekali, wydziwiali. Gadali jakieś głupstwa. Że jakby była tutaj, i przytomna, toby podpałiła całą wiochę. Kot zrozumiał, że bez schodzenia z żaglowca. I tych dwóch strażników też by spaliła. Pewnie cały Dartan by spaliła. Ślepa Foka.

– No, mówiłem – przytaknął Gruby. – Ślepa Foka Ridi albo, w dupę, Piękna Ridi, znaczy nie W Dupę Piękna tylko, jebana, Piękna... Znaczy nie Jebana Piękna, tylko...

Wyglądało na to, że przydomka piratki Gruby nijak nie sforsuje.

– Już, wystarczy. Jeśli „Trup” się nie stawi na zbiórkę, to hersztowa może tu przyplłynąć na tym zdobyтым żaglowcu i go szukać. Chyba rzeczywiście leży nieprzytomna, skoro dotąd nie przyplnęła. Co my o niej wiemy? Co jest w tych wszystkich opowieściach i piosenkach, które się słyszy w knajpach? Ktoś coś o niej wie? Da się odróżnić chociaż słowo prawdy od bajań?

Zastanawiali się.

Wyszło, że najwięcej wie Garyjczyk.

Właściwie nic dziwnego. Ciekawsze historie opowiadano w miejscowych językach, przekładano niektóre żeglarskie śpiewki. Ale po garyjsku były wszystkie. Pociągający w knajpach piwo z dzbanka najemnik słuchał morskich opowieści, bo niczego lepszego do roboty nie miał. A niektóre słyszał tak często, że prawie już znał na pamięć. Nie wszystkie, rzecz jasna, były o „Zgniłym Trupie” i jego dowódczyni. Ale niektóre były.

– Para lat temu spaliła Lond. Wielki port w Grombelardzie. To chyba nie sama legenda. A inne? Ma jedno oko, wiadomo. W tym drugim, zakrytym, nosi klejnot, atmo. Czerwony kamień. Rubin.

Mówił. Słuchali.

Nie można jej było zabić, bo zaraz zdrowiała. Podpałala wzrokiem żagle na innych okrętach. Zawsze była w ciąży i co chwila rodziła wielkie rubiny, takie jak ten, który miała w oku. Nosiła przekłete imię, kto je wymówił, ten trup. Dlatego mówiło się Ridi, bo to było skrócone albo przekrecone imię i dlatego już nieprzekłete. Bardzo, bardzo piękna, włosy miała do ziemi, tyłek – o, a piersi – ympf, takie.

– Ale piękna – powiedziała Kizyna.

Wszystko to były jakieś brednie. No, może tylko ten tyłek – mogła mieć, to się zdarzało.

– Pewnie ma jakiś Porzucony Przedmiot – mruknął Sayl.

Wszyscy zamilkli, bo o Szerni i różnych cudach z nią związanych nikt nie lubił rozmawiać. Zresztą te „cuda” były zazwyczaj takie jak Ślepa Foka Ridi: bardziej zmysłone niż prawdziwe.

– Widziałam w życiu dwa Przedmioty, Latarnia świeci jak wiele świec, a Liść Szczęścia chroni przed chorobami. O innych tylko słyszałam. Rubin Córki Błyskawic to legenda.

– Coś w tym może być, już trochę o tym myślałem – powiedział Sayl. – W tym, że hersztowa pije. Kiedy rozmawiałem z tym jej drugim oficerem, wtedy w łodzi, powiedział coś takiego, że da mi słowo we własnym imieniu, bo dowództwo razem podejmuje decyzje. Pomyślałem wtedy: no, akurat. Ale może oni naprawdę muszą radzić we dwóch albo trzech? Komendantka pijana uparła się zostać na przyzie. Ja chyba rzeczywiście słyszałem, że ona umie dać w szyję. Kiedyś upiła się i zasnęła, musieli po nią gdzieś wracać... Coś było.

– No, jak jej tu nie ma, to nas nie podpali. – Ajan miał już dosyć rozmowy o kobiecie rodzącej rubiny, żeby je następnie włożyć sobie w oko. – Czyli co, czekamy?



– Tak chyba najlepiej. To dla nas największa szansa. Bo jak ten ich „Zgniły Trup” nie wróci, chłopaki z biwaku po prostu odmaszerują. Naprawdę rzuca się na naszą wieś? To teraz będzie ich największy kłopot?

– Ciągłe myślą, że trzymamy dziesięciu z nich.

Sayl wzruszył ramionami.

– Jeśli dotąd ich nie zatłukliśmy, to już raczej nie zatłuczemy, na pewno tak uważają.

– Tak uważają – powiedział kot przez sen.

Sayl pokazał zwiadowcę ręką: proszę bardzo.

– A jak przyplynie ten drugi? Przy?

– To wsiądą na niego i odpłyną, bo żadnych posiłków nie dostaną. I nadal będą mieli większy problem niż wywarcie pomsty na rybakach. Będą się gdzieś telepać w pięćdziesięciu na powolnej i nieuzbrojonej trumnie. Koga to nie jest okręt wojenny, już od jakichś pięćdziesięciu lat. Oni też pewnie zamierzali zrobić konwój, eskortować, może tam jest cenny ładunek. Tutaj chcieli tylko uzupełnić zapasy.

– A nie mogli nic przenieść z tamtej kogi? – zapytała Kizyna.

– Ech, nie wiem i pewnie nigdy się nie dowiem, przecież ja tylko zgaduję! Możemy tu wymyślić sto morskich historii i kiedyś, Kizynko, jak spotkamy się przy grzonym winku, to opowiem ci wszystkie po kolei. Teraz myślę, co dla nas z tego wynika, dla tej tu historii, w której właśnie siedzimy po uszy, i wychodzi mi, że nic. Jeżeli „Zgniły Trup” przepadnie, to mamy piratów z głowy. Powiedziałem, co myślę. Teraz pytaj dowódcę, co rozkaże.

Ajan myślał i myślał. Gotów byłby obudzić kota i wypytać jeszcze o szczegóły, ale wiedział, że tylko go rozzłości. Gdyby kocur miał coś do dodania, toby dodał, spanie mu w tym nie przeszkadzało, co wyszło na jaw przed chwilą. A naprawdę musiał już się nagadać, przekazując wszystkie wieści rycerzowi i łucznikowi.

– Jeśli nie przyjdą... to nie przyjdą. Ale jeśli ich okręt jednak wróci i wysadzą resztę... Yolon, Nes – powiedział do rybaków – nie obronimy was tutaj. Próbowaliśmy i widziałeś, że tak było, ale nie dało rady. Teraz wyróżną wszystkich, was i nas, do ostatniego. Nie obronimy was przed setką piratów – powtórzył. – Jest trochę czasu, popakujcie, pozakopujcie wszystko, co możecie. Może kiedyś coś odzyskacie. Ale teraz, jeżeli wyląduje reszta, to zabierajcie się z tej wsi, bierzcie kozy, narzędzia i co tam macie cennego. Piraci spalą wieś, po lasach szukać was chyba nie będą. Odpłyną. Pobudujecie się od nowa tutaj albo lepiej gdzieś indziej.

– Jakże tak, panie?

– W najbliższym obwodowym mieście królewski urzędnik wam powie, gdzie możecie osiąść. Zaczniecie od nowa w innym miejscu. Nie będziecie mieli niczego, ale będziecie żyć. Może nawet zwolnią was na kilka lat z daniny.

– Nie, panie. Ludzie nie pójdą.

– Wylądowali, słyszysz mnie czy nie słyszysz? Teraz jest ich ośmiu na jednego, a może być piętnastu na jednego. Licząc nas i was wszystkich, razem z Miholem i resztą takich rębajłów, będzie ich dwóch na jednego. Chłopie, oprzytomniej! O czym mówiliśmy w Nin Aye? Że może przepędzimy tych z szalup, a wtedy pozostali się zniechęcą. Zniechęcili się?

– Ale oni, mówicie, panie, że nie przyjdą?

– Nie wiadomo. Jeżeli jednak przyjdą, to musicie być gotowi, żeby uciec.

– Panie, my nie pójdziemy.

– Wolicie umrzeć? Byle tylko nie budować nowych chałup?

– Nie, panie. Ale my już gadali... Może da się piratów ubłagać.

Zaległa cisza.

– Dzieciaki wygadały – powiedział Gruby. – Dzisiaj, dopiero co, jak leżałem na wydmie, a wyście tu sobie drzemali. Ja chyba wiem, dlaczego oni tutaj przyplływają.

Pomagająca obserwować okręt dzieciarnia garnęła się do Grubego. Szczególnie mniejsze i drobniejsze chłopaki, wszystkie wioskowe gapy i łamagi upatrzyły go sobie na bohatera. Nie był wielki, piękny ani silny, nie nosił zbroi i nie jeździł na koniu. A wszyscy najemnicy traktowali go jak swego, był jednym z nich. Nieudane dzieciaki uwierzyły, że można zostać wojownikiem i bohaterem, nawet jeśli jest się wioskową oferłą. I wołają cię Mały, Glutek albo Żaba.

– Jak to było z tym rozbitym statkiem, co?

Yolon popatrzył na Grubego, potem na Nesa i dwóch rybaków w zbrojach, potem na wszystkich najemników.

– Ale... co było, panie? Ze statkiem?

– Rozbił się tu niedaleko żaglowiec, morze wyrzuciło na plażę tyle dobra... Było tak czy nie było?

– Tak, panie. Ale wszystko, co z morza, to niczyje.

– A marynarze, rozbitkowie? Co z nimi?

Yolon chyba zaczął coś rozumieć. Pozostali rybacy też.

– Ale przecie, panie... To nie z tego żaglowca oni byli! Nie piraci!

– Podobialiście rozbitków, tak? Czy nie?

Yolon przełknął ślinę.

– Tak czy nie? Któryś był bezczelny, może kupiec, i powiedział, że to wszystko jego? Zdechłak z wody, a taki nieużyty.

– Nikt, panie, nie chciał. To jakoś tak samo wyszło.

– Samo wyszło.

Gruby wskazał kciukiem za siebie, w stronę cypla, za którym przepadł okręt z czarnymi żaglami.

– Może toto się nazywa „Zgniły Trup”, ale siedzą na nim ludzie morza. Pewnie nie wszyscy, ale niektórzy tak. Po prostu marynarze, choćby i piraci. Pałą żaglowce, mordują... Ale jak na morzu zobaczą w wodzie człowieka z deską pod pachą, to ryczą „człowiek za burtą!” i wylażą ze skóry, żeby go wciągnąć na pokład. Dziwny świat.

Tak ładnie i składnie Gruby nie mówił nigdy.

– Człowiek zabija człowieka, wróg wroga, tak to jest. Ale kiedy ludzi zabija morze, to się ich ratuje. Każdemu może przypaść taki los. Pewnie przyplłynęli przypadkiem i znaleźli w chałupach dużo żeglarskich rzeczy. Przyłożyli komuś parę razy i wtedy wyśpiewał, skąd to ma. Teraz już wszystko sprzedane albo zakopane.

Pokiwał głową. Patrzył na Yolona.

– A to nasze srebro, to skąd?... Z sakiewki zatłuczonego wiosłem marynarza? A matka Garyjka, co, dalej czeka na kłifie?

o o o

Wszystko się rozlało.

Nie minęła nawet doba od chwili, gdy czworo strzelców na brzegu najdosłowniej własnymi ciałami zasłaniało wioskę. Potem zbiegli na plażę wieśniacy i stali wszyscy razem nad morzem, ramię przy ramieniu. I wtedy się wydawało, że tak już zostanie. Na dobre albo na złe.

Jedna doba.

Rybacy marzyli o prześląganiu piratów. Najemnicy pytali się wzrokiem, czy nadal chcą umierać za tę wieś.

Sayl i Ajan myśleli o zasiekach. Można by przegrodzić największe prześwity, „ulice” między domami, chociaż wokół placyku przy studni. Tak na wszelki wypadek; co to szkodzi? Poznosić jakieś stoły, belki, drabiny. Porozwieszać sieci.

Rybacy stanowczo zaprotestowali. Coby nie pogńiewać piratów.

Ajan wystawił rybackie warty we wschodnim lesie za wydmami, od strony zbójckiego biwaku, najbardziej po to, żeby dać chłopom zajęcie. Potem po raz ostatni najemnicy zebrali się przy ognisku. Ale niewiele gadali.

Po południu Sayl pojechał złuzować rycerza i zabrał ze sobą dwóch młodych, mocnych w nogach rybaków. Rycerz wrócił, posilił się. Wszyscy pojedli, pospali, nadszedł wieczór.

Kot został. Nic nowego podsłuchać nie mógł, bo nic się u piratów nie zmieniło. Nie przespałby kolejnej nocy, słuchając o dziwkach na okręcie. Wypoczęty mógł się jeszcze przydać, gdyby żaglowiec wrócił. Do pilnowania pirackiego biwaku trzech ludzi zupełnie wystarczało.

– Muszę już jechać, wasza godność – powiedziała Kizyna. – Z łucznikiem się pożegnałam, wiem, jak jechać, żeby nie wpaść na biwak piratów. Trochę nadłożę drogi, ale na pewno zdążę.

Wciąż nie wyglądała najlepiej. Ale nie miała gorączki.

– Nie na wiele się przydasz w Nin Aye.

– Ani gdziekolwiek. Ale o tym nie ty, panie, decydujesz. Ani ja.

Gerhedrr wsadził ją na grzbiet wierzchowca. Zaśmiała się po swojemu, pochyliła się i porządnie go pocałowała.

– Nie żałuję tych pięciu sztuk złota, najemniku.

– A ja bym ci się, straża, oddał i za mnie.

Jeszcze raz parsknęła śmiechem i pojechała przez łąkę. Patrzyli, jak zmierza ku wiosce.

– No, to ja też idę, dowódco – rzekł kusznik. – Bałem się, że jak powiem chwilę wcześniej, to ta głupia gotowa tu zostać. Ale pewnie i tak by pojechała.

Wszyscy trzej spoglądali na Grubego. Bo kot spał.

Nie spieszył się z tłumaczeniem. I popatrzył każdemu w oczy.

– Na słówko, dowódco, powiem tylko tobie. Bez urazy, wasza godność. Garyjczyku. I kocie.

Wstali i poszli w stronę lasu. Niskie słońce grzało leniwie, do nocy było jeszcze sporo czasu.

Kusznik już znowu mówił po swojemu, trzeba było odciedzać każde słowo.

– Z miasta uciekać musiałem, ale przecież niekoniecznie z wami, trochę srebra nigdy mi nie śmierdzi, ale nie za położenie łba pod topór. Siedzę w knajpach, łażę po mieście, znam każdego, wiem wszystko, a co wiem, to sprzedaję. Im. – Wycelował palec w stronę morza. – I takim jak oni, ale najbardziej im, bo dobrze płacą. Wiedziałem, kto tu przyplýwa, i zabrałem się z wami, żeby zdradzić. Was. Za to to dopiero by mi zapłacili!

Bardziej jasno już się nie dało. Różne ozdobne słówka nawet nie przeszkadzały.

Przystanęli. Ajan patrzył małemu człowieczkowi prosto w oczy. Tak jak on wcześniej swoim towarzyszom.

– Paru wcześniej zabełtowałem, takie życie i taka robota, moja i ich, nikt zresztą nie musi wiedzieć. Na plaży mogli mnie poznać, ale prędzej nie, bo ledwie kilku z tej łajby wcześniej mnie widziało. A nawet jak poznali, to i tak nic mi nie zrobią, wyłgam się byle czym albo nawet powiem wszystko, jak było. Oni potrzebują tego, co sprzedaję, i dalej

będą potrzebować. Gdzie płynie jaki statek i z jakim ładunkiem, kto kradnie, a kto uczciwy, że nowy komendant portu to pierdoła, że tego można postraszyć, a tamtego kupić... Jeszcze rano myślałem, jak zwiać do nich, odkąd stało się jasne, że wysiedli na brzeg. Już, już miałem się zgłosić, że podrepcę zamiast rycerza, alebyście mnie nie puścili, bo potrzebny był konny. No i ja już rano nie wiedziałem, czy chcę.

– I dlaczego nie chciałeś? Bo nie wiadomo, co z okrętem?

– A co z okrętem? Wymigają się. Ci strażnicy mają swój konwój, jeśli nie dopadli ich od razu, a nie dopadli, bo słyszałeś działa? No, ja też nie, ani nawet kot. Jak ich od razu nie dopadli, to długo gonić nie będą. Odpędzili, wystarczy, teraz mają pilnować swoich statków, a skąd mają wiedzieć, czy tu jakiś drugi pirat nie pływa? Niesłychane? Dwa pirackie żaglowce razem? Będą gonić swój konwój, i to szybko, pewno już go gonią. O, teraz mogłem zabrać się z Saylem, bo i tak wziął piechurów rybaków.

– To dlaczego się nie zabrałeś?

– Bo raz, że musiałbym go zastrzelić, a dwa: nie chcę być jak te wiejskie smrody. Robi się w życiu to albo tamto, ale trzeba coś uszanować. Od piratki biorę srebro, ani mi ona siostra, ani choć dupodajka, a tu z wami... Mogli mnie na tej plaży zatłuc tak jak każdego z naszej czwórki, a kiedy Sayl mi powiedział, żeby cię odwlec do tyłu, to wtedy do mnie dotarło, że jakbym oberwał, to ty byś tak samo mnie włókł. Nie ukręcę sobie sznura na szyję i nie zostanę w tej zapchlonej wiosce, ale ludzi, przy których stałem, a nawet tego kota, nie sprzedam. A Sayl to naprawdę jest Sayl, prawdziwe imię ma takie, tylko myśli, że ja o tym nie wiem. – Gruby roześmiał się nagle. – Wszyscy znają jego inne imię i myślą, że jest prawdziwe, a tobie podał akurat prawdziwe, niby że fałszywe, niech mnie... Nie mów mu o mnie, dowódco, ja mu dobrze czasem pomagam. I ja sam mu powiem to wszystko, ale wtedy, kiedy będzie na to czas. Już niedługo, nie żeby na łożu śmierci. Uwierzysz, jak dam słowo? Nie mów mu.

– Jego też chciałeś zdradzić?

– No. A kto to jest Sayl? Płacił mi czasem za robotę, tak jak Ślepa Ridi za wieści, i nic sobie więcej nie byliśmy winni. Znaczą kiedyś, bo od paru dni to inaczej. A teraz pomacham tym tutaj, ucałuję ich i idę, jak trochę poprzebieram nogami, to przed zmierzchem dogonię niewolnicę. Może wcześniej, jeśli się obejrzy.

– Będziecie wracali razem?

Kusznik popatrzył uważnie.

– No... czyś ty zgłupiał, dowódco? Po co miałbym jej robić coś złego? Ona też stała ze mną na tej plaży, was nie sprzedam, a ją zachechłam na biwaku? I opowiadałbym ci teraz to wszystko? Mogłem odejść po prostu na stronę i tyle byście mnie widzieli. W ogóle wszyscy puknijcie się w głowy, bo coś nie tego. Jeszcze czas. O tym, dlaczego „Zgnilek” tu przyplęwa, to naprawdę dowiedziałem się dzisiaj, od dzieciaków. Wiedziałem, że przyplęwa, ale nie wiedziałem czemu. Można zdychać za flądre, ale nie flądrolowa. Bo mniej wart.

– A te dzieciaki, Gruby?

Machnął ręką.

– Nic im nie zrobią, chyba tylko przypadkiem. O rubinie w oku słyszałeś, a o tym, że Foka kocha dzieci, to już nie? A które z tego może być prawdą, co? Jak myślisz? Wyrwałaby nogi całej załodze, i to naprawdę całej, a boją się jej, że ja pier... – Długo jeszcze tłumaczył, jak bardzo. – Zapytaj w tej wsi kogokolwiek, czy skrzywdzili tu kiedyś dzieciaka.

– Zostaną sierotami. Te dzieciaki.

– A, to co innego. To już trudno – powiedział i pomaszzerował przez łąkę. – Ja od zawsze jestem sierotą, a zobacz, jaki ładny urosłem. Rodzic, to wiesz... Nic dobrego.

## ROZDZIAŁ 10



**W**nocy Sayl przygalopował po kota.

– Coś się dzieje i nie wiem co – powiedział krótko.  
– Okręt nie wrócił, siedzą, jak siedzieli, ale chyba... Nie upilnowaliśmy zwiadowców. Uważajcie. Ktoś tu chyba był, a może nadal jest.

Kocur wskoczył przed niego i pojechali z powrotem.

Trzej najemnicy obeszlą chałupy i pobudzili wieśniaków. Potem zebrali się przy studni.

Nie minęło wiele czasu, a łucznik wrócił.

– Idą tutaj. Plażą. A druga grupa tą drogą co my. Rybacy biegną i jak dadzą radę, to przybiegną, a jak nie, to schowają się gdzieś po drodze. Kot został w lesie za wioską, nam kazał pilnować plaży. Nie kłóciłem się, wie, co mówi. W lesie niczego nie upilnujemy, prędzej zobaczymy tych na plaży.

– Dlaczego się ruszyli?

– Skąd mam wiedzieć? W dzień nie podsłuchałby ich nawet kot, biwakowali ładny kawałek za laskiem, przenieśli się prawie na brzeg, chyba żeby wypatrywać żaglowca. W lesie wystawili tylko czaty, w dwóch miejscach po dwóch wartowników. Dało się obserwować ich obóz z daleka, ale podejść w dzień naprawdę trudno. No i coś przegapiliśmy, jego godność Selett albo ja.

Ajan milczał, bo nie miał pojęcia, co robić, ale nie chciał tego okazywać. Pogubiony dowódca to było ostatnie, co chcieliby zobaczyć zarówno jego towarzysze, jak i wieśniacy.

Z nocnym atakiem w ogóle się nie liczył. Piraci nie byli głupi, musieli wiedzieć, że są obserwowani. Noc nie mogła dać im przewagi zaskoczenia. Dlaczego więc chcieli biegać po ciemku między chałupami? Rybacy znali tu każdy kąt, oni nie. Co strzeliło do jakiegoś pirackiego łba?

– Co z końmi? – zapytał rycerz.

Przeciw grupie idącej plażą konie mogły się przydać. W nocy we wsi – tylko przeskadzać.

– Konie na razie tutaj – powiedział Armeктаńczyk. – A nawet dalej, przy samej wydmy, tam gdzie my. Twój chłopiec, wasza godność?...

– Tu jestem, panie – powiedział dzielny dzieciak.

– Jeśli coś się zacznie dzieć we wsi, trzeba szybko ukryć konie w lesie. Tym naszym lesie, za łąką, za mogiłą piratów.

– Słyszałeś – powiedział rycerz.

– Tak, panie.

Poszli na stare miejsce, gdzie już nawet nie rosła nadmorska trawa, bo wygnietli ją do szczętu w ciągu kilku ostatnich dni. Księżyc świecił jasno, rzadko przysłaśniały go chmury.

Ajan krótko powiedział o Grubym. Że poszedł.

– Mądrze zrobił, już wiem, że poszedł. Od kota – odrzekł Sayl.

I ani słowa więcej.

– Idź do wieśniaków, Sayl. Muszą być dowodzeni. Powiedz im, co i jak, bo na razie nie wiedzą, co się dzieje.

Łucznik odszedł.

Morze szumiało sennie, chmury przysłaniały i odsłaniały księżyc. Czas płynął.

Przytruchtali do wsi dwaj półżywi rybacy. Ledwie mogli mówić, ale dużo się nagadali, bo nic do powiedzenia nie mieli. Biegli, szli, truchtali, aż znaleźli się w wiosce.

A piraci za nimi? No, panie, pewno idą!

Pewno szli.

Sayl posłał tę wiadomość na wydmę.

I rzeczywiście szli, ale tylko kilkunastu. Nie wiadomo, gdzie była reszta. Kocur przybiegł z wieścią, że piraci zapadli we wschodnim lasu pod wsią, po czym z powrotem wsiąkł w mrok. Poszedł podsłuchiwać.

Czas płynął i płynął.

Minął środek nocy. Nigdzie nic się nie działo.

– Gdyby mieli być, to już dawno by byli – rzekł Ajan. – Zepchnęli nas do wsi, może tylko o to im chodziło. Już nie są obserwowani i świetnie o tym wiedzą, teraz to oni nas obserwują. Do rana już chyba nie uderzą.

– Może czekają na okręt – rzekł rycerz. – Mogli dostrzec przed zmierzchem, że wraca. Odgradzili nas od miejsca lądowania. Nie będziemy wiedzieć, że dostali posiłki.

– Może tak. A tych pięćdziesięciu może być teraz gdziekolwiek. Kilkunastu w lesie pod wsią, prawie pod drzwiami wędzarni Dziadka. Gdzie reszta?

Jeśli piraci mieli rozum – a chyba właśnie dowiedli, że tak jest – i siedzieli cicho, to naprawdę mogli być gdziekolwiek. Choćby i na plaży, pięćset kroków dalej. Albo w lesie po drugiej stronie wsi, od strony łąki i mogiły. Mieli pół nocy, żeby podejść do wioski z każdej strony. Mogły być dwie grupy, trzy, nawet cztery.

– *Kahor* – powiedział najemnik. – Słuchaj mnie. Nie ufam rybakom.

Ajan nie odpowiedział.

– Trzymajmy się razem i lepiej odwołaj Sayla. Jak zobaczą piratów, to mogą nas pobić i wydać. Dla prześlągania tamtych.

– Gerhedrr, ja nie mogę tak myśleć. Yolon, Nes...

– Oni dwa może nie.

– Jeśli jest tak, jak mówisz, to rozmawiasz z trupem. Nie, to gadają dwa trupy, trzeci słucha, a czwarty pilnuje lasu. Do tej pory nas nie zawiedli.

Gerhedrr uśmiechał się często, lecz śmiał rzadko.

– He, he... Posłuchaj się, *kahor*. Oni nas?... Kto tu kogo miał nie zawieść? Oni nas?

Ajan nie zamierzał na okrągło roztrząsać decyzji o przyjsciu wiosce z pomocą. Ale zdarzały się chwile, gdy nie umiał odpędzić myśli.

Byli piraci i byli rybacy. I byli najemnicy. Trzy światy mające się do siebie nijak. Albo i gorzej, niestety, bo najemnikom było już bliżej do piratów niż do chłopów, których mieli bronić. Ci chłopci niby dotąd rzeczywiście nie zawiedli, ale przecież raczej miał Garyjczyk. Kto tu kogo powinien nie zawieść?

Czterej ludzie z bronią w ręku próbowali pocieszać się myślą, że wieśniacy zechcą ich wesprzeć. W obronie własnej wsi.

A gdyby tak rybakom zapłacić? Uprosić ich, namówić; może wtedy...?

– Oni po prostu nie potrafią – powiedział bardziej do siebie niż do towarzyszy. – Nigdy nie stawali w obronie życia, więc dlatego przyszli do nas. Chodzą, gdzie im każemy, robią, co każemy, i naprawdę uważają, że to więcej, niż trzeba. Nie umieliśmy

im wytłumaczyć, że każdy musi chcieć bronić się sam, a inni mogą mu najwyżej pomóc. Pomóc komuś, kto sam bardzo chce. A to znaczy, że będzie walczył o życie nie tylko w wolnej chwili, jedną ręką i raz w tygodniu. I kiedy nie pada deszcz.

Wzruszył ramionami i dorzucił:

– Myśleli, że zrobimy coś za nich, ale nie zrobiliśmy. No to teraz próbują po swojemu. Może przebłagać, a najlepiej to w ogóle nic nie robić, bo dyć przecie jakoś to będzie. Ale nie wierzę, że wydadzą nas piratom.

Więcej nie rozmawiali.

Kot wrócił nad ranem. Niczego nie podsłuchiwał, piraci w lesie niewiele mówili między sobą, a jeśli już, to przeważnie po garyjsku. To nie był leniwy biwak, gdzie w oczekiwaniu na lądowanie reszty z nudów gadali o okrętowych pięknościach i o wszystkim, co przyszło do głowy. Ci tutaj obserwowali z lasu oświetloną księżycem wieś, nasłuchiwali. Uzbrojeni po zęby, połowa w koleczuchach, co najmniej dwóch łuczników, może więcej. Trudno dokładnie policzyć, trzej gdzieś poszli, dwaj przyszli, ci sami lub nie ci sami, kocur nie mógł być wszędzie jednocześnie i każdego uważnie obejrzyć. Wyglądało na to, że rano zaatakują.

Gdzie były inne oddziały, kot nie wiedział. Obiegł jeszcze kawałek lasu, sprawdził też plażę. Nikogo.

Do świtu nic się nie zdarzyło.

Sytuacja się odwróciła, teraz to wieś była obserwowana. Posyłanie kota na przespiergi nie miało większego sensu. Mógłby pewnie po jakimś czasie wykryć pirackich czatowników, może oddział – tylko co z tego? Mieli ganiać po krzakach pojedynczych piratów albo uderzyć na grupę?

Mógłby też sam zostać wykryty; wstawał dzień. Nawet kot nie był niewidzialny.

Chłopi przestali całą noc na placyku. Dłużej tak się nie dało. Bezczynność i oczekiwanie wyniszczały. Jak długo można trzymać na nogach całą wieś?

Ajan poszedł porozmawiać z Yolonem. Ale rybak przemówił pierwszy.

– Idźcie, panie – powiedział. – Odejdźcie. My już was tutaj nie chcemy.

Oparty o ścianę domu, obserwujący nieodległy las Sayl odwrócił głowę i uśmiechnął się. Potem znowu zapatrzył się na las, którego czarny kontur coraz mocniej odcinał się od nieba. Lada chwila miało wzejść słońce.

– Oni zaraz uderzą. Tak myślę – powiedział Ajan. – Kiedy zrobi się całkiem jasno.

– Właśnie, panie. Idźcie, i to już. Bo my teraz idziemy tam do nich.

– Ubłagać.

– Tak, panie.

– Zabiją was.

– To zabiją. Co ma być, to będzie. Powiem, żeśmy was wypę... że poszłście.

– Zapytają zaraz o swoich. Tych dziesięciu z drewni. Pierwsze, o co cię zapytają.

– A my, panie... My od razu powiemy, że to wyście ich pozabijali. Przecież was już tutaj nie będzie.

Ajan patrzył na rybaka, tego najmądrzejszego z całej wsi. Czy naprawdę mówił to, co myślał, czy tylko to, co kazano mu mówić? W imieniu wszystkich mieszkańców.

Jakie to miało znaczenie?

Wieśniacy zza pleców Yolona twardo spoglądali w oczy dowódcy najemników. Niektórzy ostentacyjnie poodkładali wiosła. A inni przeciwnie – trzymali swoje tak krzepko jak nigdy i stawali się jasne, że za chwilę oberwie którymś w głowę. Powiedziano mu, co ma zrobić. Wynosić się z ich wsi, i to już.

Chyba lepiej było nie igrać z tymi dzielnymi ludźmi.

– Dobrze, Yolon. Tak jak powiedziałeś.

Rybak podał woreczek z pieniędzmi, uszczuplony tylko o to, co wziął Gruby. Wszystko sobie już przygotowali.

– Sayl – powiedział Ajan.

I poszli.

Przedstawili sprawę towarzyszom, zabrali konie i ruszyli na łąkę. Przy wygasłym ognisku zostało trochę rzeczy. Pozbierali.

Przyszedł Nes.

Miał zdobyczną kolczugę, a u pasa miecz. W garści swój topór ciesielski, na ramieniu wypchany worek.

– Ja z wami, panie. Pozwólcie.

Ajan pokazał las.

– Oni mogą być wszędzie. Wiemy tylko o tej grupce z drugiej strony wsi. Nie wiadomo, jak daleko zajdziemy. Ja na ich miejscu urządziłbym zawody w strzelaniu. Dopóki jesteśmy na tej łące. Już dnieje i trochę nas widać.

Rybak nie odpowiedział. Ajan skinął głową i ruszyli do lasu za mogiłą piratów. Czyli niemal w przeciwną stronę, niż leżało Nin Aye, ale przecież nie mogli pchać się prosto na oddział we wschodnim lesie pod wsią. Armektańczyk obejrzał się za siebie, ale nie mógł zobaczyć, czy Yolon już poszedł negocjować.

Zatrzymał się na skraju lasu, zaraz za pierwszymi drzewami.

– Tu w każdym razie żadnej armii nie ma – powiedział. – Jedźcie dalej, dogonię. Muszę wiedzieć, czy spalą tę wieś.

– Jeśli spalą, to dym będzie widać z Nin Aye.

– Ale stamtąd nie będę mógł gasić.

Za lasem wstawało słońce. Gdzieś na drugim końcu wsi zaszczekał pies.

o o o

Yolon poszedł, a razem z nim trzech rybaków. Byli już przy wędzarni Dziadka. Z lasu wyszło na spotkanie dwóch piratów.

Pogardliwie dwóch przeciw czterem. Co prawda nieuzbrojonym.

Yolon poznał Żółtego Dziada i pomyślał, że chyba nie ocali wsi. Staruchowi towarzyszył tłumacz Dartańczyk, pewno kiedyś rybak w jakiejś wiosce. Mówił tak samo jak Yolon.

o o o

Pierwszego dnia płynąca po prowiant i wodę grupa dała się złapać w sieć. Potem oddział zaskoczonych zbójów stratowali na brzegu nocni jeźdźcy. Wreszcie parunastu strzelców na rozchwianej tratwie nie sprostało czwórce na brzegu.

Ale na pirackim żaglowcu nie pływały mazgaje, oferry ani sami nieudacznicy. Byli gnidy, dla których brakło miejsca na każdym innym pokładzie, byli marni wojownicy, którzy nadawali się tylko do żagli, a niektórzy może do dział, bo na pewno nie do abordażu. Byli łucznicy i kusznicy, niektórzy całkiem nieźli i odważni, ale raczej strzelający z kaszteli niż tęskniący do siłowej młócki. Było parę okrętowych dziwek, które nadawały się tylko do jednego, i kucharz, który nie nadawał się zupełnie do niczego. Ale było też sporo ludzi, którzy nie tylko chcieli, ale na dodatek umieli się bić.



I nosiło ich; i nie wytrzymali. I nie zaczęli na resztę.

Dowódca najemników próbował wejść w położenie wroga, przeniknąć jego plany. A nie było żadnego planu, nikt nie otoczył wsi. Po prostu grupa rozsierdzonych i niestrachliwych zbójów miała dosyć dreptania w miejscu, brania ciężów od rybojadów, a miary dopełnił widok czmychającego żaglowca. Czy naprawdę bez przerwy mieli tutaj dostawać w skórę? Z lewa i z prawa, od każdego?

Spośród wysadzonych na ląd daleko nie wszyscy pałali żądzą czynu. Piraci w nocy pobili się między sobą, i to tak, że jednego już nie połatano i wyzionął ducha nad ranem. Większość ani myślała wystawiać skórę na szwank, zamierzali czekać na powrót żaglowca, i tyle. Potem całą załogą mogli maszerować do wioski – jak trzeba, to trzeba, trudna rada. Ale sami nigdzie ruszać się nie zamierzali.

Dowódca najemników myślał o piratach jak o jednolitej grupie. Nie potrafił należycie ocenić poniesionych przez nich strat. Szyszka była równa innej szyszce – ale człowiek człowiekowi nie. Najbardziej zadziorni awanturnicy skończyli na plaży pod kopytami koni. Spośród pozostałych niestrachliwych blisko połowa oberwała na tratwie. „Zgniły Trup” postradał trzecią część załogi – ale z tą jedną trzecią niemal całą siłą bojową.

Banda pod lasem chciała tylko czekać. A potem najlepiej od razu wrócić na swój okręt.

Tylko osiemnastu – a może aż osiemnastu? – uważało inaczej. Niemal siłą dobrali jeszcze trzech.

Nie bali się najemników, bo tak samo umieli walczyć. Na rozchybotanej tratwie to nie była żadna walka. Co innego teraz. No, chodź który...

Wieśniacy skupili się na skraju wsi, chciwie obserwując negocjacje, od których wszystko zależało.

Spory kawałek za strumykiem, prawie przy samej wędzarni, Yolon rozmawiał z piratami. Nie trwało długo, jak zawrócił, dostał kopniaka w tyłek i powłókł się z powrotem, prowadząc swoich. Pirat krzyknął, z lasu zaczęli wychodzić pozostali. Ruszyli za rybakami. Kilku pobiegło przodem z bronią w rękę. Przeskoczyli strumyk, poodpychali na boki wystraszonych chłopów i zaczęli przetrząsać chałupy, zaglądać we wszystkie zakamarki.

Kogoś bawiło kopanie Yolona. Obrywał co kilkanaście kroków, podrzucało go trochę, ale nie przystawał i nie oglądał się za siebie.

Inny pirat kopnął drugiego rybaka, jeszcze inny trzeciego. Ubawiło to resztę. Negocjatorów wniesiono do wioski na kopach.

Czekający wieśniacy powسیąkali do domów, nadchodzących witała najwyżej połowa, ustawiona w milczący, nierówny szpaler. Rozpędzono ich, mieli zaraz wrócić z kobietami, dzieci mogły zostać w chałupach. Yolona i jego trzech towarzyszy dokopano do studni, z koszyka wysypały się szyszki. Na cembrowinie mieli poucinać sobie ręce, kiedy już wszyscy będą patrzeć. Lewa łapa na cembrowinie, w prawej będzie siekiera, w ten sposób. Potem się zobaczy, co dalej.

Nikt nie zamierzał puszczać z dymem wsi za zwykłą chłopską głupotę. Parę kuksańców, to wszystko.

Wypatrzone rybaków w kolczugach, bo nie wszyscy zdjęli. Raptem dwóch. Tych miały powiesić ich żony. Jeden nie miał żony. To siostra.

Wokół studni gromadził się tłumek. Niektóre kobiety płakały. I niektórzy mężczyźni też.

Dano tym klęczącym przy studni po siekierze. Gdy padł rozkaz, dwaj wrzasnęli i odrabiali sobie ręce. Jeden dobrze, drugi miał poprawić. Trzeci się nie przemógł, a Yolon rzucił się z siekierą na Żółtego Dziada.

Stary dowódca pokładowych strzelców trzymał w ręku tylko swój łuk. Nie miał gotowej żadnej innej broni, ale nie miał też cierpliwości do niezguły, więc puścił ostrze siekiery bokiem i smagnął rybaka łączyskiem przez pysk, wyrwał mu z ręki i odrzucił precz siekiere, a potem tłukł łukiem tak długo, aż zatłukł.

Wyrzynano wszystko, co żyło, nawet psy.

Kobiety biegly do chałup, do dzieciaków, niektórzy mężczyźni uciekali, inni rzucali się na piratów. Dwaj rybacy w kolczugach, już z pętlami na szyjach, rzucili się pierwsi, więc od razu ich spotkał los odważnych. Upadł między domami wieśniak z wbitym w kark toporem, błysnął w powietrzu nóż i kawałek dalej zaniosła się wrzaskiem kobieta. Dostał strzałę w plecy wyrostek, pędzący do ojca, smaganego łączyskiem łuku po głowie. Jakaś wyjąca kobieta rzuciła się z pazurami na stojącego z boku paskudnego cherlaka z łukiem, ten odskoczył i podstawił jej nogę, a potem skopał na ziemi, ale tak, że po chwili przestała wrzeszczeć. Pełzła, więc podskoczył i wylądował kolanami na jej plecach. Nie wstając, nałożył strzałę na cięciwę i strzelił do półosłepłego, skrwawionego rybaka w kolczudze, który trzymał skrzydło otwartych drzwi i próbował się dźwignąć na nogi. Pomyłony Miholo rąbnął na kolana i wyciągnął ku najeżdźcom obie ręce, z których jedną mu z miejsca odrąbano, a zanim zadławił się rykiem, drugi pirat rozwalil mu łeb. Jakiś rybak wbiegł do chałupy i jeszcze szybciej wyskoczył z powrotem, bo w środku byli piraci. Z okna domostwa śmignęła strzala, utkwila w drzeniem w ścianie domu po drugiej stronie placyku. Jeden ze skowyczących jednorękich wieśniaków przy studni został popchnięty i wpadł do niej. Porwał z ziemi porzucone wiosło chłop w zakrwawionej koszuli, wyrznął w łeb najbliższego pirata i sam upadł, pchnięty w brzuch mieczem. Ogłupiała baba próbowała wleźć do izby przez okno, więc przebiegający obok żeglarz skorzystał z zachęty i przez kiecę wepchnął jej od tyłu miecz tam, gdzie najchętniej by wsadził coś innego, no ale przecież nie teraz. Wielkie chłopisko z okutą żelazem pałką w garści rozwalilo łeb pędzącemu wieśniakowi z bosakiem; ten próbował odskoczyć, lecz nie zdołał, w zamian poczęstował żelazcem innego, który chyba biegł mu z pomocą. Dzierżący maczugę podstarzały drągal dogonił umykającą kobiecinę i pchnął w tym kierunku, w którym uciekała, więc wyrznęła twarzą w ścianę domu i już pod tą ścianą zaległa. Łupnął belt w okiennicę – piraci mieli kusznika. Znowu warknął w powietrzu topór, pirat wyrwał go z pleców półtrupa i od razu znów rzucił, bo w lewej ręce miał miecz i nie bał się, że zostanie bezbronny.

Rozbrzmiał tętent. Gnady ogier zarył w ziemię kopytami na samym skraju placyku, bo jeździec nie chciał wpaść w ten mętlik konno. Dowódca najemników zeskoczył na ziemię i z mieczem w ręku rzucił się na nożownika, który właśnie przed chwilą cisnął swoją broń. Pirat kogoś trafił, ale w następnej chwili stracił nos, bo choć dostrzegł zagrożenie, to nie odskoczył dość szybko. Zaryczał, odskoczył jeszcze dalej, wyrwał zza pasa kolejny nóż, jednocześnie wyciągając z pochwy miecz. Ajan potknął się o nogę wieśniaczego trupa i poślizgnął w kałuży krwi, co być może ocalilo mu życie – zarobił nóż w bok zamiast w brzuch. Nie chciał żadnej zdobycznej kolczugi, nigdy nie walczył w czymś takim; może kiedyś należało zacząć?... Teraz nie odzyskał równowagi, wyrznął lewym barkiem w ścianę – i był gotów. Zrobiło mu się ciemno przed oczami, omal nie zgubił miecza, ale choć go utrzymał, zasłonić się nie zdołał, bo nawet nie widział, przed czym. Chlustający krwią z resztki nosa pirat podbiegł, wznosił broń do ciosu i wrzasnął, gdy potworny nietoperz, jakaś czarna istota nigdy w życiu dotąd niewidziana, znalazła się na jego pokaleczonej twarzy, rozszarpując kącik oka i powiekę, brew nad drugim okiem, odrywając do reszty zwisający kawałek nosa. Wrzasnął jeszcze głośniejsze, zepchnął to coś z twarzy i odrzucił w bok. Cokolwiek to było, gdzieś przepadło. Zwrócił się ku wrogowi skulonemu przy ścianie i opuścił spojrzenie,

oglądając wbity w brzuch miecz. Mignęła wycofana spomiędzy flaków głównia; tego, jak następnie chlasnęła go przez pysk, pirat już nie zauważył.

Przemknął za domami czarny koń bez jeźdźca.

Znowu łupnął bełt w ścianę domu. Obok stary rybak, jeden z ostatnich na placyku, dostał strzałę w pośladek, drugą w kark – czuwało dwóch łuczników.

Nawet trzech.

Trzecią strzałę odbił rycerz swoją tarczą.

Muskularny drągał z berdyszem przemknął obok młodego Darta i gnał tak, że chyba nie sprostałby mu koń. Nie zatrzymując się, rozplatał żelazcem przeciwnika, ale tylko po drodze, bo biegł dalej. Drugi pirat uskokzył, toporzysko przecięło powietrze, lecz najemnik nie stracił równowagi, stanął, jakby wrósł w ziemię, obrócił się w miejscu razem z bronią i poprawił. Zdruzgotał kolano.

Śmignęła gdzieś zza jego pleców sojusznicza strzała, zaraz potem druga. Zamierzający się do rzutu toporem żeglarz po drugiej stronie placu dostał jedną w ramię, drugą w pierś. Zaczął zjeżdżać plecami po ścianie.

Dartański wojownik w kirysie odbił tarczą kolejną piracką strzałę, godzącą w plecy Garyjczyka. Skoczył ku studni.

Rozbrzmiewał tam przenikliwy dźwięk świstawki. Czegoś takiego używali dowódcy łuczników konnych, wydający swoim jeźdźcom komendy. I to właśnie była komenda – piraci na wyścigi wybiegali z chałup, gdzie się zapędzili za zdobyczą, biegli w stronę dowódcy. Wszyscy przerywali polowanie i karnie pędzili do wodza; niektórzy nawet jeszcze nie wiedzieli, po co.

Rycerz w biegu odbił kolejną strzałę, następna szczęknęła o kirys i nie przebiła go. Jeszcze jedno bezsilne zgrzytnięcie. Świstawka umilkła, wypluta zwisała na sznurku. Używający jej człowiek w żółtym kaftanie z mieczem w rękę stanął do walki. Stary, ale krzepki i doświadczony, na odlew smagnął trzymanym w lewej ręce łukiem, od razu poprawił mieczem, trafił w tarczę. Znow śmignął łukiem, chybił celu, ale nie stracił równowagi, nie napierał na broń całym ciałem, ufał samej sile swoich ramion. Lecz nie docenił siły i szybkości nacierającego młokosa, który wcale nie przystanął, by toczyć pojedynkę, a tylko wprost pogardliwie przyjął na kirys wrogie ostrze i wyrznął tarczą w pierś przeciwnika, ale tak, że odebrałby oddech wołu. Zaraz poderwana pionowo do góry tarcza trzasnęła okutą krawędzią w piracki podbródek. Żółtemu staruchowi oderwało niemal głowę od ramion, a nogi od ziemi. Wpadł do studni, łuk zawisł w poprzek cembrowiny.

Zniknęli ostatni wieśniacy.

Trzej piraci, którzy właśnie nadbiegli, nie mogli utrzymać się na nogach po ciosach chłopaczka w kirysie, który chyba nigdy nie słyszał, że tarcza służy do obrony. Walił krawędzią lub na płask, mieczem raczej tylko odstraszał. Można było odbić w bok ostrze, ale nie tę trójkątną płytę w barwach rodu. Pierwszy pirat pozbierał się z ziemi, gdy obok wylądował na zadku jego druh. Od razu oberwał w łeb trzeci i ten już się nie podniósł, ogłuszony.

W poprzek placyku, za plecami rycerza, pędził najemnik z berdyszem. Nie mógł zdążyć, na jego rannego dowódcę właśnie rzucało się trzech. Jeszcze raz się popisał rzadkim wyczynem: podrzuciwszy berdysz, chwycił go garścią tuż przy samym żelazcu i pchnął przez powietrze jak dzidę. Broń z dziwacznym młaśnięciem i traskiem, rozrywając kolczugę, wyrznęła pirata w sam krzyż i wepchnęła prosto na drugiego. Armektańczyk zerwał się, odskoczył, udało mu się uchylić przed toporem ostatniego napastnika. Lecz rozbrojony Garyjczyk nie zdołał w porę wyrwać miecza z pochwy. Ścigający go pirat ciął płasko i nie pokonał kolczugi, która tylko zgrzytnęła pod ostrzem, ale drugi wyrznął okutą pałą, przebiegając obok. Tego ciosu już nie zatrzymała giętka

zbroja, pękły żebra. Dryblas z pałą zawrócił, chciał poprawić, ale zbił go z nóg rosły mężczyzna w kolczudze, który wcześniej machnął ciesielskim toporem i nie trafił, dlatego wpadł na wroga całym ciałem. Obaj zaraz zerwali się z ziemi.

Nadbiegali dwaj kolejni piraci. Gerhedrr i Nes mieli za plecami ścianę domu, a przed sobą czterech przeciwników.

Darł się na ziemi pirat z przerąbaną berdyszem nogą; wyglądało na to, że jak zacznie pełznąć, to wszystko razem z resztkami kolana mu odpadnie, bo wisiało na mięsie i skórze.

Ten przy studni, ogłuszony tarczą, próbował się pozbierać, ale nie szło. Podparł się ramionami i z powrotem klapnął na ziemię.

Pod ścianą chałupy naprzeciw konali dwaj łucznicy, jeden cherlak ze strzałą w piersi, drugi z pierzyskiem niemal w środku twarzy, bo pocisk wszedł skośnie obok nosa i tak samo wyszedł pod uchem. Umierała w drgawkach stratowana kobieta, połamane kopniakami żebra poprzebijały jej płuca.

N.L.Seletta otaczało już pięciu. Odbił dwa ciosy tarczą, pchnął mieczem, dostał toporem w plecy, ale pirat nie przyłożył się dość dobrze, nie znał odporności płytowej zbroi. Selett znów uderzył tarczą, powiodł szeroko mieczem, zrobił miejsce. Ale przeciwnicy byli szybcy, potrafili się uchylić i zbić cios. Krążyli i doskakiwali z boków albo z tyłu. Broniłby się skutecznie przed trzema, przed pięcioma nie było mowy. Już trzy razy życie ocaliła mu zbroja, nie mógł upilnować wszystkich ciosów. Przed walką pozbył się hełmu, dlatego jeszcze żył. Na arenie musiał obserwować jednego przeciwnika – tutaj, patrząc przez wizurę, nie ogarnąłby wzrokiem kilku. Ale oczu z tyłu głowy jednak nie miał.

Skoczyło trzech jednocześnie, topór wgniół naplecznik i pchnął rycerza do przodu, lecz tuż nad płytowym naramiennikiem śmignął pocisk i trafił pirata z uniesionym mieczem. Morski zbój wrzasnął, wyrwał grot spod obojczyka, ale zatoczył się i usiadł. Stękał; nie pozbierał się od razu. Charknęła i zaraz splunęła różową śliną. Sięgał po miecz; chciał wstać.

Przemknęła strzała posłana gdzieś z przeciwka, ktoś krzyknął – Nes albo Gerhedrr, Sayl nie widział żadnego z nich, bo mu zasłaniał dom. Lecz nie dostrzegł także wrogiego łuczника; przegapił, bo próbował pomóc rycerzowi.

Kot wskoczył przez okno do chałupy i prawie natychmiast wypadł drzwiami, ktoś tam wydał okrzyk zaskoczenia. Zaraz słabo zamajaczyła w ciemności sylwetka człowieka. Dało się dojrzeć zarys ramion napinających łuk. Ponad tymi ramionami musiała być w mroku twarz i pocisk posłany przez Sayla trafił prosto w to miejsce. Ramiona ukrytego w sieni pirata już nie napięły łuku, broń upadła, strzała zsunęła się z ciężwicy i leżała przy progu. Jeszcze dwa grotы przebiły ciemność za skrzydłem otwartych drzwi, ale nikt tam już nie krzyknął; łucznik nie żył.

Przed Ajanem, spod trupa zabitego berdyszem kamrata gramolił się pirat z mieczem. Kiepsko szło, bo trup był solidny, a przywalony nim żeglarz oberwał na samym początku wiosłem od rybaka i miał mocno rozbity łeb. Niemniej wyglądało na to, że zaraz stanie na nogach.

Kocur przemknął przy studni, rozbrzmiały okrzyki zaskoczenia, piraci rozstąpili się pospiesznie i Selett zyskał chwilę oddechu. Ale to nie tutaj pędził czarny kształt, zakotłował się zaraz między nogami czterech ludzi osaczających Garyjczyka i Nesa. Kopnięty, wyrznął w ścianę i przez chwilę nie mógł się pozbierać. Dał swoim tylko moment, ale to wystarczyło, by Gerhedrr rzucił się na trzech, w mgnieniu oka zabił pirata i urąbał dwa palce drugiemu. Nes z dłonią przesyta strzałą próbował osłonić towarzysza, ale szachujący go rozbójnik już poznał, że ma do czynienia tylko z uzbrojonym rybakiem. Niby to się potknął i niedoświadczony wieśniak od razu chciał

skorzystać z okazji. Nadział się prosto na miecz. Pirat wyrwał go i ciął ostrzem odsonięty kark.

Najemnik nie upilnował najgroźniejszego wroga i oberwał pałką po raz drugi. Sparował jeszcze cios skowyczącego zbója z urąbanymi paluchami, ale złamana ręka nie utrzymała miecza. Okaleczony pirat był wytrawnym wojownikiem, tym razem pamiętał o kolczudze i wybrał pchnięcie zamiast cięcia, a poparł sztych całym ciałem, rycząc z bólu, lecz mimo to dokładając siłę rannej ręki. Zbroja nie wytrzymała. Jeszcze jedno uderzenie maczugą rzuciło Garyjczyka na kolana, wtedy przyskoczył ten, który zarąbał Nesa, i pchnął mieczem z góry, tuż nad krawędzią kolczugi, między szyją a obojczykiem.

Gerhedrr skonał z zimnym ostrzem w płucach.

Ajan znowu miał szczęście, armeckańska Arilora, Pani Wojny i Losu, bardzo musiała kochać swego zabłąkanego w obcym kraju syna. Atakujący go topornik naprawdę niewiele umiał i brakło mu ducha do walki. Armeckańczyk uchylał się raz za razem, a gdy wreszcie pirat stracił równowagę, strzelił go pięścią w pysk, zaraz potem pchnął sztychem w brzuch, ale trafił w przedramię, bo akurat znalazło się na drodze. Żeglarz wrzasnął i rzucił się do ucieczki, szybko przepadł gdzieś między chałupami. Ajan ruszył do przodu, ale nogi słabo go niosły. Z odległości kilkunastu kroków cisnął mieczem w pirata za plecami młodego Darta, lecz nie było w tym rzucie odpowiedniej siły i broń, chociaż dobrze trafiła, nie pokonała kolczugi. Trafiony pirat stęknął i złapał się za plecy, bo mocno go jednak lupnęło, zaraz potem skoczył ku nowemu wrogowi. Armeckańczyk zdążył podnieść z ziemi inny miecz. Szczęście się skończyło – ten przeciwnik potrafił walczyć i ranny dowódca najemników znalazł się w poważnych opałach. Lecz przynajmniej młody Dart nie miał już nikogo za sobą.

Piraci przy studni szybko się nauczyli, że rycerz tłucze tarczą. Gdy przyskoczył do dwóch najbliższych, ten trafiony wcześniej przez Sayla był przygotowany, uchylił się i zarechotał, a drugi od razu skoczył do przodu. I żaden nie zrozumiał, co się dzieje. Że cios tarczą był tylko markowany.

Trudno było dostrzec to pchnięcie, kolczuga ze zgrzytem przepuściła sztych świetnej głowni – to był miecz kupiony przez ojca dla syna dartańskiego Domu. Jeden pirat zwał się na ziemię, drugi nie zdążył odskoczyć ponownie. Znow zgrzytnęło ostrze drące kółka kolczugi. Zbój klęknął z rękami przyciśniętymi do brzucha, Selett zaś cofnął broń i natychmiast zwrócił się do pozostałych dwóch rębajłów, którzy zatrzymali się nieomal w pół skoku. Najpierw lekko uniosł tarczę, potem miecz, jakby chciał zapytać: „To czy to?”.

W tarczy tkwił bełt z ciężkiej kuszy.

Gdzieś był kusznik.

Biegł ku synowi Domu N.L. żyłasty siłacz z maczugą i ten drugi, który zabił Nesa. Jęczący pirat bez palców, pryskając krwią, pędził w stronę Ajana, który miał już dwóch przeciwników, bo ten dzielony przez rybaka wiosłem wydostał się wreszcie spod trupa i choć ślaniał się na nogach, to był gotów walczyć. Zdumiewała odwaga i zajadłość tych wojowników morza, którzy przeciw niczego nie musieli. Poranieni i porozbijani, w każdej chwili mogli przerwać walkę. Nie bronili niczego, mieli wybór.

Przytulony do pnia drzewa Sayl spoza sięgających piersi porzeczkowych krzewów wodził spojrzeniem po chałupach, oknach, zakamarkach. Stał pod słońce, strzelające promieniami nad szczytami drzew, ale oczy cały czas miał w cieniu.

Gdzieś był kusznik.

Członek drużyny, który zabił najwięcej wrogów, czuł się niewart swoich towarzyszy. Umierali. On bez ruchu tkwił pod jabłónką.

Krótki pocisk nadleciał znikąd, pierzyska strzał łatwiej było dojrzeć niż listewki na brzechwie bełtu. Z małej odległości nie wytrzymał kirys ani kolczuga pod nim. Młody rycerz oberwał w bok. Piracki topornik nie zawahał się ani chwili, skoczył i choć jeszcze nadział się na miecz, to grzmotnął swą bronią tak, że odleciał rycerski naramiennik. Jego towarzysz natychmiast poprawił; ci doświadczeni rębacze nie zaprzepaszczyli okazji. Trzeci obuchem zbił w bok tarczę, zaraz potem wyrznął toporem w odkryte zbroją ramię. Ciężka pałka wgniotła naplecznik. Ten, który się nadział na ostatni sztych, wziął oburącz jeszcze jeden zamach i choć nie trafił w głowę, to rozrząbał bark przeciwnika – tym razem kirys nie sprostał.

Pirat wypuścił topór i upadł, obejmując brzuch przedramionami.

Zebrał się wreszcie z ziemi ten ogłuszony tarczą na początku.

Nieprawdopodobnie przeraźliwy był wrzask kota – kto tego nigdy nie słyszał, musiał struchleć. Czarny kształt siedział na ziemi z przednimi łapami w powietrzu, naprzeciw skrytego w głębokim cieniu kąta między szopą a ścianą domu. Sayl natychmiast posłał w ten cień strzałę. Ktoś tam krzyknął.

Łucznik pakował w cień strzałę za strzałą: wyżej, niżej, pośrodku, z niewiarygodną szybkością. Coś wypadło z cienia; korba kuszy. Dłużej nie czekał, wyskoczył spomiędzy domów, przesadził położoną na boku drabinę i pędził w stronę Ajana, którego jeszcze nie widział, a tylko wiedział, gdzie jest.

Ale w żaden sposób nie mógł zdążyć. Widział plecy piratów osaczających dowódcę. Stałą i naciągnął cięciwę. Ci od studni pędzili ku niemu. Wpakował strzałę w plecy któregoś z tych przed Ajanem i zwrócił się ku nadbiegającym, ale nie miał już czasu dobyć miecza. I po raz ostatni napiął łuk.

Jakiś ryczący wniebogłose rybak wyleciał zza jego pleców, z chałupy, pod którą leżały trupy Garyjczyka i Nesa. Gnał z bosakiem, a za nim drugi z wiosłem. Pędzili na tych przy studni.

Z nieprzytomnym wrzaskiem wyskoczył skądś następny, za nim czterech, a z przeciwka dwóch innych. Jeszcze jeden, z rozbitą głową i ciężkim zydlem w obu rękach, wytoczył się z chałupy, przy której bronił się Ajan, i rzucił tym zydlem w najbliższego wroga. Schylił się po topór; próbował go wyrwać z dłoni człowieka zabitego berdyszem. Zaraz wyskoczył inny rybak z domu po drugiej stronie placyku, potem dwóch usmarkanych wyrostków i jakaś oszalała kobiecina z siekierą, która ledwie pasowała jej do rąk. Jeszcze dwóch. Biegący wieśniak wbił bosak w najbliższego pirata – tego, który oprzytomniał po ciosie tarczą i ledwie stanął na nogach, zaraz poczuł żelazo w bebechach; rybak pchał dalej, aż przewrócił się razem z nadzianym. Stary osilek z pałką walnął pierwszego rybojada, uchylił się przed ciosem drugiego, grzmotnął trzeciego i pobiegł. Po drodze wybił ramię następnemu i chyba zabił kobietę z siekierą, w każdym razie wyrznął ją w głowę. Topornik grzmotnął pierwszego wieśniaka w pierś, ale zaraz się przewrócił i zgubił broń, gdy całym ciężarem wpadł na niego drugi – ten chyba zapomniał, że ma wiosło. Pirat wyrwał zza pasa nóż, pchnął rybaka, zerwał się na nogi i rzucił do ucieczki. Pędził obok tego, który zabił Nesa.

Teraz coś już ryczało i wyło w całej wsi, tłukły ziemię boscie stopy biegnących, wypadali skądś następni mężczyźni. Kilkudziesięciu ludzi, wielka chmara.

Przeciwnicy Ajana rzucili się między domy; ten pechowy, co dostał wiosłem, a potem jeszcze zydlem, zataczał się jak pijany. Dwaj spod studni biegli „ulicą”, tą samą, którą przybyli od strony wschodniego lasu. Ten, który wysforował się na czoło, oberwał strzałą w łopatkę, drugi się potknął, lecz nie upadł, pobiegł dalej. Jego postrzelony z łuku kamrat nie dał się wyprzedzić. Zarobił kolejną strzałę, lecz mimo to wy dostał się z wioski, nawet wyprzedzając zdrowego towarzysza – kolczuga przepuściła oba groty,

ale je wyhamowała i nie weszły głęboko w ciało. Razem uciekli do lasu. Z tych dwóch, którzy wpadli między domy, jeden wsiąkł gdzieś, drugi miał być pechowcem aż do końca, bo dostał się w ślepy zaułek – między ścianą chałupy a komórką ustawiono jakieś belki i deski, trudno było się tamtędy przecisnąć. Przyparty do tych belek uciekinier zasłonił się ręką, gdy rzucono w niego siekierą; uderzyła go, ale obuchem. Ze złamanym przedramieniem chyba wzywał po garyjsku pomocy. Jeden rybak bódł go drągiem, a drugi bosakiem, bo na dwóch tylko było miejsce w ciasnocie. Jacyś inni pędem okrążyli dom, jeśli szturchać zaszczutego mężczyznę pod i nad belkami. Zatlukli go i rozdziabali, aż wyglądał jak spowity w szmaty kłab mięsa. A jeszcze się ruszał, jeszcze żył.

Wreszcie przestał.

Słońce dopiero wschodziło nad lasem, by przetoczyć się z wolna nad morze. Wieś już nie ryczała i nie wyla. Dawno przestały szczeleć psy, powoli zakradała się cisza, tylko z głębi chałup dobiegał stłumiony płacz dzieciaków. Być może płakały już od dawna, ale nikt tego nie słuchał i nie słyszał.

Na placyku ciężko oddychali czerwoni na twarzach ze wściekłości albo bladzi ze strachu rybacy, oparci na wiosłach i siekierach. Inni łazili z pozbieranymi mieczami, dobijali rannych, a właściwie żgali i rąbali trupy, bo każdego dobito już pięć razy. Ktoś prowadził brata, może ojca; inny stękał w kucki z bezwładnym ramieniem. Dwóch wyrostków, jeden zakrwawiony, zniknęło w najbliższej chałupie, zaraz z wnętrza dobiegły lamenty. Nie do wiary: jakaś kobieta płakała i zarazem krzyczała na obu.

Byle tylko nie chciała ich sprać. Wyglądało jednak na to, że pierze, bo to było klaśniecie w głębie.

Wszyscy w tej wiosce oszaleli. Nikt tu nie znał nikogo, kogo zabił. Żeglarze rybaków ani najemników, najemnicy i rybacy żeglarzy.

Tak chyba bywało najczęściej.

Na placyku krew wolno wsiąkała w twardą ziemię, wszędzie leżały ciała i kawałki ciał. Wieśniaków, wieśniaczek, piratów i najemników. Kwaśno śmierdziała treść podartych jelit.

Nie wiadomo, skąd w ludziach było tyle krwi. To się nie mogło w nich mieścić.

Coraz więcej dzieciaków wyłaziło z chałup; teraz to już ryczały wszystkie wniebogłosy. Młodszy chłopak Yolona siedział przy trupie brata i patrzył na zatłuczonego kijem ojca. Bo to przecież był tylko krzywy kij ze sznurkiem. Ten, który leżał w poprzek studni.

Ajan stał pod ścianą z kiepskim zdobycznym mieczem w rękę i patrzył prosto przed siebie. Opierał głowę o dom. Jego nowe odzienie na prawym i lewym boku po równo przesiąknięte było krwią. Niedawno powiedział niewolnicy, że jest blada jak piasek.

Był bledszy.

Sayl przysiadł na cembrowinie. Patrzył na rękę, którą rybak odrąbał sobie na rozkaz. Wpadła do koszyka z szyszkami.

Przyszedł kot. Trochę kulawo, ale nie był ranny. Tylko potłuczony kopniakiem i uderzeniem o ścianę.

Ponoć nigdy nie przepraszały. Prawie nigdy.

– Zapomniałem, że ty go nie zobaczysz. W tym cieniu. Myślałem, że widzisz – rzekł do Sayla. – Mogłem pokazać ci go wcześniej.

Dla kota – ten kusznik po prostu tam stał. Widoczny dla każdego jak na dłoni. A słyszeli go chyba w Nin Aye, bo szczeleł kuszą, skrzyphiał korbą i jeszcze siorbał nosem. Miał katar.

Sayl pokręcił głową, a potem wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć karku kocura, ale zwiadowca siedział przecież o wiele za daleko.

Nikt już nie wrzeszczał, pozabierano do chałup stękających rannych. Płakały kobiety i dzieci.

I mały pacholek rycerza.



## ROZDZIAŁ 11



Nie wiadomo było, co robić. Grzebać trupy? Chyba tylko odciągnąć gdzieś na bok.

Po potyczce z garstką narwańców należało przygotować się do boju. Tym razem już takiego na poważnie. Niedaleko siedziało przeszło trzydziestu morskich zbójów, miało wkrótce dołączyć ze czterdziestu.

Razem cztery razy więcej, niż przyszło.

Wieś zadała bobu rozbójnikom. Szesnastu; popamiętają. Gdzie stał ten koszyk z szyszkami?...

Prawie wszystkie rodziny miały zabitych albo rannych. Lecz niektórzy rybacy krążyli beczynnie i Ajan kazał im zbić prostą trumnę. Garyjczyk mógł poczekać, rycerz nie. Mały sługa musiał wywieźć go ze wsi, zanim znowu przyjdą piraci. Armeктаńczyk chciał ocalić głowę dzieciaka i odesłać do domu ciało jego pana.

W Armeκcie nazywało się to: włóki. Dwie żerdzie wleczone po ziemi. Ciągnął to za sobą pojedynczy koń, a Selett miał wrócić do ojca.

W najbliższym obwodowym miasteczku do tej trumny musiało się zbiec wszystko. Było jasne, że chłopiec dostanie i wóz, i jakichś ludzi do pomocy. Nawet miał czym zapłacić, gdyby zaszła potrzeba. Jego pan rozdał wszystko, co miał, ale oto było dwadzieścia sztuk srebra. I ryby do jedzenia, na drogę.

Choć starannie opatrzony, Armeκtańczyk nie mógł sam zrobić włók, ale pokierował robotą. Gdy skończono włóki i trumnę, kazał umocować jedno na drugim. Porozmawiał cicho z karym ogierem, ale nikt nie słyszał, co mu rzekł. Nakrył chrapy, poklepał po szyi i przez chwilę patrzył w mądre końskie oczy.

Mały sługa już nawet nie mógł mówić. Ajan pożegnał go, przygarnął krótko i poszedł. Usiadł przy wygasłym ognisku i patrzył, jak dzieciak na kucyku prowadzi ogiera przez łąkę. Żerdzie żłobiły ślady w trawie.

Przyszedł kot. Już nie kulał.

– Dług spłaciłem – powiedział. – Pójdę teraz z małym człowiekiem. Nie wiem, jak daleko. Zobaczę.

Ajan pokiwał głową.

– Nie miałeś żadnego długu. Jeżeli przeżyję, gdzie posłać twoje srebro?

– Do Grubego.

Armeκtańczyk popatrzył pytająco.

– Koty lepiej słyszą, niż widzą. Trzeba było odejść trochę dalej. Ma dobre zajęcie.

Dla kota. Nie pamiętam swojego prawdziwego imienia, miałem kilka, kiedy były potrzebne. Niech będzie Czarny. Szukaj mnie przez Grubego, jeśli będziesz potrzebował pomocy. Znajdziesz przyjaciela. Chyba dwóch.

– Czarny i Gruby.

– Werk.

Kocur lekko unióś łapę, wysunął i schował pazury. Ajan znał ten gest. To było kocie Pozdrowienie Nocy. Pożegnanie, powitanie, ale bardziej wyraz przyjaźni. Nie każdego tak witano i żegnano.

– Teraz nie potrzebuję? Pomocy? – zapytał.

– Teraz? Nie. Nikt cię nie goni, nie dybie na twoich bliskich. Nikt ci nie chce zabrać nic twójego. Ani zrobić nic złego. Wejdz sto kroków do tego lasu, a będziesz mógł spać całą dobę. Nie potrzebujesz pomocy.

Ajan milczał.

– Spróbuję, ale to trudne – powiedział niechętnie kot; chciał coś wytłumaczyć, więc naprawdę był przyjacielem. – Nie wiesz, czy połknąć truciznę? Zapytaj, pomyślę razem z tobą. Przyjaciel. Zdecydowałeś, że połkniesz? Przyniosę ci najlepszą, jaką znajdę. Postanowiłeś tu siedzieć, aż zginiesz albo zdarzy się coś innego. Nie wiem co. Powiedz, a może pomogę.

Nie doczekał się odpowiedzi.

– Więc wiesz tylko, że chcesz tutaj siedzieć. Postanowiłeś. Rzucę się na każdego, kto cię będzie chciał zabrać stąd siłą. Przyjaciel – powtórzył jeszcze raz.

– Wszystkie koty tak widzą przyjaźń?

– Nie. Dlaczego? Koty nie są wszystkie takie same. Ani ludzie.

Przeskoczył wygasłe ognisko i popędził przez łąkę śladem chłopca.

Nagle się zatrzymał i wrócił.

– Ci piraci, co zostali, już nie chcą się bić. Nie zmuszaj ich, to nie będą.

– Co masz na myśli?

– To.

Znowu pognał śladami włóków.

o o o

Piraci przyszedli wczesnym wieczorem, do nocy było jeszcze mnóstwo czasu. Wylądowali z dziennym przypływem i na nic już nie czekali, tylko z miejsca wybrali się do wioski. Piracki dowódca dowiedział się wszystkiego, co chciał wiedzieć – z porannego boju ocalało pięciu niedobitków.

Wyszli z lasu; gęsta, długa linia. Wyglądało, że jest ich tysiąc, chociaż było dziesięć razy mniej.

A niechby było i tysiąc. Właściwie co za różnica?

Wszystkie baby i dzieciaki we wsi już ryczały.

Lecz piraci nic nie robili. Czekali.

– Pójdziesz ze mną? Chociaż, właściwie...

– Pójde – powiedział Sayl. – Dlaczego: Ajana? Nie, nie mów mi prawdziwego... Już by mi się zawsze kitłasiło. Ale dlaczego Ajana? Bo w Szererze najwięcej jest Ajan?

– Moja siostra tak ma na imię. Ale uśmiejesz się: dartańska Ayana, po babce. Jeździ teraz gdzieś po Równinach.

Sayl nie odłożył łuku, obaj poszli z bronią. Nawet nie spojrzeli na rybaków i nie zabrali żadnego ze sobą. To nie była sprawa rybojadów i nie oni mieli decydować. To była sprawa uzbrojonych mężczyzn, darzących się nienawiścią i szacunkiem.

Naprzeciw podążył niewysoki człowiek przy mieczu, a za nim barczysty zabijaka z okutą pałką w dłoni. Z porannego boju wyszedł bez draśnięcia – a był to już człowiek niemłody, przynajmniej pięćdziesięcioletni, co dało się poznać z bliska. We wsi poruszał się jak młodzik.

Spotkali się kawałek za strumieniem.

– Będzie tego – powiedział bez wstępów mniejszy pirat. – Jestem drugim oficerem na „Trupie” – przedstawił się Ajanowi. – A z tobą już miałem nie gadać – rzekł do lucznika.

– Ale gadasz.

– No. Tylko popatrz. Ty jesteś prawdziwym dowódcą? – zapytał Ajana. – A to twój zastępca?

– Tak.

– Tutaj ja jestem dowódcą, a to mój zastępca. Dowódca straży okrętowej, czyli takiej jakby Straży Krajowej na pokładzie. Same wysokie szarże.

Przez chwilę milczeli. Przyglądali się sobie, zastanawiali.

– Nie było cię dotąd na brzegu – powiedział Ajan.

– Nie. Tak wyszło.

– Źle wyszło.

– Dobrze wyszło, to tylko brzeg, a brzegu nikt nie zatopi. Okręt jest sporo ważniejszy i było nas na pokładzie w sam raz. Tak z ciekawości: co wy tu robicie?

– Długa historia. Powiedzmy, że wygrałem zakład, a on przegrał.

– Dobrze. Wyoście się wreszcie z tej wioski.

– Czemu nie. A na jakich warunkach?

– Nie, to ja pytam ciebie. Czego chcesz dla tej wsi?

– Tego co wcześniej. Nikogo tu nie skrzywdzicie. I więcej nie przypłyniecie.

– Zgoda. Zadowolony?

Armektańczyk patrzył i milczał.

– Dlaczego ci nie wierzę? – zapytał po długiej chwili.

– Bo wszyscy piraci są głupi, dlatego. Wszyscy, co do jednego. I wszyscy tacy sami.

Gdybym ryczał i leciał z pałą w garści – wskazał kciukiem podstarzałego osiłka, który skrzywił się i splunął pod nogi – wtedy wszystko by ci pasowało. Wierzyłybyś mi.

– Dlaczego nie ryczysz i nie lecisz?

– Bo raz kiedyś mam okazję pokazać załodze, dlaczego jestem drugim oficerem i dlaczego mają mnie słuchać. Właśnie pokazuję. Że jestem mądrzejszy i od nich, i od was. Pogadamy jeszcze przez chwilę i okaże się, że załatwiłem wszystko, czego oni po swojemu nie załatwili przez tydzień.

– Taki jesteś pewien?

– Zdaje się, że lubisz zakłady. No, to załóżmy się.

Ajan popatrzył na Sayla. Ten wzruszył ramionami.

– Dobrze – rzekł pirat. – No to teraz ja. Po pierwsze i najważniejsze: żadnej rąbaniny. Ostatecznie mogę zarznąć was obu. Skończę gadać i wracam do swoich, a wtedy możecie atakować, my będziemy się bronić z całej siły. Ale wsioków potrzebuję i koniec, bo wpadłem na dobry pomysł, jak ugłaskać moją kapitanę, a może być trochę zła, no bo... Nieważne. Przeziębła się i dochodzi do zdrowia. Woda i zapasy, to raz. I zabieram ich wszystkich, to dwa. Coś niejasne?

Ajan potrzebował chwili.

– Gdzie ich zabierasz? Żeby sprzedać?

– Nie, niewolnik się nie opłaca. Nigdy się specjalnie nie opłacał. Zawsze brakuje miejsca, a wszystko to żre, zdycha, śmierdzi, cały okręt zapowietrzony. Załoga wściekła tyra w tym chlewie, wreszcie sprzedajesz półdarmo, bo nieładni i schorowani. O, takiego rudzielca, jak tamta... Ale też tak tylko przy okazji. Dużo jest takich w tej wsi?

– To co chcesz z nimi zrobić?

– Osiedlić. Moja kapitaną jest księżniczka dwóch wysp – rzekł oficer piratów bez mrugnienia okiem. – Mamy na Agarach mało ludzi. Nie aż tak, żeby stawać na głowie,

nikt nie będzie łapał i zwoził, ale mam tutaj przypadkiem dwa żaglowce, jeden pusty, właściwie z ładunkiem, ale miejsce dla ludzi się znajdzie. I drugi żaglowiec, z którego mi ubyla jedna trzecia załogi. Chłopaków i mężczyzn zaraz się przyuczy do żeglarskiego fachu. I ubytku nie będzie. Przy okazji dostaną po dupach, no, jak to przy nauce. Żadna krzywda.

– Już ich widzę w twojej załodze.

– Zdziwiłbyś się. Zanim dopłyniemy do Agarów, niektórzy będą prosić kapitana, żeby nie wysadzała ich na ląd. Myślisz, że ona zmusza kogokolwiek do pływania na tym okręcie? Skąd się biorą piraci, jak myślisz? Z księżycy czy z takich wiossek?

Ajan zaczął się śmiać i przyłożył rękę do boku, a miał ochotę do obu.

– Oberwałeś – rzekł pirat wyrozumiale.

– Ale już się nie śmieję. Chcesz wywieźć gdzieś całą wioskę? Jesteś...

– Walnięty – dokończył Sayl. – Jest walnięty.

– A ile ich tu jest, ze dwie setki? – spytał pirat. – Wydaje mi się, że mniej. Żadnych starych ropuch ani dziadów nie biorę, ani myślę się z tym użerać. Ani żadnych pochlastanych zdechłaków. Tylko mężczyzn, kobiety, smarkaczy, wszystko, co się trzyma na nogach, no chyba że wisi przy cycku.

– Mam wrócić i powiedzieć im, że...

– Mają przerąbane. Niepotrzebnie wierzgali i będą żałować do końca życia. Ale jak im tak powiesz, to będę się musiał użerać. Dlatego daj mi teraz mówić przez chwilę, a opowiem ci, co im powiesz.

Opowiedział.

Na Agarach rybacy założą sobie wioskę albo porozłożą się po tych, które są. Będą płacić daninę w rybie, tak jak płacili tutaj i tak jak płaci się wszędzie. To normalny, chociaż mały kraj, który przyjmuje w porcie dzielnych ludzi na dobrych okrętach, nie pytając o barwę żagli. Ten kraj potrzebuje rybaków, rzemieślników, karczmarzy i sklepikarzy oraz żon dla tych wszystkich zacnych ludzi. Ladacznice też mile widziane. Niech wieśniacy zabierają stąd wszystko, co chcą, byle żwawo, i ładują na okręt, a jeszcze napchają dobra do tych ładnych rybackich łodzi, najlepsze weźmie się na hol, szkoda tutaj zostawić. I tak „Trup” popłynie wolno, bo ten przyz... Jakby brzydka pogoda albo coś, to łódki się odetnie, kłopot z głowy. A może nie zajdzie potrzeba. Najpierw na okręcie będzie naprawdę ciasno, ale szybko przesadzi się wsioków na kogę. Coś jeszcze? Dla staruchów zostanie tu dość żarcia, żeby przeżyli choćby i do zimy, wszystkiego się przecież nie weźmie. Trzeba będzie pożegnać z płaczem babcię i dziadunia, mateczkę i tatkę, ale bronić ich kosztem życia nie warto, bo nikt im tu krzywdy nie robi. Na pierwszą wieść o tym, że jest do zasiedlenia cała gotowa wieś, ściągnie tu wszystko, co żyje w Dartanie, mateczki i tatki będą sprzedawać osadnikom stołki, garnki, kozy i co tylko zostanie w tej wsi, nic złego ich tu nie spotka. A jeszcze wylizę się paru ozdrowieńców, bo nie wszyscy przecież wykitują. Za pół roku wypłyną stąd łodzie na połów. Jak nie wcześniej.

– Nie używaj brzydkich słów, takich jak niewolnik, porwanie albo zsrane życie wsioka. – Pirat znacząco unióś palec. – Cała reszta się zgadza. Bo tak dla waszej wiadomości: na Agarach naprawdę są wioski, a w tych wioskach rybacy. I wiecie co? Nie przyplwamy do żadnej z naszych wiossek, żeby się pobawić.

– Zgoda – powiedział Sayl i ostrzegawczo popatrzył Ajanowi w oczy. – To za daleko zaszło. I chyba już wystarczy, dowódcu. Masz dla nich coś lepszego? – Kiwnął głową w kierunku wsi.

Ajan milczał.

– Do południa wszystkie chłopcy zdechną tu razem z nami. A wtedy baby i dzieciaki same popłyną na Agary. Tak, dowódcu? – naciskał Sayl.

– Będzie tego – powiedział żeglarz karcąco. – W ogóle mnie nie obchodzi, co myślicie. Wróćcie teraz do wsi i złożcie raport swoim komendantom i ich babom. Ja tam wejść niedługo potem i jak kogoś będę musiał przez was skrzywdzić, a jeszcze stracę kolejnych kilku moich, to naprawdę za siebie nie ręczę. Szczerze? Najchętniej bym was zarznął, ale nie chcę uszkodzić podarunku dla mojej kapitany, więc was nie zarznę, a wy w zamian przekonajcie wsioków, że już wystarczy wierzganina. Osadnicy i nowe życie, pamiętajcie.

Odwrócił się i poszedł do swoich, a za nim osiłek z pałą.

Najemnicy wrócili do wioski.

## EPILOG



Zatrzymali się na nocleg zaledwie pół mili dalej, bo nie spali od przeszło doby, a przecież przez cały czas się krzątali. Zwłaszcza Ajan ledwie się włókł, a naprawdę głupio by zrobił, umierając teraz od gorączki. Donikąd się nie spieszyli.

Ani ich towarzysze na koniach.

Zjedli po suszonej makreli i zasnęli niedaleko brzegu morza. Okryci derkami Nes i Gerhedrr spali kawałek dalej, w cieniu drzew.

Sayl zabrał z wioski motykę, był i berdysz. Ajan rano niewiele mógł pomóc, ale łucznik podołał sam. Położyli oręż na ciałach, zasypali dwa groby, a właściwie jeden podwójny. Wyrównali. Pokryli płatami darni, wcześniej starannie wyciętymi za pomocą mieczów. Prawie nic nie było widać, tylko trochę świeżej ziemi tu i tam. Miała wyschnąć i szybko się rozwiać w oddechu morskiej bryzy.

– Gdzie jest Garra? Tam?

– Nie, bardziej tam. Najpierw ładny kawał Dartanu. Ale chyba za nią nie tęsknił.

– Ma mieć spokój; nikt ma o nich obu nie wiedzieć – rzekł Ajan. – Bo wykopią ich, żeby zabrać kolczugi. A kto wie, może i parę sztuk srebra.

– No i pięć imperialnych sztuk złota.

– Wzięliśmy, bo dałby nam. Gdybym to ja leżał w ziemi...

– Warto wiedzieć – powiedział Sayl. – Motykę zabiorę. Ale nie masz na razie gorączki?

Śmiech wciąż bolał.

– Przestań, bo będę miał.

Z odległości nieco ponad pół mili widać było kotwiczący żaglowiec i mniejsze kropki uwijających się łodzi.

– Ciekaw jestem, kiedy straci cierpliwość. Ten nasz rozmowny pirat, albo kto tam teraz rządzi. Jak zaczną mu zwozić na okręt stare wiosła czy dopiero przy pękniętym szafliku? Była jeszcze drabina bez dwóch szczebli.

– I sporo łajna po koniach.

– Też zabiorę.

Patrzyli.

– Wczoraj kazałeś im zbierać manatki i uciekać. Ale prędzej by cię wiosłem zatłukli, niż posłuchali mądrej rady.

– A dzisiaj prawie szczęśliwi. Śmierdziało im zakładanie nowej wioski pięć mil dalej, to teraz popłyną pięćset.

– Jaki dobry.

– Kto? Ten mały pirat?

– Tak. Wsioki na pewno uważają, że jest dla nich dobry, nie to co najemnicy. Że piraci będą od nas mocniejsi, to wiedziałem. Ale że mądrzejsi... No, tego się nie spodziewałem. A on miał rację i wiedział, co mówi. To dlatego jest tam drugim zastępcą, bo topornik chyba z niego żaden.

Ajan skinął głową.



– Niewolnik się niby nie oplaca – ciągnął kpiąco Sayl. – Na sprzedaż, to może i nie. Ale wziąć za darmo półtorej setki? Zdrowe chłopcy, a kobiety jak... gęsi!

– A jednak dziwne, że nas puścił.

– Załatwiliśmy dla niego sprawę. Co miałby powiedzieć tej swojej hersztowej, jak już będzie miał do kogo mówić? Że zgodnie z rozkazem przywiózł na okręt śledzie i baryłkę wody, tracąc pół setki ludzi? Chyba lepiej, jeżeli powie: „Wsioki wierzyły, dwudziestu zatłukliśmy i drugie tyle jakichś najemników, a reszta będzie dla ciebie łowić ryby na Agarach”.

– Może i tak.

– Pokazał, kto rządzi. Załatwił wszystko, jak chciał. Pamiętasz, co powiedział? Że jedną pogawędką załatwi sprawę, której oni nie mogli przez tydzień. Tak to się robi, dowódcu. Jak wrócił do swoich, to chłopcy gapili się na niego z otwartymi gębami. Mówię ci.

– Kot powiedział, że oni już nie chcą się bić. Że jak ich nie zmusimy, to nie będą.

– Więc tym bardziej go teraz szanują. Swojego mądrego oficera.

– Czyli mówisz, że wyszliśmy na durniów.

– Czyli mówię, że obaj żyjemy. Na durniów wyszliśmy wtedy, kiedy się wzięliśmy za rzecz niemożliwą, i skończyła się tak, jak musiała. Daj już spokój. Chodź, bo jeszcze

trochę, a zabierzemy się z nimi na te całe Agary. Kiedy zaczął opowiadać, jak tam jest, to aż mi się tęskno zrobiło.

Osiadłali wierzchowce i dosiedli ich. Sayl lekko, Ajan ostrożnie.

– Porozmawiaj z Grubym. Przy okazji.

– Nie muszę – oznajmił Sayl. – Kot mi powiedział. Nie przyrzekał, że dotrzyma tajemnicy. A powierzono mu jakąś? Ktoś klepał na cały Dartan, no to kot po prostu usłyszał.

– I co ty na to?

– Nic. Gdybyś kiedyś potrzebował pomocy, to pytaj o mnie Grubego.

– Tak. Ja też zawsze spokojnie odwrócę się do niego plecami.

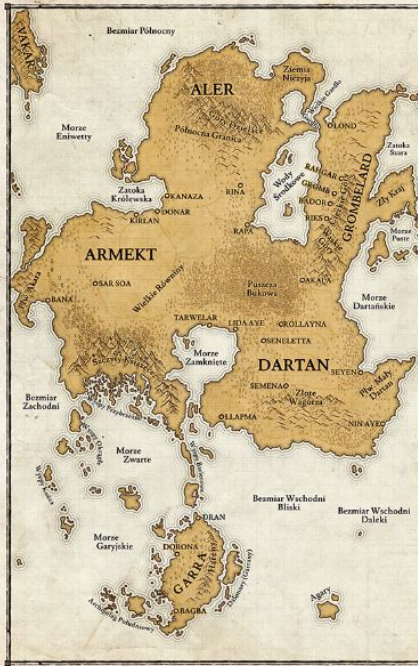
– Ale nigdy do żadnego rybaka.

Pojechali tą samą drogą, którą wcześniej obrała Kizyna.

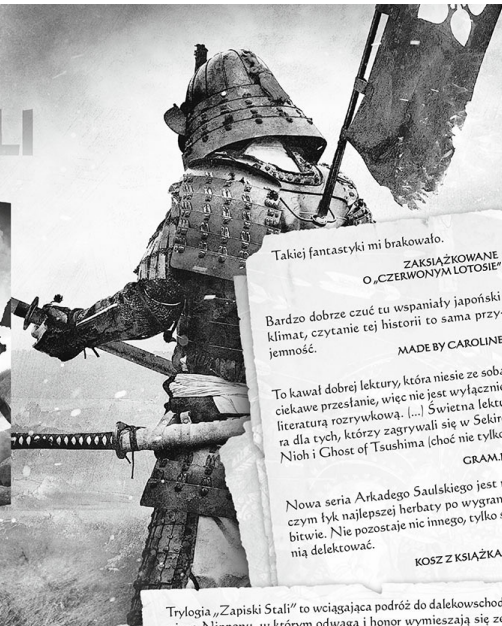
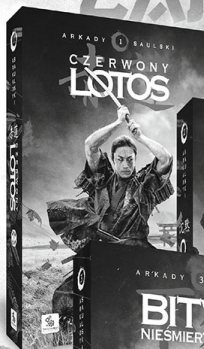
Koniec







# ZAPISKI STALI



Takiej fantastyki mi brakowało.

ZAKSIĄŻKOWANE  
O „CZERWONYM LOTOSIE”

Bardzo dobrze czuć tu wspaniały japoński klimat, czytanie tej historii to sama przyjemność.

MADE BY CAROLINE

To kawał dobrej lektury, która niesie ze sobą ciekawe przesłanie, więc nie jest wyłącznie literaturą rozrywkową. [...] Świetna lektura dla tych, którzy zagrywali się w Sekiro, Nioh i Ghost of Tsushima (choć nie tylko).

GRAM.PL

Nowa seria Arkadego Sauskiego jest niezłym tyłk najlepszej herbaty po wygranej bitwie. Nie pozostaje nic innego, tylko się nią delektować.

KOSZ Z KSIĄŻKAMI

Trylogia „Zapiski Stali” to wciągająca podróż do dalekowschodniego Nipponu, w którym odwaga i honor wymieszają się ze zdradą i z okrucieństwem w mrocznym i pełnym przelanej krwi tygł, z którego cało może wyjść tylko jeden zwycięzca. Świsł katan i dobrze mierzone cięcia samurajskich mieczy zagrają nam melodię, której długo nie zapomnimy.

COŚ NA PÓŁCE

COPYRIGHT © BY Feliks W. Kres  
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2022

WYDANIE I  
ISBN 978-83-7964-762-0

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA

Eryk Górski  
Robert Łakuta

GRAFIKA NA OKŁADCE  
Sergey Shikin

PROJEKT OKŁADKI  
Szymon Wójciak

ILUSTRACJE  
Przemysław Truściński

MAPA  
Paweł Zaręba

REDAKCJA  
Dorota Pacyńska

KOREKTA  
Katarzyna Pawlik, Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ  
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA

 swiatksiazki.pl

 DRESSLER

Zamówienia hurtowe  
Dressler Dublin sp. z o.o.  
ul. Poznańska 91  
05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32  
www.dressler.com.pl  
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



**fabryka słów**  
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 2519

[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)

e-mail: [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)

[www.facebook.com/fabryka](https://www.facebook.com/fabryka)

[instagram.com/fabrykaslow](https://instagram.com/fabrykaslow)

FELIKS W.

# KRES

ŻEGLARZE  
I JEŻDZCY



Świat, czy to ten pod niebem Szereru  
czy jakikolwiek inny, jest pełen zła.  
W opowieściach starych ludzi  
wciąż trwają okrutne wojny, łupieskie  
wyprawy, tży kobiet i krew mężczyzn.  
Ale żadna z tych opowieści nie mówi  
o krzywdach wyrządzanych bez żadnego  
powodu, dla samej tylko zabawy.

Niektóre mówią o podłych zdradach  
popelnianych z szalonej miłości, przyjaźni  
zmienionej w zacieklą nienawiść i bólu,  
który wydaje się nie do zniesienia.

Istnieją też inne opowieści, te, które dają  
nadzieję. Opowieści o miłości, przyjaźni  
silniejszej niż śmierć i o niezrozumiałej łasce.

Wszystkie je można usłyszeć przy  
ogniskach pod niebem Szereru.

I właśnie zostały spisane.

FELIKS  
KRES  
SŁOWA  
. P L

8

KSIĘGA  
CAŁOŚCI



fabryka słow



/fabryka



/fabrykaslow

fabrykaslow.com.pl